

Janet Dailey

Przyrodnie siostry

Część pierwsza

1

1 romienie słońca przebijały się przez gęstwinę liści dębu i muskały stary nagrobek z marmuru zdobiący rodzinny grób Lawsonów. Wokół raz jeszcze zebrali się uczestnicy ceremonii pogrzebowej, a poświęcona ziemia miała przyjąć doczesne szczątki kolejnego Lawsons. W Houston chowano dziś Roberta Deana Lawsons juniora, nazywanego przez wszystkich Deanem.

Abbie Lawson nie mogła się pogodzić z nagłą śmiercią ojca. Policja orzekła, że to był wypadek. W drodze z lotniska jechał zbyt szybko i nie dostrzegł zakrętu. Abbie wiedziała, że ojciec wracał z podróży handlowej do Los Angeles. Zginął na miejscu, zapewniono ją i jej matkę-jak gdyby dzięki temu łatwiej było się pogodzić ze stratą.

Abbie nigdy nie czuła się tak blisko związana z ojcem jak właśnie teraz. Przez całe życie walczyła o jego miłość i zawsze się jej wydawało, że dzieli ich coś, co tylko Dean mógł wyjaśnić. Ciągle czuła jakiś dystans nie do pokonania. Z pewnością lubił swoją córkę, ale czyją kochał?

Zamyślona oderwała wzrok od zamkniętej, przystrojonej żółtymi różami trumny i popatrzyła po zgromadzonych uczestnikach uroczystości. Nie było ich wprawdzie tak wielu, jak przed dziesięć laty na pogrzebie jej dziadka, ale R.D. Lawson senior należał przecież do pionierów przemysłu naftowego. Był tym, który w ciężkich latach odbudowy po wojnie domowej jeszcze pomnożył rodzinny majątek.

Śmiały, kuty na cztery nogi, bardzo pewny siebie - takim Abbie pamiętała swojego dziadka. Miała osiem lat, kiedy umarł. Sądząc po krążących anegdotach, musiał być fascynującą osobowością, ale również człowiekiem, któremu nie brakowało surowości. Siła przebiccia była niezbędną cechą mężczyzny w pionierskich dniach przemysłu naftowego.

Lawsonowie nie byli jednak milionerami naftowymi w ścisłym znaczeniu tego określenia. Pieniądze przyniósł im raczej patent na szlam wiertniczy - płynną substancję pompowaną do otworu wiertniczego w celu rozmiękczenia ziemi, oczyszczenia otworu i utrzymywania stałego ciśnienia. W końcu lat dwudziestych, po wieloletniej pracy na wydajnych teksańskich polach naftowych, Lawson senior wprowadził na rynek własną mieszankę tego szlamu i stworzył obracające milionami przedsiębiorstwo.

Po śmierci dziadka oraz sprzedaniu firmy przez ojca Abbie pozycja rodziny w Houston uległa zmianie. Lawsonowie nie należeli już do wielkich świata przemysłu naftowego. Jednak Dean, mimo swoich obowiązków adwokata i odnoszącego sukcesy hodowcy koni, nadal pielęgnował wieloletnie kontakty z byłymi partnerami w interesach, tak więc rodzina wciąż jeszcze liczyła się w towarzyskich kręgach miasta. Dlatego także dziś przybyła na pogrzeb stosowna liczba prominentów.

Dziwne, że w takich chwilach w ogóle się jej estruje podobne sprawy, pomyślała Abbie. Nagle ocknęła się z rozmyślań, ponieważ kątem oka dostrzegła jakiś ruch i odwróciła się. Stojąca obok niej matka ocierała pod woalką. Jednak zaintrygował ją i wywołał uczucie niepokoju widok młodej kobiety stojącej w pobliżu grobowca, kobiety, która wydawała jej się zdumiewająco znajoma. Podobieństwo było tak uderzające, że Abbie poblądła z wrażenia. Wytracona z równowagi nie mogła oderwać od niej oczu.

- Módlmy się - zaintonował ksiądz. - O Panie, zgromadziliśmy się, by doczesne szczątki Twego sługi Deana Lawsona...

Abbie przysłuchiwała się, nie rozumiejąc słów. Nadal była odurzona widokiem młodej kobiety. To niemożliwe, to nie może być prawda, myślała. Ta druga opuściła głowę. Lekki powiew poruszył bujne, połyskujące, kasztanowe włosy okalające jej twarz. Były w dokładnie takim samym odcieniu jak włosy Abbie. Jeszcze bardziej wyprowadził ją jednak z równowagi kolor oczu nieznajomej: promienny błękit królewski. Jej dziadek nazywał go „błękitem Lawsonów” i stale z dumą podkreślał, że oczy Lawsonów są „bardziej błękitne niż teksańskie chabry”. Abbie miała szczególne uczucie - jakby w wadliwym lustrze widziała lekko zniekształcone własne odbicie. Mimowolnie dotknęła swoich włosów, jak gdyby chciała się upewnić, czy ciągle jeszcze są gładko spięte w elegancki węzeł i nie spadają jej swobodnie na ramiona jak włosy nieznajomej. Kim ona mogła być?

Pytanie to nurtowało ją aż do chwili, gdy wymruczane chórem „amen” zasygnalizowało koniec uroczystości pogrzebowych. Stojący dotychczas

w bezruchu tłum zaczął się przemieszczać i Abbie straciła nieznajomą z oczu.

Kiedy ksiądz zbliżał się do niej, by złożyć kondolencje, Abbie troskliwie położyła rękę na ramieniu matki, kierując się instynktem opiekuńczym, który odczuwała wobec nadwrażliwej Babs Lawson. Tak jak dla jej ojca, również dla Abbie przyzwyczajeniem stało się izolowanie matki od wszelkich nieprzyjemności. Babs nie była stworzona do problemów. Postępowała tak, jakby ich w ogóle nie było, w nadziei, że dzięki temu znikną ze świata. Abbie natomiast odziedziczyła dumę i nieugiętość Lawsonów i rzeczą oczywistą było dla niej stawianie czoła wszystkim sytuacjom - tak jak teraz. Nie mogąc usunąć z pamięci wizerunku tej kobiety, przebiegała oczami po twarzach stojących wokół ludzi i tylko jednym uchem słuchała wyrazów współczucia duchownego. Obca kobieta, tak do niej podobna, nie mogła przecież nagle zniknąć. Gdzieś musiała być.

Szukając pomocy, odruchowo zwróciła się do Benedykta Jabłońskiego, jak czyniła to przez prawie całe swoje życie. Ben był ubrany w tweedo-wy garnitur, który miał zapewne tyle samo lat co on. Czapkę z małym daszkiem trzymał w rękach. Jego gęste, zwykle niesforne siwe włosy były gładko zaczesane do tyłu i wyglądały niemal porządnie. Wiek pozostawił głębokie ślady na jego twarzy, jednak wciąż jeszcze była od niego siła i wrażenie solidności. Nic nie mogło go wyprowadzić z równowagi. Nie było to dziwne, jeżeli się wiedziało, co przeżył podczas wojny w ojczyściej Polsce pod okupacją niemiecką, a potem pod Sowietami. Ben należał do rodziny od kiedy Abbie mogła sięgnąć pamięcią. Przybył do nich zapewne wówczas, kiedy jej dziadek zapoczątkował hodowlę koni arabskich. Od tej pory był dla Abbie jakby drugim ojcem. Łączyła ich nie tylko wspólna miłość do koni. Był również człowiekiem, który zawsze starał się jej pomóc. Już jako dziecko zwracała się do niego ze swoimi problemami i pytaniami.

Ten poważny mężczyzna, który rzadko się śmiał, spojrział teraz na nią przelotnie i odczytał jej gesty tak samo trafnie jak ruchy żrebiąt, którymi się opiekował.

- Co się stało? - zapytał z twardym, polskim akcentem.

- Widziałeś kobietę, która stała przedtem koło nagrobka?

- Nie. Kto to był?

- Nie wiem. - Abbie zmarszczyła czoło i znowu powiodła wzrokiem po zgromadzonych. Wiedziała, że się nie pomyliła. Nieobecna duchem, wygładzała swój czarny kostium od Chanel. Zdecydowana odszukać nieznajomą, odwróciła się do Bena i powiedziała:

- Ben, zostań przy matce.

Dobrze.

Abbie, nie namyślając się, zostawiła matkę samą i ruszyła przez tłum przybyłych na pogrzeb. Ścisnęła dłonie, kiwała głową, wysłuchiwała wyrazów współczucia, zmuszała się do lekkich uśmiechów, półgłosem udzielała stosownych odpowiedzi, nie przerywając przy tym poszukiwań.

Już chciała zrezygnować, kiedy zobaczyła nieznajomą stojącą na skraju tłumy. Znowu uderzyło ją niezwykle podobieństwo. Kobieta rozmawiała z siwowłosą Mary Jo Anderson, sekretarką ojca, która od lat właściwie samodzielnie prowadziła jego praktykę adwokacką. Zszokowana i speszona Abbie wlepiła w nie wzrok. Co Mary Jo miała z nią wspólnego? Czy znała tę osobę?

Ktoś mocno objął jej ramię i usłyszała niski, męski głos:

- Miss Lawson? Wszystko w porządku?

- Słucham? - Zaskoczona Abbie patrzyła na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę. Wciąż trzymał ją za ramię.

- Zapytałem, czy wszystko w porządku. - Jeden koniec ciemnych wąsów uniósł się w lekkim uśmiechu, kiedy mężczyzna patrzył na nią uważnie przymrużonymi oczami.

- Ja... czuję się dobrze - powiedziała, próbując dojść do siebie. Wydawał jej się znajomy. Z przechyloną na bok głową spoglądał na nią z niedowierzaniem, zanim ją puścił.

- Wcale pani tak nie wygląda. Prawdę mówiąc, przed chwilą wyglądała pani okropnie, miss Lawson.

Jego słowa sprawiły, że Abbie skupiła na nim całą uwagę. Jednocześnie nasiliło się wrażenie, że już go gdzieś spotkała.

- Ależ nie, nic mi nie jest. Dziękuję za pańską troskliwość... - przerwała, ponieważ nie wiedziała, jak się do niego zwracać.

- Wilder. MacCrea Wilder. - Nazwisko nic jej nie mówiło. Chyba to wyczuł, bo dodał: - Ostatniej wiosny widzieliśmy się w biurze pani ojca.

Nagle sobie przypomniała. Widziała go siedzącego w dużym skórzanym fotelu w prywatnym biurze ojca. Przypomniała sobie również, jak bardzo go zdenerwowało jej niezapowiedziane wtargnięcie. Wtedy miał na sobie koszulę khaki z rozpiętym kołnierzem i podwiniętymi rękawami. Pamiętała, że zwróciła uwagę na jego muskularne ręce, gładką, opaloną skórę i szerokie ramiona.

Ale było coś jeszcze. Abbie, marszcząc czoło, próbowała to sobie przypomnieć.

- Ropa naftowa! - Z aromatem tytoniu fajkowego ojca zmieszał się zapach pól naftowych. - Rozmawiał pan z moim ojcem o ropie naftowej.

- Pośrednio. Pochlebia mi, że pani to jeszcze pamięta.
- Tak? - Nie wyglądało na to, żeby komplementy wywierały na nim wrażenie.
- Ja natomiast przypominam sobie, że tego dnia uprawomocnił się pani rozwód i chciała pani to uczcić ze swoim ojcem...

- Ach, pamięta pan to jeszcze? - Abbie nie lubiła wspominać swego małżeństwa z Christopherem Johnem Atwellem. Trwało sześć lat - sześć katastrofalnych lat. Potem wystąpiła o rozwód, wprowadziła się z powrotem do domu rodziców i wróciła do panińskiego nazwiska. W jej życiu były pewne sprawy, których żałowała. Ale koniec jej małżeństwa do nich nie należał.

Spojrzała na MacCreę Wildera z rozbudzonym na nowo zainteresowaniem, zdumiona, że tak dobrze ją pamiętał. Po raz pierwszy od otrzymania wiadomości o śmierci ojca czuła, że znowu budzi się w niej życie.

MacCrea spojrział na trumnę z mosiężnymi okuciami.

- Chciałbym pani powiedzieć, jak mi przykro z powodu śmierci ojca. Abbie nie podobało się, że przeszedł do oklepanych zwrotów, a ona do tak samo oklepanych odpowiedzi.

- Dziękuję za pańskie współczucie.

Jeszcze nie odszedł, a już żałowała, że muszę się rozstać, ale nie było czasu na zastanawianie się nad tym. Abbie znowu ruszyła przez tłum, poszukując wzrokiem nieznajomej i zadając sobie pytanie, kim ona mogła być.

Rachel Farr obserwowała Abbie z pewnej odległości. Dokładnie odnotowała, z jaką gracją i pewnością siebie poruszała się wśród zgromadzonych na pogrzebie. Upał i wilgotność powietrza nawet w najmniej szym stopniu nie dokuczały jej tak, jak dawały się we znaki Rachel. Na upał była przygotowana, ale nie na taką wilgoć.

Spojrzała na czerwoną różę, którą trzymała w ręku. Jedwabiste płatki już więdły. Chciała położyć ją na trumnie Deana, ale bała się uczynić ten prosty gest.

Poprzedniego wieczoru nie odważyła się pójść do zakładu pogrzebowego, a dzisiaj podczas mszy za zmarłego została przed kościołem, bo obawiała się reakcji rodziny. W końcu udała się za procesją luksusowych limuzyn na cmentarz położony na obrzeżach miasta.

Cały czas myślała o tym, że nikt by jej nie zawiadomił o śmierci Deana, gdyby nie jego sekretarka. Tygodnie, a nawet miesiące by upłynęły, zanim by się o tym dowiedziała. Kiedy próbowała wyrazić pani Anderson swoją wdzięczność, wyczuła, że jej pojawienie się było dla niej nieprzyjemne.

To nie sprawiedliwe. Ona także kochała Deana. Jego rodzina powinna zrozumieć, że również ona poniosła stratę i miała prawo do smutku. Przemo-

gła się i z wysoko podniesioną głową podeszła do otwartego grobu. Trumny jeszcze nie opuszczono. Rachel zatrzymała się obok i z wahaniem położyła na niej czerwoną różę. Kwiat wyglądał tak ubogo i niestosownie, że zbierało jej się na płacz. Mrugając, próbowała powstrzymać łzy i zanim się odwróciła, w geście ostatniego pożegnania musnęła palcami brzeg trumny.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła oddaloną o kilka kroków Abbie, spoglądającą na nią podekscytowanym i uważnym wzrokiem. Przez ułamek sekundy Rachel chciała uciec, jakby czuła się winna. Potem jednak zebrała całą odwagę, wysunęła hardo szczękę i ruszyła w tym samym momencie co Abbie.

Spotkały się w połowie drogi. Abbie przemówiła pierwsza.

- Kim pani jest? Czyj a panią znam?

Miała tę samą intonację głosu co Dean. Rachel była o ponad dziesięć centymetrów wyższa od Abbie, ale to wcale nie dawało jej uczucia przewagi. Czuła się raczej niezręcznie i nieporadnie.

- Jestem Rachel Farr z Los Angeles.

- Z Los Angeles? - Abbie jeszcze bardziej ściągnęła brwi. - Tatuś właśnie stamtąd wracał, a więc...

- Wiem. - To, że Abbie nie miała pojęcia, kim ona jest, wywołało w Rachel rozgoryczenie. - Dean zawsze mówił, że jesteśmy do siebie bardzo podobne. Miał rację.

- Kim pani jest? Pod Abbie ugięły się kolana.

- Jestem jego córką. Przestraszona Abbie cofnęła się.

- Niemożliwe! Jajestemjego córką, jego jedynym dzieckiem.

- Nie, pani jest...

Abbie nie chciała jednak słuchać tego potwornego kłamstwa.

- Nie wiem, kim pani jest i co pani tu robi - powiedziała przytłumionym głosem - jeżeli jednak pani natychmiast nie zniknie, postaram się, by ktoś pani w tym pomógł.

12

Kac

achel, płacząc, przeciskała się przez tłum. Gorzko żałowała, że przyszła na pogrzeb. To był błąd - ogromny błąd.

Czego innego mogła jednak oczekiwać? Czy mogła się spodziewać, że Abbie ją obejmie i po wita jak utraconą siostrę? Czy mogła mieć nadzieję, że teraz wreszcie stanie się członkiem rodziny, mieszkanką River Bend?

Rachel już od dawna miała zwyczaj poszukiwania w gazetach i magazynach informacji o swoim ojcu, którego tak rzadko widywała. Co robił, kiedy nie był u niej? Gdzie żył? Jak żył? Zdjęcia River Bend, domu Lawsonów, ukazywały się w czasopiśmie, najczęściej w specjalistycznych magazynach dla miłośników koni arabskich, ale także w magazynach towarzyskich. Rachel widziała niezliczone fotografie Abbie na wspaniałych arabach, najczęściej razem z Deanem, który dumnie trzymał cugle.

Oglądała zdjęcia rodzinnej siedziby w wiktoriańskim stylu oraz żony Deana i córki na wystawnych przyjęciach i balach. O debiucie Abbie czytała na kolumnach towarzyskich houstonkich gazet. Piękna i chłodna Abbie -tak do niej podobna, że aż bolało. Nieznośna była myśl ojej podróżach z Deanem do Anglii, do Europy i na Środkowy Wschód. Ona sama nie była ze swoim ojcem dalej niż w Disneylandzie i w Catalinie.

Świadomość, że Abbie zawsze miała Deana dla siebie, przez całe życie budziła w niej zawiść. Był na miejscu, by wieczorami zanosić ją do łóżka. Był z nią w każde święto, w każdy dzień Bożego Narodzenia, gdy wstawiała z łóżka. Towarzyszył jej przy każdej ważnej okazji, podczas gdy Rachel po śmierci swojej matki mogła uważać się za szczęśliwą, jeżeli widziała go cztery

razy w roku. Było oczywiste, z kim wolał być i kogo kochał. Rachel często zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek była dla niego kimś więcej niż przykrym ciężarem, niepożądaną komplikacją.

Ból i rozgoryczenie, które, jak sądziła, udało się jej przewyciężyć, wróciły znowu. Po ukończeniu uniwersytetu próbowała urządzić sobie życie bez Deana. Dostała dobrą pracę w dużej firmie reklamowej w Los Angeles. Miała przed sobą wielce obiecującą przyszłość w zawodzie grafika. Dziś jednak ponownie się otworzyły wszystkie stare rany. Ból tkwił głęboko - głębiej niż przedtem.

Szła wzdłuż parkingu w poszukiwaniu wypożyczonego samochodu. Kiedy go odnalazła, zatrzymała się obok niej elegancka, długa, czarna limuzyna. Wyskoczył z niej kierowca w liberii i otworzył tylne drzwi. Nieobecna duchem Rachel przyglądała się, jak z limuzyny wysiada siwowłosa mężczyzna.

13

Po kilku słowach rozmowy z szoferem podszedł do Rachel. Mógł mieć czterdzieści pięć lat - tyle samo co Dean i tak jak u Deana w kącikach oczu rysowały mu się małe zmarszczki, kiedy się uśmiechał.

- Jak się pani czuje? - zapytał z lekkim uśmiechem.

Ciepło i szczerść jego głosu świadczyły, że pytanie było czymś więcej niż tylko grzecznościowym zwrotem. Rachel przestraszyła się, kiedy w następnej sekundzie wymieniła z nim uścisk dłoni.

- Dziękuję, dobrze.

Szybko wytarła łzy z policzków. Musiała okropnie wyglądać z zaczerwienionymi i zapłakanymi oczami, jednak jego dobronurze spojrzenie świadczyło, że był zbyt taktowny, by coś takiego zauważyć.

- Uroczystość już się skończyła, prawda? - zapytał. - Bardzo mi przykro, że się spóźniłem, ale...

Przerwał, marszcząc czoło.

- Przepraszam panią, ale pani nie jest Abbie...

- Nie. - Zraniło ją, że niechcący powiększył dystans między nimi.

- Jest pani zapewne córką Caroliny - usłyszała, kiedy już się odwróciła, by odejść. Zatrzymała się. Łzy wdzięczności napłynęły jej do oczu. Przynajmniej on jeden ją rozpoznał, on jeden wiedział, jak ciężkiej straty doznała.

- Pan... znał moją matkę?

- Tak. - Pełen zrozumienia uśmiech wyczarował zmarszczki w kącikach oczu. - Pani ma na imię Rachel, jeśli się nie mylę?

- Tak. - Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się. Była tak przytłoczona wrażeniami, że więcej nie zdołała z siebie wydobyć. - A jak pan się nazywa?

- Przepraszam. Myślałem, że pani mnie zna. Jestem Lane Canfield.

- Pan Canfield. Tak, Dean często i chętnie o panu mówił. Bardzo pana cenił.

O Lane Canfieldzie mówiono, że należy do niego pół Teksasu, a o drugiej połowie nie warto nawet mówić. Rachel czytała, że jego majątek był ogromny, a udziały bardzo różnorodne, od nieruchomości poprzez luksusowe hotele po instalacje petrochemiczne.

- Ja też go cenilem - odparł. - Dean był interesującym człowiekiem i wiernym przyjacielem. Wiele ludziom będzie go bardzo brakowało.

- Tak - skinęła głową.

- Wciąż pani mieszka w Los Angeles? - ostrożnie skierował rozmowę na mniej drażliwe tematy.

- Tak. Właśnie mnie odwiedził. Jego samolot wystartował z opóźnieniem i zapewne chciał je nadrobić w drodze do domu... kiedy zdarzył się wypadek.

14

Do domu, do Abbie, do córki, którą kochał.

- Zostanie pani dłużej w Houston? Może powinniśmy pójść razem do restauracji? Myślę, że Dean poparłby ten pomysł, nie sądzi pani? Gdzie pani mieszka?

- W Holiday Inn - odparła bezwiednie Rachel.

- Jutro do pani zadzwonię. Dobrze.

Rachel pożegnała się i zręcznie manewrując samochodem, wyjechała na ulicę. Lane spoglądał za nią w zamyśleniu. Podobieństwo między ojcem i córką było uderzające. Rachel była wysoka i szczupła jak Dean i odziedziczyła jego gęste ciemne włosy oraz promienne, niebieskie oczy. Uczuciowa i wrażliwa - tak, była do Deana bardzo podobna.

Abbie jak lunatyczka przeciskała się przez zwarty tłum. Szukała matki, żeby namówić ją do odejścia. Nie mogła dopuścić, by matka zobaczyła tę kobietę, która twierdziła... Wszystko jedno, co twierdziła. Już sam pomysł był śmieszny i absurdalny. To musiała być jakaś wariatka.

W samochodzie, który w żółwym tempie posuwał się po wąskiej, zapchanej innymi autami drodze, spojrzała ukradkiem na matkę. Babs, jak ją wszyscy nazywali, była dokładnym przeciwieństwem Deana. Niezwykle gadatliwa, mogła przeskakiwać z tematu na temat i godzinami paplać, nie mówiąc przy tym nic konkretnego. Całe jej życie było jednym nie kończącym się pasmem przyjęć. Przyjęć, na których równie chętnie występowała w roli gościa, jak i gospodyni.

Abbie często miała wrażenie, że nie było chyba dwojga ludzi, którzy tak by się od siebie różnili jak jej rodzice. A jednak Babs uwielbiała Deana i sama nie podejmowała żadnej, nawet błahej decyzji. Jej wiara w niego była niewzruszona. Wszystko, co robił, było doskonałe.

Nie wszystko, pomyślała Abbie i przypomniała sobie spory toczony za zamkniętymi drzwiami. Ostry głos matki, łkanie, wściekłą, zdecydowaną i zarazem bolesną minę ojca, kiedy wychodził. Matka zawsze wówczas zostawała w pokoju, czasem całymi godzinami. Potem pojawiała się blada, wyczerpana i niezwykle małomówna. Najwcześniejsze wspomnienia były mgliste, Abbie miała jednak wrażenie, że w tych sprzeczkach zawsze chodziło o to samo - i że zawsze miały one związek z częstymi wyjazdami ojca w interesach do Kalifornii. Kiedyś zaproponowała matce, by towarzyszyła mu do Los Angeles. Była już wówczas studentką uniwersytetu.

- Dlaczego zostaj sama w tym ogromnym domu? - argumentowała. - Byłaby to dla ciebie idealna okazja, żeby podróżować razem z tatu-siem.

Jeszcze dziś pamięta zduszone, ale żelazne „nie” matki.

15

-Nienawidzę Kalifornii - dodała Babs z niezwykłą goryczą.

- Ale przecież nigdy tam nie byłaś.

- I nigdy nie pojedę.

Babs zmieniła nagle temat i Abbie poczuła, że dalsze naciskanie byłoby bezsensowne. Matka nie chciała o tym rozmawiać, to było oczywiste. Teraz Abbie zadawała sobie pytanie, jaka mogła być tego przyczyna.

Ta Rachel powiedziała, że pochodzi z Los Angeles, przypomniała sobie Abbie. To oczywiście czysty przypadek - tak samo, jak uderzający błękit jej oczu. Z nagłym uczuciem niesmaku Abbie zmarszczyła czoło, prześladowana wspomnieniem, jak patrzył na nią ojciec, kiedy myślał, że nie jest obserwowany. Z cieniem skruchy i bólu, z troską żalem. Oczami, które były tak samo błękitne, jak jej - i jak oczy tej Rachel.

Zawsze sądziła, że ojciec tak się jej przygląda, ponieważ chciałby, żeby była chłopcem. Który bowiem mężczyzna nie życzyłby sobie syna, któremu mógłby przekazać nazwisko rodowe i tradycję? Starał się ją kochać, a ona rozpaczliwie próbowała zdobyć jego miłość, co nigdy do końca jej się nie udało. A może wyobrażała sobie coś przeciwnego? Może wcale nie chodziło o to, że marzył o synu? Może był związany z inną kobietą? Czy Rachel Farr była owocem tego związku? Czy było to rzeczywiście tak niedorzeczne, jak z początku sądziła?

W jej pamięci pojawiały się strzępy wspomnień, które dotąd można było lekceważyć jako zwykły splot okoliczności. Przypadkowo usłyszane fragmenty kłótni rodziców, systematyczne loty Deana do Los Angeles, cztery, pięć razy w roku, sposób, w jaki zwykł się jej przyglądać, tak jak gdyby widział kogoś innego - rzeczy, których nigdy nie traktowała jako pojedynczych elementów tej samej układanki, zaczęły się teraz układać w logiczną całość. Czy tylko grał rolę kochającego męża i ojca? Czy przez te wszystkie lata ukrywał w Los Angeles drugie dziecko?

Świat Abbie stanął nagle na głowie i zadrżał w posadach. Wszystko, w co wierzyła, co uważała za prawdziwe, stało się wątpliwe. Przez wszystkie te lata myślała, że zna ojca. Teraz miała uczucie, że zawsze był obcy. Czy kiedykolwiek rzeczywiście kochał jej matkę-alboją, swoją córkę?

- Abbie, popatrz! - zawołała matka. Abbie zdrętwiała, przekonana, że matka dostrzegła Rachel Farr. - To przecież Lane Canfield!

Abbie podniosła głowę i zobaczyła, że na parkingu Rachel żegna się z Lane'em Canfieldem i wsiada do swojego samochodu. Matka mogła widzieć już tylko jej plecy. Dlaczego najlepszy przyjaciel ojca rozmawiał z Rachel Farr? Sądząc po jego zachowaniu, znał ją. Jeżeli zgadzało się to, co twierdziła Rachel, to Lane został zapewne we wszystko wtajemniczony. Wniosek ten nasunął się z jeszcze większą siłą, kiedy Abbie przypomniała

16

sobie, że ojciec powierzył Canfieldowi rolę wykonawcy swojego testamentu.

- To Lane. - Matka nacisnęła dźwignię automatycznie opuszczającą szybę. Do samochodu wdarł się skwar czerwcowego popołudnia. - Lane! Lane Canfield!

Lane, usłyszawszy swoje nazwisko, odwrócił się i podszedł do niej, by się przywitać.

- Babs, bardzo mi przykro, że nie mogłem przyjść wcześniej. Byłem za granicą i dopiero wczoraj dotarła do mnie informacja o... o wypadku. Wtedy wróciłem tak szybko, jak tylko było to możliwe. - Ujął serdecznie i ciepło jej dłoń.

- Najważniejsze, że jesteś. Pojedziesz chyba z nami do domu?

- Oczywiście. Przepraszam na chwilę.

Wydał swojemu kierowcy kilka poleceń i wsiadł do ich samochodu. Abbie zauważyła, jak badawczo jej się przyglądał, jak jej estrował każdy szczegół jej wyglądu i bez wątplenia porównywał z Rachel. Wydawało się, że podobieństwo obu kobiet nie dziwiło go w najmniejszym stopniu - najwyraźniej nie było dla niego nieoczekiwane.

- Lane, zostaniesz na obiedzie? Będą Ramseyowie i Colesowie, a także obiecało wpaść parę innych osób. Chętnie widzielibyśmy cię dziś u nas - powiedziała Babs natarczywym tonem.

- Bardzo chętnie. - Lane z trudem koncentrował uwagę na wdowie po Deanie, ciągle jeszcze atrakcyjnej, czterdziestoosmioletniej kobiecie. - Niestety, nie będę mógł długo zostać. Jeszcze dziś muszę wrócić do miasta. Interesy.

- Rozumiem - głos Babs zadrżał. Przez chwilę wydawało się, że wybuchnie płaczem, ale dzielnie zapanowała nad emocjami i zwróciła się do Abbie: - Lane był świadkiem na naszym ślubie. Ale to już przecież wiesz.

- Tak, mamo.

Babs westchnęła melancholijnie.

- Czy pamiętasz jeszcze, Lane, jak nasz samochód nie chciał zapalić? Dean musiał się godzinę męczyć z silnikiem. Chcieliśmy przecież pojechać tym samochodem w naszą podróż poślubną...

- Brakowało wtedy chyba paru części - odparł Lane. Pamiętał dokładnie, jak razem z przyjaciółmi uczynili samochód Deana niezdolnym do jazdy.

- Nic dziwnego - powiedziała Babs ze śmiechem, który wciąż jeszcze działał zaraźliwie. - Chyba dałeś nam wtedy własny samochód.

- Tak - potwierdził Lane i jego myśli wróciły do tego dawno już minionego dnia.

2 - Przyrodnie siostry

J y

3

'o River Bend, które z tej okazji lśniło bielą, goście przybywali na długo przed mającą się odbyć w ogrodzie ceremonią zaślubin. Okazały dom rodzinny, ogrodzenie z artystycznie powycinanych sztachet, przyozdobiona ornamentami weranda - wszystko, co należało do tej posiadłości, czy to stodoła, czy ogrodzenie, błyszczało świeżą farbą. Nie oszczędzano na wydatkach - nawet mech hiszpański na drzewach spryskano srebrnym proszkiem. Nie było żadnych wątpliwości, że R.D. Lawson z całego serca aprobował ożenek swego syna Deana z Barbarą Ellen Torrence, pochodzącą ze starej teksańskiej rodziny. Torrence'owie uchodzili za rodzinę arystokratyczną, mimo że mieli spore długi na skutek krachu giełdowego w 1929 roku. River Bend, położone nad Brazos River, niecałe trzydzieści kilometrów na południowy zachód od centrum Houston, otoczone było z trzech stron ziemią uprawną i polami ryżowymi, równiną prerią, na której tylko gdzieś stały zabudowania farmerskie lub pojedyncze drzewa. Ale na stuleciach należących do River Bend rosły grube i wysokie dęby, orzeszniki i topole. Tworzyły one nad rzeką gęste lasy z wysoko sterczącymi olbrzymimi drzewami, porośniętymi delikatnymi jak koronki splotami dzikiego wina.

Oddalony od głównej drogi, niemal zupełnie skryty za drzewami, stał główny budynek, wspaniały wiktoriański dom z czternastoma pokojami. Kiedyś stanowił serce tysiącakrowej plantacji, którą założył w końcu lat dwudziestych ubiegłego wieku Bartholomew Lawson, plantator bawełny z południowych stanów.

River Bend prosperowało prawie pół wieku. Dopiero po wojnie secesyjnej i zniesieniu niewolnictwa wszystko się zmieniło. W latach rekonstrukcji duże części plantacji trzeba było sprzedać w celu spłacenia zaległych podatków i długów. Kiedy R.D. przyszedł na przełomie stuleci na świat, w posiadaniu rodziny znajdowało się już tylko trzysta akrów z dawnej plantacji. Dom służył jako stodoła, a otaczający go trawnik i zagajnik orzeszników -jako pastwisko dla bydła i świń. R.D. mieszkał z rodzicami w domu przeznaczonym dla nadzorca i jego rodziny.

W wieku piętnastu lat R.D. pracował już na polach naftowych. W tym czasie można tam było zrobić wielkie pieniądze. Najpierw pracował przy samych otworach wiertniczych, dopiero potem trafił na platformę, gdzie nadzorował sprzęt wiertniczy. W ciągu kilku lat wykonywał wszystkie możliwe zajęcia przy wieży wiertniczej.

18

Były to dzikie i nieposkromione lata boomu naftowego. Rozpoczęcie eksploatacji źródła ropy naftowej wymagało wówczas niewielkiego kapitału i niewielkiej wiedzy fachowej. Przy poszukiwaniu terenów na próbne odwierty zdawano się na ślepy przypadek, ponieważ jedyną pewną metodą stwierdzenia, czy w danym miejscu znajdowała się ropa naftowa, było po prostu wiercenie. R.D. wielokrotnie próbował zdobyć pieniądze, by rozpocząć wiercenia na własną rękę. Spotkał jednak zbyt wielu poszukiwaczy ropy naftowej, którzy w jednym roku zgarniali pieniądze po to, by w następnym znowu je stracić na paru nie trafionych odwiertach. Jedynymi, którzy obok wielkich towarzystw naftowych stale zarabiali pieniądze, byli producenci materiałów i urządzeń.

R.D. skierował więc swoją uwagę na stosowany przy wierceniach szlam wiertniczy. Po sześciu latach pracy na polach naftowych poznał dokładnie jego różnorodne funkcje. Szlam nie tylko rozmiękczał warstwę skał, przez którą przechodziło wiertło, nie tylko wydobywał z odwiertu urobek i chronił otwór przed zawaleniem się. Jeżeli miał odpowiedni ciężar właściwy, wówczas wywierał większy nacisk na gaz, na ropę naftową czy na każdą formację wodną i zapobiegał w ten sposób erupcji i źródła.

R.D. zaczął eksperymentować z różnymi mieszankami i dodatkami. W 1922 roku sporządził wreszcie mieszankę, która przyniosła mu sukces. W tym samym roku, w wypadku podczas jazdy konnej, zginął jego ojciec.

R.D. stanął teraz w River Bend przed trudną decyzją. Jego matka, Abigail Louise Lawson, zwana Abbie Lou, nie mogła sama prowadzić farmy, a na pomoc nie mogli sobie pozwolić. Zdecydowany uczynić to, co należy, pozostał, by dalej gospodarować w River Bend i kontynuować tradycję przodków. Ożenił się z Helen, dziewczyną z sąsiedztwa i rok po ślubie przyszedł na świat Robert Dean Lawson junior. R.D. powinien być teraz szczęśliwy: miał syna, uroczą żonę, dom i farmę, z której dochody wystarczały na życie. Trzy lata usiłował sobie wmówić, że nie powinno się wymagać więcej, a jednak szlam wiertniczy pozostał dla niego niedokończonym tematem.

Abbie Lou Lawson dostrzegła niezadowolenie syna. Pewnego wieczoru wystąpiła z propozycją, która stwarzała możliwość realizacji jego marzenia. Około dwustu akrów ziemi uprawnej postanowiono sprzedać, a reszta miała zostać w posiadaniu rodziny. Utrzymanie starego domu było tak kosztowne, że nikt by go nie kupił, a sto akrów łąki przynosiłoby niewielki zysk. Dochód ze sprzedaży miał być przeznaczony na utrzymanie, ale także

zapewnić kapitał umożliwiający rozpoczęcie produkcji szlamu. Ona sama chciała prowadzić księgi, tak jak to już robiła na farmie.

19

Plan ten zrealizowano w ciągu kwartału. R.D. opatentował wynalazek i zaczął sprzedawać swoje wyroby, wędrując po polach naftowych i odwiedzając prowadzących wiercenia. Na początku jego rewolucyjne pomysły spotkały się z niewielkim zainteresowaniem. Sytuację pogorszył jeszcze krach na giełdzie i śmierć jego żony. Kilka razy był już bliski rezygnacji, ale matka nie dopuściła do tego. Zachęcała go do rozbudowy przedsiębiorstwa, do urządzenia laboratorium, zajmującego się badaniem nowych produktów i urządzeń, oraz do zatrudnienia przedstawicieli sprzedających firmowe produkty i informujących poszukiwaczy ropy naftowej o sposobie ich używania. Nawet jeżeli świat przeżywał fazę depresji gospodarczej, to przemysł naftowy nie był nią dotknięty. Nie minęło nawet dziesięć lat, kiedy na liście płac Lawsons znalazło się siedemdziesiąt osób. R.D. zaczął kupować mniejsze firmy, przejmował ich patenty, czterokrotnie powiększył swoje przedsiębiorstwo i nagle stał się wielokrotnym milionerem.

Wszystko to zawdzięczał kobiecie, która w niego wierzyła, Abigail Louise Lawson. A teraz jego syn Dean żeni się z dziewczyną Torrence'ów.

Drzwi do pokoju syna były na wpół otwarte. Schodząc na parter, R.D. zatrzymał się, kiedy w środku dostrzegł Deana. Był on w każdym calu takim dżentelmenem, jakiego wymarzył sobie jego ojciec. Świadomy niedoskonałości swej własnej ogłady i braku formalnego wychowania, R.D. postanowił, że jego syn będzie miał lepiej. Minęły surowe czasy pionierskie - kiedy interes przypieczętowywano uściskiem dłoni. Dlatego po Uniwersytecie Tekszańskim wysłał Deana jeszcze na studia prawnicze do Harvardu. Od ukończenia przez chłopca dziesiątego roku życia R.D. zawsze przez całe lato zatrudniał go w firmie, by dokładnie poznać jej funkcjonowanie, i od samego początku nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że pewnego dnia jego syn przejmie przedsiębiorstwo.

Dean, siedząc niedbale na poręczu wyściełanego fotela, swobodny i odprężony mimo uroczystego garnituru, uśmiechał się do byłego kolegi ze studiów Lane'a Canfielda, który miał być świadkiem na jego ślubie. Dean był wysoki - chociaż nie tak jak R.D. - i przystojny. Miał niebieskie oczy Lawsonsów i gęste, czarne włosy. Gładka, świeża twarz zdradzała człowieka, który nie zaznał w życiu żadnych trosk. R.D. stałe zadawał sobie pytanie, czy nie dawał chłopcu za dużo, czy nie za bardzo ułatwiał mu życie. Potem jednak przypominał sobie, jak wiele wymagał od Deana każdego lata, kiedy większość jego kolegów mogła się wyszumieć. Gdyby R.D. mógł coś w nim zmienić, to życzyłby sobie, żeby Dean miał coś z dynamiki Lane'a Canfielda. Lane przejął kierownictwo znajdującego się w posiadaniu rodziny zakładu petrochemicznego w Texas City i sam zdołał wyprowadzić przedsiębiorstwo z zadłużenia. Mówiono, że my-

20

śli o ekspansji. Dean jak dotąd nie dowiódł, że ma podobną siłę przebiccia, ale też nie miał jeszcze możliwości, by się wykazać. To się zmieni dopiero wtedy, gdy wejdzie do kierownictwa przedsiębiorstwa - po miodowym miesiącu.

R.D. zapukał krótko i wszedł.

- No, jak chłopcy - zapytał - denerwujecie się?

- Tato, wypij z nami lampkę szampana za koniec moich kawalerskich czasów - powitał go Dean ze śmiechem. - To pomaga na zdenerwowanie.

Tręcili się kieliszkami i wypili po łyku, a potem R.D. podniósł swój do góry.

- Myślę, że powinniśmy wypić za to, by znowu kobieta wniosła życie do tego domu.

- Brawo - zgodził się z nim Lane i zastanowił się w duchu, czy nieśmiałość Deana tylko sobie uroił, czy też nie.

Od momentu zjawienia się ojca zachowanie Deana uległo zmianie. Przedtem dowcipkowali i wygłupiali się, by dać ujście zdenerwowaniu przed ślubem. Dean był niespokojny i palił papierosa za papierosem. Ledwie jednak wszedł jego ojciec, wszystko to natychmiast znikło. Dean spuścił przyłbicę i zaczął zachowywać się z rezerwą i dystansem. Mimo że Lane nigdy nie poruszał tego tematu, było dla niego jasne, że Dean czuł się przy swoim ojcu onieśmielony. Zastanawiał się, czy R.D. kiedykolwiek to zauważył...

Dean miał podobne myśli. W obecności ojca nie czuł się pełnowartościowym mężczyzną.

Wciąż starał się sprostać jego oczekiwaniom, ale najczęściej mu się to nie udawało. Dopiero przy Babs po raz pierwszy poczuł, że coś znaczy. Uważała go za kogoś szczególnego. I za to jąkochał.

Swego ojca też kochał - ale świadomość, że nie spełnia jego oczekiwań bardzo mu ciążyła.

Synem, jakiego powinien mieć R.D., był raczej Lane. Wczoraj ojciec pokazał Deanowi jego nowe biuro, położone bezpośrednio obok swojego. Wyglądał na rzeczywiście zadowolonego, że nadchodzi dzień, w którym Dean całkowicie poświęci się firmie. Dean nie mógł go rozczarować. W głębi duszy wiedział jednak, że nie był stworzony na szefa firmy produkującej szlam wiertniczy, tak samo, jak nie był urodzonym adwokatem. Jakże często życzył sobie, by R.D. jemu, a nie młodemu Polakowi powierzył stadninę w River Bend, jeżeli już koniecznie chciał mu coś powierzyć. Dean darzył konie prawdziwą miłością i tylko tę cechę miał wspólną z ojcem.

Zaczął się od tego, że R.D. na siódme urodziny podarował mu konia. Miał to być rzekomo arab, ale nie było co do tego pewności. Był jednak rączy, a cechująca go mieszanka temperamentu, łagodności i imponującej zaciętości wywierała silne wrażenie. Wiedziony ciekawością R.D. zaczął

21

badać pochodzenie wałacha i odkrył, że to rzeczywiście arab czystej krwi. Ponownie obudziło się w nim pochodzące z wczesnych lat dziecięcych zainteresowanie końmi arabskimi i niecałe pół roku po siódmym urodzinach Deana do River Bend przybyły cztery dalsze konie: trzy żrebice i jeden żrebak. R.D., który w ogóle nie planował zajęcia się hodowlą koni, połknął już bakcyła. Argumentował, że w ten sposób sensownie będzie mógł wykorzystać sto akrów łąki. Ponadto były to przecież tylko cztery konie, nie licząc oczywiście wałacha, należącego do Deana. Nie zdawał sobie właściwie sprawy, że jego pięć koni stanowiło osobliwość, bo na początku lat trzydziestych w Stanach Zjednoczonych nie było łącznie nawet tysiąca koni arabskich czystej rasy.

Kiedy przyjaciele R.D. widzieli delikatne konie z pięknymi głowami, wyśmiewali go. Teksas był krajem koni ćwiercasy. Obok tych krępych, naszpikowanych mięśniami zwierząt jego własne wyglądały filigranowo i bezużytecznie. Aby bronić swoich arabów, R.D. wystawiał je do zawodów we wszystkich klasach. Mogły wykazywać na nich swoją wielostronność i

wytrwałość. Kazał też jeździć na nich Deanowi, by pokazać, że mimo temperamentu były łagodne jak baranki i przyjazne wobec dzieci.

Dean uwielbiał te występy, uwielbiał także konie. Były jego najlepszymi przyjaciółmi i towarzyszami zabaw. Tego, że potrafił jeździć konno, dowodziły liczne nagrody. Konie arabskie były dziedziną, w której nie musiał stać w cieniu ojca. W rzeczywistości wiedział o nich więcej niż R.D.

Z biegiem lat stado koni w River Bend rozrosło się z pięciu do trzydziestu pięciu zwierząt. W kręgach hodowców araby z River Bend cieszyły się opinią jednych z najlepszych. Dean wiedział, że potrafiłby uczynić z River Bend czołową stadninę arabskich koni w kraju, a być może nawet na świecie, gdyby tylko R.D. dał mu taką szansę.

Skończył oczywiście studia prawnicze, zdał egzamin adwokacki i od wczoraj był wiceprezesem firmy. Tytuły jednak nie miały dla niego znaczenia. Nie czuł się ani adwokatem, ani menedżerem. Był jeźdźcą i hodowcą koni. Zadawał sobie pytanie, czy kiedykolwiek zdoła uświadomić to R.D.

Małe podwórko domu nadzorcy, utrzymanego w tym samym stylu co dom rodzinny, choć mniejszego i prostszego, otoczone było sztachetowym płotem. Guzowaty, poskręcany ze starości pekanowiec z liściastą koroną dawał osłonę przed teksańskim słońcem. Zaprząg parskających siwków, ciągnący przystrojony biały powóz, zatrzymał się na wąskiej drodze przed domem. Ciało koni błyszczało jak ufarbowany na kolor kości słoniowej jedwab, z którym kontrastowały hebanowe kopyta.

Benedykt Jabłoński obrzucił je ostatnim taksującym spojrzeniem, zanim zeskoczył z miejsca obok woźnicy - chłopca stajennego ubranego na

22

tę okazję we frak i cylinder. Wyprostowany przeszedł przez bramę i głośno zastukał do drzwi domu. Otworzył mu przysadzisty mężczyzna w ciemnym garniturze.

Ben chrząknął nerwowo.

- Czekamy na pannę młodą.

Mężczyzna zauważył przystrojony powóz i odwrócił się.

- Berty Jeanne, powóz zajechał - krzyknął. - Jesteście gotowe?

W tylnej sypialni Babs Torrence obróciła się nerwowo, by przejrzeć się w lustrze.

- Mamo, to już tak późno? Czy jestem gotowa? Niczego nie zapomniałam?

- Wyglądasz zachwycająco, kochanie. Absolutnie zachwycająco. Berty Jeanne Torrence obejrzała dziewczynę, zanim zawołała do męża:

- Arthur, kochanie, powiedz, że zaraz będziemy gotowe. Tylko się nie denerwuj. Wiesz przecież, że robisz się wtedy czerwony.

Babs nie słyszała tego wszystkiego, z zafascynowaniem patrząc na swoje odbicie w lustrze.

Satynowa suknia, oryginalny Dior, była uosobieniem kobiecości, z wysokim, koronkowym kołnierzem i dekoltem w kształcie serca. Materiał przylegał ściśle do talii, czyniąc ją jeszcze bardziej kruchą, by swobodnie opaść aż do ziemi.

- Mamo, gorset jest za ciasny. Jak wezmę głębszy oddech, to pęknie.

- Skarbie, jeżeli masz jeszcze miejsce na głębszy oddech, to nie jest za ciasny.

W drzwiach pojawił się ojciec.

- Berty Jeanne, chodź już.

- Jesteśmy gotowe.

Babs wybiegła pospiesznie z podniesioną spódnicą, całując po drodze ojca w czerwony policzek.

- Pospiesz się, tatku. Nie możemy się spóźnić.

Na zewnątrz, zatrzymała się i z podziwem przyjrzała przystrojonemu powozowi. Widok dziewczycy, białych kwiatów przywołał w jej pamięci bal, który otwierał sezon debutantek w Houston. Był to bal, na którym spotkała Deana, najprzystojniejszego młodego mężczyznę tego wieczoru. Kiedy zaprosił ją do tańca, nie mogła uwierzyć w swoje szczęście... Dopiero po drugim tańcu odkryła, że to był ten Dean Lawson. Wtedy przestała się już troszczyć o to, że rodzice chcieli dla niej dobrej partii. Była zakochana.

Kiedy powóz zajechał i Babs wysiadła, powitał ją aplauz gości. Na trawie stały rzędy krzeseł i ogromne wazy z białymi azaliami i żółtymi różami. Biały dywan prowadził do ołtarza, zbudowanego w ukwieconym pawi-

23

łonie. Orkiestra smyczkowa grała marsza weselną, przy którego dźwiękach Babs u ramienia ojca kroczyła do ołtarza. Pod nogi sypano jej płatki żółtych róż. Miała wrażenie, że unosi się w chmurach.

Ceremonia zaślubin była tylko przygrywką do wspaniałego przyjęcia w ogrodzie. Po rytualnym krojeniu weselnego tortu młodzi wzniesli toast. Następnie pozowali fotografom, po czym włączali się między gości. Babs wisząc na ramieniu Deana rozkoszowała się nowym statusem księżniczki u boku swego księcia. Kiedy wszystkich pytających o ich wspólną przyszłość odsyłała do niego, Dean wydawał się rosnąć.

- Cokolwiek zechce Dean. Tę decyzję pozostawiam Deanowi. Musi pan o to zapytać Deana -to słowa bardzo przyjemnie brzmiały w jego uszach.

Nad River Bend zapadał już zmierzch, kiedy Dean i Babs, obsypywani przez gości obficie ryżem, biegli do swego samochodu. Do samochodu, który nie chciał zapalić, co u stojących wokół wywoływało salwy śmiechu. Dean musiał wysłuchać wszystkich możliwych rad, które ignorował. Wreszcie Lane zlitował się nad nowożeńcami i dał Deanowi kluczyki do swego samochodu, dzięki czemu mogli wreszcie odjechać. Noc poślubną spędzili w apartamencie hotelowym w Houston, po czym następnego dnia udali się pociągiem do Nowego Jorku.

24

4

K,

kiedy w polu widzenia pojawiły się białe płoty otaczające River Bend, Lane doznał przez moment oszłamiającego uczucia, że dosłownie w jednej chwili został przeniesiony w przeszłość. Miało wrażenie, że pod rozłożystymi koronami drzew pasły się te same konie i widział te same jedwabiste ciała

O metalicznym połysku brązu, miedzi, srebra i złota. Za nimi spodziewał się dojrzeć ciasno ustawione samochody i całą chmarę gości weselnych.

Pamiętał jeszcze, jak po wyruszeniu Deana i Babs w podróż poślubną odwrócił się i zobaczył przed sobą R.D., który w zamyśleniu spoglądał za samochodem.

- Nie rozumiem jej - powiedział, ale szybko i z naciskiem dodał: -Lubię tę dziewczynę. Jeżeli jednak nadal będzie się tak bezradnie i głupio zachowywała, to wkrótce sama uwierzy, że jest

bezradna i głupia. Szkoda, że nie знаła mojej matki. To była kobieta! - stwierdził i poklepał Lane'a po plecach. - Zapraszam, przyjęcie jeszcze sienie skończyło.

Lane uznał wtedy tę charakterystykę Babs za niesłusznie dyskredytuj ą-cą. Jednak po ponad trzydziestu latach Babs ciągle jeszcze nie pozbyła się swojej bezradności. Nadal sprawiała wrażenie małej dziewczynki potrzebującej opiekuna. Babs, kochająca przyjęcia i piękne suknie. Lane zastanawiał się, czy R.D. miał rację. Czy Babs grała pewną rolę, która stała się rzeczywistością?

Limuzyna zatrzymała się przed domem. Lane poczekał, aż kierowca pomoże wysiąść Babs, zanim wysiadł sam. Od stajni dobiegało przenikliwe, wyzywające rzenie ogiera. Lane uświadomił sobie, jak dawno runie był. Tam, gdzie kiedyś stała stodoła, była duża stajnia, granicząca z zagrodami i budynkami gospodarczymi, które zajmowały teraz dwukrotnie większą powierzchnię. Wszystkie nowe budynki miały takie same dwuspadowe dachy 1 kopuły, jak dom rodzinny. W pewnym oddaleniu, wzdłuż wysokiego ogrodzenia, paradował kasztanowy ogier z wygiętym w łuk karkiem i dumnie wyciągniętym ogonem. Podniósł wysoko pięknie uformowaną głowę i chwycił niesione przez wiatr zapachy. To zapewne on tak wyzywająco rżał.

- To Nahr El Kedar.

Były to pierwsze słowa Abbie od chwili, gdy opuścili cmentarz.

- Swego czasu pomógł pan ojcu sprowadzić tego konia z za granicy. Pamięta pan j jeszcze?

- To tak dawno, że prawie zapomniałem.

25

Prawie dwadzieścia lat, j jeśli nie myliła go pamięć. Jego udział w tej sprawie ograniczył się do skontaktowania Deana z pewnymi ludźmi na Bliskim Wschodzie, którzy ułatwili mu załatwienie formalności wywozowych.

- Chciałby go pan zobaczyć?

W spojrzeniu, którym go obrzuciła, było coś wyzywającego. Nie czekając na jego zgodę, ruszyła w kierunku zagrody. Lane podążył za nią bez sprzeciwu. Zauważył, że patrzy na nią z góry. A była przecież tego samego wzrostu... Nagle dostrzegł swoją pomyłkę. Tego samego wzrostu, co on, była Rachel.

- Na cmentarzu widziałam, j ak pan z nią rozmawiał.

Ta uwaga Abbie, podążająca dokładnie za tokiem jego myśli, zaszokowała go.

- Ona się chyba nazywa Rachel Farr. - Spojrzała na niego. - Twierdzi, że tatuś był jej ojcem.

Czy to prawda?

Lane'owi wcale nie odpowiadała ta sytuacja. Jednak jakiegokolwiek kłamstwo byłoby bezsensowne.

- Tak.

Abbie szła zdecydowanie dalej, ale zaczęła zdradzać wewnętrzne poruszenie, które starała się opanować.

- Ale dlaczego...

Jeszcze nie uświadomiła sobie w pełni naiwności swego pytania, kiedy przerwała.

- Zawsze myślałam, że moi rodzice byli ze sobą szczęśliwi.

Kiedy jednak dokładniej się nad tym zastanowiła, zrozumiała, jak niewiele mieli ze sobą wspólnego. Ojciec poświęcał się całkowicie hodowli koni, która interesowała matkę tylko o

tylko, o ile wiązały się z nią okazje towarzyskie. A ich rozmowy... Matka mówiła tylko o przyjęciach, sukniach, dekoracjach wnętrz, plotkach i pogodzie. Jeżeli rozmowa przybierała poważny obrót, przestawała w niej uczestniczyć. To była typowa Babs -wesola, czarująca i powierzchowna. Wszyscy ją lubili.

Abbie nigdy nie mogła zwracać się do matki ze swoimi dziecięcymi problemami, choćby były nie wiadomo jak banalne. Chciała czegoś więcej niż jedynie zdawkowej odpowiedzi:

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Często niemożliwe było również zwrócenie się do ojca. Tak doszło do tego, że Abbie zaczęła szukać wsparcia u Bena.

Czego jej ojciec szukał u kochanki? Kogoś do rozmowy, kobiety, która potrafiła go wysłuchać i zrozumieć? Kogoś, kto był czymś więcej niż dekoracyjną ozdobą wiszącą na jego ramieniu?

Kogoś, kto pobudzał go zarówno intelektualnie, jak i seksualnie? Abbie natychmiast przestraszyła się tej my-

26

śli. Nawet gdyby matka rozczarowywała go pod pewnymi względami, to nie miał prawa szukać innej. Zdradził ją. Zdradził ich wszystkich.

Dotarła do masywnego białego ogrodzenia. Ciemny, kasztanowy ogier, z błyszczącą jak mahoń sierścią podszedł do niej, parskając i potrząsając głową, by wyciągnąć potem szyję nad najwyższą belką i wystawić do Abbie pięknie rzeźbioną głowę. Stał cierpliwie, szare chrapy tulił do jej dłoni, a jego ciemne oczy iskrzyły się zainteresowaniem. Nastawione uszy lekko zakrzywiały się do wewnątrz, aż niemal stykały się ich końce, a rozszerzone nozdrza ukazywały różowe wnętrza. Pięknie uformowana czaszka nie pasowała do całej sylwetki.

- Jak na swoje dwadzieścia dwa lata Kedar jest w formie godnej pozazdroszczenia - powiedziała Abbie, wdzięczna za krótkie odwrócenie uwagi.

- Tak, wygląda wspaniale.

- No tak, nogi nie są bez zarzutu, ale jego głowa jest niewiarygodnie piękna, a tatuś zawsze przecież zwracał uwagę na głowy. Jeżeli koń arabski miał piękną głowę, cztery nogi były sprawą uboczną. A wszystkie araby z hodowli egipskiej są znane ze swych klasycznych głów, dlatego wszystkie nasze konie pochodzą bezpośrednio z linii Ali Paszy Sherifa... z wyjątkiem tamtej dwulatki - Abbie wskazała na srebrnobiałą klacz stojącą przy ogrodzeniu pastwiska.

- Jej matka była ostatnim koniem wyhodowanym przez dziadka. Nie chciałam, by tatuś się jej pozbył, kiedy po śmierci dziadka sprzedawał wszystkie inne konie. W ubiegłym roku podarował mi tę klacz.

- Po ojcu odziedziczyła pani zamiłowanie do koni.

- Tak, pewnie. Nie miałam jednak innego wyjścia, jeżeli w ogóle chciałam być z nim razem.

Abbie natychmiast pożałowała tej gorzkiej uwagi między innymi dlatego, że tylko częściowo odpowiadała prawdzie. Przez całe życie konie były jej przyjaciółmi i towarzyszami zabaw.

Lubiła pracę przy arabach, lubiła być razem z nimi nie tylko ze względu na ojca, lecz także ze względu na zadowolenie, jakiej jej to dawało.

- Matka przez cały czas musiała o tym wiedzieć - wróciła znowu do tematu, który najbardziej ją interesował. - Dlaczego się z tym pogodziła?

- Myślę, że... ułożyli się w tej sprawie.

- Moja matka ma talent do ignorowania wszystkiego, co chociażby w najmniejszym stopniu jest nieprzyjemne - zauważyła nieco cynicznie Abbie. Odpowiedź Lane'a wyjaśniała jednak pewne sceny z jej dzieciństwa, widok matki, która zamykała się na całe godziny i wychodziła ze swego pokoju z zaczerwienionymi i opuchniętymi oczyma, kiedy ojciec udawał się „podróż w interesach” do Kalifornii. Z ostatnich lat Abbie mogła sobie jednak przypo-

27

mnieć tylko tyle, że po jego wyjściu matka zawsze była niezwykle milcząca.

- Kto wiedział o jego... aferze?

- Początkowo plotkowano, ale to się z czasem uspokoiło.

- A ta kobieta... co się z nią stało?

- Przed kilku laty umarła. Rachel od siedemnastego roku życia właściwie musiała sobie radzić sama.

- Przypuszczam, że została uwzględniona w testamencie tatusia, prawda?

- Wydaje mi się to prawdopodobne.

- A jeżeli nie, to będzie mogła zaskarżyć testament i zażądać należnej jej części majątku? - Abbie dała upust obawom, które dręczyły ją w czasie długiej jazdy z cmentarza. River Bend był jej domem. Posiadłość od pokoleń należała do rodziny Lawsonów. Rachel nie ma do niej żadnego prawa.

- To zależy od tego, jak sformułowany jest testament. Może być tak, że Dean przeważającą część majątku zapisał żonie. Albo też utworzył trust i zapewnił jej dożywotnie korzystanie z majątku oraz przewidział, że po jej śmierci przejdzie na jego spadkobierców.

- Spadkobierców? Jeżeli już w liczbie mnogiej, to właściwie powinno być chyba spadkobierczynie - poprawiła go sztywno.

- Abbie, przed otwarciem testamentu nie powinniśmy stwarzać problemów.

- Lane, ja nie jestem taka jak moja matka. Nie uciekam przed niczym. Nie zaprzeczy pan jednak, że sytuacja ta mogłaby doprowadzić do przewlekłego i nieprzyjemnego postępowania sądowego.

- To jest możliwe.

Wzrok Abbie wędrował przez cienistą łąkę do rzędu drzew rosnących wzdłuż brzegu Brazo. W River Bend znała każdy centymetr ziemi, każdy krzak i każde drzewo. A konie znała wszystkie po imieniu, łącznie z ich drzewami genealogicznymi. To było jej dziedzictwo. Jak Lane mógł zakładać, że nie będzie się zastanawiała nad groźną stratą?

- Kim była jego kochanka? Jaka ona była?

Kiedy wyczuła jego wahanie, odwróciła się i popatrzyła na niego.

- Chciałabym to wiedzieć. Niech się pan nie boi, nie zrani pan moich uczuć. Będzie lepiej, jeżeli po tych wszystkich latach poznam prawdę. Matka prawdopodobnie się w tym nie orientuje. Pan jest jedyną osobą, która może mi wszystko opowiedzieć.

Lane przez moment przyglądał jej się z zadumą. Postanowił powiedzieć wszystko, co wiedział.

28

- Nazywała się Caroline Farr. Myślę, że pochodziła gdzieś ze wschodu. Dean spotkał ją na prywatnej wystawie w muzeum sztuk pięknych tu, w Houston.

5

Z,

^męczony i zgrzany Dean szarpał się z węzłem krawata, wspinając się po szerokich, okazałych schodach do położonych na pierwszym piętrze apartamentów, które dzielił z żoną. Jak by to było dobrze, gdyby człowiek mógł się uwolnić od wywoływanych przez pracę stresów i frustracji tak łatwo, jak od garnituru i krawata! Przez trzy piekielnie długie lata usiłował się dostosować do tego schematu, a jednak mu się nie udało. Podczas gdy dla R.D. decyzje zawodowe były drobnostką, Dean całymi dniami męczył się, zanim przyjął jakiś sposób postępowania, ale także i wtedy najczęściej nie uwzględniał nawet połowy tego, co R.D. Nigdy nie wydawał się sobie tak nieudolny.

Otworzył drzwi i wszedł do sypialni. Zdziwił się, gdy ujrzał Babs siedzącą w szlafroku przed lustrem.

- Ach, to ty, kochanie.

Jej odbicie w lustrze uśmiechnęło się do niego.

- Jaki miałaś dzień? Okropny.

Dean zdjął krawat i zamknął za sobą drzwi.

- Jaka szkoda. Ale dziś wieczorem możesz wypocząć, o wszystkim zapomnieć i zabawić się - oświadczył jej z góry, wskazując ręką na wielkie łóżko z czterema artystycznie rzeźbionymi słupkami i równie artystycznie rzeźbionymi nogami.

- Poleciłam Jacksonowi przygotować twoje rzeczy. Kąpiel już masz przygotowaną.

Dean z niechęcią popatrzył na wizytowy garnitur, leżący na narzucie w kwiaty.

- Co to ma znaczyć? Znowu jedno z twoich przyjęć?

Każdego wieczoru coś się działo: zaproszenie na oficjalny obiad, impreza dobroczynna - a kiedy już zostawali w domu, to niechybnie mieli przy posiłku towarzystwo, jeśli sami nie wydawali przyjęcia.

- Kochanie - Babs odwróciła się do niego. W jej brązowych, zdumionych oczach był tak dobrze mu znany po prawie trzech latach małżeństwa

29

wyraz zdziwienia połączonego z obrazą. - W muzeum jest dziś otwarcie prywatnej wystawy. Kiedy cię pytałam, zgodziłeś się.

Możliwe. Nie pamiętał, ponieważ miał na głowie zbyt wiele innych spraw.

- Zmieniłem zdanie. Nie pójdziemy tam.

- Ale przecież wszyscy nas oczekują.

- Czy nie moglibyśmy dla odmiany spędzić spokojnego wieczoru w domu? - Chciał już dodać - i porozmawiać ze sobą, kiedy uświadomił sobie, że Babs nie chce go słuchać. Zawsze, kiedy zamierzał podzielić się z nią wątpliwościami na temat swej roli w firmie i powiedzieć o swoim niezadowoleniu, zbywała go.

- W tej chwili to może wydawać się trudne, ale wiem, że dasz sobie radę, jak zawsze.

Tak lub podobnie zawsze brzmiała jej odpowiedź. Usiłował wmówić sobie, jak cudownie jest mieć kobietę, która w niego wierzy, która uważa, że zawsze da sobie radę. On jednak nie mógł dać sobie rady. Jak wyglądałby przed Babs, gdyby ona to wykryła?

- Dobrze, zostaniemy w domu, jeżeli koniecznie tego chcesz. Naprawdę nie wiedziałam, że nie masz ochoty wychodzić. Przykro mi, naprawdę.

Podniosła się, podeszła do niego i obiema dłońmi ujęła jego twarz.

- Chciałabym robić to co ty. Jeżeli nie chcesz iść, to ja też nie chcę.

Jej promienny uśmiech nie zdołał go zwieść. Okazje towarzyskie uwielbiała ponad wszystko. Jego okropne samopoczucie nie było wystarczającym powodem, by popsuć nastrój także Babs.

- Pójdziemy. - Wziął jej dłoń i przycisnął opuszki palców do ust. - Chyba masz rację. Powinienem wyjść dla odprężenia.

- Wiedziałaś, że mam rację. - Babs stanęła na palcach i pocałowała go. - A teraz pospiesz się z kąpielą, bo woda wystygnie.

Kilka minut później Dean leżał w wannie, czując, jak opada z niego napięcie i popijał bourbona, którego przyniosła mu przewidująca Babs. Jej paplaniny dobiegającej z sypialni słuchał tylko jednym uchem.

- Dean, będziesz oczarowany moją suknią. Po krótkiej przerwie dodała: - Przypomnij mi, abym następnym razem, kiedy będziemy szli na przyjęcie z tańcami, włożyła pantofle ze sztyletowymi obcasami. Szabójcze i wyleczą tego Kyle'a MacDonnella o dwóch lewych nogach od deptania mi po stopach. Ach, a propos leczenia, właśnie sobie przypomniałam... Wczoraj rozmawiałam z Josie Phillips. Powiedziała mi, że musimy to robić przy pełni księżyca, jeżeli na pewno chcę zajść w ciążę.

- Słucham? Dean miał nadzieję, że się przesłyszał.

30

- Przy pełni księżyca. Josie przysięga, że całą czwórkę swoich dzieci poczęła przy pełni. Sprawdziłam w kalendarzu. Następną pełnia będzie dopiero w połowie miesiąca.

Dean wyskoczył z wanny jak błyskawica. Ociekając wodą, wszedł do sypialni i zawiązał pasek płaszcza kąpielowego.

- Babs, ilu ludziom powiedziałaś, że nie możesz zajść w ciążę? Zareagowała wzruszeniem ramion.

- Nie wiem. To w końcu żadna tajemnica. Ludzie nie są ślepi. Można przecież zauważyć, że nie jestem w ciąży. - Poglądziła przód ciasno przylegającej sukni wieczorowej bez pleców. - Co mam odpowiadać, gdy mnie pytają, kiedy to u nas nastąpi? Czy mam mówić, że nie chcemy jeszcze dziecka? To nieprawda. Wiesz przecież, że biedny R.D. nie może się tego doczekać.

- Nie sądzę, żeby to był temat do omawiania z byle kim.

Miał już dość zmartwień. Brakowało jeszcze tylko tego, by jego przyjaciele myśleli, że nie potrafi nawet zrobić dziecka swojej żonie.

- Jeżeli chcesz o tym z kimś porozmawiać, to z lekarzem.

- Zrobiłam to przecież. - Wciągnęła długą białą rękawiczkę. - Powiedział, że za bardzo mi się spieszyło i powinniśmy zaprzestać tych wiecznych prób. Czy ktoś kiedyś już coś takiego słyszał? Jak mam zajść w ciążę, jeżeli niczego nie podejmiemy w tym kierunku? - Wzięła drugą rękawiczkę. - Pospiesz się teraz z ubieraniem, kochanie. R.D. czeka na nas na dole.

Dean z nie ukrywaną obojętnością przechodził od obrazu do obrazu wśród gwaru przytłumionych rozmów, nad którym od czasu do czasu wybuchał przyciszony śmiech. Pomijając miejsce, wydarzenia były do siebie bardzo podobne - ci sami ludzie, te same rozmowy, ta sama elegancka atmosfera cechująca wszystkie okazje towarzyskie, do których Babs przywiązywała tak dużą wagę.

Wolałby zostać w domu i pracować przy koniach. Kiedy Babs z udawanym zainteresowaniem przechodziła do następnego obrazu, bezwiednie poszedł za nią i obojętnie słuchał wyrażanych opinii. Zanim się spostrzegł, Babs i jej towarzystwo poszli dalej, a on został sam i wyglądał tak, jak gdyby studiował obraz.

- Podoba się panu?

Dean spojrział z boku na kobietę, która stała obok. Ze zdziwieniem stwierdził, że jej nie zna. Było to już samo w sobie coś nowego, ale przecież sama kobieta była także zupełnie inna. Wyglądała odmiennie niż Babs lub jej przyjaciółki. Ubrana w prostą suknię, do której nie nosiła żadnej biżuterii, była ich zupełnym przeciwieństwem. Ciemne, bujne, długie włosy, które opadały jej na ramiona, bardzo się różniły od włoskiej fryzury Babs.

31

Choć wygląd kobiety był niezwykle, Dean nie miał chęci na banalną pogawędkę z obcą osobą.

- Według mnie to bardzo interesujący obraz - powiedział, myśląc już

o odejściu.

- A więc nie podoba się panu - stwierdziła kategorycznie.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie, pan powiedział, że jest interesujący. W ten sposób mówi się o obrazach, które tak naprawdę się nie podobają.

- W tym przypadku jest inaczej. Lubię surrealizm - odparł trochę rozdrażniony cieniem pouczenia brzmiącym w jej głosie.

- To nie jest prawdziwy surrealizm jak u Dalego - stwierdziła, patrząc spod zmarszczonych brwi na obraz. - Jest na to zbyt spójny. Przypomina puzzle.

Zacząła mu wyjaśniać symbolikę obrazu, który przedstawiał alegorię człowieka i jego stosunku do przyrody.

Dean słuchał tylko jednym uchem, zafascynowany jej powagą i rzeczowością. Także w jej oczach, które miały odcień ciemnej szarości przecinanej błyskawicami chmur burzowych i ściemniały się ku środkowi aż do czerni widać było zaangażowanie. Całkowicie naturalne wydawało mu się przeniesienie uwagi z jej oczu na usta. Miała miękkie, pełne usta, zmysłowe wargi!

- Pani tu pracuje, w muzeum?

- Nie.

- Wykazuje pani tyle wiedzy... jest pani kolekcjonerką?

- Studiowałam sztukę i dwa lata byłam w Europie. Wędrowałam tam od muzeum do muzeum, by poznać dzieła starych mistrzów.

- A więc jest pani kolekcjonerką - powiedział, mimo że wydawała mu się na to za młoda.

- Nie. Jestem malarką.

- Ach, nie powie pani chyba, że to jeden z jej obrazów.

Rzucił zdumione spojrzenie na obraz, którego symbolikę tak dogłębnie mu wyjaśniła.

- Nie. - Po raz pierwszy uśmiechnęła się lekko, nie otwierając ust. - Mój styl jest bardziej niespokojny, emocjonalny. Nie maluję takich smutnych kraj obrazów, jak ten tutaj.

Kiedy wskazywała na obraz, rzuciły mu się w oczy jej dłonie, długie palce

1 krótkie paznokcie. Dłonie artysty, subtelne i przyciągające uwagę.

- Jak się pani nazywa? Mam niemiłe uczucie, że będzie mi przykro, kiedy się dowiem, kim pani jest.

32

- Wątpię w to. - Znowu lekki uśmiech. - Jestem kimś, kogo nazywają dobrze rokującą artystką. Caroline Farr. Nie sądzę, żeby moje nazwisko coś panu mówiło...

- Jestem Dean Lawson.

Kiedy wymieniali formalny uścisk dłoni, Deana uderzyła siłą jej palców i moc uścisku. Uderzyło go też, że nie kojarzyła jego nazwiska. Więcej jeszcze, wydawało się, że nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Uraziło to trochę ego dumę. Do tej pory jego wygląd i nazwisko wywierały wpływ na kobiety, ale Caroline Farr najwyraźniej była inna. Ich rozmowa skierowała się znowu na sztukę i niezdolność większości ludzi do rozróżniania jej form, stylów i gatunków.

Dokładniej mówiąc, wypowiadała się Caroline, a Dean się z nią zgadzał.

- Pani akcent... - Dean nie potrafił dokładnie określić, skąd pochodziła. - Zapewne pochodzi pani ze wschodu.

- Z Connecticut.

- Czy do Houston wpadła pani tylko w odwiedziny?

- Właściwie nie. Mieszkam w tej chwili w letnim domu znajomych w Galveston.

Dean natychmiast zaczął w duchu analizować listę obecnych i usiłował sobie przypomnieć, który z nich ma letni dom na Galveston Island.

- Nie należy on do żadnej z obecnych tu osób.

- Czy tak widoczne było, nad czym się zastanawiałem?

- Tak.

- Przykro mi. Skoro jednak nie jest pani stąd, musi pani być gościem kogoś z obecnych.

- Dlaczego?

- Ponieważ dziś można tu być tylko za zaproszeniem. Dopiero jutro wystawa będzie dostępna dla publiczności.

- Jutro będę już z powrotem w Galveston. Chciałam obejrzeć obrazy dziś.

- Wkręciła się pani bez zaproszenia? - zapytał z niedowierzaniem.

- Oczywiście. - Caroline Farr zachowała spokój. - Nie jest to przecież prywatny dom, lecz publiczne muzeum. Dlaczego miałyby być dostępne tylko dla jednej, uprzywilejowanej klasy?

- Rozsądny argument. - Powstrzymał się od uśmiechu. Takiej kobiety jeszcze nigdy nie spotkał. Pewność siebie i zdecydowanie, z jakimi prezentowała swoje poglądy, zrobiły na nim wrażenie. - Czy wie pani, że naprawdę bardzo chętnie zobaczyłbym jeden z pani obrazów? Obdarzyła go długim, zamyślnym spojrzeniem.

- Popołudniami można mnie spotkać na zachodnim końcu plaży.

3 - Przyrodnie siostry

3 3

Ktoś podszedł do nich i zagadnął Deana. Kiedy znowu chciał zwrócić się do Caroline, już jej nie było.

Tuż nad ziemią przed jego samochodem leciała mewa, kiedy jechał wzdłuż opuszczonej plaży. Przez otwarte okno wdzierła się od zatoki silna bryza. Marynarka i krawat wisiały na oparciu. Miał podwinięte rękawy koszuli i rozpięty kołnierzyk. Czuł się jak wagarujący uczeń; dręczyło go trochę poczucie winy, ponieważ po rozmowie w sprawach handlowych nie pojechał prosto do domu.

W miarę oddalania się od miasta zdenerwowanie go opuszczało. Na ostatnim odcinku nie spotkał już nikogo. Hm, jak późno, pomyślał Dean, mrugając pod słońce, wiszące nisko na zachodzie. Może to dobrze, że nie spotkał Caroline. Najlepiej, byłoby o niej zapomnieć. Próbował tego oczywiście, ale mu sienie udało.

Dean wielokrotnie się zastanawiał, dlaczego musi myśleć właśnie o Caroline. Było tyle kobiet ładniejszych od niej. Jego małżeństwo też było w gruncie rzeczy szczęśliwe. Od czasu do czasu pragnąłby porozmawiać z Babs o swoich kłopotach, ale to niczego nie zmieniało w jego uczuciach do żony, nieroztropnej, kochanej Babs, która była taką kobietą, jaka mu odpowiadała.

Myśląc o Babs, Dean zrozumiał, że nie ma czego szukać na tej plaży. Już miał zawrócić, gdy nagle dostrzegł Caroline na skraju wydm. W jednej chwili zapomniał o wszystkim: obietnicach, wierności i konwenansach.

Skoncentrowana całkowicie na rozpiętym na sztalugach płótnie, Caroline w ogóle nie zauważyła jego przybycia. Powoli podchodząc, wykorzystał sposobność przyjrzenia się jej, nie będąc widzianym.

Włosy związała czerwoną wstążką w koński ogon, z którego sterczało kilka długich, ciemnych kosmyków. Przymrużone oczy wędrowały między płótnem a scenerią, którą chciała uchwycić. Usta miała mocno zaciśnięte. Policzek i broda były pobrudzone farbami, tak samo, jak męska koszula, której końce związała na brzuchu. Pod luźną koszulą oblepiającą ciało w podmuchach wiatru rysowały się kształtne piersi. Obcisłe spodnie do łydek podkreślały pełne pośladki i długie szczupłe nogi. Była boso i palce jej stóp tkwiły w piasku.

- Artystka przy pracy - powiedział zamiast powitania.

- Chwileczkę.. jeszcze... kilka... minut... i będę... gotowa. Każda przerwa między poszczególnymi słowami była wypełniona zdecydowanymi pociągnięciami pędzla.

Dean stanął za jej lewym ramieniem. Patrząc na płótno, miał wrażenie, że obraz stoi w płomieniach: czerwonomarańczo we jądro, rozszerzając się, przechodziło w kolor żółtopomarańczowy, a potem w złoty. Z obu stron

34

wciskały się jasnoniebieskie i ciemnozielone cienie. Płomienna burzliwość obrazu robiła tak silne wrażenie, że Dean początkowo w ogóle nie zorientował się, iż jest to przedwieczorny widok morza z odbijającym się w falach długim śladem zachodzącego słońca.

- Imponujący obraz - powiedział cicho.

- Słońce i morze - zdradziła mu tytuł, kiedy na chwilę przerwała i krytycznie przyglądała się swemu dziełu. - Chętnie maluję rzeczy często malowane przez innych, by stwierdzić, czy wciąż jeszcze potrafiasz poruszyć.

- Myślę, że udało się to pani osiągnąć. - Dean nie udawał eksperta. Żar i światło, którymi promieniował obraz, robiły niesłychane wrażenie.

- Możliwe. Niestety, zmienił się już kąt padania światła, nie mam oświetlenia, jakiego potrzebuję. - Spokojnie i sprawnie zabrała się do pakowania.

Pój dzie pan ze mną na drinka?

- Tak, chętnie.

W czasie krótkiej jazdy do domu Caroline wyjaśniła, że wakacje letnie zawsze w całości poświęca malowaniu. Na życie zarabia jako nauczycielka rysunku.

Wnętrze letniego domu było przekształcone w pracownię. Caroline poprosiła Deana, by przyniósł z kuchni napoje, a sama w tym czasie schowała farby i sprzęt malarski oraz umyła twarz i ręce.

Nie uczesała potarganych przez wiatr włosów ani nie zrobiła makijażu. Ten brak jakiegokolwiek próżności trochę zdziwił Deana, choć nie uważał, by potrzebowała tych poprawek. Kiedy Caroline usiadła obok niego na tapczanie i podciągnęła pod siebie jedną z długich nóg, podziwiał skrycie jej mocną wiarę we własne siły.

Rozmawiali z ożywieniem, poruszając wiele tematów. Po pierwszym drinku był drugi i trzeci. Mimo że byli tak różni pod wieloma względami - przede wszystkim pochodzenia i stylu życia - Dean musiał przyznać, że nie może sobie przypomnieć, by kiedykolwiek tak dobrze się czuł w obecności kobiety.

Caroline opróżniła swoją szklankę i postawiła na podłodze. Dean odwrócił się i obserwował ją, siedząc bokiem na tapczanie z łokciem na oparciu.

- Nie byłem pewna, czy chcę, by pan przyszedł - przyznała, błędząc wzrokiem po jego twarzy.
- Dlaczego? - Nagle poczuł się w jej obecności niepewnie.
- Ponieważ obawiałam się, że może pan być jednym z owych nieznośnych nudziarzy, którzy cały czas się przechwalają, ile są warcy i co posiadają. - W naturalny sposób przyglądała niesforny kosmyk włosów na skroni,

35

by następnie całkowicie zagłębić palce w splątanej fryzurze. - Cieszę się, że pan taki nie jest.

- Ja też. - Dean położył rękę na jej karku i przyciągnął do siebie. Wydarzyło się to, co było nieuniknione - nieuniknione od chwili, gdy

spotkał ją na plaży. Przyszedł, bo właśnie tego pragnął. A Caroline czuła to samo. Czytał to w aksamitnej głębi jej oczu.

Kiedy ją całował, otworzyła usta i Deanowi wymknęło się westchnienie. Jej usta przyjęły go, chciały od niego wszystkiego. Poczuł się tak, jakby nagle znalazł się w środku jednego z jej ognistych, gorących obrazów.

Jednym sprężystym ruchem zmieniła pozycję i położyła się bokiem na jego kolanach, nie przerywając pocałunku. Jej ciało czekało, aż zostanie przez niego odkryte, czekało na jego pieszczoty. Wilo się z rozkoszy, kiedy jego ręce obejmowały piersi, gładziły uda i krążyły po biodrach.

Pieściła jego ucho językiem, sprawiając mu tym nieoczekiwaną rozkosz.

- Chciałabym cię rozebrać, Dean - wyszeptwała. Przez moment był zbyt zaskoczony, by zareagować. O Wszechmogący, pomyślał tylko. Słyszał, że artyści byli wyuzdani, i usiłował sobie wyobrazić, czy coś podobnego zrobiłaby Babs, ale ona nawet w stanie podniecenia nie byłaby do tego zdolna. - Chciałabym zobaczyć twoje ciało.

Od tej chwili wszystko było jak sen: Dean stał nieruchomo, gdy ona go systematycznie rozbierała. Jej ręce na jego nagiej skórze wyzwoliły w nim nieznaną dotąd namiętność. Jej oczy zaślniły, kiedy zobaczyła jego erekcję. Potem powiedziała mu cicho, że nie ma nic piękniejszego od ciała mężczyzny. Błyskawicznie zrzuciła z siebie ubranie. W tym momencie Dean wiedział, że nie ma nic piękniejszego od ciała tej kobiety z jędrnymi piersiami, wąską talią i szerokimi biodrami, stworzonymi do tego, by kołysać mężczyznę.

Trzymał ją ramionach i wodził językiem wokół jej sterczących brodawek, gdy ona się wiała, oplatając nogami jego ciało, całą sobą zachęcając, żeby w nią wszedł. Rozum i rozsądek były wyłączone; przenikało go gorące uczucie, które wyzwoliło w nim głęboką namiętność i całkowite oddanie.

Potem Dean powoli przychodził do siebie ze świadomością, że nigdy przedtem nie był tak kochany i nigdy sam nie oddawał się tak całkowicie. Ta nieprawdopodobna kobieta leżąca w jego ramionach ogarnęła jego duszę i wyzwoliła uczucia, o jakich nie miał wcześniej pojęcia. Było już bardzo późno, kiedy pozbierał się w końcu i opuścił Caroline. Tej nocy kochał Babs bardzo czule i całym ciałem prosił ją o wybaczenie niewierności; dobrze jednak wiedział, że stale będzie pożądał Caroline.

36

Od tego wieczoru Dean spotykał się z Caroline, kiedy to tylko było możliwe: godzinę tu, dwie godziny tam, często przez całe wieczory. Musiał kłamać, szukać usprawiedliwień dla tych randek, uciekać się do wykrętów, gdy później niż zwykle wracał do domu. Nie odważył się jednak stosować wymówki, że musi pracować wieczorami, ponieważ obawiał się, iż ojciec szybko zacząłby coś podejrzewać.

Najczęściej posługiwał się Lane'em Canfieldem, twierdząc, że był z nim umówiony lub przypadkowo gdzieś go spotkał. Wieloletnia przyjaźń z La-ne'em chroniła go przed podejrzeniami. Innym razem był to koń, którego musiał u kogoś obejrzeć.

Dean starał się nie myśleć o swoim podwójnym życiu: z jednej strony był opiekuńczym, kochającym mężem, podtrzymującym zwykły, codzienny bieg małżeńskiego życia, tak jakby wszystko było w najlepszym porządku, z drugiej zaś namiętnym kochankiem, który cieszył się każdą minutą spędzoną ze swoją ukochaną. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak długo to wszystko może trwać. Istniał tylko dzień dzisiejszy. Nic innego się nie liczyło.

Po raz pierwszy w życiu Dean czuł się wolny - wolny seksualnie, przekonany, że Caroline nic nie zaszokuje ani nie zrani, wolny emocjonalnie i pewny, że może rozmawiać o swoich uczuciach i znajdzie u niej zrozumienie.

Kiedy opowiadał jej o swoim marzeniu, by pewnego dnia uczynić Ri-ver Bend czołową stadniną arabów na świecie, konkurencyjną wobec legendarnej stadniny Crabbet w Anglii lub polskiej w Janowie Podlaskim, przyznał się jednocześnie do swoich mieszanych uczuć, związanych z pracą w firmie ojca, do daremnych zabiegów, by go zadowolić, przy pełnej świadomości, że brak mu zdolności do prowadzenia obracającego milionami przedsiębiorstwa.

- Dean, błędem jest oczekiwanie od ciebie, że pójdziesz w jego ślady - stwierdziła Caroline w typowy dla niej sposób, widząc sprawy w kolorach czarnym i białym. - Tego nikt nie potrafi i nikt też nie powinien tego robić. Jesteś indywidualnością. Masz zupełnie inny styl niż on. Musisz mu to uświadomić. Powiedz mu też, do czego sam dążysz. Wprawdzie nie będzie mu się to podobało, ale nie pozostanie mu nic innego, jak się z tym pogodzić. Nie sprzeciwi ci się, jeżeli zdecydowanie przedstawiś mu swoje stanowisko.

Dean musiał przyznać, że miała rację, ale ociągał się przed zrobieniem tak ważkiego kroku. Caroline nie znała R.D. Nigdy nie doświadczyła jego umiejętności rozbijania czyichś argumentów, scalania ich z powrotem i wyciągania zupełnie innych wniosków. W końcu jednak usiadł z ojcem i wy-

znał mu swoje pragnienie, by odgrywać bardziej aktywną rolę w stadninie i zdjąć z niego część odpowiedzialności za nią. R.D. zgodził się na to i Dean odczuł, że ojciec mniej by się sprzeciwiał jego decyzji odejścia z firmy, gdyby sprawdził się w hodowli arabów.

Życie nagle stało się piękne - może trochę skomplikowane, ale mimo to piękne. Wszystko znalazło się w jego zasięgu: Caroline, konie-wszystko.

R.D., pogwizdując, przeszedł przez wyłożony parkietem z jasnego kasztanowego i ciemnego orzechowego drewna salon do holu i podszedł do schodów. Tu zatrzymał się i krzyknął do góry:

- Babs, dziewczyno! Jestem gotowy do tańców, jeżeli zdołasz dotrzymać mi kroku!

Znowu zaczął gwizdać. Czekał na nią.

Kiedy na górze nic się nie poruszyło, zamilkł i zaczął nasłuchiwać. Cisza.

- Babs? - zawołał znowu i wzdychając, udał się na górę. To nie było do niej podobne, by spóźnić się na przyjęcie, a zwłaszcza na zabawę ludową w dobrym, starym teksańskim stylu. Przed drzwiami prowadzącymi do sypialni zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał odgłosy przypominające łkanie. Zapukał i pociągnął za klamkę. Babs stała przy oknie odwrócona plecami do drzwi. Na ramionach miała koronkowy szal, przykrywający bluzkę w wiejskim stylu meksykańskim, którą włożyła do kolorowej, szerokiej spódnicy.

- Babs, jesteś gotowa?

R.D. zmarszczył czoło, kiedy zauważył, że na dźwięk jego głosu skuliła się i zmięta chusteczką pospiesznie wytarła nos.

- Przepraszam, R.D. Nie słyszałam cię. - Jej głos drżał.

- Co się stało? Przeziębłaś się?

- Tak, chyba trochę. - Unikała jego wzroku.

R.D. zauważył, że była nienaturalnie blada i miała zaczerwienione oczy.

- No, na przeziębioną nie wyglądasz. Wydaje mi się, że raczej płakałaś.

- Nonsens.

Próbowała zlekceważyć jego uwagę, ale R.D. nie dał się tak łatwo zbyć.

- Rozpoznaję cię, kiedy je widzę. Albo obierałaś cebulę, albo jest inny powód. Może mi powiesz, co cię gnębi?

Po żalostnej próbie zaprzeczenia, że ma kłopoty, znowu zaczęła płakać.

- Ja... ja nie wiem, co mam robić.

- No, no. - R.D. opiekuńczo otoczył ją ramieniem i poprowadził do sofy. Dał jej czystą chusteczkę. - Przecież nie może być aż tak źle.

- Też próbuję to sobie wmówić - powiedziała, łkając. - Ale jeżeli jest naprawdę źle?

- Może przestaniesz szlochać i powiesz mi, o co chodzi?

- Ja... chodzi o Deana. - Podniosła na niego zalane łzami oczy. - Sądzę, że on spotyka się z inną.

Pierwszą jego reakcją było niedowierzanie, kiedy jednak przypomniał sobie ostatnie dwa miesiące, w częstych nieobecnościach Deana zaczął dopatrywać się pewnego schematu i był wstrząśnięty. Próbował jednak uspokoić Babs.

- Kto ci wmówił ten nonsens?

- On często wraca bardzo późno i... Tomi Fredericks powiedziała mi dziś, że Dean spotyka się w Galveston z jakąś kobietą. - Słowa te wymknęły się jej z ust. - Jakaś... artystką.
- A skąd Tomi o tym wie? - zdziwił się głośno R.D.
- Powiedziała mi, że Billie Joe Townsend widziała ich w zeszły piątek wieczorem, ale Dean wtedy twierdził, iż musiał obejrzeć konia. Billie Joe powiedziała, że Dean publicznie pocałował tę osobę, a potem... Spacerowali po plaży tak mocno przytuleni, że nie dałoby się wsunąć między nich nawet kartki papieru. Tomi twierdziła, że widzieli ich również inni.
- I to nazywasz dowodem? - krzyknął R.D. - Ktoś widział kogoś wyglądającego jak Dean... Czy ktoś z nim rozmawiał?
- Myślę, że nie.
- No, wydaj mi się, że twój a tak zwana przyjaciółka Tomi próbuj mi po prostu namieszać.
- A jeżeli nie? Jeżeli to prawda? Dean ostatnio tak się zmienił... Dzisiaj powiedział, że chce się spotkać najpierw z Lane'em na drinka, a dopiero później przyjdzie na zabawę. A może to nieprawda? Może jest z tą kobietą?
- A może krowa umie fruwać? To tak samo możliwe, jak to, że Dean opuści cię z powodu innej kobiety. - To była prawda. Już on się o to postara. -No, a jeżeli wychodzę z dziewczyną, oczekuję od niej, że będzie uśmiechnięta i szczęśliwa. Umyj twarz i zejdź - R.D. spojrział na zegarek -za pięć minut na dole.
- Pięć minut. - Babs spojrziała na niego ze słabym, wdzięcznym uśmiechem i pocałowała go w policzek.

Mrugnął do niej, uśmiechając się. Ale uśmiech znikł mu z twarzy, kiedy szedł do biblioteki, żeby zatelefonować.

39

Tłumiąc ziewanie, Dean wszedł do pokoju swojej sekretarki Mary Jo Anderson.

- Znowu zrobiło się późno? - Spojrzała na niego znad okularów z uśmiechem sugerującym, że wie, o co chodzi. Zaczęła pracować u Deana jako wykwalifikowana sekretarka adwokacka sześć lat temu i znała się już na tym lepiej od niego. Rozsądna i porządna, stale naprawiała jego błędy. -Późno to przesada. Gdyby to zależało od mojej żony, to w tej chwili jeszcze byśmy tańczyli. Na szczęście zespół o drugiej nad ranem spakował instrumenty i zabawa się skończyła.
- Lane Cansfield zostawił wiadomość. Ma pan do niego natychmiast zadzwonić. To ważne.
- W porządku. - Podeszedł do drzwi swego gabinetu i znowu stłumił ziewanie. - Mary Jo, proszę przynieść mi na wszelki wypadek filiżankę kawy-poprosił ją, odwracając się.
- Czarną z dużą ilością cukru?
- Właśnie.

Nie zamykając za sobą drzwi podeszedł, od razu do biurka i podniósł słuchawkę. Po wybraniu numeru Lane'a usiadł na fotelu. Tuż przed nim na przeciwległej ścianie wisiał obraz, który Caroline nazwała Słońce i morze. Zawsze, kiedy na niego patrzył, czuł się tak, jakby był u niej.

- Lane, jak się masz? - zapytał mimochodem, kiedy przyjaciół się zgłosił.
- Jak zawsze jestem bardzo zajęty. A ty?
- Tak samo. Mary Jo powiedziała mi, że chciałaś ze mną natychmiast rozmawiać. Co jest?

W tym momencie weszła Mary Jo z kawą.

- Wczoraj wieczorem miałem osobliwy telefon od twego ojca - zaczął Lane, a Dean zdrętwiał. Jego umysł nagle przestał pracować, nie mógł złapać oddechu. - Dean, jesteś jeszcze przy telefonie?

- Tak, chwileczkę. - Zakrywszy dłonią mikrofon słuchawki, powiedział, próbując zachować normalny głos: - Mary Jo, niech pani będzie tak dobra i zamknie drzwi.

- Oczywiście.

Dean odczekał, aż drzwi się zatrzasną, po czym wrócił do rozmowy. -Przepraszam, już jestem. R.D. zadzwonił do ciebie? Czego chciał?

- Szukał cię. Myślał, że jesteś u mnie.

- I co mu powiedziałeś? - Dean poczuł, że się poci. Należało się spodziewać, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Dobrze by zrobił, gdyby się do tego przygotował.

- Wymyśliłem mu naprędce historyjkę... W ostatnim momencie zatrzymała mnie pilna praca i mieliśmy się spotkać później.

40

- Dziękuję. - Dean odetchnął z ulgą. - Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego R.D. nic mi nie powiedział o tym telefonie, kiedy wczoraj rozmawiałem z nim na zabawie.

- Nie mam pojęcia. W każdym razie nie zostawił żadnej wiadomości, powiedział tylko, że później z tobaporozmawia. - Lane przerwał, oczekując reakcji Deana, ale on się nie odezwał. - Mógłbyś mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

Dean walczył ze sobą tylko przez krótką chwilę. Stało się dla niego jasne, że musi się komuś zwierzyć, że nie może już dłużej żyć sam ze swoją tajemnicą. Wiedział też, że Lane jest człowiekiem godnym zaufania. Dean zaczął mówić i nie przerwał, dopóki nie opowiedział przyjacielowi wszystkiego o Caroline i swoim związku z nią.

-Wiem, brzmi to banalnie, ale Caroline jest najbardziej zadziwiającą kobietą, jaką spotkałem.

Kocham w niej wszystko. - Dean przerwał na chwilę z uśmiechem zażenowania. - Teraz chyba mnie poniosło.

- Tak, trochę.

- Lane, musisz ją poznać. -Nagle stało się dla niego niesłychanie ważne, by najlepszy przyjaciel poznał kobietę, którą kochał. - Koło południa jestem umówiony w Texas City. Caroline też tam jędzie, by spotkać się ze mną. Masz czas? Mógłbyś zjeść z nami?

- Zamierzałem właśnie załatwić coś w biurze. Może uda mi się to zrobić wcześniej.

- Musisz spróbować.

Lane był właściwie przygotowany na to, że nieustające, entuzjastyczne hymny pochwalne Deana okażą się przesadą, jak pochwały męża, który po raz pierwszy kosztuje zakazanego owocu. Kiedy jednak spotkał się z Caroline i Deanem i zobaczył, jak oboje porozumiewali sięjednym spojrzeniem lub gestem, jak jedno potrafiło mówić językiem drugiego, wówczas zrozumiał, że się pomylił. Nie była to żadna drobna miłośćka, która tak zwyczajnie, po prostu mogłaby się zakończyć. Było to coś o wiele bardziej poważnego.

Lane potrafił też zrozumieć, co przede wszystkim ciągnęło Deana do Caroline. Była kobietą inteligentną i elokwentną, poważną i pełną oddania. Niczego nie traktowała połowicznie - także miłości.

Dean i Caroline bardzo sięjednak różnili, niezależnie od swej wielkiej miłości. Ich postawy i wygląd były tak odmiennej ak to tylko możliwe. I co tragiczne - oboje ani nie mogli, ani nie

chcieli się zmienić. Dla Lane'a było jasne, że ich miłość urodziła się pod nieszczęśliwą gwiazdą.

W ciągu następnych trzech dni Dean przezornie kursował tylko między biurem i domem, ale w końcu pragnienie ujrzenia Caroline zwyciężyło; mu-

41

siał ją zobaczyć, choćby na krótko. Strach przed tym, że ojciec mógłby powziąć podejrzenia, zmuszał go jednak do przeanalizowania sytuacji. Próbował zrozumieć, czego właściwie pragnie. Kochał Caroline i chciał spędzać z nią każdą wolną minutę, ale Babs też nie była mu obojętna, nawet jeżeli nie czuł do niej tak głębokiego uczucia jak do Caroline. W żadnym wypadku nie chciał sprawić przykrości swojej żonie. Była dobrą, kochającą kobietą i nie była niczemu winna. To on nie postępował wobec niej fair. Wiedział zarazem, że nigdy nie zdołałby zrezygnować z Caroline. W swoim egoizmie chciał, by wszystko toczyło się tak jak dotychczas.

Dean miał współczucie dla źrebiąt, które obserwował z kłaczami na łące. W tej chwili ich świat był uporządkowany; matki u boku zapewniały im bezpieczeństwo, ochronę i pokarm -jednak wkrótce trzeba je będzie od tego odzwyczajając. Jeżeli nie zrobi tego człowiek, zatroszczy się o to matka natura. Było to nieuniknione. Dean wiedział, że sam był w podobnej sytuacji. Nie mógł liczyć, że nic się nie zmieni. Zmora rozstania była nieodwracalna, lecz rozstania z kim? Pytanie to zadawał sobie nieprzerwanie od chwili, gdy tego popołudnia po pracy znowu spotkał się z Caroline.

Wzdychając zeskoczył z płotu i udał się w kierunku domu. Nawet naj-lżejszy powiew wiatru nie poruszał liśćmi prastarych dębów i orzeszników, rzucających cień na trawę. River Bend prażyło się w upale gorącego, sierpniowego dnia. Kiedy Dean wszedł na werandę, koszula i spodnie kleiły mu się do ciała, a materiał dżinsów przy każdym kroku ocierał skórę nóg. Ledwie wszedł do domu, poczuł przyjemny chłód. Nie mógł się doczekać, kiedy weźmie prysznic i się przebierze. Jego długie buty kowbojskie głośno stuknęły na parkiecie przedsiönka, a w wysokim pomieszczeniu rozlegało się echo. Zanim jednak doszedł do masywnych schodów, w polu jego widzenia pojawił się R.D. i zatrzymał się w łukowym przejściu do biblioteki.

- Dean, wejdiesz na chwilę? Muszę z tobaporozmawiać.

R.D. odwrócił się i znowu zniknął w bibliotece. Dean po krótkim wahaniu wszedł za nim do pomieszczenia, którego dwie ściany zastawione były przeszklonymi szafami bibliotecznymi z orzechowego drewna.

- Zamknij drzwi - poprosił R.D., przechodząc przed okrągłym stołem obok kominka.

Ogarnięty nagle niemiłym przecuciem Dean zawrócił i zamknął drzwi, po czym z wahaniem podszedł bliżej.

- Czy coś jest nie tak?

- Chciałbym to właśnie usłyszeć od ciebie. - R.D. usiadł w niebieskim obitym skórą fotelu obrotowym i opadł na oparcie.

42

- Nie rozumiem cię. - Dean potrząsnął głową, a niemiłe uczucie stopniowo w nim narastało.

- Myślę, że rozumiesz bardzo dobrze - stwierdził R.D. - Dokąd pojechałeś dziś po pracy?

- Dlaczego pytasz? - Dean starał się wyglądać na niewinnego, wiedział jednak, że zaszła w nim widoczna zmiana, tak jak kiedyś, w chłopięcych latach, kiedy przyłapano go na czymś zakazanym. - Czy coś się stało?

- Odpowiedz na moje pytanie!

-Babs ma wkrótce urodziny. Chciałem poszukać prezentu dla niej. -Kłamanie stało się teraz jego drugą naturą.

- Tak jak niedawno spotkałeś się z Lane' em? Dean zmusił się do uśmiechu.

-Nie wiem, o czym mówisz.

- Do licha, synu, nie okłamuj mnie! - R.D. grzotnął pięścią w biurko. Potem wstał i głęboko zaczerpnął tchu, wyraźnie starając się opanować. - Wiesz bardzo dobrze, o czym mowa.

Odwiedzasz mieszkanie pewnej kobiety w Galveston, a więc oszczędź sobie tych kłamstw! Malarka, z pewnością ta, która namalowała ten żółty obraz w twoim biurze!

- Nazywa się Caroline Farr i kocham ją. - Poczłł niemal ulgę, kiedy wreszcie wyrzucił to z siebie.

Na kilka sekund zapadła cisza. R.D. z twarzą bez wyrazu odwrócił wzrok do ściany, jak gdyby nie słyszał słów Deana.

- Jeżeli mężczyzna od czasu do czasu robi skok w bok, to wiesz... To jednak zupełnie inna sprawa, kiedy zbyt głęboko wikła się w aferę. -Skierował wzrok na Deana. - Zapomniałeś, że jesteś żonaty?

- Nie zapomniałem. - Dean nie mógł wytrzymać oskarżycielskiego spojrzenia niebieskich oczu ojca.

- Babs wie o tym. Czy to dla ciebie jasne?

- Skąd?

- Widziano cię, a plotka się szerzy.

- Nie wiedziałem o tym. - Opuścił głowę. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak wszystko się skomplikowało.

- Dean, powiedz mi, co zamierzasz?

- Nie wiem. Ja...

- Jednego musisz być pewien: w historii Lawsonów nigdy nie było rozwodu. Teraz też nie będzie. Ta mała na górze jest twoją żoną, której ślubowałeś wierność. Na dobre i złe.

- Wiem o tym.

- To dobrze, że wiesz, a teraz połóż kres tej swojej aferze, i to szybko.

43

- Nie rozumiesz, ojczu. - Dean podniósł ręce w bezradnym i wściekłym geście frustracji. - Ja kocham Caroline.

- Jest mi naprawdę bardzo przykro - stwierdził R.D. - ale nie rozumiem, co to może zmienić w tej sprawie.

W kącie nadmorskiego domku szumiał wentylator, obracający się powoli na wszystkie strony. Dean prawie nie odczuwał orzeźwiającego powiewu. Zatopiony w myślach siedział na tapczanie z głową na oparciu i wyciągniętymi nogami. Caroline leżała z głową na jego kolanach. Był wdzięczny, że milczała. Przez ostatnią godzinę wielokrotnie próbował znaleźć słowa, które wyjśniłyby jej, że nie mogą się więcej spotykać, ale za każdym razem więzły mu w gardle. Nie mógł sobie wyobrazić życia bez niej.

- Twój nos mi się podoba. Ma szlachetny kształt - stwierdziła rzeczowo Caroline. Dean spojrział na nią z góry i dopiero teraz zauważył, że Caroline przyglądała mu się krytycznym wzrokiem artystki. Lekko zmieniła pozycję, by móc go lepiej widzieć. - Czy kiedykolwiek zadawałeś sobie pytanie, jak mogłoby wyglądać nasze wspólne dziecko?

- Nie. - Ten temat sprawiał mu ból, ponieważ dotyczył przyszłości, która wywoływała w nim rozterkę. - Napiłbym się jeszcze piwa. - Wsunął rękę pod jej plecy i łagodnie podniósł z kolan. Caroline posłusznie usiadła. - Też masz na coś ochotę? - zapytał.

- Nie.

Przyniósł z lodówki butelkę i otworzył ją. Kiedy wypił łyk, ujrzał Caroline stojącą z rękami w kieszeniach przy kuchennej ladzie.

- Dean, będę miała dziecko.

- Ty... Co? - Po pierwszym szoku Dean zaczął się śmiać, radośnie i głośno. To zmieniało wszystko. Nawet R.D. będzie musiał to przyznać. Teraz nie pozostawało mu nic innego jak tylko rozwód. Nie mógł dopuścić do tego, by jego dziecko urodziło się jako nieślubne. Butelka z piwem stała zapomniana na ladzie, kiedy podniósł Caroline do góry i zaczął krążyć z nią po pokoju.

- Dean, przestań, j esteś szalony - protestowała ze śmiechem. Całował jej plecy, ramiona i usta, zanim znowu postawił ją na podłodze. - Cieszę się, że jesteś szczęśliwy.

- Szczęśliwy? Nie posiadam się z radości. Od kiedy to wiesz?

- Ach, od dwóch tygodni.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

- Chciałam się upewnić, czy tego pragnę. Lubię dzieci, ale nigdy się poważnie nad tym nie zastanawiałam, jak by to było, gdyby mieć własne.

44

Moimi dziećmi były moje obrazy. Teraz jednak muszę uwzględnić fakt, że mam dwadzieścia dziewięć lat i wkrótce będę za stara. Dlatego postanowiłam: teraz albo nigdy. A poza tym ponad wszystko kocham ojca dziecka.

- Ajakocham ciebie, Caroline. - Przyciągnął ją do siebie. - Pobierzemy się, jak tylko uzyskam rozwód. Obiecuję ci, że wszystko będzie załatwione, zanim dziecko przyjdzie na świat.

Leżała bez ruchu w jego ramionach.

-A co potem? Jak to sobie wyobrażasz? Gdzie mamy mieszkać?

- W River Bend, gdzieżby indziej? Ja będę hodował moje konie arabskie, a ty będziesz wychowywała nasze dziecko - może jeszcze jedno lub dwoje, a oprócz tego będziesz malowała. Może uda nam się nakłonić R.D., by oddał ci swój pokój bilardowy na poddaszu na pracownię.

- Nie wierzę w to. - Uwolniła się i odeszła od niego kilka kroków.

- Spróbować warto. Jeżeli podarujesz mu wnuka, to R.D. przypuszczalnie ściągnie ci gwiazdkę z nieba - powiedział Dean ze śmiechem.

- Miałam na myśli to, że nam się nie uda.

Caroline skrzyżowała długie palce i ujawniła wewnętrzne napięcie, zwykle obce jej naturze.

- Dean, zawsze będę cię kochała, ale nie zniósłabym życia tam.

- Tego jeszcze nie wiesz - zaprotestował Dean. - Poczekaj, aż zobaczysz dom, piękny, stary dom z wieżyczkami i wykuszami... Wzorem parkietu będziesz zachwycona. Artystyczna praca parkieciarza...

- ... szlachetne meble, kryształ, porcelana, eleganckie suknie i zaproszenia, które są z tym związane... Dean, to życie by mi się nie podobało. Musisz to zrozumieć.

- Dajesz się ponosić emocjom. To z powodu dziecka. - Dean szukał usprawiedliwienia. Jej westchnienie wyrażało desperację połączoną z rozdrażnieniem. - Czy mógłbyś wyobrazić sobie życie gdzie indziej niż w River Bend? Czy byłbyś szczęśliwy w takim domu jak ten, bez tych wszystkich artystycznych i pięknych rzeczy, do których jesteś przyzwyczajony?

- Ja... mógłbym spróbować. - Ale wyobrazić sobie tego nie potrafił.

- Dean, nigdy nie będę tego od ciebie żądała. Nie oczekuj, że z mojego powodu zrezygnujesz ze swojego życia, ale ja nie mogę zrezygnować z mojego. Mimo to cieszę się, że byłbyś gotowy ożenić się ze mną.

- Co ty wygaduj esz? - Strach chwycił go za gardło.

- Kocham cię, ale nie wyjdę za ciebie. - Odwróciła się do niego plecami i patrzyła na stół, na którym leżały w nieładzie pędzle, farby, rozpuszczalniki i ścierki.

45

- Zaproponowano mi pracę w prywatnej szkole w Kalifornii. Postanowiłam przyjąć tę ofertę. - Wzruszyła lekko ramionami. - W końcu nie znam jeszcze wybrzeża Pacyfiku. Za dziesięć dni tam jadę.

- Nie możesz tego zrobić. Urodzisz moje dziecko!

- W Kalifornii mogę je urodzić równie dobrze jak i tu.

- Jak możesz mnie opuścić, jeżeli mnie kochasz?

Kiedy ujął ją za ramię, a ona odwróciła się do niego, w jej oczach ujrzął

- Caroline, nie mogę bez ciebie żyć.

- Nie... - Głos odmówił jej posłuszeństwa. - Nie obciążaj mnie jeszcze bardziej.

- To zostań tu.

- Nie mogę.

Żadne prośby, żądania, namowy lub argumenty ze strony Deana nie zdołały nakłonić jej do zmiany decyzji.

- Jeżeli zechcesz mnie widzieć, możesz mnie przecież odwiedzić - powiedziała i podała mu adres i numer telefonu szkoły w Los Angeles. Nie chciała od niego żadnych pieniędzy. Jeżeli pokryje część kosztów lekarza, to dobrze, ale przecież sama doskonale poradzi sobie z wychowaniem dziecka bez finansowego wsparcia.

Dean na początku przeżył piekło i musiało upłynąć trochę czasu, zanim znowu stwierdził, że warto żyć i zaczął planować wizyty w Kalifornii.

Chciał odwiedzić Caroline, jak tylko Babs poczuje się lepiej. Niedawno zasłabła na przyjęciu dobroczynnym. Lekarz stwierdził, że było to spowodowane upałem i jej niedokrwistością. Kilka tygodni spokoju i wyważona dieta znowu postawiają ją na nogi.

Kiedy tego wieczoru Dean wszedł do domu, natychmiast pobiegł na górę, żeby sprawdzić, co z Babs. Zobaczył ją wypoczywającą na sofie, okręconą w jedwabny szlafrok koloru mięty. Na tacy, którą trzymała na kolanach, leżało nie tknięte jedzenie.

- Powinnaś jeść - napomniawszy ją pocałował w czoło. - Polecenie lekarza.

- Nie chcejeść.
 - Mam powiedzieć Justine, żeby przyniosła ci coś innego?
- Babs odwróciła się i wyjrzała przez okno. Jej dolna warga drżała. -To i tak wszystko jedno.
- Babs, co się dzieje? To wcale do ciebie niepodobne. Dean usiadł obok i wziął ją czule za rękę.
 - To cię przecież i tak wcale nie obchodzi - odpowiedziała płacz- liwie.
 - A jednak obchodzi. - Dean ściągnął brwi.

46

- Wiem, że już mnie nie kochasz.
 - Babs...
 - To prawda. Myślisz, że nie zauważyłam, jak zachowywałeś się przez ostatni tydzień? Byłeś całkowicie nieobecny duchem.
- Ani razu Babs nie zarzuciła mu niewierności. Dean był jej wdzięczny za to i chciał jąteraz trochę uspokoić.
- Babs, ona wyjechała. - Usłyszał, jak odetchnęła. - Od ubiegłego tygodnia nie ma j ej. Nigdy nie miałem zamiaru sprawiać ci przykrości, bardzo mi przykro.
 - A więc... - Spojrzała na niego z nadzieją. -.. .a więc zostaniesz? Była tak wrażliwa, dziecinna i stale szukająca akceptacji. Jak mógł o tym zapomnieć?
 - Tak.

- Właśnie teraz potrzebuję cię tak bardzo. - Objęła jego dłoń i przez łzy wybuchnęła nerwowym śmiechem. -Kochanie... będziemy mieli dziecko.

Ciąża Babs nie przebiegała bez komplikacji. Ostatnie miesiące musiała spędzić w łóżku. Deanowi udało się właśnie przesunąć na następne miesiące dwie krótkie wizyty w Los Angeles. Chciał się upewnić, że u Caroline wszystko przebiegało normalnie. Zbliżał się termin rozwiązania u Babs, a Dean zbyt martwił się o swoją żonę, by ją opuścić. Liczył na to, że zdrowa i samodzielna Caroline da sobie radę, jak zawsze twierdziła.

Dwa tygodnie przed wyliczonym terminem lekarz zdecydował się na cesarskie cięcie. Dean był na miej scu, kiedy Babs odzyskała świadomość. Operację przeszła dobrze i Dean z ulgą przyłączył się do swego ojca, który stał przed dużą szybą oddziału noworodków.

- Oto ona. - R.D. wskazał na wrzeszczące, czerwone zawiniątko, dziko poruszające małymi piąstkami. - Dziarska dziewczyna, nie uważasz? Lawsonówna w każdym calu. A te oczy... prawdziwy błękit Lawsonów.

- Wszystkie noworodki mają niebieskie oczy. - Dean żartował z dumy swego ojca. Sam jednak też był dumny.

- Ale to nie ten błękit. Nadal chcesz dać jej imię swojej babki?

Babs zaproponowała, by dziecku nadać imię kobiety, która wychowała jego, R.D., oczywiście jeżeli to będzie dziewczynka. Dean zgodził się, ponieważ wiedział, że sprawi to radość ojcu.

- Stoisz oko w oko z Abigail Louise Lawson.

- Podoba mi się. - R.D. skinął głową zadowolony, a jego twarz złagodniała, by po chwili znowu przybrać zadumany wyraz. - A kiedy ma przyjść na świat to drugie?

47

Aluzj a do Caroline wprawiła Deana w osłupienie. R.D. nie wspominał o niej od tego dnia w sierpniu, kiedy dowiedział się, że Caroline spodziewa się dziecka. Nie powiedział wówczas wiele na ten temat. Jego wywody ograniczyły się do przypomnienia Deanowi, że ojciec tak samo jak matka jest odpowiedzialny za porządne wychowanie i utrzymanie dziecka. Ta lek-cja była zbędna. Dean wiedział, że nigdy nie mógłby opuścić Caroline i dziecka, które zrodziło się z ich miłości.

- Wkrótce. - To było wszystko, co potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Z okazji przyj ścia na świat córki Dean musiał znieść w firmie liczne gratu-lacj e i życzliwe poklepywania po plecach, aż w końcu znalazł schronienie w pokoju Mary Jo Anderson.

Zachwyt Mary Jo był jakby mniejszy niż pozostałych. Może dlatego, że wiedziała o Caroline.

Dean musiał podzielić się z nią swoją tajemnicą. Jako osobista sekretarka załatwiała jego pocztę, telefony i dużą część jego prywatnych rachunków. W razie potrzeby Caroline mogła zwrócić się do niej. Poza tym ktoś musiał wiedzieć, gdzie można go zastać, kiedy przebywał w Kalifornii.

- Jest śliczna, Mary Jo. Chcemy nadać jej imię Abigail Louise, ale będziemy wołali na nią Abbie.

Zażenowany swoją gadatliwością podszedł do biurka, by sprawdzić, czy były do niego j akieś telefony.

- Niech pani poleci wysłać do szpitala dwanaście żółtych róż dla Babs.

- Tak, oczywiście. - Przez moment wahała się i w końcu powiedziała: - Wczoraj był telefon, którego nie ma w tym spisie.

Tknięty przecuciem Dean podniósł wzrok:

- Caroline?

- Tak. Wczoraj urodziła dziewczynkę. Rachel Ann.

Wczoraj. W tym samym dniu, w którym przysłała na świat Abbie. Przypadek i gorzka ironia, która się w tym kryła, wstrząsnęły Deanem.

6

B

'razowy ogier parsknął nerwowo, usiłując odsunąć łeb od jej ręki, ale Abbie nie puszczała go i nadal głaaskała po głowie. Robiła to celowo, by nie patrzeć na Lane'a i ukryć łzy.

- Pamiętam j eszcze, j ak kiedyś wszedłem do j ego biura - kontynuowa ł Lane opowieść. - Było tam wówczas kilka osób, cztery albo pięć. Na

48

biurku Deana stała kolorowa fotografia małej dziewczynki z dużymi, niebieskimi oczami i długimi, ciemnymi włosami spiętymi w koński ogon. Miała na sobie kostium kąpielowy, za nią widać było piasek. Dziewczynka z zażenowaniem śmiała się do kamery. Myślałem, że to była pani, i zapytałem o to Deana, który wyprowadził mnie z błędu.

Abbie poczuła nagle ucisk w gardle, który prawie uniemożliwił j ej mówienie.

- A kiedy matka to odkryła?

- Przypuszczalnie kilka lat po jej urodzeniu, Abbie. Ponieważ Dean ciągle jeździł do Los Angeles, musiała zapewne powziąć jakieś podejrzenia. Kiedy zażądała od niego wyjaśnień, opowiedział jej o Rachel. Ile jej powiedział, tego nie wiem. Wiem jednak, że obiecał Babs, iż nigdy jej nie opuści, chociaż kochał Caroline ponad wszystko i zamierzał odwiedzać ją i

Rachel tak często, jak to tylko możliwe. Jestem pewien, że pani matce wcale się to nie podobało, pogodziła się jednak z tą sytuacją. W końcu także bardzo go kochała. - Lane zmarszczył czoło. - Nie chciałem w żadnym wypadku dać przez to do zrozumienia, że Dean niczego nie czuł do Babs. Przeciwnie, bardzo ją lubił.

- Jeżeli to prawda, to z pewnością nie chciałby, aby zadawano jej jeszcze dodatkowy ból. Przyzna mi pan zapewne rację, że nie ma żadnego powodu, by zapewniać matce wgląd do całego testamentu, jeżeli da się tego uniknąć. Jako jego wykonawca potrafi pan to z pewnością zorganizować.

- Do pewnego stopnia. Testament musi być jednak przedłożony sądowi spadkowemu i wtedy jest publicznie dostępny.

- Rozumiem - powiedziała krótko. Łzy przesłaniały jej wzrok, kiedy głaskała miękkie nozdrza ogiera. - Lane, cenię pańską otwartość. Teraz jednak będzie lepiej, jeżeli pójdzie pan do domu. W przeciwnym wypadku matka może zacząć się zastanawiać, gdzie pan się podział.

- Nie pójdzie pani ze mną?

- Przyjdę za chwilę.

Ogier znowu próbował się uwolnić, ale Abbie trzymała go mocno, aż Lane odszedł. Dopiero wtedy go puściła i długo mu się przyglądała. Był to ulubiony koń ojca.

Odwróciła się i poszła do biura ojca, wspominając po drodze chwile, które z nim tam spędziła. Te wspomnienia teraz wydawały jej się złudą. Zamknęła drzwi i oparła się o nie; drżały jej kolana. Z przygnębieniem rozejrzała się po pomieszczeniu.

Przefiltrowane przez korony drzew promienie słońca padały na wyłożone boazerią ściany, na puchary, zdjęcia w ramach i zdobyte w konkur-

4 - Przyrodnie siostry

49

sach szarfy. Pod oknem stało ciężkie biurko, na którym leżały dokumenty, notatki i materiały o hodowli koni.

Na prawo od niego stara szafa na dokumenty, mieściła drzewa genealogiczne i akta każdego konia z River Bend. Za szklanymi drzwiami szafy bibliotecznej ustawiono książki o chorobach i hodowli koni oraz o teorii dziedziczności.

Abbie podeszła do wielkiego skórzanego fotela za biurkiem i zaczęła wodzić ręką po zagłębieniu oparcia na wysokości głowy. Przypominała sobie, jak bardzo starała się zdobyć uznanie ojca i doprowadzić do tego, by był z niej dumny. Nagle odwróciła się, walcząc z bólem i wściekłością.

Zacząła prawie żałować, że tak wypytywała Lane'a o Carolinei swojego ojca. Przedtem miała przynajmniej złudzenia. Chciała jednak znać prawdę. To nie była wina Lane'a, że prawda nie odpowiadała jej oczekiwaniom. Miała nadzieję, że była to tania afera bez znaczenia i że ojciec musiał przez całe życie pokutować za swój błąd, bo jakaś flądra szantażowała go swoją ciążą. A tymczasem wysłuchiwała historii tragicznej miłości, miłości dwojga ludzi z odmiennych światów, miłości, która nie zapewniła obojgu wspólnego szczęścia. A także historii dziecka, które było owocem tej miłości.

Nic dziwnego, że nigdy nie była córką, której pragnął. Zawsze była tą niewłaściwą, kopia, która urodziła się w tym samym dniu.

Próbowała sobie wmówić, że było jej wszystko jedno, czy ją kochał. Była jednym dzieckiem więcej. Czuła jednak, że nigdy nie zapomni i nie wybaczy tych lat złudzeń. Kiedy po policzku

splywała jej gorąca łza, gwałtownie zamrugwała. Jak przez ten cały czas mogłam być aż tak naiwna, myślała.

Na ścianie przed nią wisiało zdjęcie dziadka. Zrobiono je w roku jego śmierci na pokazie koni arabskich. Stał obok siwej, dwuletniej River Wind, matki River Breeze, należącej do Abbie.

Ogarnęły ją wspomnienia. W końcu musiała przyznać, że jednak dostrzegwała to, co działo się przez te wszystkie lata, ale po prostu starała się nie dopuszczać tego do świadomości.

Usiłowała nie myśleć o niezliczonych incydentach, które potwierdzały prawdę.

Przypomniała sobie ten ostatni raz, kiedy widziała dziadka. Odwoził ją wtedy z rodzicami na lotnisko. Udawali się do Europy na urlop. W rzeczywistości była to jednak podróż w interesach. Ojciec chciał odwiedzić zamorskie biura firmy i obejrzeć klacze arabskie w innych krajach. Miała wówczas dopiero osiem lat i powody podróży nie miały dla niej żadnego znaczenia. Na urlop udali się we czwórkę: Abbie, rodzice i Justine, czarnoskóra dziewczyna, która miała się opiekować Abbie.

50

7

1 ierwszym etapem zamorskiej podróży był Londyn. Stąd, jak sobie przypominała, razem z ojcem - matka nigdy im nie towarzyszyła -jeździli po naj słynniej szych stadninach koni arabskich w Anglii. Już wtedy miała bzika na punkcie koni i nie potrafiła zrozumieć, że nie znalazło się żadne zwierzę, które wzbudziłoby u Deana coś więcej poza pobieżnym zainteresowaniem. Dopiero w Egipcie, kraju, który niesłychanie rozczarował Abbie, ojciec znalazł to, czego szukał.

Już z daleka konie w zagrodzie stadniny El Zahraa wydawały j ej się chude ikościste.

Zbliskajak stwierdziła, że nie wyglądały lepiej. Miały, oczywiście, typowe dla arabów piękne głowy, łukowate szyje i dumne ogony, ale gdzie jedwabista sierść? I dlaczego były takie chude i wysokie?

Naj ej pytanie odpowiedział ojciec:

-Egipcjanie lubią delikatne konie. Uważają, że nasze mają zbyt dużo mięśni na żebrach. Ich ulubione powiedzenie brzmi: „My jeździmy na koniach, nie jemy ich”.

Abbie była pewna, że nie było tu konia, który wzbudziłby zainteresowanie ojca i pojechał z nimi do River Bend. Myliła sięjednak.

Po trzech godzinach krążenia i oglądania Dean zobaczył wreszcie konia, o jakiego mu chodziło. Kiedy zbliżali się do grupy jednolatków, które pożywiały się sianem, jeden z nich podniósł brązowy łeb i badawczo patrzył na nich. Żreback miał najpiękniejszą, klasycznągłowę, jaką kiedykolwiek widział, niewiarygodny profil przypominający szczupaka, a do tego wielkie, ciemne oczy: koń jego marzeń.

- Babs, mówię ci, ten koń ma najwspanialszą głowę, j aką kiedykolwiek widziałem u araba. - Dean stał przed lustrem komody i wiązał krawat, gdy Babs przed lustrem w łazience robiła sobie makijaż.

- Ach, aż tak wspaniały to on nie był - odezwała się Abbie. Była już ubrana przez Justine do obiadu i kręciła się po sypialni rodziców.

- Nie mam poj ęcia, ile zażądaj ą za tego konia, ale przy takim okazie j ak ten cena nie gra roli. Tak często mówi się o charyzmie. Ten jednolatek ma jej więcej niż potrzeba. Nazywa się El Kedar Ibn Sudan. - Dean zaciągnął węzeł i przesunął go dokładnie na środek kołnierzyka.

- Dziś nie było szefa stadniny, muszę zadzwonić do niego jutro. Zapisałem sobie jego nazwisko. Gdzieś tu musi być kartka. - Przejrzał rzeczy leżące na komodzie. - Ach, chyba jest jeszcze w kieszeni marynarki. Abbie, marynarka wisi na krześle obok ciebie. Przyniesiesz mi ją? - Abbie wzięła niedbale marynarkę i znowu wykonała obrót.

51

- Ostrożnie - upomniął ją Dean. - Wszystko wypadnie z kieszeni. Abbie zatrzymała się, kiedy na podłogę wysliznęła się widokówka.

- Wysyłasz kartkę do dziadka? - Pochyliła się i zaczęła czytać: „Kochana Rachel!”.

- Abbie, nie wypada czytać korespondencji innych ludzi. - Dean zabrał jej kartkę zanim zdążyła przeczytać coś więcej i schował ją do kieszeni wyjściowej marynarki.

Abbie jednak nie ustępowała.

- Kto to jest Rachel? - zapytała z zaciekawieniem. Rzucił szybkie spojrzenie na otwarte drzwi łazienki.

- Ktoś, kogo znam. Czy wszystko jasne?

- Wszystko jasne - powtórzyła Abbie, wzruszając ramionami. Babs wyszła z łazienki, wpinając brylantowy kolczyk. Jej różowa suknia szyfonowa łagodnie szeleściła.

- Jak myślisz, czy powinnam założyć do tego naszyjnik, czy byłoby to już za dużo?

- Ja bym założył.

- Wyglądałbyś w tym jak wariat - odparła Babs, mrugając oczami. Dean śmiał się. Swobodny nastrój rodziców udzielił się Abbie, która również zaczęła się śmiać.

- Mamusiu, nie wolno ci nigdy tego zdradzić! - Podskoczyła do Babs i przez ramię rzuciła Deanowi wszystkowiedzące spojrzenie. - Tatuś wysłał widokówkę dziewczynie, która nazywa się Rachel.

W pokoju zapanowało absolutne milczenie. Śmiech Deana ucichł. Abbie czuła, że wydarzyło się coś strasznego i patrzyła na matkę. Babs pobladła i z wyrazem niewysłowionego bólu odwróciła się do męża.

- Babs... - zrobił krok w jej kierunku i wyciągnął ku niej rękę.

- Abbie, wyjdź z pokoju. - Matka wypowiedziała te słowa szorstko i zarazem z rozpaczą.

- Ale... - trochę przestraszona Abbie wpatrywała się w zamarłą bez ruchu matkę, która nie odwracała wzroku od Deana.

- Wyjdź natychmiast! - Abbie instynktownie odsunęła się od matki, która odwróciła się z impetem. Babs drżała na całym ciele. Abbie poczuła na ramionach dotknięcie ojca.

- Idź, poszukaj Justine. Niech cię natychmiast uciesze. - Łagodnie, ale zdecydowanie skierowała ją do drzwi znajdującego się obok saloniku.

W drzwiach odwróciła się do niego. - Tatusiu, ja...

- Wiem, kochanie. Już dobrze. - Uśmiechnął się do niej.

52

Abbie wiedziała jednak, że wcale nie było dobrze. Nie rozumiała, co złego zrobiła. Chciała przecież tylko zażartować, kiedy wspomniała o widokówce. Czy oni tego nie widzieli? Była tylko tak samo wesoła, jak rodzice, którzy się przekomarzali.

Zanim drzwi się zatrzasnęły i została odizolowana, Abbie zdążyła jeszcze usłyszeć, jak zdenerwowana matka uskarżała się półgłosem:

- Dean, jak mogłeś to zrobić! Jak mogłeś dopuścić, by to wykryła?

- Zupełnie nie wiem. Przysięgam ci.

- Co jej powiedziałaś?

- Nic.

Teraz drzwi się zatrzasnęły i przytłumiły dalszą rozmowę. Abbie, walcząc ze łzami, opadła na fotel. Opuściła głowę i nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w swój a sukienkę.

Zadzwoił telefon, raz, dwa razy. Przy trzecim dzwonku przyszła Justine z przyległej sypialni.

- Apartament państwa Lawsonów, przy aparacie Justine... Rozmowa zamiejscowa z Ameryki? Tak, słucham.

Abbie podniosła głowę.

- Jeżeli to dziadek, to chciałabym z nim rozmawiać.

Justine pokazała jej jednak, by siedziała cicho, i zatkała palcami drugie ucho, by móc się skoncentrować na rozmowie telefonicznej.

- Halo? Tu Justine... Tak, pani Anderson, jest. Razem z panią Lawson przebijam się na obiad. - Kiedy Abbie usłyszała, że to tylko sekretarka ojca, znowu zagłębiła się w fotelu. - Tak, pani Anderson, poproszę go. - Justine położyła słuchawkę obok aparatu i pobiegła do drzwi dużej sypialni. Jej ciemne oczy były szeroko otwarte. -Panie Lawson? -zawołała i głośno zapukała. - Dzwoni pańska sekretarka. Chce z panem natychmiast rozmawiać. Wydarzył się... wypadek.

- Niech pani przełączy rozmowę.

- Jaki wypadek? - chciała wiedzieć Abbie.

Justine spojrzała na nią, ale nie odpowiedziała i podbiegła do telefonu. Kiedy się upewniła, że w sypialni podniesiono słuchawkę, odłożyła swoją i stanęła z pochyloną głową i założonymi rękami.

Abbie pytająco zmarszczyła czoło.

- Justine, co się stało?

W tym momencie usłyszała z sypialni rozpaczliwy krzyk, który przeszedł w łkanie. Poderwała się i pobiegła do drzwi, gdzie tylko przez sekundę się zawahała, po czym otworzyła je gwałtownie i wpadła do pokoju. Zatrzymała się, kiedy ujrzała, że ojciec trzyma w ramionach łkającą matkę. Wyglądał jak odurzony i sam był bliski płaczu.

53

- Tatusiu... co się stało?

- Abbie... - Skierował na nią bolesne spojrzenie, kiedy wypuścił z ramion matkę. Oboje odwrócili się do niej. Babs dzielnie starała się powstrzymać łzy.

Abbie najchętniej odwróciłaby się i wybiegła, ale nogi poniosły ją do przodu, w ramiona matki.

- Kochanie, to... twój dziadek - powiedziała matka i szybko zakryła usta dłonią. Po policzkach popłynęły jej nowe łzy i rozmyły starannie naniesiony makijaż.

- Co jest z dziadkiem?

- Miał wypadek - wyjął ojciec przykryjąc na chwilę oczy, zanim znowu na nią spojrzał. - Chciał przejść przez ulicę i... wpadł pod samochód.

Przestraszona Abbie patrzyła to na jedno, to na drugie z rodziców. -Ale przecież wyzdrowieje? Ojciec potrząsnął głową.

- Bardzo mi przykro, skarbie, naprawdę jest mi bardzo przykro. -Ścisnął jej dłoń aż do bólu. - Wiem, jak bardzo go kochałaś.

- Nie... -Abbie potrząsnęła głową. Nie chciała wierzyć w to, co mówili. - On wyzdrowieje. Zobaczycie. Kiedy wrócimy do domu, to zobaczycie.

Matka odwróciła się. Ukryła twarz na plecach Deana i znowu zaczęła płakać. Abbie nie płakała ze strachu, że gdyby to zrobiła, ta okropność mogłaby stać się prawdą.

- Tatusiu, chcę do domu.

- Jedziemy do domu, kochanie.

Abbie nie płakała także na pogrzebie. Łzy popłynęły jej dopiero później, kiedy znowu byli w River Bend, gdzie zaszyła się w boksie River Wind i wyplakiwała sobie oczy. Ben potrzebował dużo czasu, by ją przekonać, że nie ponosiła żadnej winy za śmierć dziadka.

Ta śmierć przyniosła pewne zmiany. W ciągu roku Dean sprzedał firmę produkującą szlam wiertniczy i pojechał do Egiptu, by kupić wymarzone arabskie źrebięta. Formalności, do tego długa podróż przez ocean i dwumiesięczna kwarantanna spowodowały, że upłynął prawie cały rok, zanim nowe konie przybyły wreszcie do River Bend.

W tym czasie na miejscu starej stajni stanęła nowa. Był to pierwszy krok w realizacji programu rozbudowy, dzięki któremu w ciągu następnego dziesięciolecia w River Bend powstało wiele nowych obiektów stadniny. Dean zmienił wprowadzony przez R.D. zwyczaj włączania słowa „River”, jako pierwszego członu do imion wszystkich źrebaków, które przyszły na

54

świat w River Bend. Świeżo sprowadzonym koniom nadał imiona zaczynające się od słowa „Nahr”, oznaczającego po arabsku rzekę. El Kedarbn Sudan nazywał się więc teraz Nahr El Kedar.

Podróże do Egiptu w celu zakupu koni stały się coroczną rutyną. Abbie ponownie towarzyszyła w nich ojcu dopiero jako nastolatka, ale nigdy nie potrafiła podzielać jego entuzjazmu dla wysokich, kościstych i delikatnych koni arabskich egipskiego pochodzenia, tak samo jak jego zamiłowania do surowej pustyni. Nie pochwałała także jego decyzji o sprzedaży wszystkich wyhodowanych przez dziadka koni arabskich, bez względu na ich wartość i szansę w zawodach i skoncentrowaniu się na hodowli wyłącznie arabów młodszej linii egipskiej. Było to tak jakby odrzucał wszystko, co stworzył R.D. najpierw firmę, a teraz konie.

Nie miała jednak czasu, by się zastanawiać nad przyczynami tego postępowania. W jej młodym życiu było teraz tyle spraw, które zajmowały jej uwagę. Poza konkursami arabów, w których nadal uczestniczyła, i czasochłonnymi przygotowaniem do nich była jeszcze szkoła, przyjaciele i spotkania.

Bez fałszywej skromności Abbie stwierdziła, że stała się zwracającą powszechną uwagę ładną dziewczyną, cieszącą się sympatią kolegów szkolnych. Dostrzegła jednak również to, że przyczyną tej sympatii byli w niemałym stopniu zamożni rodzice.

Zgodnie z tradycją w ostatniej klasie średniej szkoły ogólnokształcącej miała być przedstawiona w Houston jako debiutantka. Oznaczało to, że oprócz formalnej białej sukni debiutantki potrzebowała dodatkowo całej masy innych eleganckich strojów i dodatków. Babs niezłomnie upierała się przy zakupie dla niej tych rzeczy.

Wybór piętnastu sukni balowych, przymierzanie, wyszukiwanie dodatków, planowanie przyjęć -wszystko to wydawało sienie mieć końca.

Trzy dni przed wielkim bale, kiedy aż do omdlenia ćwiczyła z Babs skomplikowany ukłon dworski, z wdzięcznością przyjęła informację Jack-sona, czarnoskórego służącego, o powrocie ojca do domu. Wykorzystała to jako okazję do przerwania przygotowań.

- Zejdę na dół i pochwalę się ojcu moimi postępami w opanowaniu ukłonu - oświadczyła. - Może uda mi się go namówić na jednego walca.

Abbie znikła, zanim matka zdążyła zaprotestować. Na schodach podniosła długą spódnicę wraz z obszerną halką z tafty i lekko zbiegła na dół. W połowie drogi usłyszała dzwonek telefonu. Ktoś natychmiast podniósł słuchawkę.

Kiedy weszła do biblioteki, ojciec stał za biurkiem, trzymając słuchawkę. Spojrzała na niego przelotnie i wykonała dworski ukłon, czując się jak

55

księżniczka oddająca hołd swemu królowi. Najchętniej głośno by się roześmiała.

Kiedy jednak podeszła, by go powitać, powstrzymał ją dłonią, odwrócił się i nachylił nad telefonem.

- Tatusiu, kto to? - Przyglądała się, jak odkładał słuchawkę, ściskając ją przy tym tak mocno, jakby chciał ją połamać. - Tatusiu? - Wyglądał na zszokowanego. Na oślep poszedł do drzwi, nawet na nianie patrząc. Zaniepokój ona pobiegła za nim.

- Tatusiu, co się z tobą dzieje? - Chwyciła go za ramię. Patrzył na nią, nie widząc.

Ja... Jego usta poruszyły się bezgłośnie. Ja... muszę iść... Przykro mi.

Kiedy się odwrócił i odszedł w kierunku drzwi wyjściowych, Abbie zobaczyła schodzącą po schodach matkę.

- Mamo, tatuś nie czuje się dobrze. Miał telefon i...

Babs zbiegła z kilku ostatnich stopni i pospieszyła w jego stronę.

- Dean! - Jeszcze nigdy nie widziała go tak załamane. - Powiedz mi, co się stało!

Chwycił ją za ramiona tak mocno, że aż zabolalo.

- O Boże, Babs... Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. Boże, proszę, ona nie może nie żyć.

Babs stanęła jak wryta. Mimo jego bólu poczuła jakiś chłód.

- Mamo, co się dzieje? - zapytała Abbie, która nie słyszała słów ojca.

- Ktoś zmarł. Pewna stara... znajoma twego ojca w Kalifornii. - Spojrzała na Deana. Jej oczy płonęły. - Będzie musiał tam pojechać. Zostawisz nas samych, Abbie? Proszę!

Abbie posłusznie wyszła. Zanim zdążyła wejść na schody, usłyszała, jak Dean powiedział łamiącym się głosem:

- Babs, rozumiesz przecież, że muszę tam pojechać? Matka odpowiedziała bezbarwnie:

- Tak, wiem.

8

A

Abbie pamiętała jeszcze, jak zraniło ją i rozgniewało, kiedy dowiedziała się, że ojciec nie wróci na czas, by zaprezentować ją towarzystwu na balu

56

konfederatów. Nie pojmowała, dlaczego nie wracał. Dlaczego musiał zostać w Kalifornii tylko z tego powodu, że zmarł ktoś, kogo znał od dawna. Bal był najważniejszym wydarzeniem w jej dotychczasowym życiu. Została wprowadzona do towarzystwa. Ojciec miał ją przedstawić i zatańczyć z nią pierwszego walca. Nie mogła pójść tam sama, to nie było w zwyczaju.

Dlaczego spośród tylu przyjęć i balów musiał opuścić właśnie ten? Matka usiłowała ją pocieszać i zapewniała, że każdy z jej przyjaciół byłby szczęśliwy, gdyby przy takiej okazji mógł zastąpić jej ojca. Abbie upierała się jednak, że bez ojca nie pójdzie na bal. Osiodłała konia i pocwałowała na nim wzdłuż drogi dojazdowej, by skierować go następnie przez łąki i osuszone pola ryżowe do sąsiedniej farmy. Wielkim łukiem dotarła do brzegu Brazos. Wzdłuż rzeki pocwałowała z powrotem do River Bend, gdzie czekał już na nią Ben. Ciągle jeszcze pamiętała jego niezadowoloną minę, gdy oglądał parującą klacz. Przykro mi. Ochłodzę ją.

- Tak, zrobisz to - odparł Ben. - Oboje ją ochłodzimy, a ty powiesz mi, co się stało.

W czasie tej szalonej jazdy wściekłość jej prawie minęła, ale ból i rozczarowanie pozostały. Jak zwykle, łatwo jej przyszło zwierzenie się Benowi ze swych kłopotów.

- Powiedziałam matce, żeby wszystko odwołała. Nie pójdę na ten bal. To i tak przecież nie ma sensu. Kto chce jeszcze dziś być debiutantką?

- Myślę, że ty.

Chętnie uzmysłowiłaby Benowi, że to nieprawda i że dla niej, młodej, wyemancypowanej kobiety paradowanie przed śmietanką towarzyską jak niewolnica na aukcji ma posmak seksualny. Pompatyczny korowód może być wprawdzie bezsensowny, ale była to przecież chwila w świetle reflektorów, chwila, w której miały na niej spocząć oczy całego Houston.

- Nie dam się wprowadzić przez jakiegoś znajomego rodziców - oświadczyła z naciskiem, ledwie powstrzymując łzy. - Gdyby żył jeszcze dziadek... ale on nie żyje. Rozumiesz to, Ben?

Nie chciałabym być przedstawiona przez pierwszego lepszego. Musi to być ktoś... - Chciała powiedzieć „jak mój ojciec”, ale kiedy spojrzała na Bena, dokończyła: - ..ktoś taki jak ty. -

Przecież Ben to ktoś, kogo znała i lubiła. Ktoś, kto zawsze był na miejscu, gdy go potrzebowała, ktoś, kto ją lubił. - Ben, potrafisz tańczyć walca?

- Ja? - Był tak zaskoczony i przestraszony, że Abbie wybuchnęła śmiechem.

- Tak, ty. Mógłbyś mnie zaprezentować?

57

- Ja? Ja jestem przecież tylko... - wskazał na stajnie, ale Abbie chwyciła go za rękę.

- Jesteś jedynym mężczyzną, poza moim ojcem, z którym poszłabym na bal.

- To dla mnie zaszczyt. - Głos ochrypl mu ze wzruszenia. Był to jeden z rzadkich przypadków, kiedy Ben okazał wzruszenie. Potem potrząsnął głową, jak gdyby chciał odmówić.

- Ben, to przecież nic takiego. Musisz tylko wystąpić ze mną naprzód, kiedy zostaną zapowiedziana i konferansjer będzie wyliczał moich przodków, którzy byli konfederatami.

Potem zatańczymy pierwszego walca do momentu, kiedy mój kawaler mnie odbije.

Wypożyczymy dla ciebie smoking i białą szarfę... i rękawiczki. Będziesz wspaniale wyglądał. -

Kiedy zaczął się wahać, Abbie wykorzystwała swoją przewagę. - Proszę cię, Ben. Chodź przynajmniej ze mną na próbę. Tam wszystko ci pokażą.

- Od młodości nie tańczyłem walca.

- No to sprawdźmy, czy jeszcze nie zardzewiałeś.

Trzymając jeszcze cugle, Abbie położyła jedną rękę na jego talii, a drugą podniosła do góry.

- Gotowy? Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. - Mruczając melodię walca, zaczęli tańczyć, najpierw potykając się, a potem z coraz większą lekkością. - Widzisz, Ben, to tak jak z jazdą konną.

Nigdy tak naprawdę nie wychodzi się z wprawy... - Tańcząc walca, poruszali się po podwórzu przed stajnią, ciągnąc za sobą znużoną i zdezorientowaną klacz.

W wieczór balu debutantek Abbie w białej sukni balowej, do której włosy ułożyła w górę loków, zajęła powozem przed Country Club i została przyjęta przez jednego z członków klubu synów weteranów-konfederatów. Przy dźwiękach Loreny całkowicie odmieniony Ben, w białych rękawiczkach i smokingu, kroczył wyprostowany u jej boku, kiedy ją przedstawiono i kiedy pochyliła się w głębokim ukłonie przed gośćmi klaszczącymi i przyjmującymi radosnymi okrzykami. Po przedstawieniu wszystkich debutantek, Abbie tańczyła z nim walca Tennessee, aż wprowadził mu ją Christopher Atwell i umocował na jej przegubie bukiecik. Był to gest symbolizujący, że teraz on będzie towarzyszył Abbie.

Dzięki Benowi Abbie zachowała ten wieczór w czułej pamięci, mimo że brakowało jej ojca. Kiedy Dean wrócił po tygodniu, Abbie była tak zajęta przyjęciami, zaproszeniami na herbatkę i na bale, że tylko mimochodem dostrzegła jego apatię. Patrząc teraz wstecz, zrozumiała, że opłakiwał wtedy swą ukochaną.

Za jej plecami ktoś otworzył drzwi. Natychmiast się wyprostowała i usiłowała ukryć łzy.

58

- Matka mnie wysłała, żebyś cię poszukał.

Abbie rozluźniła się, kiedy rozpoznała spokojny głos Bena. Przed nim nie musiała ukrywać swoich uczuć.

- Ben, czy wiedziałeś o kobiecie i dziecku, które tatuś miał w Kalifornii?

Odpowiedział dopiero po długiej chwili milczenia:

- Słyszałem plotki... wśród służby.

- To było coś więcej niż plotki. To była prawda. - Opowiedziała mu całą tę okropną historię i wynikające z niej skutki. - Dlaczego, Ben? - Szloch zdławił jej głos, kiedy, jak to często już czyniła, zażądała od niego odpowiedzi, których sama nie mogła znaleźć. - Dlaczego nie mógł kochać także mnie?

- Pst, maleńka. - Czułe wziął jąw ramiona i szeptał jej do ucha pieszczotliwe słowa w swoim ojczystym języku.

Oparła się o niego i zacisnęła pięści.

- Nienawidzę go za to, co zrobił, Ben. Nienawidzę go!

- Nie, nie rób tego. - Ben głaskał ją delikatnie po włosach. - To dlatego tak boli, że go bardzo kochałaś.

Abbie płakała. Tym razem nad sobą.

59

9

Os

'stre kontury budynków w centrum Houston sterczały nad rozciągniętym płasko miastem. Rachel nie spodziewała się, że Houston wywrze na niej większe wrażenie niż Los Angeles. Uważała, że śródmieścia wszystkich miast były do siebie podobne - zagęszczenie ciasno stojących wieżowców tworzących betonowe wąwozy, w których kipiał ruch. Człowiek szedł tam tylko wtedy, kiedy nie dało się już tego unikać.

Kiedy jednak skręciła w Luizjana Street, musiała gruntownie zrewidować swoje poglądy.

Wrażenie zrobiły na niej najpierw same strzelające wysoko w górę budynki, z których każdy był jedyny w swoim rodzaju, jak wypisany na niebie charakter pisma architekta.

Rachel nie mogła pozbyć się uczucia, że jechała przez galerię architektury na wolnym powietrzu. Szerokie ulice, krótkie szeregi domów i odsunięte od ulicy budynki stwarzały wrażenie przestronności. Kiedy zatrzymała się i przyglądała lustrzanym fasadom wieżowców w kolorach miedzi i srebra, małym placom, tryskającym fontanom i licznym rzeźbom, wyczuła atmosferę panującą w centrum miasta.

Wrażenie wzmacniało się z każdym krokiem, przybliżając ją do ekstrawagancko urządzonego podjazdu i wejścia do hotelu Meridien, w którym była umówiona na obiad z Lane'em Canfieldem. Cały budynek wyłożono brązowym szkłem, nawiązując do tonacji sąsiednich budowli.

Rachel nie odziedziczyła wprawdzie twórczego talentu matki, ale dobrze znała się na sztuce i czuła ją. Dla jej matki sztuka była wszystkim. Dopiero na drugim miejscu był Dean. Rachel nigdy nie wiedziała, gdzie znajdowało się jej miejsce, w każdym razie gdzieś z tyłu za tymi obiema miłościami. Caroline kochała ją, ale kiedy przychodził moment jakiejś decyzji, sztuka zawsze była na pierwszym miejscu. Matka żyła po swojemu, dla niczego i nikogo nie szła na kompromisy. Ta samolubna postawa często irytowała Rachel, szczególnie gdy jako nastolatka się dowiedziała, że Dean chciał się ożenić z jej matką. Była przekonana, że jej życie potoczyłoby się inaczej, gdyby rodzice się pobrali. Nie wychowywałaby się tak samotnie, dręczona uczuciem, że jest niechcianym i niekochanym dzieckiem. Nie musiałaby się też wstydzić tego, kim była. W pierwszych latach szkoły podstawowej szybko przekonała się, że wcale nie jest tak cudownie być „dzieckiem miłości”, jak zawsze twierdziła matka.

Być może właśnie to było przyczyną częstych cierpień i nieokreślonej obawy przed zwracaniem na siebie uwagi. Chciała być taka sama, jak

60

wszyscy inni. Już lepiej chyba być panną nie mającą tancerza na balu, byle tylko ludzie nie szeptali za plecami.

Kiedy zaparkowała samochód i weszła do hotelu, ponownie doznała uczucia, że w niemiły sposób zwraca na siebie uwagę. Przyzwoita elegancja wystroju hotelu inspirowanego wzorami francuskimi onieśmieliła ją. Zbyt zakłopotana, by zwrócić się do szefa wytwornej recepcji, zbliżyła się do jednego z chłopców hotelowych i zapytała go o restaurację francuską.

Przy wejściu do restauracji poczuła się niepewnie i zawahała się. Ta sztywna, elegancka atmosfera była ostatnią rzeczą, jakiej spodziewała się w Teksasie. Z Teksasem łączono takie pojęcia, jak zabawa ludowa i długie buty, kapelusze kowbojskie i papryka chili. Nawet w marzeniach nie pomyślała o tym, że Lane Canfield zaprowadzi ją do takiego lokalu. Przez całe życie pragnęła jeść w takim otoczeniu, ale nigdy nie odważyła się wejść do eleganckiej restauracji, przekonana, że czułaby się tam nie na miejscu.

Dokładnie tak czuła się właśnie teraz, myśląc o swoich długich, prostych włosach, niepozornym stroju i obutych w sandały stopach. Kiedy zbliżył się do niej kelner ubrany we frak szyty na miarę, Rachel uświadomiła sobie, że nawet on był lepiej ubrany od niej, co zresztą zarejestrował jednym pobieżnym spojrzeniem.

- Co mogę dla pani zrobić? Rozpaczliwie walczyła z nieśmiałością.
- Jestem umówiona na lunch z panem Canfieldem.
- Pan Canfield. - Podniósł jedną brew, po czym ją znowu opuścił, a na jego twarzy pojawił się pełen szacunku uśmiech. - Tędy proszę, szanowna pani.

Lane Canfield siedział przy oddzielnym stoliku dla dwóch osób, popijał małymi łykami bourbona i nieobecny duchem patrzył na puste krzesło naprzeciw siebie. Czas wolny był dla niego czymś niezwykłym. Naj częściej każdą minutę dnia miał wypełnioną sprawami zawodowymi: rozmowami, telefonami, konferencjami lub studiowaniem najróżniejszych dokumentów.

Lane, marszcząc czoło, usiłował sobie przypomnieć, jak dawno temu dał jakiejś sprawie pierwszeństwo przed interesami. W swoim życiu nigdy nie miał czasu dla czegoś lub kogoś innego. Dlaczego? Czego chciał? Dlaczego pracował do upadłego? Czy pragnął więcej pieniędzy? Więcej władzy? Po co? Był już więcej niż stukrotnym milionerem.

Śmierć Deana podziałała na niego w sposób nieoczekiwany. Postawił sobie nagle pytanie, czy rzeczywiście ma prawo nazywać siebie przyjacielem Deana Lawsona? Oczywiście, odłożył na bok swój wypełniony terminami kalendarz i pojechał na pogrzeb, ale jak często widział Deana lub roz-

61

mawiał z nim w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Osiem, może dziewięć razy. A jednak to właśnie jego Dean ustanowił wykonawcą swój ego testamentu.

Sięgnął po aktówkę i upewnił się, że list był nadal w wewnętrznej kieszeni - list z adnotacją „prywatny”, adresowany do niego. Napisane było nanimjeszcze: „Otworzyć tylko w razie mojej śmierci”. Pod tym widniał podpis Deana.

List był ukryty wśród papierów, rachunków i dokumentów, które sekretarka Deana wyniosła z kancelarii adwokackiej. Tego ranka jego treść została ujawniona.

Lane wiedział, że list spoczywający w wewnętrznej kieszeni marynarki spowodował ten rachunek sumienia. Ciągle prześladowały go pierwsze zdania:

Drogi Lane!

Być może nigdy nie będziesz musiał tego czytać. Już dawno temu przyrzekłem sobie, że nigdy nie będę niestosownie obciążał naszej przyjaźni. Znalazłem się jednak w takiej sytuacji, że muszę poprosić Cię o pewną przysługę. Poza Tobą nie mam nikogo, komu mógłbym zaufać. Chodzi o moją córkę Rachel, dziecko Caroline...

Zaufanie. Słowo to nie opuszczało Lane'a. Zrobił tak mało, by na nie zasłużyć. Jeszcze bardziej jednak zaprzętała jego myśli wątpliwość, czy w kręgu jego własnych przyjaciół był ktoś, komu mógłby powierzyć tak osobistą sprawę. Nie przychodziło mu do głowy żadne nazwisko. Ludzie, z którymi miał do czynienia i których nazywał przyjaciółmi, w rzeczywistości wcale nimi nie byli. Stwierdzenie w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, że nie ma się nikogo, na kogo można zawsze liczyć, było bardzo rozczarowującym odkryciem.

Kogo jednak miała Rachel? Matka nie żyła, teraz nie żyje także jej ojciec. Rodzina Lawsonów odrzuciła ją. Abbie dała to bardzo wyraźnie do zrozumienia. Od chwili pogrzebu na cmentarzu Lane często rozmyślał o Rachel: o smutku, zmartwieniu, które tkwiło w jej niebieskich oczach...

Wyrwany z rozważań odgłosem zbliżających się kroków, Lane podniósł wzrok i zobaczył Rachel idącą z kelnerem do jego stolika. Kiedy podniósł się na powitanie, spostrzegł, że była sztywna i spięta.

- Witaj, Rachel.

- Witaj. Przepraszam za spóźnienie. - Natychmiast opadła na krzesło, które odsunął kelner, i niezdarnie spróbowała przysunąć je do stolika.

- Nie spóźniła się pani. - Lane z powrotem usiadł. - Mogłem wyjść wcześniej, niż zaplanowałem i wykorzystałem szansę odprężenia się przy drinku.

62

Rachel wyglądała na nieśmiałą i niepewną. Uciekła wzrokiem, kiedy otworzyła jadłospis.

- Czy chciałaby pani napić się czegoś, zanim zamówimy j edzenie? -zapytał, kiedy kelner podszedł do ich stolika.

Wahała się przez moment.

- Może lampkę białego wina?

- Chardonnay czy riesling? Mamy bardzo dobry...

- Chardonnay bardzo by mi odpowiadało - przerwała.

- Jeśli chodzi o rocznik i pochodzenie, zaufamy pańskiemu wyborowi - rzucił Lane, by nie dopuścić do spodziewanego pytania kelnera, ponieważ przypuszczał, właściwie był pewien, że Rachel nie zna się na winach. -A dla mnie proszę jeszcze jeden bourbon z wodą sodową.

- Proszę bardzo, sir.

- Piękna restauracj a - zauważyła, kiedy kelner odszedł.

Lane pożałował tego wyboru, kiedy spostrzegł, jak nieswojo się tu czuła. Zakładał, że Dean zabierał jąw Los Angeles do podobnych lokali. Okazuje się, że chyba jednak nie. Na Caroline to otoczenie nie wywierałoby wrażenia.

- Trochę tu sztywno, ale jedzenie wspaniałe.

- Jestem o tym przekonana.

Współczuł jej, mimo że zdawał sobie sprawę, iż wcale by sobie tego nie życzyła. Zamierzał wprowadzić do tego obiadująkąs osobistą nutę. Czuł, że był to winien Deanowi, a co więcej, że Rachel na to zasługiwała. Nie chciał, by podczas tego spotkania wszystko obracało się wokół listu Deana. Sprawa ta musiała być wprawdzie załatwiona, ale nie teraz. Kiedy dostali już drinki i zamówili dania, Lane, chcąc ją ośmielić, zaczął zadawać pytania ojej życie i o jej pracy jako graficzki. Przekonał się, że wcale nie było łatwo pokonać rezerwę Rachel, ale nie rezygnował.

- Nadal mieszka pani w Malibu? - zapytał, kiedy na pytania o j ej pracę uzyskał tylko zdawkowe odpowiedzi.

- Nie, mam mieszkanie w górach, w pobliżu stajni, w której trzymam moje konie.

- Ma pani konie? -W tym momencie przypomniał sobie, jak jązainte-resowały konie arabskie w River Bend. Było przecież rzeczą naturalną, że także Rachel odziedziczyła po Deanie pasję do koni.

- Właściwie tylko dwa. Ahmar j est wałachem, którego Dean mi podarował, kiedy miałam dwanaście lat. Był to mój pierwszy koń. Przedtem miałam kucyka, krzyżówkę walijsko-arabską. Ahmar ma teraz dziewiętnaście lat, ale nie wygląda na tyle. Lubi swoje poranne galopy i jest zazdrosny, kiedy zamiast niego biorę Simoon.

63

- Ahmar. Oczywiście arab - wyraził przypuszczenie Lane.

- Naturalnie. - Po raz pierwszy zaśmiała się. Był to ciepły, spontaniczny śmiech. - Ognisty, czerwonokasztanowy. Po arabsku „Ahmar” znaczy czerwony. Jest moim naj lepszym przyjacielem.

Koń najlepszym przyjacielem -jej życie musiało być bardzo samotne, pomyślał Lane.

Wreszcie podano zamówione dania: sałatkę z homarów dla Rachel i kaczkę dla niego. Na chwilę umilkli i zajęli się jedzeniem.

- Mówiła pani o drugim koniu - zaczął w końcu Lane.

- Tak, o Simoon, trzyletniej klaczy. Dean podarował mi ją, kiedy miała rok. Pochodzi od klaczy sprowadzonej z Egiptu, a jej ojcem jest Nahr El Kedar...

Szczegółowo opisywała konia, zapominając o sobie. Była to zupełnie inna Rachel od tej, którą poznał Lane, pełna ciepła i płomiennego entuzj a-zmu. Jej rezerwa zniknęła, ale na krótko.

- A jak z wielbicielami? Z pewnością ktoś czeka na panią w Los Angeles?

- Nie. - Zjadła resztę sałatki. - Poza pracą i końmi nie mam wiele czasu na spotkania. Od czasu do czasu wychodzę, ale nie zdarza się to często.

Lane widział po jej minie, że miała nie najlepsze doświadczenia. Tak wrażliwa kobieta jak ona, z pewnością została raz czy drugi boleśnie zraniona.

Ponieważ Rachel odmówiła deseru i kawy, Lane poprosił o rachunek.

- Miał pan rację, j edzenie było wspaniałe. Dziękuję. - Położyła serwetkę na stoliku i sięgnęła po swoją torebkę.

- Niech pani jeszcze nie odchodzi - poprosił Lane. Bardzo chciał ją zatrzymać. - Myślałem, że moglibyśmy trochę pospacerować. Mamy kilka spraw do omówienia.

Trzymając Rachel pod rękę, Lane poprowadził ją do futurystycznego Parku Spokoju. Nazwano go tak od księżycowego Morza Spokoju dla uczczenia lotu Apollo na Księżyc, a założono na dachu czterokondygnacyjnego podziemnego garażu. W czasie spaceru nad błyszczącymi jak lustra stawami Lane wyjaśniał jej symbolikę tego obiektu. Porośnięte trawą wzgórki przedstawiały góry księżycowe, a fontanny - startujące rakiety.

- Ponoć jest tu cudownie późnym popołudniem, kiedy promienie słońca padają na fontanny pod określonym kątem i zabarwiają wodę na złoty kolor -powiedział, by zaraz dodać: -

Szczerze mówiąc, jestem tu pierwszy raz.

- Tak tu spokojnie. - Rachel podeszła do ławki i usiadła. Dłonie oparła na jej krawędziach. - Wspomniał pan, że chciałby coś ze mną omówić.

64

- Tak. Rzeczywiście. - Lane usiadł obok niej. - Z pewnością domyśla się pani, że otwarto testament Deana. Uczynił mnie jego wykonawcą.

Rozumiem.

- Rachel... W tym testamencie nie wspomina się o pani. Mogłaby pani oczywiście zakwestionować... i wywalczyć przyznanie prawdopodobnie j ednej trzeciej j ego majątku. W tej chwili nie mogę pani powiedzieć, ile to jest, ale...

- Nie. - Potrząsnęła głową, poddając się losowi. - Nie zrobię tego. River Bend, dom, konie, to wszystko należy do nich. Do mnie nigdy nie należało. Dlatego nie chcę domagać się teraz żadnej części tego majątku.

- Rachel, bardzo mi przykro. - Dostrzegł, jak bardzo była zraniona.

- Nie trzeba. - Wymuszonym, lekkim uśmiechem próbowała zapanować nad uczuciami. - Chyba zawsze wiedziałam, że niczego nie dostanę. Dlaczego miałoby się coś zmienić tylko dlatego, że on nie żyje? - Opuściła głowę. - Zabrzmiało to bardzo gorzko. Nie chciałam tego. Najej miejscu byłbym bardziej niż zgorzkniały, pomyślał w duchu Lane. Nawet po śmierci Dean nie uznał jej oficjalnie.

- Niech pani mnie źle nie rozumie, Rachel. Ojciec nie zapomniał o pani. Krótco po pani urodzeniu założył konto powiernicze. Razem z wpłatami Deana i odsetkami zgromadzony na nim fundusz wynosi ponad dwa miliony dolarów.

- Co pan powiedział? - Z niedowierzaniem patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Lane roześmiał się.

- Suma wynosi dokładnie dwa miliony sto osiemdziesiąt siedem tysięcy, plus jakaś drobna kwota. Ustalono, że pieniądze te otrzyma pani po skończeniu trzydziestu lat. .. lub w przypadku jego śmierci... Chyba, że w jej momencie nie byłaby pani jeszcze pełnoletnia.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Jej oczy zalane były łzami, ale twarz wyrażała radość. - Tatus... Dean zrobił to dla mnie?

- Tak. - Wzruszyło go to otwarte okazywanie uczuć. Kiedy Rachel trzymała dłonie przy twarzy, by ukryć łzy, Lane impulsywnie przyciągnął ją do siebie. Początkowo pozwoliła mu tylko trzymać się w ramionach i gładzić pocieszająco po plecach, gdy sama cicho płakała. Wydawało się jednak, że łzy wypłukały niewidzialny mur, który wzniosła wokół siebie. Przycisnęła się do niego i przytuliła twarz do jego szyi. Lane poczuł na policzku jej jedwabistą skórę.

- Nie mogę uwierzyć. - Rachel wyczyściła nos, otarła łzy i próbowała odzyskać równowagę.

5 - Przyrodnie siostry fos,

- Musiał mnie naprawdę kochać. Czasami... - odsunęła się nagle od Lane'a i spojrzała na niego bezradnie. - A może to znowu jeden z jego prezentów, którymi usiłował uspokoić własne sumienie?

- Myślę, że bardzo cię kochał. I jak każdy ojciec dążył do tego, by cię finansowo zabezpieczyć. - Lane był o tym przekonany, ale nie chciał wdawać się w żadne spekulacje, czy troska Deana brała się z poczucia winy. Być może w przeszłości Dean zasypywał Rachel prezentami, by wynagrodzić jej to, że mało mógł z nią przebywać. Wiele osób tak postępowało. Lane nie potrafił ocenić, czy było to poczucie winy, czy też próba kupienia miłości dziecka. On sam nie miał dzieci i nie był żonaty.

Rachel potrząsnęła głową.

- Wczoraj martwiłam się jeszcze, czy będę mogła zatrzymać konie. Dean pokrywał koszty ich utrzymania. Chciałam już się rozejrzeć za tańszym mieszkaniem. Teraz, mając tyle pieniędzy, nie muszę się o to martwić.

- Tak, te kłopoty ma już pani z głowy.

- Nie wiem zupełnie, co się ze mną dzieje. Zawsze przecież wiedziałam, że Dean był bogaty, ale nigdy nie marzyłam o tym, że ja kiedykolwiek będę bogata. Teraz nie jestem nawet pewna, co mam z tym zrobić.

- No, a czego pani zawsze pragnęła? - zapytał Lane zachęcająco. - O czym pani zawsze marzyła?

Rachel ze spuszczonego wzrokiem gładziła palcami bluzkę.

- Zawsze chciałam mieć szafę pełną ładnych sukienek... i prawdziwy dom. Ale moje marzenia... - zawahała się. Znowu dała o sobie znać jej nieśmiałość. - To brzmi tak dziecinnie, panie Canfield.

- Proszę mówić do mnie Lane.

- A więc Lane. Praktycznie przez całe życie marzyłam o własnej stadninie arabskich koni. Początek miała dać Simoon. Uzbierałam pieniądze na jej pokrycie, co miało nastąpić w przyszłym roku. Żrebaka zamierzałam sprzedać, a za zarobioną sumę kupić drugą klacz hodowlaną, i w ten sposób powoli stworzyć własną stajnię. Niestety, ceny działek w Kalifornii daleko przekraczają moje możliwości finansowe, a nigdy nie mogłam się przełamać, by poprosić Deana o pomoc. On nie zgodziłby się na to, żebym zajęła się hodowlą koni arabskich. Dean znał przecież hodowców na całym świecie. Jak miałby im wytłumaczyć moje pojawienie się w ich gronie?

- Teraz nie potrzebuje już pani łamać sobie nad tym głowy. Pieniądze nie mogą wprawdzie wymazać przeszłości lub uczynić kogoś szczęśliwym, ale można przecież zrealizować dzięki nim najśmielsze marzenia. Niech więc pani marzy, Rachel. Pieniądze na to są.

- Tak, prawda? - powiedziała w zamyśleniu. - Moją wymarzoną farmę zaplanowałam już, oczywiście, we wszystkich szczegółach, łącznie ze

66

stajniami dla żrebaków, laboratorium weterynaryjnym i kamerami wideo. Wszystko jest ustalone, nawet materiały budowlane.

- A gdzie chciałaby pani to wszystko zrealizować?

- Zawsze myślałam o Kalifornii. Najbardziej liczący się hodowcy są właśnie tam lub w Arizonie. Kiedy jednak pyta mnie pan, gdzie ja chciałabym mieć stadninę... - przerwała z wyrazem żalu na twarzy. Dean zawsze tak dużo opowiadał o Teksasie.

- Przez pewien czas i tak będzie musiała pani tu pozostać, przynajmniej na początku. Wojna papierkowa, związana z przepisaniem funduszu na pani nazwisko, z pewnością będzie się ciągnęła. Potrzebuje pani oczywiście kogoś, kto będzie pani doradzał w lokowaniu takiego majątku. W Kalifornii są na pewno wykwalifikowani ludzie, ale myślę, że ojciec życzyłby sobie, abym to ja pomagał pani w tych decyzjach. Dwóch milionów dolarów nikt nie lokuje na koncie oszczędnościowym i nie zadowala się odsetkami. Byłoby to bardzo niemądre.

- Nie mogę sobie wyobrazić tylu pieniędzy - przyznała Rachel. - Bardzo by mi odpowiadało, gdyby pan mi doradzał. Wiem, jak bardzo Dean panu ufał. Nie chciałabym jednak pana trudzić...

- Rachel, chętnie przejmę to wszystko. W innym wypadku nie narzucałbym się tak ze swoją pomocą. A więc załatwione.

- Tak. - Jej uśmiech sprawił Lane'owi przyjemność.

- Wróćmy teraz do pani wymarzonej farmy. Od czego chciałaby pani zacząć? - Zachęcał Rachel do roztoczenia planów, ponieważ wiedział, że był to temat, przy którym potrafiła się rozluźnić.

- Na początku chciałabym sprowadzić trzy lub cztery dobre klacze hodowlane. Idealne byłyby trochę starsze, które już sprawdziły się jako matki. W ten sposób za rozsądną cenę mogłabym zdobyć dobre zwierzęta i oczekiwać od nich trzech, czterech żrebiąt. Przy odrobinie szczęścia mogłabym kupić nawet żrebne klacze. Jeżeli żrebaki będą pierwszej klasy, zachowam je do hodowli, w przeciwnym wypadku sprzedam.

Kiedy opowiadała tak o swoich planach, teoriach na temat hodowli koni i ambicjach, Lane musiał przyznać, że miała w tych sprawach dużą wiedzę.

- Widzi pan te fontanny? - Rachel przerwała i oczarowana patrzyła szeroko otwartymi oczami na bijące w górę strumienie wody, które połyskiwały jak roztopione złoto. - Czy tak długo rozmawialiśmy?

- Na to wygląda. - Również Lane był zdziwiony, że zapomniał o czasie. Od kiedy był z Rachel, ani razu nie spojrzął na zegarek, co w jego przypadku było zachowaniem dość niezwykłym.

67

Rachel zerwała się, wygładziła spódnicę i znowu skryła się za murem powściągliwości.

- Przykro mi, jeżeli pana znudziłam.

- Moj a droga, pani nigdy nie mogłaby mnie znudzić. - Lane' owi trudno przychodziło rozstawać się z Rachel. Obudziła w nim uczucia, o których istnieniu dawno zapomniał. Podziwiał jej naturalną urodę, a jej wrażliwość wzbudzała w nim pragnienie otoczenia dziewczyny opieką.

- Miło, że pan to mówi, Lane, ale wiem, że nudziłam pana. - Uśmiechnęła się z zażenowaniem. Potem spojrziała wzdłuż ulicy. - Mój samochód stoi przed hotelem.

- Odprowadzę tam panią. - Kiedy szli powoli do wyjścia, Lane swobodnie otoczył ramieniem jej talię. - Jak wyglądają apani najbliższe plany?

- Ja... zarezerwowałam na jutro lot do Los Angeles. - Była trochę niepewna, czy nie powinna zmienić swoich planów.

- Z pewnością pani coś do załatwienia w Kalifornii. Sprawa z pieniędzmi poczeka do przyszłego tygodnia.

- Tak, na początku tygodnia mogłabym wrócić.

- Jeżeli brakuj e pani pieniędzy, mógłbym dać zaliczkę.

- Nie... mogę przecież sięgnąć do moich oszczędności. Teraz nie ma już żadnego powodu, by ich nie ruszać. - Wydawało się, że ciągle jeszcze nie przetrawiła do końca dobrej wiadomości.

-Niewiarygodne, że jestem bogata, że jestem spadkobierczynią majątku.

- A jednak tak jest. Proszę skontaktować się ze mną, kiedy pani wróci. Moglibyśmy pój ść razem do restauracji. Umówimy się na przyszły tydzień?

- Tak,chętnie,ale...

Nie pozwolił jej dokończyć:

- Pięknie, a więc jesteście umówieni. - Podchodził do tego w staromodnym stylu.

- Cieszę się - przytaknęła z uśmiechem, świadczącym zarówno o radości, jak i obawie, że coś mogłoby to popsuć. Lane zastanawiał się, jak często Dean coś jej obiecywał, a potem nie dotrzymywał słowa. Smuciło go, że Rachel stale była nastawiona na rozczarowania. Przysrzekł sobie, że to zmieni.

10

68

igłos kroków Abbie na schodach zakłócił ciszę panującą w domu. Kiedy Dean był nieobecny, zawsze miała tu uczucie pustki. Teraz zapanuj e ono na zawsze.

Przeszła przez przedsionek i odsunęła drzwi do biblioteki. W ubiegłym tygodniu zebrała siły i opróżniła jego biurka zarówno tu, jak i w budynkach gospodarczych po drugiej stronie. Kilka ważnych pism wysłała do Lane'a Canfielda. Listów, zdjęć lub wspomnień o kochance ojca i jej

dziecku nie mogła znaleźć. Jeżeli takie istniały, to prawdopodobnie przechowywał je w swoim biurze, w królestwie Mary Jo Anderson.

W ciągu tygodnia musiała załatwić wiele spraw, którymi nie mogła zająć się matka: dokumenty potrzebne do uregulowania spraw majątkowych trzeba było wysłać do Lane'a, następnie należało przejrzeć szafy ojca, a jego garderobę przekazać organizacjom dobroczynnym.

Z jego rzeczy nic już nie zostało, a jednak ciągle jeszcze jego duch panował w domu.

Odnosiło się wrażenie, że Dean Lawson w każdej chwili może zjawić się w drzwiach. Jednak nie pojawi się... ani teraz, ani nigdy więcej.

Abbie szybko się odwróciła i przez przedsionek przeszła do salonu. Obcasy długich butów do jazdy konnej głośno stuknęły na parkiecie, jak gdyby ich odgłosem chciała odstraszyć czające się uczucie niepokoju.

Z kanapy w wykuszu spojrzała na nią matka, która siedziała nad listami kondolencyjnymi i pisała podziękowania.

- Czy coś się stało, Abbie? - zapytała Babs ze zmarszczonym czołem.

Abbie powstrzymała chęć udzielenia twierdzącej odpowiedzi. Jak mogłaby powiedzieć matce, że bardzo się martwiła o spadek, chociaż Rachel nie była wymieniona w testamencie?

Powiedział jej o tym Lane.

Dean zatroszczył się o Rachel oddzielnie. Jest więc mało prawdopodobne, by zaskarżyła testament. Dopóki jednak wszystko nie zostanie ostatecznie uregulowane, taka możliwość będzie istniała.

- Nie, nic sienie stało - skłamała odważnie Abbie. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że wychodzę, by popracować z River Breeze.

- Nie zapomnij, że o siódmej przychodzą na kolację Richardso- nowie.

- Będę o tym pamiętała.

Abbie odwróciła się i wyszła. Na dworze słońce zbliżało się już do horyzontu i dęby przed domem rzucały długi cień na trawnik. Abbie zatrzymała się na szerokiej werandzie, by wystawić twarz na powiew bryzy poru-szającej koronami drzew. Chłód działał uspokajająco. Przed stajnią stał rozklekotany, stary wóz dostawczy. Abbie natychmiast go rozpoznała. W całej okolicy nie było drugiego tak nędznego. Wóz

69

należał do Dobiego Hiksa, właściciela sąsiedniej posiadłości. Dobie był powszechnie znany ze skąpstwa i wszyscy z niego pokpiwali. Jeżeli kupił jakąś nową rzecz, chował ją nie używał, aż się zestarzała. Nie miał żadnego znaczenia fakt, że przypuszczalnie mógłby sobie pozwolić na dziesięć nowych samochodów dostawczych, ponieważ uprawiał tysiąc pięćset akrów ziemi własnej i dzierżawionej.

Była ciekawa, co go sprowadziło do River Bend. Dobie dostarczał im siano dla koni, ale stodoła była przecież jeszcze pełna.

Kiedy zbliżała się zadaszonym przejściem prowadzącym do stajni, zobaczyła Bena, rozmawiającego z Dobiem.

- Panie Hix, jestem pewien, że pańskie zmartwienia są bezpodsta- wne.

- Tak myślałem. - Dobie z ulgą skinał głową. - Zawsze wiedziałem, że Lawson j est wart swoich pieniędzy. Tylko... - W tym momencie zauważył Abbie i przerwał w środku zdania. -

Cześć, Abbie. - Dobie pospiesznie zdjął kapelusz i z zażenowaniem gładził dłonią jasnorude włosy.

- Cześć, Dobie. - Abbie spojrzała na jego rozjaśnione słońcem kosmyki, które nadawały mu młodzieńczy wygląd, mimo że musiał mieć już około trzydziestu pięciu lat. - Jakież problemy?

- Nie - odparł z uśmiechem. - Przynajmniej nic takiego, czym musiałabyś sobie łamać piękną główkę. - Szybko wciągnął głowę w ramiona, jakby pożałował, że odważył się na ten komplement.

Od swego rozwodu Abbie stale miała wrażenie, że wystarczyłaby nawet najmniejsza zachęta z jej strony, by Dobie znowu zaczął adorować ją jak wtedy, w ostatniej klasie szkoły średniej. Z tego powodu niemiłym wspomnieniem pozostało dla niej zorganizowane na zakończenie szkoły przez rodziców przyjęcie, na którym - zapominając o swoim skąpstwie - wykupił wszystkie losy, za które sprzedawała swoje pocałunki. Musiała znosić nie tylko jego czułości, lecz także nie pozostawiające wątpliwości aluzje na temat sąsiadujących posiadłości i zalet ich połączenia. Potem niemal za każdym razem spotykała go podczas konnych przejażdżek nad rzeką, przy ogrodzeniu, na drodze. Miała wrażenie, że ciągle na nią czatował. Nigdy jednak się go nie obawiała ani nie złościła z powodu jego zachowania. Dobie nie rezygnował do chwili, gdy ogłosiła swoje zaręczyny z Christophe'em Atwellem.

Trzymał kapelusz tak kurczowo, że zagał jego rondo.

- Widziałem cię na pogrzebie i już wtedy chciałem ci... powinnaś wiedzieć, jak mi przykro z powodu twego ojca. Był wspaniałym człowiekiem.

- Dziękuję, Dobie.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, wszystko jedno czego, to pamiętaj, że do mnie nie masz daleko.

70

- To miło z twojej strony, ale w tej chwili, jak sądzę, ze wszystkim dobrze dajemy sobie z Benem radę.

- Z pewnością. - Dobie spojrzał na Bena, potem znowu na Abbie. - Przy następnej przejażdżce mogłabyś do mnie wstąpić. - Nie czekał na odpowiedź. - No, to już sobie pojedę. -

Przechodząc koło niej do swego porzucanego wehikułu, skinął głową. Po drodze wcisnął kapelusz na głowę.

Kiedy samochód ruszył z chrzęstem, Abbie zwróciła się do Bena:

- Czego on chciał?

- Przyszedł w związku z rachunkiem za siano. Kiedy dostarczył je ostatnim razem, nie zapłacony był jeszcze rachunek nawet za siano zimowe.

- Ojciec musiał to przeoczyć. Prześlij rachunek Lane'owi, by załatwił, co trzeba. -

Zaniepokojona Abbie ściągnęła brwi. Nie było to pierwsze upomnienie z powodu nie zapłaconego rachunku. - A teraz wezmę się za tresurę Breeze na linie. W tym tygodniu miała zbyt dużo luzu.

- To wam obu dobrze zrobi. Przyniosę lonżę i wędzidło.

Abbie podziękowała mu uśmiechem i poszła do kraty zagrody. Młoda klacz ruszyła jej na spotkanie swobodnym, płynnym biegiem, z gracją, z wysoko uniesioną głową, wygiętą szyją i srebrnym ogonem, dumnie uniesionym jak chorągiew na wietrze. Kiedy Abbie przekroczyła

ogrodzenie, River Breeze powitała ją wesołym rżeniem i niecierpliwie uderzyła chrapami w jej ramię.

Tłumiąc śmiech, Abbie obróciła się do klaczy i pogłaskała ją w ulubionym miejscu nad prawym okiem. Jej sierść była miękka jak jedwab. Gdzieś na dominującej bieli ukrywały się czarne włoski, ale skóra pod spodem była czarna jak namioty Beduinów, właścicieli jej żyjących na pustyni przodków.

- Byłaś bardzo samotna? - wyszeptała Abbie, a koń nastawił uszu. - Z pewnością nikt się o ciebie nie troszczył. Ale już wróciłam i znowu jestem przy tobie.

Objęła klacz, otoczyła ramieniem jej szyję. Czowała, że zwierzę jest zadowolone z tego gestu.

Opanowało ją bardzo silne uczucie, że jest potrzebna. Abbie poddawała mu się, nie bacząc na to, jak głupio mogło to wyglądać, aż koń zareagował na pojawienie się Bena przy ogrodzeniu.

- Bardzo się cieszę, że mnie widzi. - Abbie wzięła wędzidło i założyła je młodemu koniowi.

- Tęskniła za tobą.

- Ja za nią też. - Zapięła dolny pasek i przypięła lej ce, kiedy Ben otwierał kratę.

Srebrnoszary koń tanecznym krokiem podążył za nią przez wyjście z zagrody, pełen życia i temperamentu. Ben krytycznie przyglądał się klaczy.

71

- Przypomina mi Wielkiego Szlema. Jaki wspaniały miał krok...

- To było jeszcze w Janowie? - Janów Podlaski był słynną polską stadniną państwową, z której wywodziło się wiele wspaniałych, hodowlanych ogierów arabskich.

Ben skinął głową, a jego spojrzenie powędrowało gdzieś w dal.

- Zacząłem w Janowie, jak miałem piętnaście lat. - Abbie zauważyła, że ostatnio częściej opowiadał o swojej przeszłości. - Było to jeszcze przed wojną, zanim do Janowa ściągnęło wielu opiekunów koni.

Abbie często słyszała, co Ben przeżył w czasie drugiej wojny światowej: dramatyczną ucieczkę z najcenniejszymi zwierzętami hodowlanymi, najpierw przed Niemcami, a potem przed Rosjanami - po drodze trzeba było zostawić konie w gospodarstwach chłopskich i Rosjanie wiele z nich skonfiskowali - lata okupacji niemieckiej, grozę bombardowania Drezna, którego ofiarą padło dwadzieścia jeden zwierząt, które zwyciężały w konkursach, i wreszcie wyjazd Bena do Ameryki. Towarzyszył ogierowi, który w czasie długiej podróży morskiej padł w końcu na kolkę. Jako dziecko Abbie nie mogła nasłuchiwać się tych opowieści, a i teraz także dostawała gęsiej skórki, kiedy wyobrażała sobie Bena z jego końmi w środku płonącego Drezna.

Do siwej klaczy prowadzonej za lej ce przez Abbie zarżał ze swej zagrody wspaniały kasztan, syn Nahra El Kedara. Ben rzucił pogardliwe spojrzenie w kierunku ogiera.

- Wyścigi to są prawdziwe sprawdziany dla hodowlanego ogiera. Jego wygląd nie jest najważniejszy. Jak często z tego powodu miałem ostre dyskusje z twoim ojcem! On jednak nie chciał słuchać. Koń musiał mieć piękną głowę. Więcej nic go nie interesowało.

- Wiem. - Wiedziała też, że poglądy Benedykta Jabłońskiego opierały się na realizowanych w Polsce zasadach hodowli, zgodnie z którymi gonitwy odgrywały dużą rolę w procesie doboru materiału hodowlanego. Abbie była po jego stronie, mimo że miała przez to przeciw sobie ojca.

Ben był zdecydowanym przeciwnikiem praktykowanej przez ojca hodowli j ednorodnej. Kiedy Dean krzyżował oj ca z córką lub brata z przyrodnią siostrą, Ben nazywał to „hodowlą kazirodczą”. Dobre cechy, takie jak duże oczy, profil szczupaka czy długa szyja, umacniały się, ale tak samo utrwały się cechy niekorzystne, jak krzywe nogi czy przysadzista sylwetka. Również Abbie była przeciwna tym zasadom hodowli, szczególnie od momentu, kiedy zauważyła, że jakość arabów z River Bend stale się pogarsza.

Poprowadziła klacz na maneż. Kiedy dla odprężenia popędziła River Breeze w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, zauważyła, że Ben odszedł od ogrodzenia i udał się do stajni. Abbie zaśmiała się mimo

72

woli. Kiedyś nigdy nie pozwoliłby j ej pracować z młodym koniem bez nadzoru. Komplementy ze strony Bena były prawdziwą rzadkością, a kiedy chciał już wyrazić jakąś pochwałę, robił to gestem i zachowaniem, tak jak teraz.

Rachel zmniejszyła prędkość, kiedy zbliżyła się do wjazdu na River Bend, zaznaczonego białym szyldem z ozdobnymi, czarnymi literami i czarną sylwetką konia arabskiego. Jej wzrok powędrował w kierunku koni pasących się na łące pod wysokimi pokrytymi mchem drzewami. Przybyła tu prosto z lotniska. Podczas krótkiego pobytu w Los Angeles zdołała wypowiedzieć pracę, spakować i oddać na przechowanie swoje rzeczy oraz wynająć mieszkanie koleżance. Wszystko poszło tak gładko, że umocniła się w przekonaniu, iż jej decyzja o przeprowadzeniu się do Teksasu była słuszna. Gdy tylko znaj dzie mieszkanie, będzie mogła sprowadzić konie. Trzymając mocno kierownicę, Rachel po krótkim wahaniu skręciła w wąską drogę dojazdową przebiegającą między drzewami. Od kiedy Dean podarował jej Simoon, chciała zobaczyć jej oj ca i matkę w naturze, nie tylko na zdjęciach. Poza tym chciała poznać urządzenia w River Bend, o których tyle słyszała.

Kiedy samochód zbliżał się do serca River Bend, drzewa rozstały się i odsłoniły widok na dom rodzinny z wykuszami i wieżami oraz obiegającą go werandą z artystyczną balustradą. Był to okazały, wytworny dom. Tak, to było właściwe określenie, zdecydowała Rachel. Mimo swej wspaniałości nie sprawiał wrażenia chłodu i surowości.

Widok domu przywołał w pamięci Rachel skromne mieszkania z okresu j ej dzieciństwa, w których najwięcej miejsca zawsze zajmowały sprzęty matki. Ten okazały dom mógł być jej ogniskiem domowym. Była to gorzka, przytłaczająca myśl.

Mimowolnie Rachel nasunęły się wspomnienia niespodziewanej śmierci matki. Wróciła ze szkoły do domu, wspięła się do położonego na poddaszu atelier i zobaczyła matkę leżącą na podłodze przed niedokończonym obrazem. Kiedy matka nie reagowała na j ej zabiegi, przestraszona pobiegła po pomoc do sąsiadki. To, co było potem, pamięta jak przez mgłę. Szpital, lekarz, który uświadomił jej, że matka nie żyje. Przyjechał Dean i długo płakała w jego ramionach.

Kiedyś, przed pogrzebem lub po nim, zapytała go:

- Co teraz będzie ze mną? - Miała wtedy siedemnaście lat. Czuli się tak, jakby miała siedem, samotna i wystraszona.

73

- Załatwiłem wszystko, byś mogła zostać u Myrii Holmes - odpowiedział. Myria była przyjaciółką matki i artystką jak ona. - zaproponowała mi to i...

- Nie chcę iść do niej! - O mało nie wykrzyczała: Ja chcę do ciebie! Powstrzymała się jednak. Była całkowicie rozbita, kiedy uświadomiła sobie, że nie chciał wziąć jej do Teksasu.

- To nie na długo - dodał pospiesznie. - W przyszłym roku i tak pójdziesz do college'u i będziesz mieszkała z przyjaciółkami w kampusie.

Nigdy nie zrozumiał, że nie miała żadnych przyjaciółek, w każdym razie żadnej prawdziwej przyjaciółki. Zbyt często przeżywała rozczarowania. A teraz straciła jeszcze matkę; nikt jej nie kochał ani nie chciał mieć przy sobie, nawet ojciec.

O Boże, jak bardzo pragnęła być chcianą i kochaną, a jednocześnie obawiała się, że nigdy się to nie spełni. Jedyne, co posiadała, to konie. One są wszystkim, czego pragnę, wmawiała sobie. Sympatia i towarzystwo zwierząt wystarczały jej.

Przed wysokim dębem droga się rozdzielała. Jedna prowadziła do białego domu, druga do ogromnego kompleksu stajni. Rachel pojechała na prawo, do koni.

Po dwudziestu minutach pracy na lonży Abbie wyprowadziła River Breeze z wybiegu. Koń kroczył obok niej, sapiąc i parskając. W pobliżu stajni Abbie poczuła szarpnięcie lonży.

Przekonana, że klaczy spieszy się do żłobu z pokarmem powiedziała, rzucając spojrzenie w bok:

- Po pracy jesteśmy głodne, co?

Piękne uszy i ciemne oczy były jednak skierowane na samochód zaparkowany przed przybudówką biurową. W tym samym momencie Abbie zauważyła idącą w kierunku szczególnie zabezpieczonego wybiegu dla ogierów wysoką, ciemnowłosą kobietę, skromnie ubraną w dżinsy i bluzkę. Długie włosy gładko opadały jej na ramiona. Rachel. Abbie natychmiast ją poznała. Poczuela, że sztywniej jej wszystkie mięśnie.

Wcisnęła chłopcu stajennemu do rąk lonżę, lejce oraz pejcz i poleciła mu zająć się River Breeze. Potem szybko ruszyła do stajni i graniczących z nimi wybiegów.

Rachel stała oparta o solidne ogrodzenie, patrząc pełnym podziwu wzrokiem na leciwego ogiera hodowlanego po drugiej stronie wybiegu. Zwierzę nieufnie węszyło, wyczuwając kogoś obcego. Początkowo Rachel wcale nie zauważyła Abbie. Kiedy kątem oka dostrzegła, kto przyszedł, zażenowana odstąpiła od ogrodzenia.

- Jest wspaniały - powiedziała lekko zdenerwowanym głosem, by natychmiast ponownie skierować swoją uwagę na El Kedara.

74

- Mój ojciec też tak uważał. - Abbie nie wiedziała, dlaczego się odezwała. Być może w ten sposób chciała przeciwstawić się Rachel i dać jej do zrozumienia, że tylko ona ma prawo do swego ojca, a także do River Bend i wszystkiego, o czym zawsze myślała, że należy tylko do niej.

- Sądziłam, że w jego wieku będzie potężniejszy... że będzie miał mocniejszy kark i mocniejsze mięśnie. Tymczasem jest taki szczupły i sprawny.

- Zawsze mieliśmy kłopoty z tym, by nabrał trochę mięśni, szczególnie w sezonie krycia.

Urodził się w Egipcie i tam dorastał. Tam nie ceni się ciężkich koni. Do River Bend przybył jako trzylatek - nic tylko skóra i kości po długiej podróży morskiej i kwarantannie. - W oddzielonej od El Kedara zagrodzie zbliżył się do płotu podobnie wyglądający, brązowy ogier i rżąc, rzucał wyzwanie swemu starszemu rywalowi. - To Nahr Ibn Kedar, jego syn - wyjaśniła Abbie.

- Brakuje mu wspaniałego wyglądu Kedara, nie uważa pani?

Abbie podziwiała u Rachel umiejętność obserwacji. Nie miała pojęcia, że tak znała się na koniach arabskich.

- Tak. El Kedar nigdy sam się nie zreprodukował. - Abbie przerwała, walcząc z napięciem i wściekłością. - Po co właściwie pani tu przyjechała?

Zauważyła, że Rachel zaczęła się wahać i znowu stała się niepewna i nerwowa.

- Znam El Kedara tylko ze zdjęć. Od kiedy Dean podarował mi jego córkę, Nahr Simoon, pragnęłam go zobaczyć.

Abbie zeszywniała. Simoon była jedną z najlepszych córek El Kedara, żrebakiem, którego ojciec rzekomo sprzedał. Znowu jedno z jego kłamstw. Nie mogła jednak o tym powiedzieć, zwłaszcza Rachel.

- Zwracała się pani do niego po imieniu? - zapytała.

- Tak. Moj a matka tak chciała. Myślała, że będzie mniej nieprzyjemnych pytań niż wtedy, kiedy mówiłabym do niego ojciec lub tatusiu. - Przez moment w jej głosie i sposobie wyrażania się pojawiła się szczypta cynizmu. Zniknęła jednak natychmiast, kiedy Rachel, odwróciwszy się plecami do ogrodzenia, spojrzała na kompleks stajni. - Mam nadzieję, że będę mogła obejrzeć urządzenia stadniny.

- Dlaczego? - zapytała Abbie. Czyżby Rachel chciała ocenić ich wartość?

- Ja... chciałam sobie tylko wszystko obejrzeć, ponieważ tak dużo o tym słyszałam.

- Myślę, że rozumie pani, iż zwiedzanie jest wykluczone. - Rachel nie miała tu żadnych praw.

- River Bend z zasady nie jest dostępne dla publiczności. A do uregulowania spraw spadkowych nie jest dostępne dla nikogo.

75

- Nic by się z pewnością nie stało, gdybym się tylko rozejrzała - spróbowała Rachel jeszcze raz.

- Nie mogę się na to zgodzić. - Abbie, chociaż z trudem, udało się spokojnie udzielić tej odmownej odpowiedzi.

- Rozumiem. - Rachel zachowała spokój, mimo że widać było, jak głęboko ją to dotknęło.

-Bardzo dziękuję, że mogłam zobaczyć przynajmniej El Kedara.

- Nie ma za co.

Kiedy Rachel szła do samochodu, Abbie poczuła w oczach piekące łzy. Po raz pierwszy w życiu się bała. Tak wiele się wydarzyło. Straciła ojca, a razem z nim złudzenia przeszłości. Myśl o utraceniu chociażby małej części River Bend była nie do zniesienia.

Rachel nie mogła przecież zakładać, że będzie ją oprowadzała. Czy uważała ją za tak ograniczoną, że nie domyśli się, iż będzie wysuwała roszczenia do części, a być może do całej posiadłości? - zadawała sobie pytanie Abbie, obserwując Rachel wsiadającą do samochodu. Bardzo się jednak myliła.

Abbie odwróciła się i ruszyła w kierunku stajni, kiedy kątem oka zauważyła nagle czyjąś postać przy płocie. Popatrzyła w tamtą stronę w nadziei, że zobaczy Bena. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w jasnej sportowej marynarce nie był jednak wcale do niego podobny.

Wstrzymując oddech, usiłowała zapanować nad emocjami, kiedy Mac-Crea Wilder wlepił w nią oczy. Jak długo tam stał? Co mógł usłyszeć? Zauważyła, że popatrzył za samochodem

Rachel. Abbie uświadomiła sobie, że również przy ich pierwszym spotkaniu, na cmentarzu, Rachel była w pobliżu.

- Panie Wilder, w ogóle nie słyszałam, jak pan przyszedł.

- Tak też myślałem. - Bez pośpiechu podszedł do niej i zatrzymał się w miejscu, w którym stała Rachel. - Czy dobrze słyszałem? Ona jest pani siostrą przyrodnią?

To jeszcze nie wyjaśniało, ile usłyszała.

- Zna się pan choć trochę na koniach, panie Wilder? Wykrzywił usta, unosząc do góry końce wąsów.

- Potrafię odróżnić tył od przodu.

- W hodowli arabskich określenie „siostry przyrodnie” jest zarezerwowane dla żrebaków, które mają tę samą matkę. Rachel Farr i ja mamy tego samego ojca.

MacCrea przyglądał się jej spokojnie. Nie uszło jego uwagi, że w jej oczach zabłyśły łzy i zrozumiał, że niechcący poruszył czuły punkt. Spra-

76

wiała wrażenie tak spokojnej i zrównoważonej, że w ogóle nie dostrzegł jej napięcia. Dopiero teraz zauważył zacięte usta i ostre linie szczęki.

- Czy mogę coś dla pana zrobić, panie Wilder? Przypuszczam, że nie przyszedł pan tu po to, by być świadkiem prywatnej rozmowy?

- Chciałem złożyć wizytę pani matce. Nie byłem pewien, czy przyjmuje już gości, dlatego chciałem zapytać najpierw w stadninie. Wtedy zobaczyłem panią.

Abbie, chcąc nie chcąc, uwierzyła mu.

- Szłam już do domu, by przebrać się do obiadu. Proszę, niech pan idzie ze mną.

- Dziękuję bardzo.

U

Ma

Lamo, masz gościa! - Abbie weszła do salonu, czując wyraźnie bliskość MacCrei Wildera, tak jak przez całą drogę do domu. Uchwyciła spojrzenie, którym zlustrował pokój, zanim skoncentrował uwagę na matce.

- Pani Lawson, nie miałem jeszcze przyjemności poznać pani. Jestem MacCrea Wilder - powiedział, wymieniając z Babs uścisk dłoni.

- Miło mi pana poznać. - Babs rzuciła Abbie pytające spojrzenie.

- Teraz mogę szczerze powiedzieć, że pani zdaje, które stało na biurku męża, wcale nie dorównywało rzeczywistości.

- Pan jest chyba Teksaszczykiem - powiedziała Babs rozpromieniona komplementem. - Tylko Teksaszczyk może mówić takie rzeczy i zdobyć uznanie kobiety. - Gestem ręki wskazała mu miejsce, a wchodzącemu lokajowi Jacksonowi poleciła przygotować mrożoną herbatę.

Potem zwróciła się do MacCrei: - Znał pan Deana?

- Nie za dobrze. Nasza znajomość ograniczyła się do jednego kontaktu w interesach. -

Załoczył nogę na nogę i położył kapelusz na kolanie. - Pomagał mi w realizacji mojego projektu.

- Czy pan też ma hodowlę koni arabskich?

- Pan Wilder działa w branży naftowej - rzuciła Abbie. - Jest samotnym poszukiwaczem. - W jej przekonaniu odpowiadał on dokładnie wizerunkowi niezależnego poszukiwacza ropy naftowej, który musi mieć awanturniczą żyłkę i dobrego nosa.

77

- Niezupełnie - sprzeciwił się spokojnie MacCrea. - Jestem właściwie przedsiębiorcą zajmującym się wierceniami, mimo że od czasu do czasu angażuję się finansowo w jakieś złoże.

- A co wspólnego miał pan z moim ojcem?

- Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że rozmawiał o tym z panią, pani Lawson - powiedział, patrząc przy tym natarczywie na Babs.

- Ach, Dean dobrze wiedział, dlaczego nigdy nie należy rozmawiać ze mną o interesach - oświadczyła Babs. - Prawie zupełnie nie znam się na tych sprawach.

Uwagi Abbie nie uszło rozczarowanie, które na krótko pojawiło się w jego spojrzeniu i natychmiast znowu zniknęło. Tylko wysunięta szczęka wskazywała, że nie taką odpowiedź chciał usłyszeć.

- O jaki projekt chodziło, przy którym tatuś miał być panu pomocny?

- Ciekawość Abbie została pobudzona.

Ociągał się z wyjaśnieniem, jak gdyby nie był pewien, ile może jej powiedzieć lub ile by zrozumiała.

- Przy pomocy zaprzyjaźnionego eksperta od komputerów opracowałem system, który umożliwiał dokładne określenie zachowania się szlamów wiertniczych w otworze. Krótko mówiąc, ułatwiał to mistrzowi wiertniczemu podejmowanie decyzji o potrzebnych szlamach.

- Ma pan na myśli to błocko - zauważyła Abbie ze śmiechem. Kąciki ust mu drgnęły.

- Tak. Nazwisko Lawson cieszy się legendarną sławą w przemyśle szlamów wiertniczych. Już jako dziecko słyszałem najwspanialsze historie o pani dziadku.

- Tak, R.D. był niezrównany - przypomniała sobie melancholijnie Babs.

- Za co tylko się wziął, wszystko musiało być wielkie, na teksańską modłę. Kiedy tu przyjeżdżał, cały dom był pełen życia. Przy nim zawsze można było czuć się bezpiecznie. - Westchnęła. - Zawsze uważałam, że Dean postąpił niesłusznie, sprzedając przedsiębiorstwo, które R.D. z takim mozolem stworzył i z którego był tak dumny. Czy pana rodzina także działała w branży naftowej, panie Wilder?

- Mój ojciec zajmował się wierceniami. Urodził się na zachód od Abi-lene na rodzinnym ranczu i tam zaraził się gorączką naftową. - Pomiął milczeniem to, że w latach kryzysu ranczo zostało przymusowo zlicytowane, a jego ojciec musiał szukać pracy na polach naftowych. Bardzo wczesnie stracił matkę i przeniósł się z ojcem z jednego pola naftowego na drugie

- do Teksasu, Arkansas, Oklahomy, Kansas, Wyo-ming i Luizjany. Poznał szkoły w całym kraju, ajako dwunastolatek rozpoczął pracę na polach naftowych. W wieku osiemnastu lat został wspólnikiem ojca, który umieścił

78

wtedy na ciężarówkach napis: „Wilder i Syn - przedsiębiorstwo wiertnicze”. Wspólnie chcieli stać się wielkimi ludźmi w branży. John Thomas Wilder był dla niego kimś więcej niż ojcem. Był ojcem i kumplem zarazem.

- Czy pana ojciec jeszcze... - Abbie zawahała się z dokończeniem tego pytania.
- Zginął kilka lat temu w wypadku. Trzydzieści lat temu, ściśle rzecz biorąc. - MacCrea z trudem odsunął od siebie to wspomnienie. Wypił łyk herbaty i z uznaniem podniósł do góry szklankę. - Dobra herbata, pani Lawson. Najczęściej dostają za słodką jak na mój smak. Abbie zwróciła uwagę, że mały palec trzymał wyciągnięty i lekko zagięty jak kobieta, co wcale nie pasowało do jego surowego męskiego sposobu bycia.
- Tajemnica polega na właściwym dozowaniu soku cytrynowego. Nawet w słodkim napoju potrzebny jest ten lekko cierpki smak - odparła Babs.
- Słodczy i cierpkość... Dziadek zawsze mówił, że najbardziej lubiłby to u kobiet - wspominała głośno Abbie. Wzmianka MacCrea o dziadku musiała obudzić w niej te wspomnienia.
- Ach, pani dziadek wiedział, o czym mówił. - MacCrea nie spuszczał przy tym z niej oczu. Abbie nie wiedziała, czy było to pomyślane jako niewinna odpowiedź, czy też jako osobista aluzja. Wielokrotnie już zarzucano jej, że ma ostry język. A tym razem też musiała przyznać, że wcześniej, koło stajni wcale nie była serdeczna. Wypił do końca napój ze szklanki, znowu z lekko zakrzywionym małym palcem.
- Pani Lawson, to bardzo miłe z pani strony, że poświęciła mi pani swój czas. Nie chciałbym już nadużywać pani gościnności. - Odstawił pustą szklankę na stolik obok fotela, wziął kapelusz i podniósł się. - Dziękuję. Także za herbatę.
- Było nam bardzo miło, panie Wilder. - Babs podała mu rękę. Mocno przytrzymał jej dłoń.
- Chciałbym powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci pani męża.
- Dziękuję. - Babs prawie niedostrzegalnie się zachwiała. Abbie podskoczyła do niej.
- Odprowadzę naszego gościa na zewnątrz.
- Nie trzeba - bronił się MacCrea.
- To przecież nic takiego. - Abbie wyszła z nim z domu. Na stopniach werandy zauważyła, do jakiego stopnia myśli miał zaprzątnięte czymś innym. - Nie wyjaśnił pan jeszcze dokładnie, w jaki sposób mój ojciec panu pomagał.

79

Kiedy spojrzął na nią, nabrała pewności, że myślami był bardzo daleko.

- Mówił o możliwości udziału finansowego, ale w gruncie rzeczy chodziło o to, by skontaktował mnie z właściwymi ludźmi. Dobre kontakty miał bowiem nadal, mimo że sam nie działał już w branży naftowej. Dlatego zwróciłem się do niego.
- A co miały dać takie kontakty?
- W tej chwili mam tylko prototyp urządzenia i mógłbym swój wynalazek opatentować. Trzeba zbudować modele próbne i przeprowadzić praktyczne próby. Nie stać mnie jednak ani finansowo, ani pod jakimkolwiek innym względem, by samemu rozwinąć mój wynalazek i wprowadzić go na rynek.
- Co więc pan zrobi? Sprzeda patent?
- Tylko w ostateczności. System kosztował mnie tyle wysiłku, że nie chciałbym wypuszczać go z ręki, jeżeli nie będzie to bezwarunkowo konieczne. Ale może nie będę miał wyboru. - Wzruszeniem ramion dał wyraz swój e-mu rozczarowaniu, że znowu wylądował w punkcie wyjścia.

- Dziadek zawsze mówił, że Houston przyciąga ludzi, którzy potrafią dużo zrobić. Takie typy, które nie pozwolą zapanować nad sobą. - Abbie zaśmiała się bez troski. - Przynajmniej wybrał pan sobie właściwe miej sce.

- Być może. -Nie mógł oderwać wzroku od wspaniałego kształtu jej ust, miękkich i zmysłowych.

Kiedy poznał ją w biurze Lawsona, już wtedy rzucił mu się w oczy jej wygląd, niezwykła kombinacja gęstych, ciemnych włosów i nieprawdopodobnie niebieskich oczu.

Odrzuciła go jednak wówczas jej nieprzystępność i arogancja, wydawała mu się złośliwa i rozkapryszona. Za piękną fasadą nic się nie kryło, jak sądził. Podczas pogrzebu widział jednak, że była wrażliwa. A teraz... teraz zadawał sobie pytanie, czy nie pomylił się w jej ocenie. Być może, wcale nie była taką powierzchowną, rozkapryszoną osobą, za jaką ją uważał.

- Co pan teraz robi? - zapytała.

- Zacznę od początku.

- Może znam kilku ludzi, z którymi mogłabym pana skontaktować. -Pierwszy przyszedł jej na myśl Lane Cansfield. - Popytam i zobaczę, co się da zrobić. Czyj est pan gdzieś osiągalny?

Wyjął z kieszeni wizytówkę i na odwrocie napisał numer telefonu. -Pod tym numerem można mnie zastać - powiedział i wręczył j ej kartkę. -To mój numer na terenie wierceń w Brazoria County. Jestem tam osiągalny w dzień i w nocy.

Do domu zapewne nigdy pan nie j eździ?

80

- To jest mój dom. Gdy tylko zaczynam wiercenie, cały czas jestem na zewnątrz - wyjaśnił z wyzywającym spojrzeniem. - Pani Lawson, czy widziała pani kiedyś wieżę wiertniczą w ruchu?

- Nawet bardzo często. Jesteśmy przecież w Teksasie - zapewniła Abbie, po czym z pełnym skruchy uśmiechem dodała: - Widziałam je oczywiście tylko z oddali, z drogi.

- Dla Teksanki, a do tego jeszcze wnuczki R.D. to straszna luka w wykształceniu.

- Tak, ma pan rację - przyznała. Jego towarzystwo było tak interesujące, że po raz pierwszy od dłuższego czasu czuła się znowu naprawdę ożywiona.

- Czy chce pani zlikwidować tę lukę zwiedzeniem pracuj ącej wieży?

- Z panem j ako przewodnikiem?

- Zgadła pani. Jeżeli jutro po południu nie będzie pani miała niczego lepszego do roboty, proszę przyjechać na teren wierceń. Wszystko pani pokażę. - Kiedy doszli do jego ciężarówki, udzielił jej dokładnych wskazówek, jak ma tam trafić. - Wieżę widać z drogi, więc nie może pani zablądzić.

- A więc do jutra.

Skinał głową, wsiadł do zakurzonej, czarnej ciężarówki i zatrzasnął drzwi. Pozdrawiając ją niedbale podniesioną ręką, ruszył z miejsca i pojechał w kierunku wyj azdu.

Od czasu początków boomu, kiedy Houston uczyniło słynne pole naftowe Spindletop centralnym ośrodkiem przemysłu naftowego, ze śródlądowym portem, rafineriami i instalacjami petrochemicznymi, przemysł ten bardzo się zmienił. Postęp nauki i techniki przyniósł ze sobą udoskonalone środki pomocnicze i technologie. Świadomość ekologiczna i kontrole państwowe doprowadziły do zredukowania zanieczyszczeń powietrza i wzrostu

kosztów. Popyt i uwolnienie cen na produkty naftowe i gaz ziemny spowodowały w 1980 roku szybki wzrost cen nieprzetworzonej ropy.

Jednak jeden czynnik się nie zmienił: kluczowa rola niezależnych poszukiwaczy ropy naftowej, wildcatterów. To oni nadal przeprowadzali najwięcej wierceń próbnych w celu uruchomienia eksploatacji nowych pól. Na ich konto szło dokładnie osiemdziesiąt procent wszystkich odkryć złóż gazu ziemnego i ropy naftowej.

Wildcatterzy bardzo rzadko, jeżeli w ogóle, podejmowali w całości koszty próbnych wierceń. Dzielili się ryzykiem, sprzedając udziały wielkim towarzystwom lub innym niezależnym poszukiwaczom oraz inwestorom prywatnym, a także wykorzystując wszelkie inne możliwości. Największe sukcesy wśród nich osiągnęli ostrożni i wyrachowani hazardziści.

6 - Przyrodnie siostry

O J

MacCrea Wilder mógł nazywać siebie przedsiębiorcą wiertniczym, ale Abbie wiedziała dokładnie, jak miały się rzeczy w tej branży. Przysłuchiwała się zbyt wielu dyskusjom między byłym mężem a jego ojcem, bankierem, i wiedziała, że większość banków bardzo niechętnie stawiała na nowicjuszy. W tej branży dokładnie brało się pod lupę dotychczasowe osiągnięcia wild-cattera i badało jego trwałe majątek. MacCrea swoimi interesami i udziałami stworzył sobie podstawę do własnej przedsiębiorczości i zarazem źródło dochodów, dając w ten sposób dowód wiedzy i doświadczenia na polu wiertniczym.

Rozważania te wywołały uśmiech na twarzy Abbie. Nie ma żadnej wątpliwości, że ten mężczyzna rzeczywiście wzbudził jej zainteresowanie.

Obserwowała horyzont po prawej stronie, poszukując stalowego szkieletu wieży wiertniczej. Jeżeli wskazówki MacCrea były prawidłowe, to lada moment powinna się pojawić.

Nagle zobaczyła ją, około półtora kilometra od głównej drogi. Zwolniła, by nie przeoczyć zjazdu. Po niecałym kwadransie dostrzegła odchodzącą pod kątem prostym szarobiałą drogę, prowadzącą bezpośrednio do wieży wiertniczej.

Wysoka, stercząca nad platformą wieża górowała nad terenem. U jej stóp kłębiły się urządzenia pomocnicze: agregaty wysokoprężne zaopatrujące całą instalację energią elektryczną, magazyn żerdzi wiertniczych, pompy i zbiorniki szlamu wiertniczego, zbiorniki paliwa i służące jako biura przyczepy kempingowe. Wszystko to było połączone siecią ścieżek, przejść i schodów.

Abbie postawiła swego mercedesa obok czarnego samochodu dostawczego MacCrea. Ciągły huk agregatów wysokoprężnych zagłuszył trzaśnięcie drzwi samochodu. Żaden z robotników nie zauważył chyba jej przybycia.

Chciała się udać w kierunku najbliższej przyczepy kempingowej, kiedy wyszedł z niej MacCrea w niebieskozielonym kombinezonie i kasku ochronnym. Tuż za nim szedł jeszcze ktoś, w codziennym ubraniu, kolorowej koszuli i brązowych spodniach, także w przepisowym kasku ochronnym na głowie.

- Hej... - Abbie podeszła do MacCrea i patrząc pytająco na towarzyszącego mu mężczyznę, zapytała: - Przychodzę nie w porę?

- Ależ nie - odparł i poznał ją przedstawicielem towarzystwa naftowego, dla którego prowadził wiercenia. - Chuck żyje tu tak jak ja - wyśmiał

82

MacCrea, wskazując na przyczepę kempingową za sobą. - Obiecałem pani Lawson małe zwiedzanie wieży.

- Witam panią serdecznie, pani Lawson. W tej branży dobrze znane jest nazwisko pani dziadka. Tędy proszę. - Zdjął kask ochronny i podał go Abbie. - Potrzebuje go tu pani.

- Dziękuję. - Abbie musiała mówić głośno, by zrozumiano ją przez huk silników wysokoprężnych i hałas innych urządzeń.

Kiedy MacCrea zaciągnął wewnętrzną taśmę kasku i nałożył go Abbie, rozpoczęli zwiedzanie. Najpierw pokazał jej zbiorniki szlamu wiertniczego, zawierające gęstą, szarobrazową ciecz, podstawę jej rodzinnego majątku. Wyjaśniał jej różne procedury i instalacje, przez które musiał przechodzić szlam wiertniczy, oraz ich funkcje.

Już po krótkim czasie Abbie huczało w głowie od hałasu, upału i terminów technicznych. Poczła niezwykłą ulgę, kiedy po zwiedzeniu platformy wiertniczej MacCrea zaprowadził ją do swojej przyczepy kempingowej. Zdjęła rozgrzany hełm i potrząsnęła głową.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi i hałas silników został przytłumiony, zadzwonił telefon na biurku.

- Wilder, wiercenia - zgłosił się MacCrea.

Podczas rozmowy telefonicznej Abbie rozglądała się po urządzonej po spartańsku biurze.

- Tak, Red. Chwileczkę. - MacCrea przysłonił dłonią mikrofon. - Wiele nie mogę pani zaproponować, ale w kuchni obok jest w lodówce piwo, a w szafie herbata rozpuszczalna. Proszę, niech się pani obsłuży.

Zrobiła sobie szklankę herbaty. Wiedziona instynktem przygotowała też napój dla MacCrea.

Podziękował jej uśmiechem, kiedy mu go podała. Przez chwilę kontynuował jeszcze rozmowę, aż w końcu odłożył słuchawkę.

- Proszę wybaczyć to zakłócenie. To mój mistrz wiertniczy z innej wieży. Chciał mnie poinformować, jak posuwa się praca.

- Mistrz wiertniczy? - Abbie była oszołomiona powodzią nowych pojęć, które poznała w ciągu ostatniej godziny. Dziwiła się, jak mało w gruncie rzeczy o tym wszystkim wiedziała. Ona, która uważała, że wie wszystko o branży naftowej.

- Mistrz wiertniczy odpowiada za cały proces wiercenia i za koordynację z przedstawicielem towarzystwa naftowego. Ja jestem tu mistrzem wiertniczym tylko tymczasowo - wyjaśnił. - Odpowiedzialny pracownik leży w szpitalu ze złamaną nogą. Zwykle nie jestem związany z tym polem wiertniczym.

83

Podniósł szklankę do ust i Abbie niechcący znowu zauważyła szczególne wykrzywienie małego palca, nienaturalny gest, który nie pasował do jego zachowania.

- Dlaczego tak śmiesznie wykrzywia pan mały palec? - Pomyślała, że przyczyną tego było stare złamanie.

- Ach, to? - Spojrzał na swój ą dłoń i jednocześnie wzruszył ramionami. - Krótszy palec. Wrodzona wada, która stale pojawia się w rodzinie.

- A ja już myślałam Bóg wie co.

Otworzyły się drzwi wejściowe i do pomieszczenia wdarł się hałas. Kiedy Abbie się odwróciła, zobaczyła w drzwiach głowę jednego z wiertaczy.

- Szefie, kopnęło.

MacCrea zerwał się momentalnie, odstawił szklanekę, chwycił kask i przebiegł obok niej.

- Czy firma powiadomiona?

- Jeszcze nie - odpowiedział robotnik, odsuwając się na bok, kiedy MacCrea rzucił się do drzwi.

- To niech pan powie temu człowiekowi - zarządził szorstko. Abbie z zaciekawieniem podskoczyła do drzwi i zobaczyła jeszcze, jak

MacCrea po dwa stopnie naraz wbiegał na platformę. Wahala się chwilę, po czym włożyła kask i wybiegła na zewnątrz.

Na metalowej platformie MacCrea naradzał się z przedstawicielem towarzystwa naftowego i ekspertem od szlamu wiertniczego. Wszyscy inni stali dookoła i czekali. Abbie zauważyła, że obniżył się poziom hałasu i nie obracała się już tarcza wiertnicza. Wiercenie przerwano.

Trzej mężczyźni byli tak pogrążeni w dyskusji, że początkowo żaden z nich nie zwracał na nią uwagi. MacCrea rzucił jej krótkie spojrzenie i dalej pilnie słuchał tego, co mówił ekspert od szlamu.

Zauważył ją dopiero przy drugim spojrzeniu.

- Co pani tu robi, do cholery? - Dосkoczył do niej i chwycił za ramię. -Ja chciałam tylko...

-Abbie usiłowała wyjaśnić, ale on już odwrócił ją gwałtownie i spychał na schody.

- Proszę się schować w przyczepie i tam zostać! Zrozumiano, szanowna pani?

- Tak, ja... - Ten wybuch wściekłości zaskoczyła.

- Proszę stąd zjeżdżać! - wrzasnął na nią i pchnął ją po schodach w dół.

Abbie musiała mocno się trzymać poręczy, żeby nie spaść. Nadwreżyła sobie przy tym mięśnie lewego ramienia. Kiedy znowu odzyskała równowagę, MacCrei już nie było.

Nieprzyjemnie poruszona faktem, że całemu

84

zajściu przyglądali się inni, zbiegła na dół po ostatnich stopniach i dumnie wyprostowana poszła do biura.

Jej zakłopotanie stopniowo ustępowało miejsca oburzeniu. Kiedy po chwili wszedł MacCrea, gotowała się ze złości. Zaatakowała go, zanim zdążył zamknąć drzwi.

- Za kogo pan się właściwie uważa? Tak mną komenderować! - Wyglądał na wyczerpanego i zgrzanego. Na kombinezonie pod pachami i na piersi widniały plamy potu.

- Nie ma pani czego tam szukać - mruknął. Przeciskając się obok niej, nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem.

- A skąd miałam wiedzieć? - pytanie to skierowała do jego pleców, kiedy zdjął kask i cesał palcami ciemne włosy. - Wybiegł pan bez słowa.

MacCrea odwrócił się i spojrzał na nią błyszczącymi oczami.

- Do diabła! Słyszała pani przecież, jak Peter powiedział, że kop-nęło!

- A skąd miałam wiedzieć, co to znaczy?

- Chce pani jeszcze jednej lekcji? Już japani prawie otrzymała! Źródło ropy naftowej „kopie”, zanim wybuchnie. Przeżyła pani kiedyś taki wybuch?

Nieco udobruchana jego wyjaśnieniem Abbie powiedziała:

- Nie. Ale słyszałam...

- Słyszałam-przedrzeźniał ją. -Ja widziałem to na własne oczy. Nie jest to piękny widok, niech mi pani wierzy. Nie wiadomo, co w tej dziurze na dole tkwi, gaz, solanka czy ropa naftowa, a może wszystko razem. Nie wiadomo też, jak duże jest ciśnienie, czy tak wielkie, że wyrzuci kogoś w powietrze razem z całą instalacją, czy też wieża wraz z platformą i urządzeniami pomocniczymi stanie się kulą ognia. Tam, na zewnątrz, równie dobrze mogła pani stać na beczce prochu.

- Na szczęście do tego nie doszło. Wciąż tu jestem. Nic sienie stało.

- Nic się nie stało. - Powtórzył jej słowa, zaciskając zęby. - Moja metoda sprowadzenia pani z platformy wiertniczej na dół nie była może łagodna, ale musi pani przyznać, że skuteczna. Nie miałem czasu na wyjaśnienia. Tam, na zewnątrz, mam już dosyć problemów i nie muszę znosić tego, kiedy beszta mnie pani, kierując się ignorancją i urażoną dumą. Niech mi pani wybaczy, ale mam jeszcze coś do zrobienia. - Odwrócił się i wyciągnął jedną z szuflad szafy z aktami.

Abbie wybiegła na oślep z pomieszczenia rozgniewana i wściekła, ponieważ ją upokorzył.

85

12

Lachel weszła do wielkiego salonu, utrzymanego w stonowanych odcieniach szarości, brzoskwini i beżu, który wyglądał jak na fotografii z czasopisma poświęconego urządzeniu wewnątrz, i była zdumiona luksusowym urządzeniem.

Każda rzecz była dobrana z wyczuciem proporcji i z rozwagą, nie było nic kiczowatego lub natrętnego, wszystko solidne i eleganckie.

Jej wzrok powędrował w kierunku ściany zewnętrznej, z wysokimi oknami, przez które widać było szeroką panoramę miasta. Oczarował ją widok Houston w promieniach zachodzącego słońca, widok szklanych wież, w których odbijały się fioletowe barwy wieczornego nieba.

Lane stanął obok niej i zapytał:

- Co pani o tym sądzi?

- Zapiera dech - powiedziała i z uśmiechem dodała: - Bardzo to pasuje, Houston u pana stóp.

- To drobna przesada - odparł Lane.

Jego skromność wydawała się prawdziwa. Była to bardzo ujmująca cecha, tak samo jak wiara we własne siły, którą emanował, ale która jednak nigdy nie działała odpychająco. Lane podobał się jej i czasem zaniepokojona zadawała sobie pytanie, czy nie za bardzo.

- Lane, był pan tak miły dla mnie. - Nie chciała błędnie interpretować jego uprzejmości i rozbudzać zbyt wiele własnych nadziei.

- Nietrudno być miłym dla pięknej kobiety. Niech pani mnie źle nie rozumie, Rachel. Nie zaprosiłem dziś pani dlatego, że czułem się zobowiązany, lecz dlatego że cieszyłem się z możliwości spędzenia z panią czasu.

Rachel wierzyła mu. Jego zainteresowanie wyglądało na prawdziwe. Pochlebiali jej to i czuła się trochę podniecona faktem, że taki mężczyzna jak Lane Canfield chciał poświęcać jej swój czas.

To również spowodowało, że jej mała ekspedycja zakupowa w Houston przekształciła się w większą akcję, ponieważ żadna z jej sukien jakoś nie pasowała na ten wieczór. Godzinami przeczesywała sklepy w poszukiwaniu czegoś stosunkowo prostego, ale eleganckiego. Cena nie grała żadnej roli.

W końcu kupiła biały, gładki i zawsze modny lniany kostium z dopasowanym żakiem o obszytych perełkami epoletach, wnoszących ten rys elegancji, którego szukała. Potem, zbierając całą odwagę, poddała się zabiegom w salonie kosmetycznym. Nauczono ją tam właściwego makijażu, który sprawiał, że jej rysy zdawały się łagodniejsze, usta pełniejsze, a oczy jeszcze bardziej niebieskie.

Kazała skrócić sobie włosy do ramion i tak ułożyć, by miękkimi lokami okalały jej twarz. Po raz pierwszy w życiu czuła się wystarczająco pewna

siebie, by towarzyszyć Lane'owi w najbardziej ekskluzywnej restauracji w Houston. Co jednak mogło być w tym mieście bardziej ekskluzywnego od penthouse w Magic Circle?

- Lane, muszę wyznać, iż nie przyjąłem zaproszenia dlatego, że był pan przyjacielem Deana, lecz dlatego że... że lubię pana towarzystwo. - Rachel poczuła się bardzo odważna, ale chciała, żeby Lane poznał jej prawdziwe uczucia.

- Rachel, to polega na wzajemności. Nie mam odwagi powiedzieć, jak bardzo zależy mi na pani towarzystwie. Pomyślałaby pani jeszcze, że jestem starym lubieżnikiem.

- Ależ nie. - Jeszcze nigdy nie czuła się tak dobrze w towarzystwie mężczyzny. Ci, z którymi się spotykała, byli w porównaniu z Lane'em niedojrzałymi młodzieńcami.

- Proces starzenia się jest bardzo osobliwy. Chronologicznie coraz starsze staje się ciało, ale duch... myślę i czuję się jak ktoś o dwadzieścia lat młodszy. - Zaśmiał się, a w kącikach jego oczu pojawiły się małe zmarszczki. - Używając języka hodowców, można powiedzieć, że w pani towarzystwie czuję się jak młody ogier.

Zareagowała na to przytłumionym śmiechem.

- Nie sądzę. Młode ogiery mogą niekiedy zachowywać się bardzo nierozsądnie.

- Być może właśnie to napawa mnie troską, Rachel... że jestem nierozsądny, jeśli chodzi o panią.

Za tym stwierdzeniem kryło się pytanie, które Rachel oczywiście wyłowiła.

Zareagowała przyspieszonym tętnem. Kokieteria była jej obca, więc nie przychodziła jej do głowy żadna dowcipna, a zarazem pochlebna odpowiedź. Musiała uciec się do prawdy.

- Wcale nie jest pan nierozsądny, Lane. - Jej odpowiedź przeszła w szept i zdała sobie sprawę, jak wiele ze swoich uczuć przez to ujawniła.

- Mam nadzieję, że naprawdę pani tak myśli - stwierdził poważnie, nie spuszczając z niej wzroku. Dyskretne chrząknięcie przerwało nagle urok chwili, któremu oboje ulegli.

- Tak, Henley, co się stało? - Lane był lekko zirytowany wejściem swego lokaja.

87

- Telefon, sir. Pilny, jak sądzę.

- Już idę. - Z uśmiechem ubolewania odwrócił się do Rachel. - Zaraz wrócę. - Wyszedł za lokajem z pokoju.

- Jest tam? - Babs Lawson stanęła niespokojnie tuż obok Abbie.

- Tak, właśnie go proszą do telefonu. - Przedłużające się oczekiwanie zniecierpliwilo ją.

Zanim zapomnę, mam, dopilnuj, by Jackson przygotował jeszcze jedno nakrycie do obiadu. Dobrze Hix przyjdzie do nas.

- Tak? A z jakiej okazji?

- Bo go zaprosiłam - odparła szorstko Abbie i od razu westchnęła skruszona, uświadamiając sobie, że od powrotu z wieży wiertniczej do wszystkich zwracała się tym tonem.

- Przyszedł dziś do stajni i zaprosiłam go. -Nie wspomniała o aluzjach, które robił pod jej adresem, i o nie zapłaconym rachunku za siano.

- Halo, Lane? - Mocniej ścisnęła słuchawkę. - Tu Abbie Lawson. -Nie traciła czasu na puste słowa i od razu przeszła do rzeczy. - Stale dzwonią do nas wierzyciele i pytają, kiedy wreszcie dostaną swoje pieniądze.

- Niech im pani podaj e numer telefonu do mojego biura. Powinni dzwonić do mnie, ja wszystko załatwię. -Jego odpowiedź była zbyt gładka i to ją zirykowało.

- Właśnie to dokładnie zrobiliśmy. Lane, proszę powiedzieć... jak długo potrwa, zanim dostaną te pieniądze?

Na drugim końcu przewodu nastąpiła dłuższa cisza. Abbie czuła, że przynajmniej teraz skoncentrował na niej całą uwagę.

- Może przyjechałbym w czwartek do River Bend? - powiedział wreszcie. - Moglibyśmy zasiąść wówczas z panią i Babs i wyjaśnić wam sytuację.

- Im wcześniej, tym lepiej.

- A więc dobrze, zobaczymy się w czwartek. Proszę pozdrowić ode mnie Babs.

- Zrobię to. - Ale on już odłożył słuchawkę. Marszcząc czoło w zamyśleniu, Abbie zrobiła to samo. Długa przerwa, niezwykle ton jego głosu, wszystko to ją niepokoiło.

- No jak, co Lane powiedział? Abbie spojrzała na matkę.

- Kazał cię pozdrowić. W czwartek chce przyjechać i rozmawiać z nami.

- Dzięki Bogu. To wszystko jest takie nieprzyjemne, te telefony i pytania.

- Wiem.-Abbie skinęła głową.

Lane dotrzymał słowa i po kilku minutach zjawiał się ponownie przy Rachel, która zauważyła, że myślni był zupełnie gdzie indziej.

- Coś się stało? - Jej pytanie wyrwało go z zamyślenia.

Szybko zmusił się do uśmiechu, ale Rachel dostrzegła, że wyraz jego oczu sienie zmienił.

- Nic, zupełnie nic. Interesy. - Ujął jej dłoń. - Henley powiedział mi, że możemy jeść, kiedy tylko zechcemy. Jesteś głodna? - To „ty” wydawało się nagle zupełnie nie na miejscu.

- Jeszcze jak.

Poprowadził ją do jadalni. Na nakrytym dla dwóch osób stole paliły się dwie świece w srebrnych świecznikach, w kubelku z lodem chłodził się szampan. Na jednym talerzu leżała długa róża. Przed tym talerzem Henley odsunął dla Rachel krzesło.

- Widzisz, jaki byłem dziś optymistyczny? - powiedział Lane, kiedy przy pomocy Henleya zasiadła do stołu. - Świece, szampan, róża, i sam na sam. - Henley ze znanostwem strzelił korkiem od szampana -No tak, prawie sam na sam - uzupełnił Lane ze śmiechem.

Rachel usiłowała ukryć uśmiech, mimo że Henley nie zareagował w najmniejszym stopniu na słowa swego pana. Nalał im szampana i zniknął w bocznych drzwiach.

- Za piękny wieczór i piękną kobietę! - Lane podniósł kieliszek i Rachel stuknęła się z nim.

Jasny dźwięk kryształu wypełnił pokój. Kiedy Rachel piła pierwszy łyk, dostrzegła nad brzegiem kieliszka, że Lane znowu się zamyślił. Jednak natychmiast się opanował. -

Zastanawiałem się właśnie, albo właściwie zadawałem sobie pytanie, czy zechciałabyś znowu zjeść ze mną kolację w piątek. W czwartek będę prawdopodobnie dłużej zajęty w River Bend. W przeciwnym wypadku...

- Tak, chętnie. - Rachel pospieszyła się z odpowiedzią, mając jednocześnie duże wątpliwości, czy powinna wspomnieć o swojej własnej wizycie w River Bend. Postanowiła tego nie robić, bo nie chciała sobie przypominać, jak niepożądana i skrępowana czuła się podczas tamtej wizyty.

13

89

Uhoć Ben przygotował personel stajni, to jednak Abbie przypadło zadanie wyjaśnienia im sytuacji. Przerażone spojrzenia pracowników wcale jej tego nie ułatwiały. Mimo napięcia starała się zachować spokój.

- Wszyscy powinniście wiedzieć, że wypowiedzenia są tylko tymczasowe. W tej chwili nie ma dość gotówki, by wypłacać wam pensje. Musimy poczekać, aż zostanie uregulowana sprawa spadku po moim ojcu. Nikt nie może wymagać od was, byście tu dalej pracowali i czekali na pieniądze. Macie przecież rodziny na utrzymaniu. - W głębi duszy ciągle jeszcze miała nadzieję, że niektórzy z nich zostaną.

- Jak długo może to potrwać, aż znowu zostaniemy zatrudnieni? - zapytał z zatroskaną miną Manny Ortega.

- Nie wiem. - Lane Canfield w wyjątkowej rozmowie nie chciał wiązać się żadnymi terminami. - Być może sześć tygodni.

Nerwowo obracali w rękach koperty, w których były pensje wypłacone im przez Bena.

- Da nam pani znać, kiedy mamy wrócić? - zapytał jeden z nich.

- Tak, powiadomimy was. - Abbie z rozczerwaniem spoglądała na pracowników, powoli zmierzających do swoich samochodów, gdzie jeszcze krótko rozmawiali przed odjazdem.

- Czy jest bardzo źle? - zapytał stojący obok niej Ben.

- To przejściowe trudności - zapewniła go. - Prywatne i firmowe konta ojca są zablokowane.

Nie nadszedł spodziewany czek z towarzystwa ubezpieczeniowego, ponieważ tatuś w ubiegłym roku pobrał swoje ubezpieczenie na życie, nikogo o tym nie powiadamiając.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Poza tym to daremne rozważania. Pieniądzy z ubezpieczenia nie mamy i nie otrzymamy. Jeśli zaś chodzi o biuro adwokackie, farmę i osobiste finanse ojca, to jeszcze nic nie jest wyjaśnione. Lane powiedział, że ostateczne wyjaśnienie tych spraw potrwa znacznie dłużej, niż początkowo zakładał. Wszystko to jest dla nas oczywiście ciężkim ciosem, ale jakoś damy sobie radę... także bez tych ludzi.

Ruchem głowy wskazała na odjeżdżające samochody personelu stajennego.

- Czego od nich oczekiwałaś?

- Myślałam, że przynajmniej Manny zostanie. Bądź co bądź, pracuje u nas od sześciu lat.

- Ma rodzinę - przypomniał jej Ben.

- Co z tego? Dla mnie jest to dowodem, że kupić można nawet wierność i lojalność człowieka.

- Abbie wiedziała, jak cynicznie i pogardliwie zabrzmiały te słowa, ale się tym nie przejęła.

90

Wzbijając tumany kurzu, na dziedziniec zajechał samochód kombi. W pierwszej chwili pomyślała, że to Manny zastanowił się i wrócił. Nadzieja ta jednak rozplynęła się, kiedy rozpoznała czarny pojazd MacCrei Wildera.

Wspomnienie o tym, jak ją potraktował, jeszcze bardziej wzmogło jej gniew i wcale nie starała się ukryć złego humoru, kiedy ruszyła mu na spotkanie. MacCrea stanął przy tylnych drzwiach samochodu.

- Dzień dobry, pani Lawson. - Jego głos był uprzejmy, ale spojrzenie lodowate.

- Niech pan tylko teraz nie mówi, że wszystko pan przemyślał i chce mnie przeprosić za swoje grubiaństwo - zadrwiła, ciesząc się z tego, że może mu się zrewanżować.

- Niedawno wspominała pani, że wśród swoich znajomych ma ludzi, którzy mogliby się zainteresować opracowanym przeze mnie systemem. Przyj echałem, by wziąć listę nazwisk, jeżeli ją pani przygotowała.

Bezczelność tego człowieka była naprawdę zadziwiająca.

- Nawet mi się nie śni, by pomagać takiemu typowi jak pan. Nie pomagam nikomu, kto mnie traktuje w ten sposób.

MacCrea głęboko zaczerpnął powietrza, by potem powoli je wypuścić. Nie spuszczał z niej oczu.

- Pani wciąż uważa, że powinienem ją przeprosić? No dobrze. Bardzo mi przykro, że w najmniejszym stopniu martwiłem się o pani bezpieczeństwo. Nic się przecież nie zdarzyło, jak już pani podkreśliła. Gdyby wieża wiertnicza wyleciała w powietrze, dziękowałaby mi pani, że uratowałem jej życie.

Odwrócił się nagle i wszedł do swojego kombi, gdy Abbie szukałajesz-cze celnej riposty. Miał rację, chociaż przyznanie tego przyszło jej z wielkim trudem.

Odjeżdżając, raz jeszcze spojrzał w jej kierunku. Abbie patrzyła na samochód, dopóki nie zniknął za zakrętem. Potem powoli poszła do domu.

Słońce zeszło już nisko i pędzący mercedes Abbie rzucał długi cień na drogę. Na siedzeniu obok niej leżała kartka papieru z nazwiskami i numerami telefonów osób, które zainteresowały się wynalazkiem MacCrea i chciałyby się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

Omam nie przeoczyła zj azdu do wieży wiertniczej i zahamowała tak ostro, że wpadła w poślizg.

Wiedziała, że o tej porze pracowano jeszcze na platformie, ponieważ wiercenia próbne aż do osiągnięcia ustalonej w umowie głębokości prowa-

91

dziły na zmianę trzy zespoły. Zaparkowała przed przyczepą kempingową MacCrea, wzięła listę z nazwiskami i wysiadła.

Ubrana nadal w spodnie do jazdy konnej i długie buty zatrzymała się na chwilę przed drzwiami, by wciągnąć głęboko powietrze i opanować nerwy. Przewyciężenie własnej dumy nigdy nie przychodziło jej łatwo. Po dwukrotnym pukaniu otworzyła drzwi, nie czekając na odpowiedź, ponieważ, jak przypuszczała, hałas przy wierceniu wszystko zagłuszał.

MacCrea siedział przy biurku przed butelką piwa. Abbie po krótkim wahaniu zamknęła za sobą drzwi. Patrząc na nią chmurnym, nieprzeniknionym wzrokiem, oparł się głębiej w fotelu. Nic nie mówiąc, wziął do ręki butelkę.

- Czego pani tu chce? - zapytał wreszcie. Z listą w ręku podeszła bliżej.

- Przyniosłam panu nazwiska, o które pan prosił.

- Proszę położyć to na biurku. - Wypił łyk, zrobił pełny obrót fotelem i podszedł do szafy z aktami, w ogóle nie zwracając uwagi na Abbie.

Dzielnie stłumiła narastający gniew, przypominając sobie, że przyszła tu po to, by go przeprosić, a nie po to, by znowu się z nim sprzeczać. Patrząc na bałagan panujący na biurku, zapytała:

- Gdziekolwiek?

- Proszę sienie martwić, znajdę to później.-Wyciągnął szufladę kartkował dokumenty w segregatorach.

Kładąc listę na biurku Abbie dostrzegła nagle projekt umowy dzierżawnej, dotyczącej praw do wierceń na jednej z działek. Projekty takie często widziała w biurze swego ojca. Wzięła do ręki formularz.

- Co to jest? Czyżby zamierzał pan prowadzić wiercenia na własną rękę?

Przyczepa kempingowa aż się zakolysała, kiedy MacCrea doskoczył nagle do Abbie.

- Moje plany są moją sprawą! - wykrzyczał i wyrwał jej z ręki projekt umowy. - Jeśli skończyła pani swój e szpiclowanie, to drzwi są z tyłu.

- MacCrea, przyszłam tu tylko z powodu tej listy - wyrzuciła z siebie, jękając się i przezwyciężając zakłopotanie. - Mogłam ją przecież wysłać panu pocztą.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła? Abbie nie dała się zbić z tropu.

- Ponieważ chciałam sama przyjść i przeprosić pana. Wiem, jak zachowałam się niedawno i także dzisiaj...

- Cieszy mnie, że pani to przyznaje.

Stłumiła w sobie wściekłą reakcję i z płonącym wzrokiem oświadczyła:

92

-No więc powiem panu tylko, że krótko przed przybyciem tutaj musiałam zwolnić personel stażenny i większość naszych pracowników zatrudnionych w domu, ponieważ nie możemy ich opłacać, dopóki nie zostaną uregulowane sprawy spadkowe po ojcu. Być może, usprawiedliwia to moje zachowanie, jednak wyładowywanie na panu złego nastroju było podłe. -Bardzo mi przykro - zakończyła przytłumionym głosem.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział powoli MacCrea.

- A skąd miał pan to wiedzieć? Nie mógł pan, tak samo jak ja nie mogłam wiedzieć, że podczas prac wiertniczych groziło prawdziwe niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że to pana zadowoli.

Nastąpiło milczenie, które wydawało jej się nieznośnie długie. Wreszcie MacCrea wyciągnął do niej rękę.

- Przeprosiny przyjęte, Abbie.

Niedostrzegalnie zawahała się przed podaniem mu ręki, która prawie znikła w jego dłoni. W głębi jego oczu było coś, co przyspieszało bicie jej serca.

- Co by pani powiedziała na butelkę piwa? - Kąciki ust wykrzywiły mu się w uśmiechu.

Abbie również zareagowała uśmiechem.

-Tak, chętnie -powiedziała.

MacCrea zniknął w kuchni. Abbie wygodnie usiadła na sofie. Kiedy wrócił z dwiema butelkami i szklanką, mimo woli zaczęła mu się bacznie przyglądać. Zauważyła, że ma szerokie ramiona, wąskie biodra i gęste, faluj ące włosy. Ale najbardziej, choć nie wiedziała dlaczego, spodobała się jej twarz. Twarz, której ostre rysy zdradzały twardość i siłę.

Postawił szklankę na stoliku obok niej, nalał piwo i sam usiadł w drugim końcu sofy.

- Za pani zdrowie! - wznosił toast i Abbie podniosła swój ą szklanke. Czula, że jego wyciągnięta na oparciu ręka dotyka jej ramion.

- W jaki sposób chce pani bez pomocy poradzić sobie teraz z końmi? - Jego pytanie trafiło w czuły punkt.

- Jest jeszcze przecież Ben i we dwójkę powinniśmy sobie jakoś dać radę. - Jednak w rzeczywistości Abbie nie wiedziała, w jaki sposób, bo Ben był już starym człowiekiem i nie miał tyle siły co w młodości. Najcięższe prace przypadają jej. - Wolałabym w ogóle o tym nie mówić.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Wyczuła ostrość jego głosu i głęboko westchnęła. -Z trudem przebolełam to, że nikt z personelu stajennego nie został, mimo że większość z tych ludzi była u nas od lat i zawsze punktualnie dostawała pieniądze. Myślałam, że okażą nam więcej zaufania.

93

- Cóż, ludzie wiedzą, że gospodarzy domu i wierzycieli nie da się opłacić zaufaniem. Większość żyje od jednej wypłaty do drugiej. Gdyby pani kiedykolwiek w takich warunkach musiała utrzymywać rodzinę, to wiedziałaby pani, co to znaczy.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Abbie jeszcze nigdy w życiu nie miała kłopotów z pieniędzmi. Nigdy nie musiała się martwić o swój chleb powszedni czy o ubranie.

- Wiem, że w razie śmierci kogoś z rodziny sytuacja finansowa może stać się krytyczna - kontynuował MacCrea. - Kiedy podczas wiercenia zginął mój ojciec, Wilder Drilling Company miała pięć wież wiertniczych. Czek na ubezpieczenie leżał na stole gotowy do podpisu. Ponieważ poza moim ojcem w tym wypadku zostało rannych jeszcze dwóch ludzi, skończyło się tym, że straciłem wszystkie wieże wiertnicze oprócz jednej. Nie było łatwo, ale mimo to zdołałem odbudować przedsiębiorstwo. - MacCrea patrzył tępo na trzymaną w ręku butelkę. Myślał o tym, że kiedy po wspomnianym wypadku musiał odejść z college'u, do skończenia wydziału geologicznego brakowało mu tylko dwóch lat. Musiał potem ciężko walczyć, ponieważ nikt nie chciał zatrudnić młodego i stosunkowo niedoświadczonego przedsiębiorcy wiertniczego.

- Pański ojciec zginął w wypadku podczas prac wiertniczych? - zapytała speszona Abbie.

-Nic dziwnego, że tak gwałtownie pan wczoraj zareagował. Dlaczego mi pan o tym nie powiedział?

- Nie dała mi pani okazji - odparł sucho.

- Tak, to prawda. - Po krótkim namyśle zapytała: - Jak to się stało, że pana ojciec zginął?

- To było latem. Zatrudnił mnie wówczas na stanowisku mistrza wiertniczego i powierzył główny nadzór nad jednym z otworów wiertniczych. Zabezpieczył się jednak, przydzielając do mojego zespołu swoich najlepszych ludzi. Było to moje drugie samodzielne wiercenie. Przyszedł, by zobaczyć, jak mi idzie. Nie byłem wtedy na platformie wiertniczej, ponieważ miałem sprowadzić przedstawiciela towarzystwa naftowego. Ojciec stał na górze i podczas zakładania nowej rury dowcipkował z wiertaczem. Nagle usłyszałem krzyk. Kiedy się odwróciłem, wieża przekształciła się w kulę ognia. - MacCrea potrząsnął głową, jak gdyby chciał odpędzić od siebie tamte sceny: ludzkie pochodnie, które skakały z platformy i usiłowały ująć przed tym piekłem. Jego ojciec był wśród nich. Podniósł do ust butelkę, napił się i wytarł dłoń o nogawkę spodni. Abbie chciała powiedzieć, że bardzo mu współczuje, kiedy zobaczyła jego dłoń leżącą płasko na nodze. Mały palec był

zakrzywiony i unosił się ponad inne, przylegające do nogi. Dziedziczna cecha rodzinna, powiedział.

94

- Nie może pan płasko położyć palca? - Zafascynowana pochyliła się do przodu.

- Odważnie, niech go pani przyciśnie płasko do nogi. Abbie zawahała się.

-Czy to boli?

- Wcale.

Palcem wskazującym ostrożnie nacisnęła unoszący się mały palec, który natychmiast znowu się wygiął, gdy tylko zwolniła nacisk. Luźny kosmyk włosów opadł jej na czoło. Zanim zdołała poprawić włosy, poczuła, że jego palce, gładząc jej czoło, odsunęły niesforny kosmyk.

Spojrzała w górę; palce zatrzymały się, a potem zaczęły pieścić jej policzek. Jego głębokie spojrzenie było jednoznaczne. Poczuła przyjemne, ciepłe mrowienie i wstrzymała oddech.

- Masz diabelnie niebieskie oczy - wyszeptał.

- Wiem.

Nie potrzebował kłaść ręki na jej ramieniu, by przy ciągnąć ją do siebie. Sama mu się poddała i zamknęła oczy, kiedy ich usta się zetknęły. Wąsami połaskotał wrażliwe wargi i zapamiętał zaczął ją całować.

Jego pocałunek był gorący i mocny. Ogarnęło ją pożądanie. Oddychała urywanie.

Z trudem się uwolniła. Było to czyste szaleństwo. Cały czas wierzyła, że panuje nad sytuacją. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo ją oczarował.

Jego spojrzenie wędrowało po twarzy i zatrzymało się na ustach, które mimowolnie się rozchyliły. Zaniechała jakiegokolwiek oporu. Poczuła się jak w stanie nieważkości, kiedy objął jąwół i przyciągnął na kolana. Objęła go za szyję i zanurzyła palce w jego włosach. Przycisnęła ją do siebie, pieszcząc i badając wypukłości i wklęsłości jej ciała, krągłość bioder, jędrność ud, podniecając ją i prąc do bliższego kontaktu. Jego pocałunek nie miał końca; wzajemnie wchłaniali swój zapach.

Kiedy MacCrea przesunął wreszcie usta po jej policzku do wrażliwego miejsca za uchem, Abbie odwróciła głowę, by mógł całować także jej kark. Dreszcz najczystszej rozkoszy poraził koniuszki jej nerwów, kiedy obsypywał jej skórę delikatnymi, miłosnymi ukąszeniami. Jego palce spoczęły na guzikach bluzki i wstrzymała oddech, gdy na nagiej skórze poczuła przyjemną chropowatość dłoni, obejmującej pierś.

- Wiesz, do czego to prowadzi? - Jego pytanie wypowiedziane ochrypłym głosem bardzo powoli docierało do jej świadomości. Przyglądał się jej, zachowując dystans.

95

Abbie nie żałowała, że jego pytanie zburzyło czar namiętności. Wcześniej czy później i tak by do tego doszło. Dotychczasowe doświadczenia seksualne już dawno ją nauczyły, że to właśnie kobieta dopuszcza do określonego stopnia intymności, a większość mężczyzn, czasem z oporami lub nawet z wściekłością, poddaje się temu. Abbie nigdy nie oddała się mężczyźnie, jeżeli dokładnie nie wiedziała, czego chce.

Jego pytanie pozostało początkowo bez odpowiedzi. Abbie znowu przytuliła się do niego i ustami pieściła jego ucho. A kiedy mu odpowiedziała, uczyniła to ledwie słyszalnym szeptem:

- Mam nadzieję, że do sypialni. - Językiem penetrowała jego ucho. Dreszcz, który przebiegł po jego całym ciele, podniecił ją.

Po chwili wbił palce w jej ramię, by ją odciągnąć od ucha. Jego oczy, w których można było dostrzec ślad uśmiechu, całkowicie pociemniały z pożądania.

- Naprawdę chcesz?

- Tak, a ty nie? - wyszeptwała.

- Hm, w każdym razie byłoby tam o wiele wygodniej.

- Całkiem słusznie. - Dotknęła jego twarzy, pogładziła wysokie kości policzkowe i skośną linię szczęki, by wrócić do ust, które ją tak fascynowały.

MacCrea mocno ujął jej palce i przycisnął do ust. Potem zsunął Abbie ze swych kolan na sofę, nie wypuszczając jej ręki. Kiedy wstał, pociągnął ją za sobą. Objęci poszli do sypialni. Abbie zatrzymała się, żeby odpiąć pozostałe guziki bluzki.

- Nie, nie rób tego. - MacCrea mocno trzymał ją za ramię. Przestraszona i zmieszana odwróciła się do niego. Odsunął jej rękę, by odpiąć ostatnie dwa guziki. Ostrożnie zsunął z ramion bluzkę, a wraz z nią ramiączka biustonosza. Abbie znowu poczuła przyjemne mrowienie, kiedy pieścił ustami jej kark i szyję. Powoli zdjął z niej bluzkę i rzucił na krzesło. W następnym momencie poczuła jego palce na zapięciu biustonosza. Mimowolnie wstrzymała oddech. Po sekundzie piersi były wolne. Abbie nie mogła stłumić jęku, kiedy wzięła je w dłonie. Uginały się pod nią kolana i musiała oprzeć się o niego, gdy powoli wykonywał palcami okrężne ruchy wokół jej brodawek, aż stwardniały i uwypukliły się. W okolicy brzucha poczuła dziwny, ciągnący ból. Nagle podniósł ją do góry, posadził na brzegu łóżka i zaczął zdejmować jej długie buty i skarpety. Potem intensywnie pieścił jej stopy. Do tego momentu Abbie nigdy nie uważała stóp za części ciała, których pieczytą byłaby szczególnie podniecająca. MacCrea wyprowadził ją błędu.

96

Posadził ją, objął dłońmi w talii i postawił na łóżku. Kiedy głaskał piersi, traciła oddech. Potem językiem zaczął pieścić brodawki, aż stały się jeszcze twardsze. Abbie jęknęła od tej cudownej męczarni, zagłębiła palce w jego włosach i przyciągnęła go do siebie jeszcze bliżej.

Kiedy kontynuował pieczytę, wstrząsnął nią dreszcz napiętości. W tym czasie rozsunął zamek błyskawiczny jej spodni do jazdy konnej i zsunął je z bioder. Abbie poczuła dziwną słabość, gdy dłonią gładził jej nagie pośladki i szczytał miękkie ciało. Kiedy wstał, instynktownie objęła go za szyję i przytuliła się do niego.

Z zachwytem studiowała jego profil, brązową skórę i potargane włosy. On z kolei bez skrępowania wodził wzrokiem po jej nagim ciele, a kiedy znowu spojrzął jej w twarz, w jego spojrzeniu wyczytała pożądanie.

- Teraz kolej na ciebie. - Jego głos był głęboki i ochryply. Przez ułamek sekundy Abbie nie była pewna, co miał na myśli. Potem uświadomiła sobie, że powinna go rozebrać. Najchętniej zaprotestowałaby przeciw temu opóźnieniu, ale to by nie było sprawiedliwe. Dążąc do skrócenia tej czynności, pourywała mu przy koszuli prawie wszystkie guziki, ale gdy odsłoniła jego pierś, opanowało ją pragnienie dotykania go, przytulania, odczuwania, jak twarda klatka piersiowa przegniata jej piersi. Odkryła, jak podniecające było głaskanie go, badanie ustami jego ciała i kosztowanie lekko słonawego smaku skóry. Rozkoszowała się też stopniowym rozbieraniem partnera.

Wreszcie nadszedł moment, gdy stanął przed nią ubrany tylko w szorty. Drżącymi dłońmi chwyciła za elastyczną gumkę w pasie i powoli mu je zsunęła. Kiedy ujrzała go w pełni męskich sił, coś ją ścisnęło w gardle.

Zaczęła lekko gładzić palcem spód konwulsyjnie naprężonego członka. Usłyszała głośny oddech. MacCrea stłumił wyrywający się okrzyk.

Do tej chwili Abbie nie miała pojęcia, jak podniecające jest odkrywanie ciała mężczyzny. Sprawiało to jej tyle samo przyjemności, co pocałunki i pieszczoty.

MacCrea położył ją na wąskim łóżku i wcisnął się obok niej. Nadal całował ją i pieścił, aż nie mogła już prawie wytrzymać, podczas gdy on ciągle jeszcze opierał się na jej nogach, rękami i ustami.

Kiedy pomyślała, że już dłużej tego nie wytrzyma, położył się na niej i bez wysiłku wszedł w nią. Abbie opanował wir uczuć, które doprowadziły ją do wspaniałego szczytowania i przez kilka chwil nieopisanego szczęścia wznosiły na sam szczyt najczystszej rozkoszy.

Potem wszystko minęło, a ona leżała w jego ramionach z głową na jego piersi. Była tak szczęśliwa i zaspokojona, że najchętniej zostałaby tak na zawsze.

7 - Przyrodnie siostry

Wzdychając, pocierała policzkiem jego pierś. Czowała na głowie nacisk jego szczęki, kiedy mówił:

- Abbie, wiesz, że jesteś prawie doskonała?
- Tylko prawie? Myślałam, że jestem doskonała - zażartowała.
- Może, gdybyś była odrobinę większa.

Tak duża jak Rachel, pomyślała i natychmiast zaczęła żałować, że to imię w ogóle przyszło jej do głowy. Zadowolenie zniknęło i przysnął radosny nastrój.

- Co się stało? - zapytał MacCrea.

Abbie udawała, że patrzy w okno, za którym panowały ciemności.

- Jest już później, niż myślałam. Muszę wracać do domu. - Wysunęła się z jego ciepłych objęć, wstała i zaczęła zbierać garderobę.
- Aż tak bardzo chyba ci się nie spieszy?
- Matka nie wie, gdzie jestem. Nie chciałabym, żeby się niepokoiła. - Wśliznęła się w spodnie do j azdy konnej i usiadłszy na brzegu łóżka zaczęła wciągać długie buty.
- Niepokoiłaby się zapewne jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, gdzie jesteś.
- Tak, prawdopodobnie. - Abbie uśmiechnęła się do niego. Odgarnął kosmyk włosów, który spadł jej na czoło.
- Masz rzeczywiście najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Rachel też ma takie. Do diabła, zakipiła Abbie w środku. Dlaczego ciągle muszę myśleć o Rachel? By przepędzić niepożądane myśli, nachyliła się nad MacCrea i zaczęła go całować. W głębi duszy oczekiwała, że coś powie lub w inny sposób da jej do zrozumienia, jak bardzo pragnie ponownego spotkania z nią. Nie powiedział jednak ani słowa.

U

Jeszcze jedna biała siana i dosyć. Abbie zrobiła przerwę, by odzyskać siły i oddech.

Rękawem bluzki otarła spoconą twarz. Przeciążone mięśnie drżały. Konie musiały jednak dostać swoją karmę, niezależnie od jej wyczerpania.

Walcząc z bólem, wsunęła zabezpieczoną rękawicą rękę pod sznurek opasujący belę siana i jednym mocnym zamachem usiłowała przenieść ten ciężar na przyczepę. Udało jej się tylko oprzeć belę o brzeg platformy, nie

98

zdołała podrzucić jej wyżej. Przyciskając ciałem belę do przyczepy, raz jeszcze wytężyła wszystkie siły i stękając, zdołała wreszcie umieścić siano na górze. Natychmiast oparła się o koło, zbyt wyczerpana, by utrzymać równowagę, i zbyt znużona, by się rozplakać.

- Dlaczego nie zaczekałaś, aż będę mógł ci pomóc przy sianie? - krzyknął na nią Ben. Abbie z poczuciem winy wyprostowała plecy. - Za kogo ty się uważasz? Za superkobietę?

Nie życzyła sobie, żeby ten stary człowiek jąbeształ. Abbie szybko się odwróciła z zamiarem utemperowania go. Widząc jednak zmęczoną twarz Bena, zrozumiała, że sześć ostatnich ciężkich dni również jemu dało się we znaki. Oboje ciężko pracowali od świtu do nocy, by zrobić przy koniach to, co trzeba. Mimo to nie zdołali uporać się ze wszystkim, na przykład z pracą z jednolatkami i z czyszczeniem boksów w stajniach.

- Chciałam zaoszczędzić trochę czasu - skłamała Abbie, by nie zranić jego dumy. Nie chciała mu powiedzieć, że w jego wieku nie nadawał się już do tak ciężkiej pracy. - Jak się ma żrebak Amiry?

Problemom nie było końca. Jeden z nowych żrebaków cierpiał na biegunkę. Natychmiast odizolowano go razem z matką, by inne żrebaki nie zaraziły się na pastwisku.

- Nienajlepiej.

- Może wezwać doktora Campbella? - zastanawiała się głośno Abbie.

- Zobaczymy.

Chciała odpowiedzieć, ale pomyślała przez chwilę i podporządkowała się jego decyzji. Miał przecież o wiele większe doświadczenie niż ona. Poza tym po wiosennych oźrebieniach i po sezonie krycia ich rachunki od weterynarza były już wystarczająco wysokie. Sądząc po nawale telefonów w ostatnich dniach, była winna pieniądze niemal wszystkim ludziom na świecie.

Abbie westchnęła ze zniechęceniem. Dopóki nie były uregulowane sprawy spadkowe, nie udało się niczego przedsięwziąć, a więc bezsensowne było łamanie sobie tym głowy, zwłaszcza że przed zapadnięciem ciemności trzeba było nakarmić jeszcze tyle koni.

Aby zaoszczędzić czas, większość zwierząt wpuścili do zagrody na wspólne karmienie.

Metoda miała tę niekorzystną stronę, że dominujące zwierzęta odbierały karmę słabszym, ale nic na to nie można było poradzić.

- Pospieszmy się - powiedziała Abbie, próbując wskoczyć na przyczepę, ale zmęczone mięśnie odmówiły posłuszeństwa. - Ben, pomożesz mi? Sama nie dam rady. - Przy jego pomocy udało jej się wreszcie wdrapać na górę. Gdy Ben ruszył w stronę ciągnika, zatrzymała go. - Chciałam zapytać, czy jutro przyjdzie dostawa owsa. Nie mamy go już zbyt wiele.

99

- Dostawcy chcieli najpierw porozmawiać z twój ąmatką o rachunku.

- Słusznie, już mi o tym mówiłeś. - Była na siebie zła, że zapomniała. - Chciałam tę sprawę dziś załatwić. Gdy tylko skończymy, zadzwonię do pana Hardmana.

Usiadła okrakiem na j ednej z bel, o inną oparła się plecami i była z tego oparcia tak zadowolona, że nie przeszkadzało jej kluj ące siano. Zagrzmiał silnik ciągnika i przyczepa z hurkotem ruszyła z miejsca.

Abbie nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek była tak wyczerpana i obolała. Miała wrażenie, że czuje każde włókno ciała. Podtrzymywało ją na duchu tylko zdecydowane przekonanie, że ta sytuacja nie potrwa już długo. Na końcu tunelu można było dostrzec światło. Nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że było to światło zbliżającego się z dużą prędkością pociągu.

Terkotanie ciągnika zagłuszył warkot samochodu dostawczego. Jej serce zabiło szybciej w nadziei, że to MacCrea. Od tamtego wieczoru nie widziała go więcej i nic o nim nie słyszała. Może... Podniosła się i usiłowała przełknąć gorzkie rozczarowanie, kiedy poznała pordzewiały wóz Dobiego Hik-sa. Zatrzymał się przed bramą prowadzącą na pastwisko i zablokował ją. Ledwie ciągnik się zatrzymał, Abbie zeskoczyła na ziemię i wybiegła naprzeciw Dobiemu, który właśnie wysiadł ze swojego wozu.

- Jeżeli przyjechałeś tu z powodu pieniędzy, które jesteśmy ci winni, to chciałam powiedzieć, że wciąż jeszcze nie możemy zapłacić. Sprawa nie jest jeszcze zamknięta. A tam jest twoje drogocenne siano. - Wskazała na przyczepę. - Dalej, weź je sobie!

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

- Abbie, nie po to tu przyjechałem. Nie chcę siana. Potrzebuję go dla koni. Chciałem ci tylko pomóc, ponieważ wiem, że nie masz nikogo...

- Dobie... ja... bardzo mi przykro. - Wstydziła się bardzo, że tak niesłusznie go obwinięła. Zrezygnowana i znużona pocierała ręką twarz.

- Jesteś kompletnie wykończona. To nie jest praca dla ciebie. Mężczyźni byłoby ciężko dźwigać te beły siana - wskazał kapeluszem na przyczepę- a co mówić o dziewczynie.

- Jestem silniejsza, niż wyglądam.

- Nie wiem, ale tę pracę powinnaś sobie darować.

Nawet gdyby słowa Dobiego uznać za nielogiczne i zabarwione męskim szowinizmem, musiała uznać, że wypowiedział je w dobrej intencji.

- Dobie, doceniam twoją propozycję. Dziękuję.

- Od tego są sąsiedzi. - Wzruszył ramionami. - Powinnaś mnie zawiadomić, że nie masz już żadnych pomocników. Przyjechałbym wcześniej.

100

- Zostaniesz oczywiście na kolację.

- To nie jest konieczne.

- Musisz. -Nie chciała, by ktoś pomyślał, że brakuje im jedzenia. Jej tarapaty wynikały z przejściowych trudności i nie chciała dopuścić, by ktoś myślał inaczej. -Powiem matce, by przygotowała jeszcze jedno nakrycie. -Jednocześnie chciała załatwić telefon, o którym zapomniała.

Idąc do domu, usłyszała, jak Dobie wsiadł do swego samochodu i o-djechał sprzed bramy, by odblokować drogę dla ciągnika. Śmieszne. Jak mogła pomylić warkot silnika jego pordzewiałego gruchota z samochodem MacCrea? Prawdopodobnie w myślach życzyła sobie tego, mimo że gdy opuszczała jego przyczepę, miała przeczucie, że on już więcej nie przyjedzie. Ale dlaczego?

MacCrea był wildcatterem, spekulantem. Nie był właściwie typem, po którym można się było spodziewać trwałego związku. Zaliczał się raczej do mężczyzn, którzy jednego dnia byli, a następnego odchodzili. Nie było to dla niej żadną niespodzianką, dlaczego więc jeszcze

zaprzętała sobie nim głowę? Odpowiedź była bardzo prosta: ożywił ją miała przy nim uczucie zaspokojenia, chyba po raz pierwszy w życiu. Było to uczucie, którego nie zapomina się tak łatwo.

Weszła do domu tylnymi drzwiami i poszła do kuchni. Matka odwróciła się z przestraszoną miną i pospiesznie przysłoniła dłonią mikrofon słuchawki.

- Abbie, jak się cieszę, że przyszedł - rzuciła szybko. - Dzwoni pan Fisher z Ohio lub Iowa, nie pamiętam już. Chodzi o kilka koni, które twój ojciec kupił w ubiegłym roku i nie zapłacił za nie. Abbie, nie wiem, co mam powiedzieć. Porozmawiaj z nim. - Wyciągnęła do niej rękę ze słuchawką.

- Podaj mu numer telefonu Lane'a Canfielda i powiedz, żeby do niego zadzwonił. Lane powinien wiedzieć więcej. - Zabrzmiało to dosyć smutno.

- Nie mogę, Abbie, powiedz mu to sama.

Abbie stłumiła złość z powodu nieudolności matki, która nie potrafiła poradzić sobie z czymś tak prostym, i wzięła od niej słuchawkę. Nie słuchała prawie wcale, co miał jej do powiedzenia mężczyzna. Udzieliła mu takiej samej odpowiedzi, jak wszystkim telefonującym w ostatnim czasie: że powinien zwrócić się do wykonawcy testamentu. Potem odłożyła słuchawkę i stanęła z twarzą odwróconą do ściany, wykończona fizycznie i psychicznie.

- Te telefony zawsze mnie tak denerwują - oświadczyła matka. - Nigdy nie wiem, co mam im powiedzieć.

- Mówiłam już, że nie powinnaś w ogóle podnosić słuchawki - powiedziała znużona Abbie.

Dlaczego wszystko zawsze spadało na nią?

101

- A jeżeli zadzwoni ktoś z naszych przyjaciół?

Jakich przyjaciół? - pomyślała Abbie. Czy matka nie zauważyła, jak niewielu przyjaciół zadzwoniło od czasu, gdy rozeszła się wiadomość o ich problemach finansowych?

Podniosła słuchawkę i wybrała numer miejscowego handlarza paszami. Gdy tylko przedstawiła się jako pani Lawson, bez trudu zdołała namówić go, by mimo niezapłaconego rachunku przysłał jeszcze jedną dostawę owsa. Z westchnieniem odłożyła słuchawkę i z ulgą pomyślała, że nazwisko Lawson ciągle jeszcze coś znaczy.

Poinformowała matkę, że zaprosiła Dobiego Hiksa na kolację i poszła z powrotem do stajni. Ponieważ Dobie pomagał Benowi w podawaniu karmy, zajęła się wyrzucaniem gnoju z boksów.

Mimo otwartych okien i drzwi w stajni prawie nie czuło się wieczornej bryzy. Abbie przerwała, by otrzeć pot z twarzy, potem położyła widły na taczce i chwyciła za rączki, by podejść do następnego boksu.

- Abbie, pozwól mi to zrobić. - Dobie wszedł do stajni, gdy dźwignęła taczkę do góry.

- Dam sobie radę. - Jeżeli ruszyć taczkę z miejsca, to potem już toczy się praktycznie sama. Z całej siły pchnęła ją do przodu. Ujechała kawałek, kiedy dłonie Dobiego chwyciły za rączki.

- O wiele za ciężka dla ciebie. Bez trudu pchał taczkę dalej. Nawet nie zaprotestowała.

Praca była ciężka, a ona zmęczona.

Nieobecna duchem machnęła ręką na muchę krążącą wokół jej twarzy i znowu wzięła do rąk widły. Nie odważyła się na odpoczynek z obawy, że później nie będzie się mogła ruszyć z miejsca.

- Przyniosę drugie widły i pomogę ci, to zrobimy wszystko dwa razy szybciej.
 - Dziękuję, ale Ben potrzebuje pomocy w stajni ogierów. Jeden z nich obluźował kilka desek. - Jakże chętnie zamieniłaby się na pracę i pozostawiła Dobiemu wyrzucanie gnoju. Nie potrafiła jednak obchodzić się z młotkiem i gwoździami.
 - Załatwię to szybko i wrócę.
 - Dziękuję. - Rzuciła roztargniony uśmiech w jego kierunku i widłami wybrała z boksów porcję gnoju, by wrzucić go na taczkę.
- Bezmyślnie wykonywała automatyczne ruchy. Równy rytm wyłączył myśli: nabrać, podnieść, narzucić. Nabrać, podnieść, narzucić. Abbie nawet nie słyszała, jak Dobie wychodził ze stajni. Jak robot nabierała, podnosiła i rzucała gnój na taczkę.

102

W pewnej chwili kątem oka zauważyła mężczyznę opartego o drzwi stajni. MacCrea. Abbie zdrętwiała. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Odwróciła się i spojrzała w kierunku drzwi, by się upewnić, że to nie jej awa.

- Halo, Abbie.
 - MacCrea. - Była tak zmieszana, że serce podchodziło jej do gardła. Poczula wewnętrzne drżenie, które jej się nie podobało. Nie podobało jej się, że kogoś tak gwałtownie pożądała. Czyniło ją to bezbronną. Ujęła mocniej trzonek wideł i znowu się pochyliła, by wybrać ze słomy końskie łajno.
- MacCrea nadal przyglądał się jej, tak jak czynił to już od kilku minut, podniecony widokiem jej giętkiego ciała, którego nagość miał przed oczami. Przez cały tydzień prześladowały go podobne obrazy. Przy każdym dzwonku telefonu, przy każdym warkocie silnika spodziewał się, że to Abbie.

- Nie widzieliśmy się już cały tydzień - powiedział.

Zawahała się niemal niedostrzegalnie, przenosząc widłami porcję gnoju na taczkę. Wyćwiczonym obrotem trzonka rzuciła gnój na rosnącą kupę i nie przerywając pracy, spojrzała w jego kierunku.

- Wiedziałaś, gdzie można mnie znaleźć.

Najchętniej podszedłby do niej i wybrał żdzbla słomy z jej ciemnych włosów, ale zdawał sobie sprawę, że to by mu nie wystarczyło.

- No cóż, powoli sobie uświadamiałem, że ty sienie zgłosisz.
- To była twój a kolej. Jeżeli zależało ci tylko na szybkim numerze, nie chciałam stawiać żadnych wymagań.

Ta przeklęta дума, pomyślał MacCrea. Zdawał sobie jednak sprawę, że podziwia u niej tę cechę. Abbie była inna niż wszystkie kobiety, które znał. Z pewnością do niego należało zrobienie następnego kroku, ale do tej pory nigdy nie potrzebował go robić. To kobiety zawsze aranżowały przypadkowe spotkanie lub odwiedzały go pod byle jakim pretekstem. Abbie mogła mieć doskonały pretekst. Mogła dostarczyć mu dalsze nazwiska osób potencjalnie zainteresowanych jego wynalazkiem, a jednak tego nie zrobiła. A teraz on przyszedł do niej.

- Nie zamierzałem spotykać się z tobą ponownie. - Przynajmniej powziął takie postanowienie, kiedy Abbie odeszła tamtej nocy.

- Dlaczego więc przyszedłeś? - Nadal była odwrócona do niego plecami i trzymała w rękach widły. Potem się roześmiała. Był to krótki, bezdźwięczny śmiech. -Ach, słusznie, zapomniałam. Chciałeś te nazwiska.

- Tak, potrzebowałem ich. - Rozmowa z jej plecami przestała mu się podobać, więc oderwał się od drzwi stajni i dwoma długimi susami pokonał dzielącą ich odległość. Zaskoczona, nie stawiała żadnego oporu, kiedy zabrał jej widły i odrzucił je na bok. Zacisnął palce na jej ramionach. Poczut

103

ciepło jej ciała, widział połysk skóry, miękkość rozchylonych warg i głęboki błękit oczu. - Ale nie dlatego tu jestem i ty bardzo dobrze o tym wiesz.

- O? - wyszeptała i jej mina złagodniała.

Przez sekundę żałował, że tu przyszedł. Błędem było wdawanie się z nią w takie układy. Nie był to właściwy czas na miłosną historię, nie mógł pozwolić sobie na odrywanie się od zasadniczych spraw. Jego firma, plany związane z wydzierżawieniem działki, na której chciał prowadzić wiercenia, zgromadzenie niezbędnego kapitału, a także jego nowy, sterowany komputerowo system kontroli, to wszystko wymagało tyle czasu i energii, że nie starczało ich już na związek z kobietą. Do diabła, w tej pracy ciągle trzeba było być na najwyższych obrotach. Nie doszedł jeszcze do tego, by móc sobie pozwolić na kierowanie przedsiębiorstwem zza biurka.

Z doświadczenia wiedział, że związek musi się rozpaść, jeżeli partnerów dzieli zbyt duża odległość. Nie mógł jednak przestać myśleć o Abbie. Była dla niego czymś więcej niż tylko przygodą jednej nocy, czy chciał się do tego przyznać, czy nie.

Gdy poczuł, że objęła go wpół zapomniał o wszystkich wątpliwościach. Przyciągnął ją do siebie i pobudzany pragnieniem, którego nie mógł zaspokoić przez cały tydzień, wpił się w jej usta.

Nie przejmował się ani porą, ani miejscem, kiedy podciągnął do góry bluzkę, by poczuć ciepło jej ciała.

-Nie tu - wymruczała. Nie zważając na cichy opór, pieścił ustami jej szyję. Łagodnie, ale zdecydowanie odepchnęła go od siebie. -Nie. - Tym razem głośno zaprotestowała.

Nagle, nie wiadomo skąd, rozległo się wściekłe polecenie:

- Ręce precz!

Ledwie MacCrea zarejestrował ostrzegawczy okrzyk, a już ktoś chwycił go za ramię i zaczął szarpać z całej siły. Przez ułamek sekundy widział przeciwnika, zanim jego pięść zasłoniła mu widoczność. Ruchem głowy instynktownie uchylił się przed ciosem.

Mężczyzna z rudawymi włosami i w powyginanym kapeluszu kowbojskim na głowie ponownie zamierzył się na niego i krzyknął:

-Abbie, uciekaj!

MacCrea podniesioną ręką odparował uderzenie i zadał przeciwnikowi cios w żołądek, ale ten zdążył jeszcze wyprowadzić trzecie uderzenie, tym razem trafiając go w podbródek. Bolesnie to odczuł i sylwetka rywala rozmyła mu się w oczach, jednak ponownie natarł na niego. Lewą zadał mu cios w szczękę, prawą poprawił w głowę. Przeciwnik uderzył plecami w ścianę i powoli osunął się na ziemię.

104

MacCrea nie uważał walki za zakończoną. Brał udział w zbyt wielu bójkach, by przestać, kiedy rywal padł na ziemię. Nadszedł moment, by go ostatecznie pokonać.

Abbie była tą trwającą zaledwie kilka sekund walką tak zaskoczona, że dopiero teraz zareagowała i stanęła MacCrei na drodze.

- MacCrea, przestań! - krzyknęła. - Nie widzisz, że go skutecznie załatwiłeś? - Przerwała, by zaczerpnąć tchu.

Abbie odwróciła się do leżącego na ziemi mężczyzny i przykucnęła przy nim.

- Wszystko w porządku, Dobie?

- Tak. - Zabrzmiało to dość niepewnie. MacCrea wykrzywił usta w pełnym zadowolenia uśmiechu i nagle wzdrygnął się, ponieważ dopiero teraz poczuł głęboką ranę na wewnętrznej stronie wargi. Do piekącego bólu w ustach doszedł jeszcze ból kłykci, które także były poranione.

Zabiegi Abbie wokół drugiego mężczyzny zirytowały go.

- Kim, do cholery, j est ten facet? - Przycisnął palcami zranioną wargę i językiem usiłował ustalić rozmiary rany.

Mężczyzna spojrzał na niego, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie, że MacCrea wciąż jeszcze tu był. Kiedy ponownie chciał go zaatakować, Abbie go powstrzymała:

- Już dobrze, Dobie, to przyjaciel. - Mężczyzna, którego Abbie nazywała Dobiem, odprężył się, ale MacCrea dostrzegł, że nadal miał wrogą minę. Była j jeszcze bardziej wroga, kiedy z trudem podnosił się na nogi.

- Chciałabym przedstawić ci MacCreeę Wildera. MacCrea, to j est Dobie Hix, nasz sąsiad. Przyszedł, pomóc Benowi i mnie przy koniach.

MacCrea skinął głową, Dobie coś wymamrotał, ale rąk sobie nie poda-li.

Spojrzenia, jakie Hix rzucał Abbie, nie uszły uwadze MacCrei. Ślepy by zauważył, że szalał za nią. Kiedy wreszcie Hix zaczął zbierać się do wyjścia i miał nadzieję, że zostaną z Abbie sami, w drzwiach stajni pojawił się Ben.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumiał całą sytuację, ale odezwał się do Abbie z kamienną twarzą:

- Twoja matka powiedziała, że mamy się przygotować do kolacji.

- Dziękuję, Ben. - Pełna nadziei zwróciła się do MacCrei: - Zostaniesz z nami, prawda?

Miał szansę odwrotu, nim zbyt mocno zapłacze się w aferę z Abbie. Jego zdrowy rozsądek podpowiadał mu, żeby wykorzystać tę okazję, ale wbrew temu przyjął zaproszenie. Już w drodze do domu przeklinał swoją głupotę.

105

Kiedy weszli do środka, Abbie zostawiła go samego i ponad kwadrans musiał w salonie wysłuchiwać paplaniny Babs Lawson, starannie unikając w tym czasie wymiany wrogich spojrzeń, którą usiłował mu narzucić Dobie Hix.

Chciał już przeprosić i wyjść, kiedy po schodach zeszła Abbie. Na jej widok przestał myśleć o wszystkim innym. Przebrała się i doprowadziła do porządku. W zielonej, zapinanej z przodu na całej długości sukience z dekoltem w kształcie litery V wyglądała zachwycająco. Pachniała przy tym czystością i jakimiś zmysłowymi perfumami.

Został. Przy stole siedziała obok niego tak blisko, że stykały się ich uda. Była to bez wątpienia najdłuższa kolacja, przez jaką MacCrea musiał kiedykolwiek przebrnąć. Jednak cały czas starał się w miarę inteligentnie uczestniczyć w prowadzonej rozmowie.

- Nie, dziękuję. - MacCrea podziękował za drugą filiżankę kawy zaproponowaną mu przez Babs Lawson i odsunął krzesło od stołu. - Kolacja była dobra, nawet za dobra. Muszę coś zrobić, by spalić nadmiar kalorii. Abbie, pójdziesz ze mną na spacer?

- Chętnie. - Abbie podała mu rękę. - Zajrzemy do chorego żrebaka - rzuciła j jeszcze Benowi, zanim wyszli tylnymi drzwiami.

Ben skinął głową i kiedy drzwi się za nimi zamknęły, spojrzał na wyraźnie przybitego Dobiego. Lubił go, uważał go za uczciwego, pracowitego i bogobożnego człowieka, ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że nie dorósł on do pełnej temperamentu i upartej Abbie.

- Ja chyba także pójde zaczerpnąć świeżego powietrza. - Dobie Hix wstał nagle i podszedł do drzwi. Kiedy zdjął kapelusz z wieszaka, zatrzymał się. - Pani Lawson, bardzo dziękuję za wspaniałą kolację.

- Dobie, to my powinniśmy panu podziękować.

Ben nie był pewien, czy Dobie przypadkiem nie miał zamiaru zarobić jeszcze kilku siniaków, dlatego również się podniósł.

- Dobie, pójde z tobą.

Razem wyszli na werandę i zatrzymali się na schodach. Księżyc okrywał wszystko srebrzystą poświatą, także mocno objętą parę idącą po trawie. Dobie patrzył za nimi szeroko otwartymi oczami, nerwowo uderzając kapeluszem o udo.

- Może nie wypada mi tego mówić, Ben, ale on mi się nie podoba. - Nasunął kapelusz głęboko na czoło.

Ben zastanawiał się, czy Dobie zauważył, że tych dwoje zmierzało do biurowej przybudówki, a nie do stajni, w której był chory żrebak.

- Ona j est dorosłą kobietą.

106

- Tak, owszem. - Dobie zszedł po stopniach na dół. - Pojadę do domu. A więc do jutra.

- Dobrej nocy, Dobie. - Ben pozostał na werandzie.

Kiedy wchodzili do ciemnej przybudówki, MacCrea usiłował wziąć Abbie w ramiona, ale ona wywinęła mu się i pociągnęła go głębiej w ciemność. Opierając się, podążał za nią.

- Dokąd idziemy?

- Tutaj. - Kiedy otworzyły się drzwi, poczuł zapach skóry. - Biuro mojego ojca. - Puściła jego rękę. - Zaczekaj tu.

Pewnie poruszała się po ciemnym pomieszczeniu. Pstryknęło i łagodne światło małej lampki biurowej z zielonym abażurem rozjaśniło pokój. Szybko się rozejrzał. Zauważył biurko i fotel, wyłożone boazerią ściany z obrazami i pucharami oraz skórzaną sofę.

- Piękny zbiór - powiedział, wskazując na trofea i puchary.

- Tak. - Abbie spojrzała na niego. - Większość zdobyłam sama.

- Musisz być doskonałym jeźdźcem.

- Mogę dorównać najlepszym. - Jej śmiech nadał tej odpowiedzi posmak dwuznaczności.

- Zauważyłem. - Kiedy całował i delikatnie gryzł jej usta, poczuł szybkie bicie jej serca. W końcu musiał zaczerpnąć tchu. Poczula mrowienie w całym ciele. Patrzyła mu w oczy, a on miał uczucie, że potrafi sięgnąć wzrokiem aż do dna jej duszy.

- Masz najbardziej niebieskie oczy na świecie. - Całował kąciki jej oczu, gładził ramiona i plecy. Lekkie falowanie jej piersi skierowało jego spojrzenie na rowek rysujący się przed pierwszym guzikiem.

- Nie. - Broniąc się przed jego penetrującymi palcami, odsunęła się do tyłu. - Ja to zrobię. Już chciał zaprotestować, ale powstrzymał się, gdy zobaczył, co odsłoniły mu jej ręce. Dobry Boże, ona nie ma nic pod spodem! - przebiegło mu przez głowę, kiedy suknia zsunęła się na podłogę i Abbie stanęła przed nim zupełnie naga.

Wszystko, co nastąpiło potem, było niepohamowaną namiętnością: pozbył sięjakoś ubrania, leżeli objęci na skórzanej kanapie, wymieniali pocałunki i pieszczoty, wspólnie przeżywali orgazm, który w jego pamięci zawsze już miał być związany ze sterczącymi sutkami, z głową, którą Abbie rzucała z jednej strony na drugą, z wyrazem nie ukrywanego podziwu na jej twarzy.

Leżeli na wąskiej kanapie mocno przytuleni do siebie. Mrowienie w ramieniu, na którym spoczywała głowa Abbie, ostrzegało, że zaczyna drętwieć. MacCrea jednak nie poruszył się. Nie chciał się od niej odsuwać.

107

W zamyśleniu obserwował rozrzucone w nieładzie włosy Abbie i usiłował analizować swoje uczucia. Próbował zrozumieć, dlaczego z nią wszystko było inaczej. Abbie podjęła oczywiście pewne kroki, by mu się spodobać, ale inne kobiety także to przecież robiły. Być może chodziło o to, że kochała go nie tylko fizycznie. W jej miłości znajdowały ujście wszystkie jej uczucia i namiętności. Oddawała się całkowicie.

Abbie potarła policzkiem o jego ramię i przerwała te rozmyślenia.

- Po pogrzebie ojca przyszłam tu, żeby wszystko przemyśleć. Do tego czasu nie wiedziałam, że miał jeszcze jedną córkę. Przez cały czas uważałam, że byłam jedyna. Bardzo trudno było mi zaakceptować nową sytuację. Ciągle jeszcze nie jest to proste. Rachel była jego ulubienicą.

- Skąd wiesz? - Poczul lekkie wzruszenie ramion.

- Po prostu wiem. Widziałeś ją przecież. Wiesz, jak bardzo jej jestem do niej podobna.

Kiedy Abbie odwróciła się, by mu się przyjrzeć, poczuł w ramieniu tysiące igiełek. Przekręcił się na plecy i przyciągnął ją do siebie. Oparta na łokciach badawczo patrzyła mu w twarz. Jej spojrzenie było ciepłe i serdeczne.

- MacCrea, cieszę się, że kochaliśmy się właśnie tutaj. - Nachyliła się i pocałowała go. - Jeśli przyjdę tu w przyszłości, będę to sobie przypominała. Będę myślała o tym, jak było wspaniale... - Przytuliła głowę do jego ramienia. Jej jędrne piersi spoczywały na jego torsie.

- Abbie... - Wiedział, że chce ją widywać. Gdyby jednak miał wybierać między swoją przyszłością a Abbie, przegrałaby. Był pewien, że nie poświęciłby dla niej swojej dumy, swoich marzeń i swojego życia. Nie trzeba było jednak natychmiast podejmować tej decyzji. Być może nigdy nie będzie to potrzebne.

Abbie mocniej się do niego przytuliła.

- Wiem, że jest późno i że jutro muszę bardzo wcześnie wstać, ale chciałabym, żebyśmy spędzili tu całą noc.

- Co zamierzasz robić w przyszłym tygodniu?

- Ma przyjechać Lane Canfield. Mam nadzieję, że wreszcie uporządkował sprawy związane ze spadkiem po ojcu. - Jej nastrój nagle się zmienił. MacCrea wyczuwał jej niepokój.

- To byłoby za dnia. A co z nocami? Wolny wstęp?

- Nie, jestem bardzo droga. - Siadając, przyglądała mu się z kpiącym uśmiechem.

- Ach? - Błyskawiczne zmiany tematu i tempa budowały napięcie. Abbie była bardzo interesująca, zarówno seksualnie, jak i duchowo.

108

- Tak, pamiętaj o tym. - Podniosła z podłogi jego spodnie i rzuciła w jego stronę.

109

15

L

ane Canfield przyjechał do River Bend dopiero w sobotę. Kiedy zasiedli wreszcie razem w salonie, nerwy Abbie były napięte do ostateczności.

- A więc, Lane, o czym chciałeś z nami rozmawiać? - zapytała Babs, która wesoło paplając, grała rolę gospodyni i sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie miała pojęcia o napięciu Abbie.

- Niestety, nie mam wam nic dobrego do przekazania - zaczął Lane i odstawił filiżankę.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - zapytała Abbie. - Czy dojdzie do procesu o spadek? - Cały czas przypuszczała, że Rachel zakwestionuje testament i zażąda udziału w spadku, a teraz to nastąpiło. Abbie była tego całkowicie pewna.

- Nie, nic podobnego.

- Więc co się stało?

- Długo to trwało, zanim wyjaśniliśmy dokładnie sytuację finansową. Niestety, z majątkiem Lawsonów jest gorzej, niż początkowo myśleliśmy.

- Co to ma znaczyć? - Nie spuszczaając wzroku z Lane'a, Abbie przygotowała się na wszystko.

- Wie pani z pewnością, że Dean sprzedał firmę swojego ojca za bardzo wysoką sumę...

- Za dwanaście milionów dolarów - powiedziała Abbie.

- Z tej kwoty trzeba było zapłacić podatki, prowizję i pokryć inne wydatki, tak więc, w ostatecznym rachunku, otrzymał mniej - stwierdził rzeczowo Lane. - Z biegiem lat wielokrotnie naruszał ten kapitał. Mimo że podejmował pieniądze na nowe inwestycje w River Bend, hodowla koni i ich udział w różnych imprezach były dla niego stałym obciążeniem finansowym, które pogarszało sytuację. W dodatku zadłużone jest także jego biuro adwokackie. Jeśli uwzględnić jeszcze kilka niemądrych inwestycji, ekstremalnie wysoki standard życia i... Przerwał, jakby nie chciał dopowiedzieć reszty.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nie ma już żadnych pieniędzy? - zapytała Abbie w nadziei, że to nieprawda.

- Mówię, że Dean był bardzo zadłużony. Na zapłatę czeka rata kredytu hipotecznego. Do tego dochodzą zaległości podatkowe. Źródło dochodów praktycznie już nie istnieje.

- A więc jesteśmy bankrutami? - Abbie miała wątpliwości, czy dobrze go rozumiała.

110

- Przykro mi, ale trzeba będzie zlicytować aktywa, by zaspokoić roszczenia wierzycieli.
- Co musi być sprzedane? Konie? Kawałek ziemi? Chyba nie chce pan sugerować, że musimy sprzedać River Bend?
- Niestety, tak.
- Nie! - Abbie ze strachem spojrzała na matkę. Babs była biała jak kreda.
- Czy rzeczywiście jest tak źle, Lane? - Babs patrzyła na niego przygnębiona.
- Tak, Babs - powiedział z poważną miną. To, że było mu przykro, widać było po sposobie, w jaki unikał jej wzroku. - Wiesz, że wam pomogę, w czym tylko będę mógł.
- Tak, wiem-odparła przybita Babs.

Abbie ciągle jeszcze nie chciała uwierzyć, że to wszystko prawda. Przecież aż tak źle być nie mogło. Wlepiała pusty wzrok w dokumenty, które wyciągnął z aktówki Lane, w namacalne dowody prawdziwości jego oceny sytuacji: zestawienia długów, nazwisk, dat, liczb. W jej głowie kłębiły się różne pojęcia: hipoteki, przypadające spłaty rat, otwarte rachunki, zaległości podatkowe.

Po zestawieniu zaległych płatności w dokumentach przygotowanych przez Lane'a znajdowały się takie terminy, jak „oszacowanie aktywów”, „wykaz inwentarza żywego i martwego” i „licytacja”. Abbie wreszcie zrozumiała. Uświadomiła sobie wyraźnie, że wszystko, co kiedykolwiek kochała, pójdzie pod młotek. I River Bend, posiadłość rodzinna od pokoleń, i kochane przez nią konie.

A co będzie z nimi? Z Benem? Jak mają żyć? Gdzie mogłyby znaleźć pracę? I jaką? Skąd mają wziąć pieniądze na codzienne utrzymanie? Co zrobi z umeblowaniem i wyposażeniem domu, jeżeli nie wiedzą nawet, dokąd mają się udać? Dlaczego wszystko zaszło tak daleko? Jak jej ojciec mógł do tego dopuścić?

Lane nie udzielił na te pytania żadnych odpowiedzi. Mówił tylko swoje, posługując się określeniami, wśród których „możliwy zysk po zaspokojeniu roszczeń wierzycieli” naj lepiej jeszcze brzmiał dla ucha. Był tak spokojny i rzeczowy, że sytuacja wydawała się nierzeczywista.

- Babs, nie martw się o nic - Lane uspokajał jej matkę. - O szczegóły ja się zatroszczę. Za kilka dni przyjdzie ktoś, kto spisze inwentarz i wyceni posiadłość. Obiecuję, że uzyskamy cenę naj lepszą z możliwych.
- Obietnice! Jak może pan w ogóle coś obiecywać? - protestowała Abbie przeciw jego zapewnieniom, że wszystko będzie w porządku. - Jak pan może siedzieć tu i mówić nam, że w ogóle nie powinniśmy się mar-

111

twić? To przecież nie pański dom ma być sprzedany. To nie pana świat stanął nagle na głowie!

- Abbie! - Matka oburzyła się na ten gwałtowny wybuch.
- Mamo! Grozi nam utrata wszystkiego, a on chce nam wmówić, że nie powinniśmy się denerwować! Ja się denerwuję! - Wstała i wybiegła z domu.

Gorące łzy piekły ją w oczy, kiedy biegła do kompleksu budynków stajennych. Abbie wiedziała tylko tyle, że musi przemyśleć to, co się stało, sama, z dala od wszystkich i wszystkiego. W siodłami zdjęła z haka uzdę i pobiegła do zagrody, dręczona natrętnymi pytaniami, rozpaczą i niepewnością. Gdzieś musiała istnieć jakaś odpowiedź, jakieś rozwiązanie, jakieś wyjście. Nie mogło tak być, że stracą wszystko. To musiała być jakaś pomyłka, straszna pomyłka.

Zręcznymi i mimo wzburzenia pewnymi ruchami przelożyła klaczy uzdę przez srebrną głowę i wyprowadziła ją z zagrody. Przesunęła cugle wzdłuż karku, chwyciła za grzywę i wspięła się na grzbiet konia. Jednym uderzeniem pięt w boki i jednym szarpnięciem cugli skierowała srebrnoszarą klacz do bramy prowadzącej na położoną z tyłu wielką łąkę.

Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że nadbiega Ben.

- Abbie, co ty wyprawiasz? - zawołał do niej. - Co robisz z koniem? Wracaj! Ona jest za młoda. -Ale żadne słowa Bena nie docierały do jej świadomości. Były to tylko słowa, z których żadne nie zdołało stłumić w niej przemożnego pragnienia ucieczki z tego miejsca tak szybko i tak daleko, jak tylko się da.

Mechanicznie otworzyła bramę. Wielka równina stanęła przed nią otworem. Wprowadziła konia w galop, który sprawił, że zamazywały się kontury wszystkiego, co się przed nią pojawiało: przestraszonych, uciekających w popłochu koni, stojących bez ruchu drzew, stawu, który łączył się z Bra-zos River.

Widziała przed sobą tylko czubki uszu konia, czuła tylko pęd powietrza rozwiewającego jej długie włosy, słyszała tylko uderzenia podków. Koń pędził coraz szybciej.

Nagle młoda klacz potknęła się, wypadła z rytmu i Abbie poleciała do przodu. Walcząc o utrzymanie się na koniu, kurczowo czepiała się gładkiego karku, czując na nim pot i pianę. Wreszcie poddała się. Ściągnawszy cuglami zdenerwowanego i ledwie dyszącego konia, zsunęła się bezwiednie na ziemię.

- Spokojnie, mała. Tylko spokojnie, Breeze. Już dobrze. -Abbie próbowała uspokoić przerażonego konia. Zwierzę sapało ze strachu i mocno

112

robiło bokami, przez których jasnosrebrną sierść połyskiwała wilgocią czarna skóra.

Z tyłu rozległy się uderzenia podków i Abbie się odwróciła. Nad jej echał Ben na starym wałachu. Kipiąc ze złości, zeskoczył z konia i podszedł do niej.

- Co ty sobie myślisz? Co ty wyrabiasz, Abigail Lawson? - Jego spojrzenie spoczywało na młodej klaczy. - Chcesz wykończyć zwierzę? Breeze jest o wiele za młoda, by ją tak brać w obroty.

- Przykro mi, Ben. - Przygnębiona patrzyła, jak Ben ze znajomością rzeczy obmacywał cienkie nogi, przemawiając jednocześnie uspokajająco do konia w swoim ojczystym języku. Kiedy się podniósł, Abbie usiłowała wyczytać coś z jego poważnej miny.

- Wszystko w porządku?

- Teraz się martwisz - wysapał pogardliwie. - Dlaczego wcześniej nie zastanowiłaś się, co robisz?

- Jest mi naprawdę przykro. To było nierozważne.

- Jeszcze jak! Myślisz tylko o sobie. Zawsze, kiedy jesteś wściekła lub zmartwiona, wyładowujesz się na kimś innym. Nie zasługujesz w ogóle na takiego konia jak Breeze.

- Może masz rację. - Poczowała ucisk w gardle. - Ale ona należy do mnie. Ona jest moja. - Abbie objęła ramionami trzęsącą się szyję konia i nie mogła powstrzymać łez. - Breeze, przecież nic się nie stało, prawda? -Spojrzała na niego.

- Nie. - Ostry ton jego głosu złagodniał. -Niczego nie wyczułem. Całe szczęście, że jesteś taka lekka. Wiesz przecież, że kości dwulatka nie są jeszcze w pełni uformowane. Na koniu w tym wieku jeździ się bardzo ostrożnie, nie urządza się żadnych gonitw na łące.

- Wiem.
- Poprowadzisz ją pieszo za cugle do stajni. Tam japięknie wytrzesz do sucha. Przybita Abbie wzięła cugle i poprowadziła klacz z powrotem do stajni. Jej wzrok powędrował przez łąkę do koni, które знаła od ich źrebięcych czasów, do stawu, nad którym bawiła się jako dziecko, do drzew, na które się wspinała, i nagle doznała okropnego poczucia straty. Wkrótce będzie musiała z tego wszystkiego zrezygnować - z wszystkiego, co zawsze знаła i traktowała jako oczywistość.
- Dlaczego płaczesz? - zapytał Ben.
- Będziemy musieli wszystko sprzedać. Oj cieć pozostawił całą górę długów. Nie ma żadnych pieniędzy. Wszystko musi iść precz, my też.
- Czy to prawda? - Ben zmarszczył czoło.

8 - Przyrodnie siostry

113

Abbie potaknęła.

- Lane właśnie nas o tym poinformował. Jesteśmy bankrutami. Wiedziałam wprawdzie, że są problemy, ale nie myślałam... nigdy nawet nie śniło mi się, by mogło być aż tak źle. - Spojrzała na Bena, starego człowieka, który przetrwał z nią wszystkie burze i zawsze dodawał jej sił. Co z nami będzie? Z tobą? Byłeś mi wujkiem, jakiego nigdy nie miałam. Co zrobię bez ciebie?
 - Dziecino... - Wziął ją ramiona. Tym razem jednak Ben także nie mógł znaleźć dla niej żadnych słów pociechy. - Twoja biedna matka - powiedział. - To musi być dla niej okropne.
 - Matka... - Abbie nawet przez chwilę nie pomyślała o tym, jak jej matka uporała się z tą hiobową wieścią. Jej własny szok był zbyt wielki. Jednak mgliście sobie uświadomiła, że od tej pory będzie jedyną podporą dla matki i sama będzie musiała odpowiadać nie tylko za siebie, lecz także za Babs. Nie było to sprawiedliwe, ale kto kiedykolwiek twierdził, że życie jest sprawiedliwe?
 - River Bend, konie, wszystko będzie sprzedane. Wszystko z wyjątkiem Breeze, ponieważ ona należy do mnie. - Odwróciła się od Bena w stronę konia.
 - Będzie z niej jeszcze dobra klacz zarodowa, z którą można będzie założyć nową hodowlę.
 - Przestań, Ben. - Abbie niemal się dusiła, tak ścisła ją w gardle. - Nie pora teraz na głupie marzenia. Moją jedyną troską jest w tej chwili to, jak zdobyć dach nad głową. A do tego jeszcze matka... muszę się zatroszczyć także o nią.
- Babs przycisnęła palcami pulsujące skronie. Potem opuściła ręce i wstała. Chciała zapomnieć o wszystkim, co powiedział Lane, chciała postępować tak, jak gdyby sytuacja nie była tak zła, jak on to przedstawił. Nie udało jej się. Tym razem nie. Nie było nikogo, kto znowu doprowadziłby wszystko do porządku; nie było Deana i nie było R.D. Miała tylko Abbie. Usłyszała, jak otworzyły się drzwi wejściowe, i rozpoznała kroki córki. Abbie pospiesznie przeszła jednak obok salonu i skierowała się prosto na schody.
- Abbie - zawołała ją Babs i usłyszała, że córka z ociąganiem zawróciła.
- Abbie potargana przez wiatr i znużona stanęła w drzwiach. Ciągle jeszcze w zakłopotaniu marszczyła czoło.

114

- Martwiłam się o ciebie. Byłaś taka zdenerwowana, kiedy wybiegłaś z domu. - Gniew córki Babs przeżywała już często, ale nigdy jeszcze nie widziała jej tak przygnębionej. - Chciałam tylko zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku.

- Myślę, że tak. - Słowom tym towarzyszyło niepewne wzruszenie ramion. - Chciałam być sama i wszystko przemyśleć. - Na policzkach miała jeszcze ślady łez. Zagubionym wzrokiem rozejrzała się po salonie jak gdyby musiała utrwalić sobie każdy szczegół. Przypominała Babs wystraszoną, małą dziewczynkę, jej małą dziewczynkę. - Nie mogę uwierzyć, że musimy sprzedać River Bend. Powinno przecież wystarczyć, jeżeli sprzedamy konie i całą ziemię z wyjątkiem tej części, na której stoi dom?

- Zapomniałaś, że Lane mówił o wysokich długach hipotecznych?

- Musi być jakaś możliwość zachowania domu. To jest nasz dom rodzinny. - Za jej gniewem kryła się rozpacz. - Jak tatuś mógł nam coś takiego zrobić, mamó? - zapytała, wzdychając. - Nie pojmuję tego. Czy tak bardzo nas nienawidził?

Babs głośno zaczerpnęła tchu. Nigdy w ciągu tych wszystkich lat nie przypuszczała, że również Abbie czuła się nielubiana. Jak to było możliwe, że mając tylko jedną córkę, tak mało wiedziała o jej uczuciach? Babs najchętniej wzięłaby ją w ramiona i pocieszyła, ale nie odważyła się na to.

- Lane powiedział, że gdyby twój ojciec żył, na pewno znalazłby jakieś środki na spłacenie długów. Ja także jestem o tym przekonana. Na swój sposób Dean nas lubił. - Nie potrafiła się zmusić, by powiedzieć „kocham”. Wszelka miłość, którą Dean kiedykolwiek do niej czuł, dawno już umarła. Został z nią z poczucia obowiązku, ze świadomości winy i prawdopodobnie ze współczucia. Babs nigdy się nie zastanawiała, czy rzeczywiście kochał Abbie. Ponieważ nie kochał jej, mógł też nie odczuwać miłości do dziecka, którym go obdarzyła. Co jednak mogło dać grzebanie w przeszłości? Musiała teraz myśleć o Abbie.

- Abbie, ty i tak pewnego dnia opuściłabyś ten dom, gdybyś spotkała mężczyznę swego życia. Wyszłabyś za niego i wyprowadziła się do własnego domu, jak wtedy z Christopherem. Więc nie myśl, że spędziłabyś tu całe życie, gdyby to wszystko teraz się nie zdarzyło.

- Ale ty byś tu spędziła swoje życie. Co się z tobą dzieje, mamó? Kochasz ten dom, jego urządzenie, obrazy, wszystko sama wyszukałaś. To jest twój dom rodzinny. Jak możesz go opuścić?

- Ach, to dla mnie nic takiego, naprawdę. - Powiedziała to, by uspokoić Abbie. Ledwie jędnak wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że to prawda. - Od śmierci R.D. otaczała mnie tu tylko samotność. Nie sądzę, bym chciała wiecznie żyć z takimi wspomnieniami.

115

- Mamó, nie mówisz tego poważnie!

- A jednak. To przewiewny, stary dom, w którym zimą nie można utrzymać ciepła, a latem chłodu. Zawsze jest wilgotny i nieprzytulny. Urządzenia sanitarne są stare, okna wypaczone. - Dom miał tak dużo wad, że aż dziw, że nigdy przedtem ich nie dostrzegła.

- Ale... dokąd pójdziemy? Co zrobimy?

- Nie wiem. - Babs zmusiła się do uśmiechu i uciekła się do swojego ulubionego powiedzonka: - Wszystko obróci się na lepsze. Jak zawsze.

- No, mam nadzieję. - Abbie nie mogła podzielać ufności matki. Nie można było tak po prostu, pstryknięciem palcami wyczarować pracy lub dachu nad głową. Będzie musiała wyruszyć na poszukiwania... a jednocześnie doprowadzić konie przed sprzedażą do wysokiej formy i przygotować wszystko do licytacji. Jeżeli chcą uzyskać dobrą cenę, wszystko musi być pierwszorzędnie przygotowane.

/isza otoczyła Rachel, kiedy weszła do sali restauracyjnej. Zatrzymała się i wodziła wzrokiem po morzu białych obrusów i pustych krzesel. Z przylegającej sali klubowej dobiegał cichy gwar. Rachel niezdecydowana spojrzała na przejście prowadzące do baru.

Wiedziała, że przyszła na spotkanie z Lane'em za wcześnie. Mimo że na zewnątrz nigdzie nie dostrzegła jego samochodu, postanowiła sprawdzić w sali klubowej, czy już tam jest. Prawie wpadła w ramiona wychodzącego właśnie mężczyzny.

Wyciągnął ręce, by ją przytrzymać.

- Przepraszam, panienko, musiałem się chyba zagapić.

- Nie, to mój a wina - zaprotestowała zdyszana, czując przy tym przyspieszony puls.

Zażenowana, cofnęła się, uwolniła od jego rąk i rzuciła szybkie spojrzenie na mężczyznę ubranego w czarne spodnie dżinsowe i luźną, białą koszulę z ozdobnymi szwami na plecach.

Płaski kapelusz kowbojski był zsunięty do tyłu na długie brązowe włosy o lekkim rdzawoczerwonym odcieniu. Młody, sprawiający wrażenie przebój owego i przystojny mężczyzna zszedł jej uprzejmie z drogi, ale wbił wzrok w zielonajak nefryt suknię Rachel.

Unikając zainteresowanego spojrzenia błyszczących brązowych oczu, przeszła obok niego do przyciemnionej sali klubowej.

116

Przy barze stało dwóch mężczyzn, trzeci siedział w głębi przy stoliku. Gdy Rachel weszła, wszyscy trzej podnieśli wzrok. Lane'ajeszcze nie było. Czując badawcze spojrzenia mężczyzn, Rachel zrezygnowała z czekania na Lane'a w sali klubowej. Nigdy nie była zbyt zręczna w odpieraniu niepożądanych prób zbliżenia. Woląca poczekać w holu.

Z wahadłowych drzwi prowadzących do restauracyjnej kuchni wyszedł mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Rachel znowu poczuła jego zainteresowanie swoją osobą, kiedy zauważył, że stała przy wejściu do sali jadalnej. Pomyślała, że on tu pracuje i zebrała całą odwagę, kiedy się zbliżył.

- Przepraszam pana, ale... nic sienie stanie, jeżeli usiądę przy stoliku?

- Ruch zacznie się tu wprowadzić dopiero za dziesięć minut, ale szef z pewnością nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli pani usiądzie.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się uprzejmie, ale starała się unikać jego wzroku, kiedy chciała przejść obok niego.

- Czy mam coś pani przynieść? Chłodne piwo? Kieliszek wina? Rachel poczuła się niepewnie. Ponieważ jednak to on zaproponował, z pewnością wszystko było w porządku.

- Poproszę lampkę białego wina.

- W j jednej chwili. - Udał się do sali klubowej.

Abbie patrzyła za nim w zamyśleniu. Może był barmanem? Za barem nikogo nie zauważyła. Rozmyślała o tym nie dlatego, że interesowało ją, jaki ma zawód. Było jej to całkowicie obojętne. Weszła do sali jadalnej i wybrała stolik pod ścianą.

Ledwie zdążyła usiąść, gdy młody mężczyzna wrócił. Spojrzała na lampkę wina w jego ręce i otworzyła torebkę, by poszukać portmonetki; to dobry manewr, pozwalający uniknąć jego spojrzenia.

- Ile płacę?

- To na koszt zakładu.
- Nie mogę tego przyjąć.
- Szef chce w ten sposób przeprosić za to, że natychmiast nie zaproponował pani miejsca. Chce, by jego goście dobrze się czuli. - Podał jej trzymany za nóżkę kieliszek. Odbierając go, nie zdołała uniknąć dotknięcia jego ręki. Jego palce ledwie ją musnęły, ale i to krótkie dotknięcie wywołało w niej niemiłe uczucie zakłopotania.
- Proszę podziękować mu w moim imieniu. To jednak naprawdę niepotrzebne. Mężczyzna nie ruszał się z miejsca i przyglądał się, jak nerwowo popijała wino. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdzie.
- Aha, przy okazji, nazywam się Ross Tibbs.
- Miło mi, panie Tibbs.

117

- O nie, to nie tak. Proszę posłuchać, ja powiem, jak się nazywam, a pani mi powie swoje nazwisko. Spróbujmy jeszcze raz. Roześmiał się, a na jego policzkach pojawiły się dwa dołeczki. -Nazywam się Ross Tibbs.
- Rachel, Rachel Farr - odpowiedziała, ponieważ nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić w tej sytuacji.
- Podziwiałem pani niebieskie oczy.
- Pochlebia mi pan, panie Tibbs. -Jego komplement wprawił ją w jeszcze większe zakłopotanie.
- Ross - napomniał ją. - Jestem kompozytorem i piosenkarzem. Gram tu i śpiewam w weekendy, by nadać tej budzie trochę atmosfery i klasy. Jestem tu tylko do końca lipca. Potem mój agent załatwił mi współpracę z Gilleyem. Jest duża szansa, że Mickey Gilley nagra do swojego następnego albumu jedną z moich piosenek. - Wszystko to opowiedział z pewną dumą, zachowując jednak skromność, tak że nie traściło to zarozumiałstwem. -Zaczynam śpiewać dopiero o ósmej, ale zawsze przychodzę wcześniej, by móc przedtem w porę coś zjeść i przetrawić. Czy nie mogłaby mi pani towarzyszyć? We dwoje weselej przy stoliku.
- Dziękuję, ale czekam na kogoś. Powinien już tu być.
- Ale mam pecha! - Ross Tibbs roześmiał się z ubolewaniem. - Te atrakcyjne zawsze są już zajęte.
- Jest pan bardzo miły. - Rachel pragnęła, by przestał już mówić takie rzeczy.
- Nie jestem miły. Raczej zazdrosny. - Jego pełne podziwu spojrzenie wprawiało ją w coraz większe zakłopotanie. - A przy okazji: gdyby ten facet był tak głupi i sienie zjawił, podtrzymuję moje zaproszenie. Okay?
- Przyjdzie - zapewniła go Rachel z większym przekonaniem, niż naprawdę czuła. Istniała w końcu możliwość, że Lane'owi się nie uda przyjść. Przy takim nawale pracy setki spraw mogły go zatrzymać. Często zdarzało jej się to z Deanem. Zawsze snuł jakieś plany, by potem w ostatniej minucie je zmieniać. Kiedy Rachel była już przekonana, że Lane nie przyjdzie, wszedł do restauracji.
- Przyszedł - powiedziała do Rossa Tibbsa, kiedy Lane zbliżył się do stolika. - Halo. - Dostrzegła w jego oczach to szczególne spojrzenie, które dawało jej odczuć, że jest dla niego najważniejszą osobą na świecie, spojrzenie zastrzeżone tylko dla niej. Dawało jej poczucie pewności siebie i bezpieczeństwa. - Obawiałam się już, że nie dasz rady.

- Nic nie zdołałoby powstrzymać mnie od spotkania z tobą. — Lekko pocałował ją w policzek.
- Gdyby to było konieczne, poruszyłbym niebo i Teksas.

Roześmiała się dumna, że przebywanie z nią wiele dla niego znaczy.

- Mam nadzieję, że nie czekasz długo. - Skierował uwagę na Rossa Tibbsa i Rachel zauważyła, że niedostrzegalnie przymrużył oczy.

- Nie, przyszedłam za wcześnie. - Aby Lane nie pomyślał, że ma coś do ukrycia, natychmiast dodała: - Lane, to jest Ross Tibbs, piosenkarz, który tu występuje. Był tak miły, że mi towarzyszył. Panie Tibbs, to jest Lane Canfield.

Ross chwycił wyciągniętą rękę i szeroko otwartymi oczami popatrzył na Lane'a.

- Lane Canfield. Słynny Lane Canfield.

- Ten sam - przyznał Lane ani dumnie, ani wyjaśniająco, jak gdyby stwierdzał po prostu fakt.

Ross był wyraźnie pod silnym wrażeniem.

- To zaszczyt dla mnie, poznać pana. W Teksasie każdy wie, kim pan jest.

- Wątpię w to. - Uśmiech Lane'a był samą uprzejmością. Zwracając się do Rachel, powiedział:

- Widzę, że masz już coś do picia. Mnie też przydałby się drink.

Rachel przechwyciła spojrzenie Tibbsa, z którego emanowała ciekawość. Zapewne zastanawiała się, jaki charakter miały jej stosunki z Lane'em. Po raz pierwszy uświadomiła sobie różnicę wieku; młoda kobieta ze starszym mężczyzną. Wstrętą była dla niej myśl, że ludzie mogliby przypuszczać coś brudnego i taniego. Lane Canfield był cudownym człowiekiem, który wiele dla niej znaczył. Jego wiek nie grał żadnej roli.

- Przystojny mężczyzna - zauważył Lane, kiedy Ross Tibbs się oddalił. - Właściwie powinnaś jeść z nim, a nie ze mną.

- Proszę, nie mów tak. - Zaczęła mrugać od łez, które natychmiast napłynęły jej do oczu.

- Rachel... - Zaskoczony i zmieszany wyciągnął rękę i nakrył jej dłoń leżącą na stole. - Przecież to był tylko żart.

- Nie, to nie był żart. - Wiedziała lepiej. - Masz obawy przed pokazywaniem się ze mną publicznie. Z pewnością boisz się, że ktoś mógłby uważać cię za głupca.

- Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie. Nigdy mnie to nie obchodziło. Inaczej nie stworzyłbym mojej firmy, mojego imperium - powiedział poważnie. - Dla mnie liczy się tylko opinia jednego człowieka, a tym człowiekiem jesteś ty. Wiem, że zasługujesz na młodego mężczyznę, który ma jesz-

cze przed sobą całe życie, a nie takiego jak ja, który większość swego życia już przeżył. Chcę przez to powiedzieć, że w twoim towarzystwie jestem szczęśliwy i że zrozumiałbym, gdybyś zdecydowała się na innego.

- Z całą pewnością tego nie zrobię. Roześmiała się trochę protekcyjnie.

- Na pewno wydaje ci się to śmieszne.

- Nie. Pomyślałem tylko, że w twoim wieku też byłem taki zdecydowany w poglądach. Teraz jestem starszy i wiem więcej. Nie można być niczego pewnym, szczególnie w sprawach przyszłości.

Chciałaby temu zaprzeczyć i przysiąc, że zawsze będzie dla niej kimś szczególnym, ale obawiała się, że jej zapewnienie zabrzmiałoby dziecinnie i niedorzecznie.

- Wiem, że masz rację, ale wolałabym, żebyś tego nie powiedział.
- Wystarczy terazniejszość, Rachel - powiedział cicho. - Jeżeli dobrze się zastanowić, każdy ma tylko terazniejszość. Przeszłość i przyszłość są bez znaczenia. Cieszymy się dniem dzisiejszym, a o przyszłość martwimy się, kiedy nadejdzie.
- Jeżeli nadejdzie.
- Jeżeli nadejdzie - zgodził się Lane i puścił jej rękę, kiedy do stolika podeszła kelnerka, u której zamówił drinka. Potem zmienił temat. - Czy przeżyłaś dziś coś nowego i wzruszającego?
- Tak, albo przynajmniej uważam to za wzruszające. Dziś rano Simo-on i Ahmar wyruszyły z Kalifornii. Dopóki nie znajdę czegoś własnego, umieszczę je w prywatnej stajni. Cieszę się, że będę je mogła mieć przy sobie. Tak bardzo mi ich brakowało.
- Kiedy przyjadą?
- Za trzy, cztery dni. Kierowca nie chce się spieszyć, by długa podróż nadmiernie ich nie zmęczyła.
- Tyle już o nich opowiadałaś. Cieszę się, że będę mógł je wreszcie zobaczyć.
- Chciałabym, żebyś je zobaczył, ale... wiem, jak jesteś zajęty, a moje oba konie w porównaniu z tym są nieważne. - Nie podobała jej się myśl, że mógł jej to zaproponować tylko tak sobie, by sprawić jej przyjemność.
- Skoro to jest ważne dla ciebie, jest ważne także dla mnie. - Nachylił się i wyciągnął do niej nad stołem rękę. Rachel podała mu dłoń, którą ciepło i w sposób wzbudzający zaufanie objął jego palce. Kelnerka przyniosła drinka, ale tym razem nie wypuścił jej ręki. - Wszystko mnie w tobie interesuje - kontynuował tok swoich myśli.
- Ach, tylko tak mówisz.

120

- Zgadza się. - Potrafił zrozumieć jej wątpliwości. On przecież także miał trudności ze zrozumieniem samego siebie. Na początku usiłował sobie wmówić, że jego zainteresowanie Rachel brało się przede wszystkim z poczucia odpowiedzialności i współczucia. Inne kobiety pragnęły go, ale Rachel go potrzebowała: potrzebowała jego wiedzy, jego przewodnictwa i jego sympatii. Motyl zaczął się uwalniać z kokonu i Lane czuł się współodpowiedzialny za tę przemianę. Obcowanie z nią odmłodziło go, uczyniło silnym i żywotnym. - Ile razy mam ci to powtarzać, żebyś uwierzyła?

Jego dłoń promieniowała ciepłem i Rachel czuła narastające głębokie poczucie szczęścia. To poczucie kojarzyło jej się z przesiadywaniem chłodną nocą przed ogniskiem, wystarczająco blisko, by było przyjemnie, ale nie tak blisko, by się poparzyć.

- Być może tysiące razy - powiedziała żartem. Stuknęła się z nim i wypita wytrawne chablis. Ich spojrzenia spotkały się nad brzegami kieliszków. Ten moment miał w sobie coś bardzo intymnego, coś, co wzbudzało w niej zaufanie.
- Chciałabym, żebyśmy byli sami. - Pragnęła być trzymana w ramionach, całowana i... kochana.

Lane głęboko zaczerpnął tchu, a jego oczy reagując na jej uwagę pociemniały.

- Co dziś jeszcze robiłaś? - zapytał, starając się opanować.

- Najwięcej czasu spędziłam, oglądając różne obiekty z maklerką, którą mi poleciłeś. Pokazała mi ich co najmniej dziesięć w okolicach Houston. Niestety, nie było wśród nich ani jednego, który by mi odpowiadał.

- A czego właściwie szukasz?

Drugiego River Bend, przemknęło jej przez głowę, ale nie odważyła się tego głośno powiedzieć. Od kiedy zobaczyła tę posiadłość, stale miała ją przed oczami i myślała o niej. To, co do tej pory obejrzała, nie mogło się z nią równać nawet w przybliżeniu.

- Szukam stu akrów ziemi z domem i budynkami gospodarczymi, oddalonego około godziny jazdy od Houston. Brzmi to prosto, ale wszystkie obiekty, które obejrzałam, miały jakąś wadę: albo były za drogie, albo za daleko położone, albo też teren był zbyt zadrzewiony i karczowanie byłoby bardzo kosztowne. Już sama nie wiem - westchnęła. Jej niepewność i poczucie nieudolności nagle wróciły. - Być może ten cały pomysł jest niemożliwy do zrealizowania. Muszę nie tylko kupić ziemię i konie; potrzebuję także wykwalifikowanego zarządcy, trenera i stajennego. Nawet jeżeli wmawiam sobie, że można to osiągnąć, to i tak to przecież tylko marzenie.

121

- Marzenia zawsze wydają się niemożliwe do zrealizowania, i tak powinno być. Zrealizujemy je jednak. Nie możesz się poddać, Rachel. Jeżeli rzeczywiście spróbujesz, dasz sobie radę.

- Naprawdę w to wierzysz? - Nikt, nawet Dean, nie dodawał jej w taki sposób odwagi.

- Tak.

- Po cichu też wierzę, że dam sobie radę. Wiem, że nie da się tego zrobić z dnia na dzień. Opracowanie programu hodowli i osiągnięcie dzięki niemu sukcesów wymaga czasu. Trzeba się przy tym liczyć z niepowodzeniami i błędami. Nauczył mnie tego Dean. Wiedza, którą mi przekazał, bardzo mi się przyda. Wystarczy tylko pomyśleć, co on zrobił na stu akrach i jakie sukcesy odnosił. Nie wiem, dlaczego i ja nie miałabym dać sobie rady. - Uwagi Rachel nie uszedł wyraz niechęci, który pojawił się na twarzy Lane'a. - Co się dzieje? Nie przyznajesz mi racji?

- Ależ tak - Znowu się zaśmiał, ale odniosła wrażenie, że myśłami był gdzie indziej. Nie dała się zwieść. Z pewnością powiedziała coś niewłaściwego. Skąd wzięłaby się ta zmiana nastroju? Musiało to mieć związek z Dea-nem i River Bend. Lane był tam dzisiaj. Czy przypominała mu Abbie?

Rozdźwięk, który nagle powstał między nimi, odebrał jej prawie apetyt. Tak bardzo cieszyła się z tego wieczoru z Lane'em, a teraz nie mogła się doczekać, kiedy się skończy.

Rachel pojechała do hotelu, a Lane podążał za nią swoim samochodem. Kiedy zaproponował, że wpadnie do jej apartamentu na kawę, najchętniej wymówiłaby się znużeniem, ale był dla niej przecież tak miły, że nie mogła odrzucić tej propozycji.

Kiedy przyniesiono kawę, Lane stał przy oknie luksusowego apartamentu i patrzył z góry na połyskujące światłami Houston. Rachel napełniła filiżanki. Jedną z nich zaniósł mu do okna. Znowu rozmawiali o planowanej hodowli koni arabskich i Rachel zaczęła się zastanawiać, czy to jedyne temat, który przychodzi Lane'owi do głowy w jej towarzystwie.

- Czy pomyślałaś kiedykolwiek o tym, by współpracować z partnerem?

- Co masz na myśli?

- Myślę, że ty i ja moglibyśmy wspólnie prowadzić stadninę.

- Słucham? - Rachel myślała, że się przesłyszała. - Dlaczego chciałbyś w tym uczestniczyć? - Jeżeli jedynym powodem była jego gotowość do pomocy, nie mogłaby do tego dopuścić.

- Jak każdy wie, dobrze prowadzone zakłady hodowlane doskonale nadają się do tego, by wykorzystywać je do odpisów podatkowych. W mojej
122

sytuacji coś takiego byłoby bardzo przydatne. Widzisz więc, że mój udział przynosiłby mi korzyści. Byłoby to wspólne przedsiębiorstwo, którym ty byś kierowała, a ja wniósłbym do niego część kapitału.

- Poważnie?

- Tak, zupełnie poważnie.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - Rachel chwyciła go za ramię. Nie mogła w to uwierzyć.

- Tylko wtedy, gdy będziesz chciała mnie j ako partnera.

- Lane, nikogo nie chcę bardziej niż ciebie. - Prawie oniemiała ze szczęścia. Mieć Lane'a stale pod ręką i móc zwracać się do niego z pytaniami i problemami; czegoś piękniejszego nie mogła sobie w ogóle wyobrazić. Całe życie pragnęła mieć kogoś, z kim mogłaby się dzielić swymi marzeniami, snuć plany, współpracować i cieszyć się z sukcesów. - Lane, nie masz nawet pojęcia, j ak mnie uszczęśliwiasz.

- Cieszę się. Chciałbym, żebyś była szczęśliwa.

- Miałam przedtem uczucie, że nad czymś rozmyślałeś. - Była pewna, że chodziło o Abbie, ale teraz... To była ta sprawa, prawda?

- Ja... ja ostatnio dużo myślałem o tym projekcie.

Uwagi Rachel nie uszło niedostrzegalne wahanie w jego głosie. Zawsze miała w tych sprawach dobre wyczucie i potrafiła wyłowić w jakimś sformułowaniu nawet najdrobniejsze niuansy: staranny dobór słów, który lokował wypowiedź między prawdą a kłamstwem.

- Myślałam już, że powiedziałam coś niewłaściwego, albo że... były jakieś problemy w River Bend. - Lane bardzo dokładnie obserwował Rachel, kiedy mówiła o swoich przypuszczeniach.

- Jak do tego doszłaś?

Nie zdołał jej zwieść jego nic nie mówiący uśmiech. A więc było to jednak River Bend.

- Dzisiaj wydarzyło się coś, o czym według ciebie nie powinnam wiedzieć. ... - Zatajał przed nią problemy, chronił ją, jak kiedyś Dean. - Co to takiego?

- Tak, istotnie sątam problemy, ale nie chciałbym o tym mówić. Musimy przecież planować nasze przedsięwzięcia, podejmować decyzje... na przykład, j ak nazwiemy naszą stadninę. Rachel wyświadczyła mu grzeczność i zaaprobowała zmianę tematu, ale jej myśli stale wracały do River Bend.

- Lane, to nic nie da - powiedziała wreszcie. - Jeżeli mi nie powiesz, co się stało, tym bardziej nie przestanę o tym myśleć. Czy powiedziano coś o mnie?

123

- Nie, Rachel, to nie to. Nie chciałem o tym mówić, ponieważ uważam, że powinnaś spokojnie cieszyć się swoją wielką chwilą.

- Cieszę się, ale mimo to chciałabym wiedzieć, o co chodzi.

- A więc dobrze. Twój ojciec zostawił ogromne długi. Zalegał ze spłatami, posiadłość jest obciążona hipotecznie. Dlatego dla zaspokojenia roszczeń wierzycieli wszystko musi być teraz sprzedane.

- Ale... - Rachel patrzyła na niego bezradnie -jak to możliwe? Nie może być aż tak źle... przynajmniej z tymi wszystkimi pieniędzmi, które pozostawił dla mnie.
- Te pieniądze były ulokowane w przeznaczonym dla ciebie specjalnym funduszu, do którego nie miał dostępu.
- Abbie i jej matka... co z nimi będzie?
- Jestem pewien, że po sprzedaży aktywów i spłaceniu długów zostanie jeszcze dosyć pieniędzy, by mogły się gdzieś na nowo urządzić i żyć z nich.
- River Bend ma być sprzedane? - To niewyobrażalne. - Dean kochał tę posiadłość. - Bardziej niż jej matkę, bo nie opuścił przecież dla niej tego gospodarstwa. - Od pokoleń River Bend było posiadłością rodzinną. Nie do wiary, że ma teraz przejść w ręce kogoś, kto nie jest Lawsonem. - Ledwie wypowiedziała te słowa, błyskawicznie przyszła jej do głowy pewna myśl. - Ja jestem jedną z Lawsonów... z pochodzenia. - Zapaliła się. - Lane, kupimy River Bend.
- Co? - Gwałtownie uniósł brwi do góry.
- Nie widzisz, że byłoby to idealne rozwiązanie? Nie tylko zapobiegniemy w ten sposób przekazaniu posiadłości w obce ręce, ale będziemy mieli też wszystkie urządzenia, których potrzebujemy i zaoszczędzimy na kosztach budowy nowych obiektów. W dodatku River Bend jest znane w kręgach hodowców. Nie będziemy więc tracić czasu na to, by samemu dopiero zdobywać pozycję. To przecież oczywiste. Dziwi mnie, że sam nie wpadłeś na ten pomysł.
- Może to oczywiste, ale czy także mądre? Musielibyśmy gruntownie to przemyśleć.
- A co tu jest takiego do rozważania? - przeciwstawiła mu się Rachel, która nie rozumiała, dlaczego nie podzielała jej entuzjazmu. - To logiczne, praktyczne i rozsądne. Każdego by to przekonało. - Potem domyśliła się jednak przyczyny jego wahania i aż zeszytniała w środku.
- Martwisz się o to, jaka będzie reakcja na zakupienie przez mnie River Bend?

Lane odstawił filiżankę i wziął Rachel w ramiona.

- Powiedziałem tylko, że powinniśmy to gruntownie rozważyć. River Bend było rodzinnym domem Deana. To całkiem naturalne, że ty również

124

odczuwasz pewną więź. Rachel, kocham cię za to, że chcesz utrzymać tę posiadłość w rodzinie. Nie chciałbym jednak, byś w pośpiechu podjęła decyzję, której potem może będziesz żałowała. River Bend pójdzie pod młotek dopiero za kilka tygodni. Masz więc czas i chciałbym, żebyś poczekała z decyzją. Zrobisz to dla mnie?

- Tak - ustąpiła niechętnie Rachel. Odwróciła się i popatrzyła przez okno. - Wiem jednak, że nie zmienię zamiaru. Jest mi obojętne, co myślą ludzie. Może brzmi to bezdusznie, ale... River Bend będzie tak czy siak sprzedane. Abbie i jej matka utracą tę posiadłość, nie powinno więc mieć dla nich znaczenia, kto ją nabędzie. Jeżeli ja, to przynajmniej pozostanie w rodzinie. Powinny być zadowolone, jeżeli ją kupię.
- Być może. Prześpijmy się jednak z tym pomysłem, zanim dalej będziemy o nim dyskutowali.
- Świetnie. - Rachel skinęła głową, wciągając głęboko powietrze.
- Ja naprawdę poważnie potraktowałem to, co przedtem powiedziałem - podjął znowu rozmowę Lane.
- Wiem. A ja będę o tym pamiętała.
- Nie to miałem na myśli. - Lane zaśmiał się, wodząc piśczętliwie wzrokiem po jej twarzy.
- A co? - W jej głowie zaczęły się kłębić różne domysły.

- Poważnie potraktowałem moje oświadczenie, że cię Kocham. Powiedział to tak cicho i tak łagodnie, że potrzebowała kilku chwil, by zrozumieć znaczenie jego słów.
- Lane - wyszeptala jak odurzona i odwróciła się, by dotknąć jego twarzy. Kiedy długo i gorąco ją całował, objęła go ramionami i wsunęła palce w jego gęste włosy.
- Lane, jesteś tego pewien? - Gorąco pragnęła, by to była prawda.
- Jesteś kobietą, którą Kocham - potwierdził i odgarnął jej włosy z twarzy, by delikatnymi jak dotknięcie piórka pocałunkami obsypać jej czoło, nos i policzki.
- Ja też cię Kocham, Lane. - Kiedy dotykał jej karku i uszu, na całej skórze poczuła wspaniałe mrowienie.
- Tak? - Odsunął ją troszkę od siebie i spojrzał jej w twarz. - Chętnie bym w to uwierzył, ale jestem starszy, dużo starszy od ciebie. Jesteś pewna, że nie widzisz we mnie tylko podtatusiałego faceta?
- Jak możesz mówić coś takiego? - broniła się obrażona, że wątpił w nią. - Tak, przyglądam ci się. Czy to niewłaściwe, że kobieta patrzy na mężczyznę, którego Kocha?
- Nie, to nie jest niewłaściwe, jeżeli tak jest.

125

- Dlaczego usiłujesz obudzić we mnie wątpliwości? - Nie lubiła sposobu, w jaki usiłował ją nakłonić do postawienia jej uczuć pod znakiem zapytania.
- Byłaś już kiedyś zakochana?
- Nie. - Miłość zawsze ją omijała.
- Jak więc możesz być pewna, że to miłość? - zapytał. - Na kilka dni muszę wyjechać. Kiedy wrócę, zobaczymy, jak to jest z twoimi uczuciami. Jeżeli to miłość, to mała próba jej nie zaszkodzi... albo ją zmieni. - Położył rękę na jej ramieniu i powiedział patetycznie: Odprawdź mnie do drzwi, zanim zdecyduję się wykorzystać chwilę twojej słabości. Rachel prawie zapragnęła, by to uczynił. Kiedy całował ją na pożegnanie, nie potrafiła ponownie doszukać się w jego dotyku poprzedniej rozkoszy. Dał jej zbyt dużo materiału do myślenia: jej uczucia do niego i River Bend. O wpół do dziesiątej MacCrea dostrzegł przez okno swego wozu kempingowego światła zbliżającego się samochodu. Abbie powiedziała przez telefon, że będzie u niego o dziewiątej. Chciał podejść do drzwi, ale rozmyślił się i poszedł do kuchni. Był zły na siebie, że tak bardzo tęsknił za Abbie i pragnął ją trzymać w ramionach. Ponieważ tak długo kazała na siebie czekać, wolał być nieprzyjemny, niż zachowywać się jak chory z miłości młodzik. Wyjął z lodówki butelkę piwa i czekał. Kiedy Abbie weszła, zapomniał o wszystkim. Mała i delikatna, ale nie pozbawiona kobiecych kształtów, była dokładnie w jego typie.
- Halo - przywitała się krótko.
- Zastanawiałem się już, co cię zatrzymało. - Zwrócił uwagę na zmęczenie w jej oczach i zatroskaną minę, której nie ukrywał nawet uśmiech.
- Trwało to dłużej, niż myślałam. Zachorował drugi żreback. Ben mówi, że to może być zapalenie płuc.
- Objęła go w tali i odchyliła głowę w oczekiwaniu na pocałunek. MacCrea chętnie posłuchał tego niemego wezwania. Abbie oddała pocałunek, ale bez oczekiwanego ognia i namiętności.

Wjej głowie krążyły myśli nie związane z nim. Nieco zirytowany puścił ją i poszedł do małej szafki kuchennej.

- Piwo? - Otworzył swój ą butelkę.

- Nie. Alkohol jest ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz potrzeba. - W jej głosie można było wyczuć zniechęcenie albo złość, MacCrea nie potrafił tego rozróżnić. A może oba te uczucia jednocześnie? Spojrzała w kierunku

126

stolika. - A cóż to takiego? Kwiaty? - Dotknęła bukietu polnych kwiatów w wazonie z dymnego szkła, jak gdyby chciała się przekonać, czy są prawdziwe.

- Uważałem, że w tym pomieszczeniu brakuje czulej ręki mężczyzny - odpowiedział MacCrea. Stał blisko niej i wdychał zapach szamponu, którym pachniały jej włosy.

- Są cudowne. - Westchnęła i odwróciła wzrok. - Chyba jestem dziś bardzo zmęczona.

Jednak nie znużenie odczytywał w jej twarzy, lecz napięcie. Abbie była napięta jak sprężyna.

- Powiedziałaś przez telefon, że Lane Canfield miał dziś być u was. Czy wszystko poszło dobrze?

- Tak, był - wyrzuciła z siebie drżącym głosem. Nagle odwróciła się. - Chyba jednak wezmę to piwo.

Kiedy wyjmowała zimną butelkę z lodówki, MacCrea szukał w wiszącej szafce szklanki. Zauważył, jak otwierała butelkę. Ostry brzęk świadczył o tym, że nagromadzone w niej ciśnienie wewnętrzne znajdowało ujście.

- Co się stało? - MacCrea podał jej szklankę.

Abbie zawahała się, a potem nalala tak energicznie, że piana wyskoczyła w górę.

- To chyba żadna tajemnica. Za kilka dni będzie wiedział o tym cały cholerny Teksas...

Jesteśmy bankrutkami. Lane dziś nam to oznajmił.

- Co to znaczy bankrutkami?

- Bankructwo i wysokie zadłużenie. Jesteśmy tak biedne, że wszystko musi być sprzedane. Tak biedne, że nie mamy pieniędzy i dachu nad głową. - Drżącą ręką konwulsyjnie objęła szyjkę butelki.

- Hm, rozumiem - powiedział cicho MacCrea, ale nie wiedział, co myśleć o tej wiadomości.

- Chyba w to nie uwierzę - odparła cynicznie. - Wszystko musi być sprzedane, dom, farma, ziemia, konie, wszystko. Przeczuwałam, że będą trudności z powodu spadku, ale myślałam, że pojawią się ze strony Rachel. Myślałam, że zaskarży testament lub sprawi kłopoty w inny sposób.

- Tak, to trudna sytuacja. - Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że słowa nic teraz nie znaczą. Abbie w ogóle nie słuchała.

- Założę się, że wiedziała o tym przez cały czas. Lane musiał ją poinformować. Nic dziwnego, że na razie w ogóle nie próbuje walczyć o swoją część. I tak nie było przecież niczego do wzięcia. - Chwyciła szklankę i wypita łyk. - A wiesz, dlaczego nie ma żadnych pieniędzy? Ponieważ tak dużo roztrwonił na siebie i na swoją ukochaną córeczkę. Prawdopodob-

127

nie obsypywał ją drogimi prezentami, tak jak ten żreback, którego jej podarował.

- Byłaj ego córką.

- Ja też! - wykrzyknęła Abbie. - A jednak to ona wszystko dostała. Wiedziałaś, że ten wypadek nastąpił, kiedy ojciec wracał z wizyty u niej ?

- Nie.

- Niczego od niego nie dostałam, kiedy żył. Może to dobrze pasuje, że po jego śmierci też niczego od niego nie mam. - Ściągnęła ramiona w bezradnym geście. - Nie wiem po prostu, co mam robić - powiedziała zgaszonym głosem.

MacCrei z reguły nie wzruszały problemy innych, ale tym razem było inaczej. Niemógł być obojętny wobec tej sytuacji. Ostrożnie wyjął jej szklankę z ręki i wziął ją w ramiona, chociaż irytował go instynkt opiekuńczy, który w nim budziła. Oparła się o niego i położyła mu głowę na piersi.

- Jest tyle do zrobienia, że w ogóle nie wiem, od czego zacząć -poskarżyła się. - Muszę znaleźć pracę i mieszkanie, ale jaką pracę, jakie mieszkanie i gdzie?

- Ten drugi problem jest do załatwienia. Przeprowadzisz się do mnie. - Spodobała mu się myśl, że stale mógłby ją mieć przy sobie.

- A matka i Ben? Dla czterech osób nie ma tu przecież miejsca. Poza tym jest jeszcze Jackson. Z pieniędzmi, które miał mu zapisać ojciec, chciał przejść na emeryturę.

- Nie myślałem o nich.

- Aleja myślę. Ben w tym wieku nie znajdzie żadnej pracy. A matka jeszcze nigdy w życiu nie pracowała. - Mocniej przycisnęła się do niego. - Trzymaj mnie mocno, MacCrea.

Przycisnął ją mocno do siebie i łagodnie kołysał.

128

17

1 podczas przeglądania listy koni, którą przygotował asystent Lane'a Can-fielda, Abbie natychmiast rzuciło się w oczy imię River Breeze. Zdumiona wpatrywała się w listę szeroko otwartymi oczyma. Po chwili jej zdumienie ustąpiło miejsca niedowierzaniu. Najwyraźniej była to pomyłka, która natychmiast musiała być sprostowana.

Z listą w ręku udała się na poszukiwanie Cheta Forbesa, asystenta Lane'a. Obaj byli gdzieś na terenie posiadłości wraz z trzema innymi współpracownikami, i sporządzali kompletną listę inwentarza. Przewidziano dwie oddzielne licytacje.

Na pierwszej pod młotek miały pójść wszystkie konie wraz z uprzężą i innym wyposażeniem, natomiast na drugiej - całe River Bend ze wszystkimi nieruchomościami. Usłyszawszy głosy dobiegające z siodłami, Abbie podeszła do drzwi i zajrzała do środka. Krępy mężczyzna zdejmował z haka cztery uździenice, Ben podawał ich nazwy, a inny wpisywał na listę: nudne, czasochłonne zajęcie.

- Cztery uździenice - powtórzył mężczyzna przy wpisywaniu.

- Jedna jest okuta srebrem - sprecyzował Ben. - Drogi egzemplarz. Kiedy krępy mężczyzna poddał uździenice ponownym oględzinom, Abbie krzyknęła:

-Pociemniała. Przed aukcją musimy ją wyczyścić. -Zanotowała to w pamięci wśród spraw, które trzeba było jeszcze załatwić. Była to bardzo długa lista. - Widzieliście Lane'a lub Cheta Forbesa?

- Tak, sąw biurze.

Kiedy Abbie weszła, Lane stał za biurkiem i przeglądał z Chetem For-besem jakieś dokumenty.

- Przepraszam, ale właśnie przejrzałam listę koni. Zapisaliście na niej River Breeze. Ten koń jest moją własnością. Ojciec podarował mi tę klacz w ubiegłym roku.
 - Hm, chciałbym wiedzieć, jak mogło do tego dojść. - Błady młody mężczyzna wziął od niej listę. Spojrzał na nią i zaczął przeglądać leżące na stole segregatory. - Przy zestawianiu tej listy opierałem się na wpisach do rejestru właścicieli i na dokumentach źrebaków.
 - Prawdopodobnie na moim dokumencie własności przeczytał pan tylko nazwisko Lawson i odłożył do innych bez bliższego przyjrzenia się.
 - Możliwe. - Chet Forbes otworzył segregator i energicznie przekart-kował znajdujące się w nim dokumenty. - Ach, mamy ją. River Bree-ze. - Po starannym zbadaniu obu stron dokumentu spojrzał triumfująco: - Mia-
- 9 - Przyrodnie siostry 129
- łem racj ę. Koń j est wpisany pod nazwiskiem Deana Lawsons. Nie ma żadnej wzmianki o przeniesieniu własności na kogoś innego.
 - To niemożliwe. - Abbie wzięła segregator i dokładnie przyjrzała się odwrotnej stronie świadectwa własności. W rubryce przewidzianej na wpisanie właściciela brakowało j ej nazwiska. - On podarował mi River Breeze.
 - Czy powiedział, że przepisze na panią konia w dokumentach? - Lane wyszedł z za biurka i spojrzał na świadectwo.
 - To było w ubiegłym roku. Nie pamiętam już dokładnie, co powiedział. Nie ofiarowuje się jednak niczego bez zapisu w świadectwie własności.
 - Czy kiedykolwiek pytała go pani o to?
 - Nie, zakładałam, że przepisał świadectwo. Nigdy nie zaprzętałam sobie tym głowy. Myślałam, że świadectwo nadeszło i ojciec przechował je dla mnie. Nigdy nie pomyślałam, że mogłoby być inaczej... - Spojrzała nieufnie na Lane'a. - Ona należy do mnie.
 - Abbie, nie wiem, co mam na to powiedzieć - odezwał się Lane, który chciał zyskać na czasie. - Wygląda na to, że nie ma pani w ręku żadnego pisemnego dowodu, potwierdzającego pani roszczenia do własności, nawet podpisu Deana. Wpis jest na jego nazwisko. Zgodnie z przepisami koń należy do spadku po nim.
 - Nie - sprzeciwiła się zduszonym głosem.
 - Dean z pewnością to przeoczył. Sprawdzę, co da się zrobić - obiecał Lane. - Nie może pani jednak zapominać, że ten koń jest wartościowym zwierzęciem, wartościową pozycją aktywów, jak pani woli, prawie równie cenną, j ak budynek. W przypadku budynku nie mogłaby pani również zgłaszać roszczeń do własności, gdyby nie miała pani w ręku żadnego dokumentu. Niestety, również prawo nie widzi tego inaczej.
 - W przypadku Rachel ojciec przepisał dokumenty, kiedy podarował jej źrebaka-powiedziała rozgoryczona Abbie. Lane wziął od niej segregator i podał go Chetowi.
 - Porównujemy wszystkie konie w stadninie z dokumentami w segregatorze. W przypadku dwóch źrebaków dokumenty trzeba było dopiero wystawić, ale poza tym nie natknęliśmy się na żadne rozbieżności między zapisami w dokumentach a istniejącymi końmi - oświadczył Chet.
 - Wierzę panu. - Ledwie hamowała złość i nienawiść. - Mimo to Breeze należy do mnie. Lane wytrzymał jej wyzywające spojrzenie.
 - Abbie, uczynię wszystko, by ustalić, czy może pani zatrzymać konia.

- Niech pan to zrobi, proszę. Lane odprowadził ją do drzwi.

130

- Rozmawialiśmy z Chetem o zatrudnieniu kilku dodatkowych pomocników, by dobrze przygotować konie do aukcji.

- Tak, potrzebujemy ich - stwierdziła Abbie. - Sami z Benem nie damy rady. Sądząc po tym, jak to teraz wygląda, potrzebujemy przynajmniej miesiąca, aby doprowadzić je do najwyższej formy.

- Zatroszczę się o to, by dostała pani pomoc - obiecał Lane, kiedy wyszli z przybudówki.

- Dziękuję - powiedziała z pośpiechem Abbie, zaaferowana widokiem czarnego samochodu dostawczego MacCrei, parkującego obok wozu Lane'a. Spodziewała się go dopiero późnym wieczorem. Te późno wieczorne randki stały się już niemal przyzwyczajeniem. Dostrzegła go, jak wychodził z domu. Przyspieszyła kroku i spojrzała na niego z uśmiechem.

- MacCrea, co tu robisz? Nie uprzedziłeś mnie o swojej wizycie.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę. - Stał przed nią w typowy dla siebie sposób i lustrował ją leniwie, a jej robiło się od tego gorąco.

- Udało ci się.

- To dobrze. - Nie zważając na obecność Lane'a, objął ją za szyję. Potem pochylił głowę i wyszeptał w jej włosy: „Brakowało mi cię”. Wyprostował się ze złośliwym uśmiechem, ponieważ wiedział, że nie mogła mu odpowiedzieć tak, by jej nie usłyszano. Abbie skrzywiła się, a MacCrea uśmiechał się filuternie.

- Lane, chciałabym przedstawić ci MacCrea Wildera. MacCrea, Lane Canfield.

MacCrea zdjął rękę z jej karku i wymienił uścisk dłoni z Lane'em.

- Miło mi pana poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Wilder.

- Lane, nie wiem, czy opowiadałam ci już o MacCrei, ale w każdym razie miałam taki zamiar. - Uświadomiła sobie, że kiedy przebywała z Lane'em, było tak wiele innych rzeczy do omówienia. - MacCrea jest przedsiębiorcą, wiertniczym, a zarazem wildcatterem. Dokonał też wynalazku nowego systemu kontrolnego. Ale to już on sam potrafi panu lepiej wyjaśnić.

- Abbie, wątpię, czy pan Canfield chciałby tego słuchać - rzucił spokojnie MacCrea, próbując jednocześnie ocenić Lane'a. - Mój wynalazek nie leży w sferze jego zainteresowań.

- Ojciec chciał skontaktować MacCrea z ludźmi, którzy mogliby mu pomóc w opracowaniu wynalazku do końca i wprowadzeniu go na rynek. Pan przecież także zna wielu ludzi z branży naftowej - przypomniała sobie nagle Abbie. - Może mógłby mu pan pomóc w jakiś sposób?

- Tak, czemu nie - przyznał Lane. - Nie zawadzi poznać coś nowego. Spotkajmy się kiedyś, by mógł mi pan wszystko wyjaśnić.

131

- Czy mogę zadzwonić do pana w przyszłym tygodniu i uzgodnić termin?

Abbie nie usłyszała odpowiedzi Lane'a, ponieważ na podwórzu zajechał swoją klekoczącą budą Dobie Hix. Zdziwiona zmarszczyła czoło, nie wiedziała, co mógłby tu mieć do roboty. Na karmienie koni było jeszcze za wcześnie. Jeszcze bardziej zdumiała się, kiedy obok niego zobaczyła swoją matkę.

- Wybaczcie mi. - Opuściła Lane'a i MacCrea i podeszła do samochodu Dobiego.

- Abbie, wydarzyło się coś wspaniałego! - Radośnie podniecona matka wysiadła z samochodu. - Znalazłam dla nas obu dom.
- Ach, tak? -Abbie spojrzała ostro na Dobiego Hiksa, który obchodził maskę samochodu. Dobie pospiesznie zdjął kapelusz i jego jasne włosy zaśniły w słońcu rdzawoczerwonym odcieniem. Abbie chętnie dowiedziałyby się, co on miał z tym wszystkim wspólnego.
- Tak, to idealne rozwiązanie - oświadczyła matka. - Jest bardzo mały, dlatego będziemy musiały sprzedać trochę mebli, ale większego przecież nie potrzebujemy. Jest nawet pokój dla Bena.
- Gdzie j est ten dom? - Abbie nie chciała być zbyt sceptyczna, ale po matce nie można było oczekiwać, że przy poszukiwaniu domu uwzględniła wszystkie ważne potrzeby.
- Naprzeciw mojego - odpowiedział Dobie. -Niektórzy z moich pracowników mieszkają z rodzinami na farmie. Daję im mieszkanie do dyspozycji. W tej chwili jeden z tych domów stoi pusty, więc pomyślałem, że mogłybyście w nim zamieszkać, gdybyście zechciały. Nie jest to wprawdzie to, do czego jesteście przyzwyczajone...
- Dobie, nie wiem, co mam powiedzieć - odparła Abbie z bezradnym wzruszeniem ramion.
- Niestety, muszę za to zażądać od was czynszu, oczywiście niewielkiego, pokrywającego tylko moje koszty.
- Gdybyś nie chciał wziąć czynszu, twojej propozycji w ogóle byśmy nie rozważały. -Nie chciała być skazana na czyjąkolwiek łaskę, nawet gdyby to był najbliższy sąsiad.
- Abbie, wiem o tym. Myślę, że dom ci się spodoba. - Dobie patrzył naniapoważnie, starając się przekonać. -Moje stado bydła już nie jest duże, więc obora jest praktycznie pusta. Możesz tam za darmo umieścić swoje konie. Boksy nie są wykorzystywane.
- Abbie, rozumiesz teraz, co zamierzam? To dla nas idealne rozwiązanie - oświadczyła uszczęśliwiona matka.

132

- Tak, to brzmi sensownie - musiała przyznać Abbie. Nie poczuła jednak żadnej ulgi z powodu rozwiązania problemu mieszkania. Przyłapała się natomiast na tym, że kurczowo poszukiwała wady tego rozwiązania.
 - Jeżeli chcesz, pojedę z tobą, żebyś mogła obejrzeć sobie ten dom -zapropował jej Dobie.
 - Może później, teraz jestem zajęta.
 - Jasne. - Dobie spojrzał w kierunku obu mężczyzn i skinął głową. -Przyjdź po prostu, kiedy zechcesz.
 - Dziękuję, Dobie, przyjdę.
 - No, to ja już pojedę. -Uśmiechając się, obracał w rękach kapelusz.
 - Dobie, bardzo dziękuję, że pokazał mi pan dom. - Babs wyciągnęła do niego rękę. - Niech się pan nie martwi, wiem, że Abbie będzie tak samo zachwycona, jak ja.
 - Mam nadzieję. - Wcisnął kapelusz na głowę i usiadł za kierownicą. -A więc do zobaczenia później - powiedział przez ramię.
- Abbie, której to wszystko wydawało się podejrzane, patrzyła, jak zawrócił i pojechał w kierunku bramy.
- Abbie, poczekaj, aż zobaczysz. - Z głosu Babs można było wyczytać dumę i zadowolenie. - Jest wprawdzie o wiele mniejszy od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajone, ale nie potrzebujemy już przecież tak dużo miejsca.

- Wiem. Może jutro będzie czas na to, żebyśmy go razem obejrzały. -Abbie chciała wrócić do Lane'a i MacCrea.

- No, mamy dzisiaj dzień odwiedzin - stwierdziła Babs. - Kto to może być?

Kiedy Abbie spojrzała na wjazd, Dobie właśnie zjeżdżał na bok, by przepuścić inny samochód. Zdrętwiała.

- Prawdopodobnie ktoś chciałby obejrzeć konie. - Tak jak ostatnim razem, pomyślała, z wielkim trudem przybierając obojętny ton. - Mamo, powinnaś pójść do domu i przygotować herbatę i ciasto, które dziś zrobiłaś. Lane z pewnością będzie miał na nie ochotę.

- Dobry pomysł.

Kiedy z powodzeniem odwróciła uwagę matki, poszła szybko do samochodu, który zatrzymał się na podwórzu. Obserwowała wysiadającą Rachel Farr, świeżą, jakby nietkniętą przez gorące popołudniowe słońce.

Abbie energicznie zagroziła jej drogę. To, że MacCrea i Lane byli zupełnie blisko, zauważyła dopiero wówczas, gdy Rachel rzuciła w ich kierunku przelotne spojrzenie.

- Muszę z panią porozmawiać - zaczęła Rachel.

133

- Mój Boże, panijest...- Wypowiedziane szeptem, ledwie słyszalne słowa dobiegały z tyłu.

Kiedy Abbie się odwróciła, pochwyciła przerażone spojrzenie matki.

- Mamo, miałaś pójść do domu. - Dla Abbie było to nie do zniesienia, że jej własna matka patrzyła na nią takim wzrokiem. Powinna była oszczędzić jej tego spotkania. Dlaczego Babs nie posłuchała jej i nie poszła do domu?

- Pani Lawson, jestem Rachel Farr. Abbie odwróciła się do niej gwałtownie.

- Czego pani tu chce? Nie życzymy tu sobie pani.

- Gdyby dała mi pani czas... - zaczęła Rachel.

- Nie jesteśmy zainteresowane tym, co pani ma do powiedzenia.

- Rachel... - Lane podszedł bliżej.

- Nie, Lane. Powiedziałam ci już, że dobrze się nad tym zastanowiłam - oświadczyła Rachel cicho, a jednocześnie z naciskiem mimo drżącego nerwowo głosu.

Abbie przyglądała się zmieszana, jak Lane bierze rękę Rachel i ściska

ją-

- Już dobrze - powiedział.

To dotknięcie sygnalizowało intymność i ciepło, co Abbie jeszcze bardziej speszyło.

Przypuszczała, że Lane i Rachel się znali. Zakładała jednak, że podczas swoich spotkań zajmowali się tylko sprawą spadku.

- Lane napomknął mi, jak wygląda pani sytuacja finansowa... z tymi wszystkimi długami - zaczęła z wahaniem Rachel. - Wyobrażam sobie, że perspektywa przymusowego wystawienia River Bend na publiczną licytację nie jest przyjemna. Chciałabym kupić tę posiadłość, by nie poszła pod młotek.

- Za co? Za pieniądze mojego ojca? - zawołała Abbie z rozgoryczeniem, pamiętając, że Dean oddzielnie zatroszczył się o Rachel.

- Tak, większa część pieniędzy pochodzi z funduszu powierniczego, który założył dla mnie - przyznała Rachel. Oznaczało to, że Rachel dysponowała pokaźnym majątkiem. River Bend wyceniono na ponad dwa miliony dolarów.

A Rachel zamierzała je kupić. Ojciec zadbał o to, by również po jego śmierci dostała pieniądze, a własnej rodzinie nie zostawił niczego. Czy Abbie potrzebowała jeszcze dalszych dowodów na to, że ojciec jej nie kochał? Przestała panować nad sobą, wybuchnęła nienawiścią i gniewem.

- Raczej kazałabym spalić River Bend, niż dopuściłabym do tego, by przeszło w pani ręce! Niech pani się stąd wynosi! - Nie mogła już jasno

134

myśleć. Nie zauważyła, że krzyżąc na Rachel wpada w histerię. Rachel skuliła się i szukając pomocy zwróciła się do Lane'a.

Wkroczył między nie MacCrea i chwycił Abbie za rękę tak, że jązabo-lało.

Lane odprowadził Rachel do samochodu i pomógł jej wsiąść.

Wstrząśnięta Babs odwróciła się.

- Chyba pójdę do domu - powiedziała.

- Zrób to, mamó - zgodziła się przygnębiona Abbie.

Kiedy MacCrea ją puścił, schyliła głowę. Z nie ukrywaną złością patrzyła na Lane'a. Teraz wiedziała, jak wygląda jego lojalność.

- Abbie, wyobrażam sobie, co pani czuje i bardzo mi przykro - powiedział Lane. - Wiem, jak bardzo Rachel zależy na tym, by River Bend pozostało w rodzinie.

- Tak? Jakie to z jej strony szlachetne, że martwi się o rodzinną siedzibę. A co z matką? Jak pan myśli, jak ona się czuje, wiedząc, że ojciec zostawił Rachel dość pieniędzy, by mogła kupić River Bend, podczas gdy sama nie dostała ani centa? Czy świadomość, że ojciec jej nie kochał, nie była dla niej piekłem? Czy trzeba było jeszcze wyraźniej pokazać jej, jak wspaniałomyślnie zaopatrzył dziecko swojej kochanki, podczas gdy swojej żonie i córce nie pozostawił niczego? -wykrzyknęła Abbie z goryczą.

- Wiem, co pani o tym sądzi...

- Bardzo w to wątpię. Nie mogę już znieść tego domu. Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko będzie wreszcie sprzedane.

Abbie zostawiła obu mężczyzn. MacCrea nie powiedział ani słowa, ale było jej obojętne, co myślał, w każdym razie w tej chwili. Nie przypuszczała, że można aż tak bezgranicznie nienawidzić.

18

1 odpisz tu, proszę. - Lane przekartkował wszystkie strony umowy i w-skazał miejsce przeznaczone na podpis Rachel. Rachel podpisała i wyprostowała się przed jego masywnym biurkiem. - To była ostatnia. - Odłożył złote pióro i uporządkował dokumenty. - A to j est kopia - powiedział i podał jej jeden z egzemplarzy. - Szczęśliwa?

- Że mam ciebie za partnera? Oczywiście. - Uśmiechnięta Rachel odwróciła się. Wiedziała, że tylko jedna rzecz mogła uczynić jajeszcze bardziej szczęśliwą: posiadanie River Bend.

135

- Musimy to dziś razem uczcić.

- Cudowny pomysł. - Po chwili milczenia kontynuowała: -Nie powiedziałaś mi, czy rozmawiałaś z Abbie od... -Nie dokończyła zdania, gdyż nie chciała wspominać o tym katastrofalnym spotkaniu w ubiegłym tygodniu.

- Wczoraj dzwoniłem do niej i poinformowałem, że wyślemy jej kopie katalogu aukcyjnego, by mogła skorygować ewentualne błędy. Przy imionach niektórych koni można połączyć sobie język albo trzeba byłoby sięgać po słownik... oczywiście arabski. - Kiedy ta próba żartu nie wyczarowała na jej twarzy żadnego uśmiechu, Lane westchnął. - Nie rozważyłaś tego jeszcze raz i nie zmieniłaś zdania? Mimo że wiesz, jakie uczucia to w nich wywołuje?

- Nie, chcę kupić tę posiadłość. - W duchu widziała przed sobą twarz Abbie, malującą się na niej nienawiść i pogardę i jej zdecydowanie jeszcze się umocniło. - Z pewnością uważasz to za błąd.

- Nie, nie, w żadnym wypadku. - Lane dokładnie ważył następne słowa. - Prawdę mówiąc, kiedy wówczas odjechałaś, Abbie powiedziała mi, że nienawidzą z matką tej posiadłości. Nie mogą się doczekać, kiedy zostanie sprzedana.

- Tak powiedziała? Jak mogła? River Bend jest dziedzictwem Dea-na. Od stu pięćdziesięciu lat jest w posiadaniu rodziny. Jak można pragnąć, by zostało sprzedane obcym?

- Nie wiem. Ale tak powiedziała.

- Nie dopuszczę do tego. Nie mogę. - Spojrzała na podpisany właśnie dokument, który trzymała w ręku. - Na pewno uważasz mnie za głupią i sentymentalną. Może powinniśmy podrzeć tę umowę; wiem, że nie akceptujesz kupna River Bend...

- Mylisz się. - Ujął jej palce w dłonie, tak że jeszcze mocniej ścisnęła trzymany dokument.

- Nie widzę żadnego powodu, by nie kupować River Bend, jeżeli tak bardzo tego pragniesz.

- Lane! - Z okrzykiem radości objęła go za szyję i obsypała pocałunkami. - Lane, jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Z ociąganiem uwolnił się z jej ramion i podszedł do biurka.

- Wydam natychmiast polecenie, by w naszym imieniu wystąpił na aukcji agent.

- A propos aukcji, przeglądając listę klaczy zarodowych dostrzegłam kilka, które powinny nas zainteresować. Żadnego zwierzęcia jednak nie widziałam i żadnego nie chciałabym kupić bez obejrzenia.

- Dajesz mi do zrozumienia, że chciałabyś być na aukcji koni?

- Tak, ale po ostatnim wybuchu Abbie nie mam odwagi tam pójść.

136

- Nie może zabronić ci wstępu. To przetarg publiczny.

- Może powinieneś jej o tym przypomnieć, kiedy się z nią spotkasz następnym razem.

- Zrobię to. A teraz nie chciałabym cię wypędzać, ale za pięć minut mam spotkanie. Przyjdę po ciebie o siódmej.

- Nie będę się mogła doczekać. - Poczula, że usiłował ją przytrzymać i przedłużyć lekki pocałunek pożegnalny. Rachel wzięła torebkę i wyszła. Wciąż sobie powtarzała, że wkrótce zostanie nową panią River Bend i Abbie nie będzie miała tam już nic więcej do powiedzenia. To Rachel zostanie właścicielką domu rodzinnego Deana. Będzie kontynuowała tradycję rodzinną. Będzie też kierowała stadniną koni arabskich. Ogarniało ją niezwykle poczucie siły. Po raz pierwszy w życiu mogła robić wszystko, co chciała. Nikt nie mógł jej przeszkodzić: ani jej przeszłość, ani Abbie, nic.

19

A

Lbbie weszła do kuchni tylnymi drzwiami. Musiała torować sobie drogę między licznymi, poustawianymi w stosy kartonami.

Na każdym z nich matka starannie wypisała zawartość, która miała być sprzedana. Abbie przeszukała skrzynkę obok wiszącego na ścianie telefonu, ale poczty nie było na zwykłym miejscu.

Niecierpliwym ruchem otworzyła drzwi prowadzące do jadalni i rozejrzała się po stole i biurku. Potem jej kroki rozległy się w salonie.

- Abbie, to ty? - zawołała matka z górnego podestu schodów.

- Tak, mam. - Abbie podeszła do stopni. - Gdzie położyłaś pocztę? Ben powiedział mi, że przyszła przesyłka z biura Lane'a.

- Na stole w przedsiionku. - Babs zeszła po schodach. - Abbie, tak się cieszę, że jesteś. Który pokój chciałabyś mieć w tym drugim domu? Kiedy tam byliśmy, nie powiedziałaś na ten temat ani słowa - przypomniała jej Babs, gdy Abbie rozrywała kopertę z wydrukowanym katalogiem aukcji. Nadawcą przesyłki było biuro Lane'a Canfielda. - Muszę się zdecydować, którą komodę mam sprzedać, a którą zatrzymać. Twój a zmieści się tylko w jednym pokoju, w innych już nie. To samo z moją, ale ta z pokoju gościnnego pasowałaby do obu pomieszczeń. Na trzeciej stronie katalogu Abbie odkryła wydrukowane tłustym drukiem imię River Breeze. Mimo przecucia, że młoda klacz znajdzie się na liście, chociaż domagała się tego konia jako swojej własności, kiedy zoba-

137

czyła to czarno na białym, poczuła, że coś w niej obumarło. Dwa dni temu zadzwonił do niej Lane z informacją, że według sądu spadkowego klacz jest zbyt wartościowa, by ją zakwalifikować jako zwykłe zwierzę domowe. Jednak Abbie do końca nie traciła nadziei.

- Abbie, słyszałaś? Który pokój chciałabyś?

- Wszystko mi jedno. - Zamknęła katalog i położyła go obok leżącej poczty. - Ty wybierz pierwsza, a ja wezmę ten drugi.

- Coś się stało, Abbie? - Zatroskane spojrzenie Babs powędrowało od Abbie do katalogu i do rozdartej koperty.

- Stało się? - Abbie potrząsnęła głową. - Jeszcze pytasz? Do tej pory więcej niż trzeba. - Chwyciła za klamkę drzwi wyjściowych. - Na razie.

Przygnębiona Abbie wyszła na werandę. Zanosilo się na to, że będzie gorzej. Kiedy to się skończy? Kiedy wreszcie zazna czegoś dobrego?

Stójąc na najwyższym stopniu, usłyszała zgrzyt bramy ogrodowej i spojrzęła w jej kierunku. Zbliżał się do niej MacCrea, wielki, silny i uśmiechnięty. To było właśnie to dobre, uświadomiła sobie nagle i tak samo nagle dostrzegła świecące jasnym słońce oraz niebieską sójkę na trawie.

Zaczęła zbiegać na dół i kiedy znalazła się na ostatnim stopniu, był już przy niej. Ten jeden stopień wyrównywał różnicę ich wzrostu. Stała dokładnie tak, by móc zarzucić mu ręce na szyję i namiętnie go pocałować. Po chwili zdziwienia oddał jej pocałunek i mocno przycisnął ją do siebie.

Kiedy ich usta się rozdzieliły, Abbie drżała.

- Bardzo mi ciebie brakowało, MacCrea - wyszeptęła. - Nie widziałam cię dwa dni. Gdzie się podziewałeś?

- No, jeżeli powitanie będzie zawsze takie, to częściej będę znikał - powiedział ochryplym głosem.
- Lepiej nie. - Potrzebowała go. Dopiero teraz dostrzegła jak bardzo.
- Mam dobrą wiadomość. Duża firma z Houston wyraziła dziś gotowość przebadania mojego sterowanego komputerowo systemu kontroli zachowania się szlamu wiertniczego i wprowadzenia go na rynek, jeżeli okaże się sprawny i dobry. Finansowanie i wszystkie inne sprawy są już uregulowane.
- Poważnie? - Przez ułamek sekundy nie mogła mu wierzyć, ale zadowolenie widoczne w jego oczach mówiło, że to prawda. - To wspaniale, nie, fantastycznie!
- Jeszcze jak! Oboje pojedziemy do miasta i uczymy to, natychmiast - oświadczył.
- W tej chwili? MacCrea, to niemożliwe. Mam jeszcze setki spraw do załatwienia. A wieczorem konie muszą być nakarmione.

138

- Pojedziemy teraz. - Zaśmiał się lekko, całkowicie pewien swoich racji.
- Żartujesz, MacCrea. Nie mogę przecież obciążać całą pracą Bena. - Abbie próbowała się uwolnić, ale ręce mocno były splecione na jej plecach.
 - Ben da sobie radę. A jeżeli nawet kilka koni będzie dziś głodnych, to przecież nic im sienie stanie. Pojedziesz i to jest ostateczna decyzja.
 - Nie pojedę i to jest ostateczna decyzja! - Nie podobał jej się jego despotyzm. Nikt nie ma prawa decydować, co ona ma robić, nawet MacCrea.
- Przestał się uśmiechać.
- Jeżeli tak to widzisz... - przerwał na chwilę, a Abbie poczuła, że cofając się o krok, rozluźnił uchwyt - to będę chyba musiał wziąć sprawy w swoje ręce.
- Podniósł ją niespodziewanie do góry. Uczynił to tak szybko, że nie mogła się bronić. Po chwili już wisiała na jego ramieniu jak worek mąki.
- MacCrea Wilder, postaw mnie natychmiast na ziemi! - wysyczała przez zaciśnięte zęby. Usiłowała odepchnąć się od jego pleców, by zsunąć się na ziemię. Trzymał ją jednak w żelaznym uścisku. Abbie zachowała spokój i zrezygnowała z kopania go lub bicia się z nim jak histeryczna pokojówka.
 - Bardzo mi przykro - powiedział.
 - Wcale nie jest ci przykro - wyrzuciła z siebie gwałtownie, kiedy wchodził po stopniach werandy. - Dokąd chcesz mnie zanieść?
 - Musisz się odświeżyć. Czuć cię końmi.
- MacCrea otworzył szeroko drzwi wejściowe i wniósł ją do środka.
- Do diabła, puść mi wreszcie?
 - A jeżeli to zrobię, to pójdiesz na górę i przygotuj się do wyjścia?
 - Nie.
 - Tak też myślałem. - Przesunął jątrochę i zaczął się zbliżać do schodów. - Halo, Babs - powiedział od niechcenia.
- Abbie wykręciła szyję, by móc lepiej widzieć. Wzrok stojącej w połowie schodów matki wyrażał zakłopotanie.
- Mamo, powiedz mu, żeby mnie puścił - zażądała Abbie.

- Uprawdam Abbie do miasta, ale przedtem musi doprowadzić się do porządku. - Jego spokojny głos i mina wyrażały zdecydowanie. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mi pani powiedziała, gdzie j est pokój Abbie.

- Drugie drzwi po prawej.

- Mamo! - krzyknęła Abbie, która poczuła się zdradzona.

139

- Dobrze ci zrobi, jeżeli od czasu do czasu wyjdiesz z domu. Ostatnio za ciężko i za dużo pracowałaś. - Babs uśmiechnęła się do niej, kiedy przechodzili obok i spokojnie zeszła na dół.

- Widzisz? Nawet twój a matka przyznaj e mi racj ę.

- Moja matka...

- Ostrożnie - upomniał j ą MacCrea. - W końcu j est twój ą matką. Nie byłoby to uprzejme z twojej strony, gdybyś j ą zwymyślała. - Po wejściu na górę skierował się do uchylonych drzwi jej pokoju.

- Jak śmiesz uczyć mnie manier? - zaprotestowała wściekle, kiedy nogą otworzył drzwi na oścież. Również w pokoju MacCrea nie postawił j ej na nogi. - Powoli robi się śmiesznie - wymruczała z zaciśniętymi zębami i nabiegłą krwią twarzą. - Proszę mnie wreszcie postawić!

- Chwileczkę.

Przed sobą zobaczył kolejne drzwi, te do jej łazienki.

- MacCrea, co ty wyprawiasz? - lamentowała. Zdjął j ąz ramion i wstawił do kabiny z prysznicem.

- Powiedziałem już, że cię odświeżę-przypomniał jej zadowolonyz siebie.

Przekonana, że to tylko blef, patrzyła na niego szyderczo.

- Ty to zrobisz? - Ledwie to powiedziała, odwrócił j ą, postawił bezpośrednio pod prysznicem i chwycił za kurki. - Nie, MacCrea! - Usiłowała przytrzymać jego rękę, by uniemożliwić mu odkręcenie wody. -Moje ubranie! Nie!

Wrzasnęła, kiedy spadł na nią silny strumień zimnej wody. Wypluwaj ąc j ą, szukała po omacku kranu. Zanim udało się jej go zakręcić, była już przemoczona aż do skóry. Zmoczony włosy przygłnęły jej do głowy i zasłoniły oczy. Rozsunęła je i piorunującym wzrokiem popatrzyła na MacCreę, który bezpieczny i suchy stał przed kabiną natryskową z założonymi na piersiach rękami i z miną wyrażającą obrzydliwe poczucie wyższości.

- Teraz potrzebujesz już tylko wykapać się i przebrać.

- Jesteś bardzo pewny swego, prawda? - Rzuciła mu druzgocące spoj -rzenie i strząsnęła z rąk wodę. Nic to nie dało. Jej bluzka była całkowicie przemoczona.

MacCrea wyciągnął rękę i położył j ą na kranie. Jego wielka postać za-grodziłajej wyjście z kabiny.

- Tak, kochanie - powiedział przeciągle. - Wierz mi, że wielką przyjemność sprawiłoby mi wyszorowanie cię od stóp do głowy. Ten pomysł naprawdę wcale nie j est taki zły.

Przez moment tylko Abbie wyobraziła sobie, jak MacCrea stoi razem z nią pod prysznicem i namydla j ą.

140

- To groźba czy obietnica? - odparowała wyzywająco.

W drzwiach poj awił się Jackson. Lokaj, którego dotąd nic nie potrafiło wyprowadzić z równowagi, otworzył usta i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Jackson - szepnęła Abbie. Wiedziała, że jej mokra bluzka była całkowicie przezroczysta, a pod spodem niczego nie miała.

MacCrea zerknął przez ramię.

- Jackson, co się stało? - Dla Abbie, która usiłowała ukryć się za MacCrea, sytuacja była bardzo niezręczna zarówno ze względu na nią samą, jak i na Jacksona.

- Ja... jamyślałem... usłyszałem krzyk.

- Ach, to tylko Abbie - oświadczył MacCrea. - Nie przejmuj się, biorę to na siebie.

- Oczywiście, sir - odparł Jackson, który już się pozbierał i wycofał się z ledwie dostrzegalnym ukłonem.

- Biedny Jackson - powiedziała ze współczuciem Abbie. - Całkowicie go zaszokowałam. -

Kiedy MacCrea tłumił śmiech, zaatakowała go: -To twoja wina. Jesteś naprawdę wstrętny!

- A ty jesteś złośliwą bestią. Wygląda na to, że jesteśmy dla siebie stworzeni. - Wyprostował się i cofnął rękę z kranu. - A teraz zrzuć z siebie te mokre ciuchy i weź prysznic.

Wyszedł z łazienki, zamknął drzwi i zostawił ją samą. Stała teraz ociekająca pod prysznicem i nieustannie myślała o tym, co przed chwilą powiedział. Czy myślał poważnie... czy

rzeczywiście uważał, że są dla siebie stworzeni, czy też był to tylko jeden z jego żartów? Nie chciała, by był to tylko żart. Zrozumiała, że jest w nim zakochana, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Nagle ogarnął ją strach i poczuła się przyciśnięta do muru. Nie była pewna, czy warto kogoś tak kochać. Poczuła się opuszczona i zraniona.

Pospiesznie zrzuciła z siebie przemoczoną garderobę i ponownie weszła pod prysznic. Kiedy myła się namydloną gąbką, nie opuszczała jej myśl, jak wspaniale by było, gdyby Jackson im nie przeszkodził i zamiast szorstkiej gąbki czułaby na ciele pieszczące dłonie MacCrea.

Abbie wytarła się, owinęła ręcznikiem i weszła do sypialni. Na łóżku zobaczyła rozłożoną bieliznę z koronkami: biustonosz, majteczki, a nawet raj stopy z naturalnego jedwabiu. Z szafy dobiegł ją odgłos przesuwanych na drążku metalowych wieszaków. Zdziwiona podeszła bliżej i zobaczyła MacCrea szperającego w jej garderobie.

- Co ty tu robisz?

- Szukam sukni, którą mogłabyś dziś włożyć.

Zdjął z wieszaka czerwoną, szyfonową suknię bez pleców.

141

- Ta nie byłaby zła.

- Wielkie dzięki, ale suknie wybieram sobie sama. - Abbie zabrała mu sukienkę i powiesiła w szafie.

- Tylko nie tę upierzoną, błagam - powiedział, obejmując ją w talii. Skrzyżował ręce na jej brzuchu i przyciągnął ją tyłem do siebie. Ręcznik zaczął się zsuwać, ale jego ręce przytrzymały go na miejscu. - Teraz pachniesz jak kobieta - wymruczał. - Potrzebujesz tylko odrobinę perfum w tym miejscu. - Jego usta zaczęły wędrować po jej nagich ramionach, a Abbie bez oporu poddała się pieszczotom. -1 tu. - Muskał ustami jej szyję. Poczuła rozkoszne dreszcze. - A potem jeszcze tu... - Uchylił na górze ręcznik i gładził zagłębienie między piersiami.

Abbie odwróciła się w jego objęciach i zaczęła mu rozpinąć koszulę.

- A co pomyśli twój a matka, j eżeli nie wyj dę po pięciu minutach, zwłaszcza że nie słyhać już prysznic? - Jego oczy pociemniały, a wzrok szybko wędrował po jej twarzy, nagich ramionach i coraz niżej zsuwającym się rękawniku.

- Matka jest kobietą. Zrozumie to. A Jackson i tak przeżył już chyba największy szok w swoim życiu. A poza tym przecież najczęściej trwa to nie dłużej niż pięć minut, prawda? - wyszeptala, wsuwając mu ręce pod koszulę i głaszcząc umięśnioną pierś.

- Ty mała czarownico - powiedział ubawiony - j jeszcze tego pożałujesz.

- Bardzo chętnie. - Popatrzyła na niego rozmarzonymi oczami i sięgnęła do sprzączki paska. Dwie godziny później siedzieli w przepelnionej restauracji, czekając na zamówione drinki. Abbie przeglądała jadłospis.

- Wydaj e mi się, że mam konkurencj ę - wyrwał j ą z rozmyślań Mac-Crea. Patrzył na kogoś za jej plecami. - Kto to jest? Stara miłość?

Abbie odwróciła się. Spodziewała się, że zobaczy kogoś znajomego. Jednak mężczyzny w ciemnym kapeluszu kowbojskim ze srebrnymi ozdobami nigdy przedtem nie widziała. Mimo to uśmiechał się do niej jak stary znajomy.

- Czy pani mnie j jeszcze pamięta?

- Nie, nie wydaje mi się. - Abbie gorączkowo się zastanawiała, skąd on może ją znać.

- Ross Tibbs. Śpiewam w sali klubowej. Spotkaliśmy się... - Poczul się nagle niepewnie i przerwał. - To chyba j ednak nie pani, prawda? Z daleka myślałem... Do licha, mogłaby pani byćj bliźniaczą siostrą.

- To nie ja - odparła szorstko Abbie. Zrozumiała, że musiał jąpomylić z Rachel.

142

- Bardzo mi przykro, naprawdę. Prawdopodobnie wyszło to tak, jakbym prastarą metodą usiłował przystawiać się do pani. Jest pani jednak uderzająco podobna do dziewczyny o imieniu Rachel, którą tu spotkałem.

- Nie szkodzi, panie Tibbs, zdarzyło mi się to nie po raz pierwszy. -Pomyślała o swoim oj cu, który tak często patrzył na nią szczególnym wzrokiem, jak gdyby widział kogoś zupełnie innego.

- Rozumiem - odparł piosenkarz z przepaszającym uśmiechem. -Jeszcze raz przepraszam, Ra... przerwał z zakłopotaniem.

- Nazywam się Lawson. Abbie Lawson.

- Czy nie j est pani przypadkiem spokrewniona z tymi Lawsonami od stadniny koni arabskich?

- Tak, River Bend należy do mojej rodziny. - Ale już niedługo, dodała w duchu i poczuła ukłucie.

- Byłem tam raz czy dwa. Piękne konie. Nie wiem, czy się mylę, czy też gdzieś przeczytałem, że chce je pani wystawić na przetarg?

- Tak. W przyszłym tygodniu.

- No, to może się zobaczymy - oświadczył Ross Tibbs. - Zawsze chciałem mieć araba. Nie mówię, że mógłbym sobie na niego pozwolić, ale przecież pomarzyć zawsze wolno. - Kelnerka przyniosła drinki i Tibbs usunął siej ej z drogi. -Nie będę już pani dłużej zanudzał. Jeżeli państwo nie mająnic przeciw temu, zapraszam po kolacji do obejrzenia mojego występu.

- Zobaczymy - rzucił MacCrea.

- A więc smacznego - powiedział na odchodnym Ross Tibbs. Abbie zauważając, że MacCrea badawczo się jej przygląda, usiłowała rozwiać jego posępne myśli. Zmusiła się do uśmiechu i podniosła szklanę.

- Skoro już świętujemy, powinniśmy wypić za twój sukces.

- Masz rację. - Stuknęli się.

Abbie wypita łyk bourbona z wodą sodową.

- Nie opowiedziałeś mi jeszcze w ogóle, w jaki sposób twój projekt doszedł do skutku. Wiem tylko, że miałeś się spotkać z Lane'em. Czy to on wszystko zaaranżował?

Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że MacCrea nagle się zdenerwował, ale to po chwili zniknęło.

- Tak, uczestniczył w tym od samego początku.

- Być może myliłam się co do niego - powiedziała zatopiona w myślach Abbie.

- Co masz na myśli?

- Miał poszukać rozwiązania umożliwiającego mi zatrzymanie River Bre-eze, ale mimo to klacz będzie wystawiona na aukcję. Zastanawiałam się już, czy

143

rzeczywiście uczciwie starał się mi pomóc. Teraz jednak, biorąc pod uwagę pomoc, której ci udzielił, wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że nie znalazł żadnej możliwości pozostawienia mi River Breeze.

- I co teraz będzie?

- Nie wiem. Nie jestem pewna, czy stać mnie na jej kupno. Młode klacze są zawsze droższe niż młode ogiery, jeżeli te ostatnie nie mają pierwszorzędного pochodzenia albo nie zdobyły nagród. Biorąc pod uwagę jej wygląd i pochodzenie, powinna przynieść dziesięć do dwudziestu tysięcy, jeżeli nie więcej. - Abbie próbowała się uśmiechnąć. - Zmieńmy temat.

- Wiesz już, że wrócił mój mistrz wiertniczy? Wprawdzie o kulach, ale poza tym wszystko w porządku. Oznacza to, że nie będę już musiał przebywać bez przerwy na terenie wierceń.

- To wspaniale.

20

C

o to znaczy, że ona chce przyjść na aukcję? - chciała wiedzieć trzęsąca się z wściekłości Abbie. - Ona... Lane powstrzymał ją ruchem ręki.

- Proszę nie zapominać, że to publiczna licytacja. Jeżeli zechce, ma prawo przyjść i nie może jej pani powstrzymać. Informuję panią o planach Rachel tylko dlatego, że mam nadzieję, iż pozwoli to uniknąć następnej okropnej sceny.

Abbie, wiedząc, że Lane ma rację, z trudem hamowała wściekłość.

- Dlaczego? Z jakiego powodu chce przyjść?

- Chciałaby kupić konie. Abbie wstrzymała oddech.

- Które?

- Tego nie powiedziała.

A jeżeli zechce kupić River Breeze? Zrobiło jej się zimno. Po raz pierwszy od kiedy dowiedziała się, że Rachel przyjdzie na aukcję, Abbie zaczęła trzeźwo myśleć. Gorączkowo poszukiwała sposobu, by uniemożliwić Rachel kupno klaczy.

- Abbie, chciałbym wiedzieć, co pani zamierza - powiedział Lane. Początkowo przypuszczała, że pytał o konia, potem jednak uzmysłowiła sobie, że chodziło mu o Rachel.

144

- Jak pan całkiem słusznie zauważył, j est to przetarg publiczny. Niech pan jednak powie Rachel, by nie pokazywała się na oczy mnie i mojej matce. Czy mamy jeszcze coś do omówienia?

- Nie, myślę, że wszystko jasne.

- Dobrze. Mam jeszcze coś do zrobienia. - Obróciła się na obcasie i poszła w kierunku stajni. Wpadła na pomysł, jednak do jego realizacji potrzebowała pomocy.

Sierp księżyca wisiał nad wschodnią częściąhoryzontu. Zakrzywiona srebrna klinga na czystym, iskrzącym gwiazdami nocnym niebie. Poza kręgiem światła rzucanego przez lampę przed stajnią dla kłaczy stał samochód z przyczepą do transportu koni.

Ben stał w cieniu samochodu, trzymając w rękach lejce przypięte do uzdy konia, podczas gdy Abbie wygładzała granatową derkę na grzbiecie zwierzęcia. Mimo połyskującej w ciemnościach srebrnej sierści była pewna, że nic nie było widać. River Breeze dotknęła nozdrzami pleców Bena, jak gdyby podczas tych niezwykłych nocnych poczynań szukała bezpośredniego kontaktu z człowiekiem.

- Kiedy w tamtych czasach opuszczaliśmy nocą Janów, konie j akby rozumiały, że muszą być cicho, takjak teraz rozumie to Breeze -powiedział Ben przytłumionym głosem. - W nocnąpodróż wyruszyło wówczas dwieście pięćdziesiąt naj szlachetniej szych koni arabskich. Unikaliśmy głównych szlaków. Trzymaliśmy się polnych dróg. W dzień ukrywaliśmy się w lasach. Droga była długa i niebezpieczna. Aby dotrzeć na drugi brzeg Bugu, trzeba było wielkiej wytrzymałości i odwagi ludzi i zwierząt.

- Wszystko gotowe. Możemyjązaładować. -Abbie pogłaskała grzbiet kłaczy i cofnęła się.

- Otwórz drzwi, żebym mógł ją wprowadzić. - Ben skrócił cugle. Kiedy Abbie zjawiła się za przyczepą i chciała otworzyć tylne drzwi, na krętej drodze dojazdowej pojawiły się światła samochodu.

- Poczekaj - wyszeptał Ben - ktoś nadj eżdża. Zostań na miej scu, a j a zobaczę, kto to jest.

-Wyschły jej usta i zwilgotniały dłonie, kiedy czekała, aż samochód przejedzie koło wysokiego masztu oświetleniowego koło domu. -To MacCrea. - Dopiero wtedy poczuła ulgę i gdy omal nie ugięły się pod nią kolana, zauważyła, j ak bardzo j est przestraszona.

- Czy wiesz, że przed dwiema godzinami byłaś ze mną umówiona? -MacCrea trzasnął drzwiami samochodu. - Zastanawiałem się, co się stało, czy nie miałaś przypadkiem jakiegoś wypadku. Ale kiedy zadzwoniłem, twoja matka powiedziała, że ciągle jeszcze jesteś w domu.

10-Przyrodnie siostry

145

- Musiałam jeszcze coś ważnego załatwić i... i po prostu zapomniałam. Wiem, że powinnam do ciebie zadzwonić. Wybacz mi, proszę. -Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Zapomniałaś? Hm, bardzo ci dziękuj ę. - Stał przed nią z rękami opartymi na biodrach w geście niechęci i oburzenia, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Coś takiego nigdy mnie jeszcze nie spotkało. Wyłączając oczywiście twój przypadek. A co takiego ważnego musiałaś jeszcze załatwić?

Abbie wiedziała, że w odległości kilku metrów Ben stał z River Bree-ze w cieniu przyczepy.

- Jeden z koni zachorował. Baliśmy się, że dostał kolki. Dokładnie w tym momencie River Breeze zarżała. Abbie zesztyniała, kiedy MacCrea spojrzał badawczo w kierunku przyczepy.
 - Słyszałaś to?
 - Co takiego? - Wiedziała, że udawanie naiwnej nic nie da. - Prawdopodobnie to jeden z koni w stajni.
 - Przyczepę stawiacie przecież zazwyczaj gdzie indziej. - MacCrea spojrzał na nią z rozdrażnieniem. -Dlaczego jest przyczepiona do samochodu?
 - Korzystaliśmy z niej dzisiaj. - Wtem rozległo się niecierpliwe grzebanie kopytami. Abbie poczuła ulgę, kiedy Ben wyszedł z cienia z przykrytym derką koniem. Nie chciała zaplątać się w kłamstwa. - Postanowiliśmy, że zanim ją odłączymy, przewieziemy River Breeze do Dobiego. - Podeszła do tylnych drzwi i otworzyła je, by Ben mógł wprowadzić konia.
 - Chwileczkę, myślałem, że River Breeze miała pójść pod młotek -zawołał zdziwiony MacCrea. - Czy Lane'owi udało się załatwić, żebyś mogła ją zatrzymać?
 - Coś w tym rodzaju. - Wahała się przed ujawnieniem mu planu, który ukuła razem z Benem. Im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym większa szansa, że uda się przechować konia w ukryciu.
 - Słuchaj, Abbie. - Chwycił ją za nadgarstki i zmusił, by odwróciła się do niego. - Co tu się dzieje?
 - Powiedziałam ci już. Przewozimy konia do Dobiego.
 - Teraz, o tej porze? - Odwrócił się do Bena, który wyszedł z przyczepy. - Może pan by mi wyjaśnił, o co tu chodzi?
 - Niech Abbie panu powie - odparł stary. Próbował ją zmusić wzrokiem, by powiedziała prawdę.
 - To całkiem proste, MacCrea - wyjaśniła krótko. - Jeżeli nie będzie konia, to nie będzie mógł zostać sprzedany.
- 146
- Tak też myślałem - stwierdził z wściekłością. - Abbie, zastanów się, na aukcji będą przecież pytali o River Breeze. Konie nie znikają tak po prostu.
 - Konie znikają cały czas. Zawaliło się ogrodzenie lub przez nieuwagę zostawiono otwartą bramę. Jest wiele możliwości.
 - I w tym czasie zamierzasz trzymać konia w ukryciu.
 - Tak jest, również po licytacji, aż będzie mnie stać na jego kupno. -Uwolniła się od niego i drżąc ze zdenerwowania, zatrzasnęła tylne drzwi przyczepy i zaryglowała ją. - No co, MacCrea... Powiesz o tym Lane'owi? -Musiała wiedzieć, po czyjej stał stronie.
 - Dlaczego miałbym to zrobić? - odpowiedział pytaniem.
 - Uważasz, że robimy coś bezprawnego...
 - Tego nie powiedziałem. To, co tak po amatorsku ukartowaliście, uważam za skończoną głupotę. Brakuje jeszcze tylko, żebyście się poprzebierali i pomalowali twarz na czarno. Postąpiłabyś o wiele bardziej dyskretnie, gdybyś po prostu wsiadła na River Breeze i pojechała na niej do Hiksa. A przy okazji, co twój sąsiad wie o całej sprawie?

- Nic. - Wiedziała teraz, że mogła liczyć na jego poparcie, nawet jeżeli jej tego wyraźnie nie powiedział. Znowu poczuła się pewnie. - Powiedziałam mu, że River Breeze j est moją własnością i wszystkie związane z tym problemy zostały wyjasnione. Co j ednak będzie, j eżeli zgłosisz, że koń zaginął, a ktoś przypadkowo zapyta Hiksa, czy go nie widział?

- Nie dojdzie do tego, ponieważ brak konia zgłoszę dopiero rano w dniu aukcji. Przy zamieszaniu towarzyszącym przygotowaniom nikt nie rozpocznie wielkich poszukiwań. Razem z Benem możemy przecież udawać, że jej szukaliśmy. Widzisz więc, że wszystko jest dokładnie zaplanowane. A teraz do dzieła. Dobie już na nas czeka.

Ben usiadł na miejscu kierowcy, a Abbie poszła w stronę miejsca dla pasażera. Zauważyła, że MacCrea idzie za nią.

- Zobaczmy się, wrócę. Zaczekasz, prawda? - zapytała.

- Nie, j adę z wami, więc przesuń się trochę.

Wsiadł, nie dając jej czasu na przesunięcie się do środka. Ponieważ Ben nie zapalił świateł i musiały im wystarczyć gwiazdy i księżyc, jechali praktycznie z prędkością pieszego.

- O tej porze nie ma wprawdzie dużego ruchu, ale nie chcemy ryzykować, że ktoś przypadkowo nas zauważy z przyczepą do przewozu koni - wyjaśniła Abbie.

- Jazda bez świateł bardziej rzuca się w oczy - sprzeciwił się MacCrea, który opierał się o tablicę z przyrządami. - Uwaga, rów z prawej strony!

147

Ben odbił kierownicą i jeszcze bardziej zwolnił.

- W Polsce było wtedy podobnie. Nocą prawie nic nie było widać. Po trzech nocach przekroczyliśmy Bug i wtedy mogliśmy się poruszać w dzień, ponieważ niemieckie bombowce latały tylko do tej rzeki. O dwa dni marszu przed Kowlem musieliśmy zawrócić, kiedy usłyszeliśmy, że do wschodniej Polski wkroczyli Rosjanie. Byliśmy zgodni, że lepiej już, by konie wpadły w ręce Niemców.

- W czasie pierwszej wojny światowej Rosjanie wzięli stadninę szturmem i wyrznęli prawie wszystkie zwierzęta - dodała wyjaśniająco Abbie, kiedy z dudnieniem przejeżdżali przez stary most.

- Zaraz będzie skrzyżowanie - ostrzegł MacCrea i dodał sucho: - Jesteśmy w Teksasie, a nie w Polsce. Myślę, że teraz byłoby bezpieczniej zapalić światła.

Ben nacisnął włącznik i dodał gazu.

- Podczas drugiej ewakuacji z Janowa uciekaliśmy pociągiem. Było to w czterdziestym czwartym. Rosjanie przepędzali Niemców z Polski i sami wkraczali. Całe szczęście, że zdołaliśmy ująć z końmi.

- Nawet jeżeli to oznacza, że przeżyliście razem ze zwierzętami nalot bombowy na Drezno? - powiedziała Abbie. Było to raczej pytanie retoryczne.

- Można by pomyśleć, że lepiej znasz tę historię niż Ben - wtrącił się MacCrea.

- W dzieciństwie słuchałam tych opowiadań na dobranoc. Na nich się wychowywałam.

- Jesteśmy na miej scu - zakomunikował Ben, skręcając na niewybrukowany podjazd do farmy Hiksa.

Gdy przejeżdżali obok głównego budynku do starej stajni, która niepozornie wyglądała przy wielkiej szopie na maszyny, na werandzie paliło się światło. Abbie i MacCrea wysiedli z samochodu. Razem czekali na Dobie-go, który szedł ku nim przez dziedziniec.

- Czekałem na was już od godziny. Były jakieś problemy? Spojrzał groźnym wzrokiem na MacCreę.

- Przykro mi, ale zatrzymano nas -powiedziała przepraszająco Abbie.

- No, w każdym razie dla twój ego konia wszystko jest przygotowane -oznajmiłałagodniej Dobie.

Przedział był obszerny, prawie dwukrotnie większy od boksów w Ri-ver Bend. Krótka ściana dzieliła j jedną stronę na dwa otwarte boksy z pokarmem i korytami na wodę. Abbie wprowadziła River Breeze. Koń ostrożnie wszedł na pokryte słomą klepisko i głośno sapiąc, wdychał nowe dla niego zapachy.

148

Abbie przeciągnęła cugle przez pierścień przy korycie, zdjęła z konia derkę i podała ją Benowi. Potem puściła zwierzę wolno, by mogło zbadać nowe otoczenie.

- Myślę, że jej się spodoba - stwierdził Dobie, kiedy młoda klacz zaczęła gryźć owies i wyraźnie się uspokoiła. - Mam jarano wypuścić na zewnątrz?

- Nie -pospiesznie powiedziała Abbie i wyczuła szydercze spojrzenie MacCrea. - Powinna zostać w stajni... aż się przyzwyczai.

- Niech będzie, jeżeli tak uważasz.

- Tak. - Po raz ostatni objęła konia za szyję. - Jest już bardzo późno, a rano wszyscy musimy zająć się pracą. Dobie, dziękuję ci za wszystko.

- Gdybym mógł coś jeszcze dla ciebie zrobić, tylko powiedz. Kiedy wychodzili ze stajni, MacCrea szepnął Abbie do ucha:

- Ten głupiec skoczyłby dla ciebie w przepaść.

- Co tobie nigdy by nie przyszło do głowy.

- Nie.

- Tak też myślałam. - Wcale jej to jednak nie przeszkadzało.

21

W,

River Bend, gdzie wykonywano ostatnie prace przy koniach, panował gorączkowy ruch.

Licytacja miała się odbyć pojutrze.

Podmuch wiatru poruszył papierami, które Abbie miała przed sobą. Niecierpliwie szukała na swojej liście imienia następnego konia, który miał być wyczyszczony zgrzeblę i podkuty.

Przez parskanie i sapanie koni, dźwięki nożyc i raszpli kowala przebił się nagle odgłos samochodowego klaksonu. Ktoś zatrąbił ponownie, tym razem bardziej natarczywie. Abbie, marszcząc czoło, dojrzała rozklekotany samochód Dobiego pędzący drogą dojazdową.

Z piskiem opon zatrzymał się na podwórzu. Wiedziona złym przecuciem Abbie pobiegła do samochodu.

Dobie wysunął głowę przez okno.

- Wypadek! - zawołał do niej. - Twój koń jest ranny. Chodź szybko.

- Mój Boże - wyszeptała wytrącona z równowagi Abbie. Ogarnął ją zimny strach. Pobiegła szybko w kierunku stajni i zawołała: -Ben! Szybko, River Breeze jest ranna! - Potem zdyszana zwróciła się do Dobiego: -Wezwałś weterynarza?

149

Po jego niepewnym potrząsaniu głową widać było, że nie wpadł na to.

- Przyjechałem prosto do ciebie.

Abbie usiłowała zapanować nad ogarniającą paniką. Biegając na drugą stronę samochodu, wołała do kowala:

- Niech pan zadzwoni do weterynarza. Jest pilnie potrzebny na farmie Hiksa.

Wdrapała się do kabiny, a zdyszany Ben usiadł obok niej. Zanim zdążył zatrzaskać drzwi, Dobie dodał gazu i ruszył z kopyta.

- Co się stało? - zapytał Ben. Było to pytanie, które go Abbie nie miała odwagi zadać ze strachu przed odpowiedzią.

- Nie wiem - powiedział Dobie. - Zawiesiłem na ciągniku przetrząsacz siana i wyjechałem z szopy. Przejechałem już obok stajni, kiedy usłyszałem hałas i przeraźliwy kwik konia.

Odwrociłem się i... - Przestraszony spojrzał na Abbie. - River Breeze leżała na ziemi i biła wokół siebie kopytami. Dolna połowa dzielonych drzwi była otwarta, a górna wybita z zawiasów. Górną część zostawiłem otwartą, by miała świeże powietrze. Widocznie przestraszył ją hałas i chciała wyskoczyć na zewnątrz.

- Nie! - Abbie nie chciała uwierzyć, że wypadek był tak poważny, jak opisał go Dobie. Zwichnięcie, kilka ran ciętych i otarć to wszystko, czego koń mógł przy tym doznać.

- Myślę, że ma złamaną nogę - dodał z wahaniem Dobie.

- Nie możesz tego wiedzieć - zaprotestowała Abbie. - Przecież nie sprawdziłeś.

- Nie, zostawiłem przy niej jednego z moich robotników, a sam pojechałem po ciebie.

Abbie cały czas myślała o tym, jak blisko szopy na narzędzia znajdowała się stajnia. Poza ciągnikiem River Breeze nie była przyzwyczajona do żadnych innych maszyn rolniczych. Zrozumiała więc, że głośny szcękajprze-straszył.

Kiedy zajechali wreszcie na dziedziniec farmy Hiksa, Abbie była prawie oszalała ze strachu.

Rzuciła się do stajni z nadzieją, że nie było tak źle i River Breeze znowu stanie na nogi.

Srebrnoszara klacz leżała jednak na ziemi i nie podnosiła głowy, kiedy Abbie przykłękała obok niej nie zwracając uwagi na mężczyznę, który do tej pory czuwał przy klaczy. Widok ciemnych, szklanych z bólu oczu, mokrej od potu szyi i drżących boków wystarczył, by stwierdzić, że koń jest w szoku.

- Szybko! Derkę! - krzyknęła na pomocnika Dobiego. Nagle w jego rękach dostrzegła strzelbę.

- Co to znaczy? - Patrzyła na niego oburzona i zaszokowana.

150

- To biedne zwierzę należy zastrzelić. Nic mu już nie pomoże. Złamana przednia noga. - Lufa strzelby wskazał krew na piersi i nodze.

Na widok nienaturalnie wykręconej nogi zrobiło jej się mdło. Oblana zimnym potem walczyła z odruchami wymiotnymi i drżeniem kolan.

- Nie zastrzeli pan tego konia! Niech pan lepiej przyniesie derkę. -Przyciągnęła głowę klaczy na kolana. - Zaraz będzie lekarz, mała - pocieszała zarówno zwierzę, jak i siebie, podczas gdy

Ben oglądał rany. Mężczyzna ze strzelbą poszedł i Dobie przyniósł derkę. Ben położył się na River Breeze, a potem wstał.

- Rany cięte są niewielkie - odpowiedział na pytające, przepelnione strachem spojrzenie Abbie. - Nie krwawi już.

Złym znakiem było to, że unikał mówienia o złamanej nodze.

- Breeze jest młoda i silna. Wyjdzie z tego, jest nadzwyczaj wytrzymała. Nie na darmo pochodzi od słynnej, sprawdzonej w walce klaczy - powiedziała Abbie, desperacko trzymając się resztek nadziei. Nie podda się wcześniej, niż uczyni to koń.

- No cóż, zobaczymy, co powie lekarz - brzmiała odpowiedź Bena. Po krótkim badaniu weterynarz nie znalazł nic pocieszającego i ograniczył się tylko do niemego pokręcenia głową.

- Ale dziś nastawia się przecież złamane nogi u koni - powiedziała Abbie upartym i zarazem wyzywającym głosem.

- Złamanie jest za wysoko. Jeżeli nawet uda mi się nastawić nogę, to pozostanie problem unieruchomienia tułowia. Przykro mi, Abbie, ale nie wygląda to dobrze - stwierdził z ubolewaniem. - Szczerze mówiąc, nie jestem za tym, by zwierzę niepotrzebnie długo cierpiało.

- Ale w każdym razie można spróbować, prawda? Nastawi pan nogę, a my z Benem skonstruujemy pętlę, na której zawiesimy Breeze do czasu, aż złamanie się zrośnie.

- Chce mnie pani uczyć, co mam robić?

- Owszem - wyrzuciła z siebie desperacko. - Nie powinien pan zachowywać się jak Bóg Ojciec ze swoją władzą nad życiem i śmiercią tylko dlatego, że chodzi o zwierzę.

- Przede wszystkim nie ma to nic wspólnego ze złożeniem nogi i zawieszeniem konia na pętli. Tu dopiero zaczyna się problem. Konie nie są ludźmi. Nie można trzymać ich w łóżku i oczekiwać, że będą nim spokojnie leżały. Z pewnością zna pani opowiadania o koniach, które wyszły ze złamań nóg, ale nie wie pani nic o tych, które oszalały i trzeba było je zabić. A więc zobaczymy, co się da zrobić, ale niech pani sobie nie robi zbyt wielu nadziei.

151

Reszta dnia była dla Abbie koszmarem. Musiała bezradnie siedzieć i nic nie mogła zrobić. Transport do kliniki zwierzęcej nie wchodził w rachubę, ryzyko dalszych zranień było zbyt duże. Po kilku telefonach doktorowi Campbellowi udało się zdobyć przewoźny aparat rentgenowski. Kiedy wreszcie go przywieziono, zrobione zdjęcia wykazały, że złamane były obie przednie nogi. W lewej było to tylko drobne pęknięcie, ale w prawej, nieco poniżej stawu łokciowego, złamana była kość łokciowa i promieniowa.

Po telefonicznych konsultacjach z innymi kolegami lekarz zdecydował się na dość radykalne rozwiązanie. Ben sprowadził z River Bend kowala, który posługując się spawarką musiał razem z Dobiem zrobić według pospiesznie sporządzonego szkicu specjalną szynę. Abbie było wszystko jedno; chciała tylko, by zrobiono coś dla jej klaczy, cokolwiek.

Okryta kocem siedziała w kącie oparta o ścianę stajni. Wyczerpana oparła głowę o surowe deski i na krótką chwilę zamknęła oczy. Jakiś słaby odgłos, szelest słomy spowodował, że otworzyła oczy gotowa natychmiast się podnieść.

Klacz jednak leżała bez ruchu. Siwa głowa zwisała w dół. Narkoza jeszcze ciągle działała. Obie przednie nogi były zagipsowane. Dwie długie, wygięte nad karkiem szyny metalowe sięgały do kopyta. Pętla obejmująca korpus konia i przymocowana do belki dźwigała większą część ciężaru zwierzęcia.

Urządzenie to wymagało od konia wielkiej cierpliwości i Abbie zaczęła powątpiewać, czy słuszne było narażanie River Breeze na to wszystko. Być może lepiej byłoby jaje jednak uśpić. Energicznie odpychała od siebie tę myśl.

Kiedy usłyszała kroki, zawołała cicho:

- Dobie?

- To ja - odparł MacCrea, który wyszedł zza ścianki działowej. - Dzwoniłem do ciebie, ponieważ z nocnej zmiany wypadł jeden z pracowników i wieczorem zatrzymały mnie obowiązki. - Ukłął przy niej. - Twój a matka powiedziała mi, co się wydarzyło. Przepraszam, że nie mogłem przyjść wcześniej.

- Wiele byś tu nie zdziałał. Najwyżej mógłbyś pomóc Dobiemu przy spawaniu szyny. - Mimo to cieszyła się, że był przy niej.

- A co z nią? - wskazał brodą na River Breeze.

- Poradzi sobie - zapewniła zdecydowanie Abbie.

- A co ty teraz zrobisz?

- Zostanę przy niej, by zachowywała się możliwie spokojnie i nie wpadła w panikę.

- Nie to miałem na myśli. Teraz każdy wie, że koń tu jest. Nie pomyślała o tym.

152

- MacCrea, tylko nie rób mi wymówek - powiedziała zirytowana. Już sama zbyt wiele sobie zarzucała. Zrobiła wszystko, by zatrzymać konia, a teraz być może straci go ostatecznie.

- Wcale tego nie robię. Chciałbym tylko wiedzieć, co teraz zamierzasz.

- Nie mam pojęcia. Kto kupi okaleczonego konia? Doktor Campbell zwrócił mi uwagę, że nie można ocenić, jak zaleczą się kości, nawet jeżeli udało się złożyć. Istnieje możliwość, że nogi nie będą wystarczająco silne, by utrzymać jej ciężar w czasie ciąży.

- To poinformuj wszystkich o diagnozie lekarza i oddaj konia na licy-tacj ę - zawołał MacCrea.

- Co proszę?

- Sama przecież powiedziałaś: kto zechciałby ją teraz kupić? W ten sposób możesz mieć ją za małe pieniądze.

- Tak, mogłabym... - Abbie zastanowiła się. - Do aukcji pozostał już tylko jeden dzień, a jeszcze tyle jest do zrobienia. - Była wyczerpana i zakłopotana. Wielka odpowiedzialność kosztowała ją sporo wysiłku.

- Może spróbujesz zasnąć?

- To niemożliwe. Muszę doglądać River Breeze.

- Nie powiedziałem przecież, że masz stąd odejść. Przesuń się troszkę.

Słoma na podłodze zaszeleściła, kiedy MacCrea usiadł w rogu i przygarnął Abbie do siebie.

- No, dobrze tak?

- Hmm. - Przytuliła się do niego, okrywając ich oboje kocem. Ciepło jego ciała i równy rytm serca działały na nią uspokajająco. - Z pewnością uważasz mnie za szaloną, ponieważ czuam przy koniu.

- Czy siedziałabyś przy mnie, gdybym był ranny?

- Przypuszczalnie nie. - Zaśmiała się.

- Tak myślałem. - W j ego głosie nie było j ednak wyrzutu. Czują, j ak gładził jej włosy. - Spróbuj zasnąć, Abbie.

Posłusznie zamknęła oczy. MacCrea będzie czuwał za nią.

22

K,

kiedy Rachel przyjechała na godzinę przed rozpoczęciem aukcji, cały dziedziniec aż po wąski wjazd, był zastawiony samochodami wszelkich możliwych rodzajów, od małych ciężarówek przez samochody osobowe

153

po pojawieniu się do transportu koni. W pobliżu domu znalazła lukę i wmanewrowała w nią swój samochód.

Gdy wysiadła, poczuła na ramieniu dotknięcie czyjejś ręki i odwróciła się przestraszona myśląc, że to Abbie. Zamiast niej ujrzała śmiejącego się Lane'a.

- Lane! -krzyknęła z mieszaniną radości i ulgi.

- Zaskoczona? - Pocałował ją na powitanie.

- I zadowolona - przyznała. Lane lustrował ją od stóp do głów pełnym uznania wzrokiem.

Zufnością patrzyła mu w oczy. Miała na sobie jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej z szerokimi ramionami i stojącym kołnierzykiem. Szeroki, brązowy skórzany pas podtrzymywał sięgający do spódnicę w kolorze sierści wielbłądziej. Zamiast pantofli miała na nogach elegancką wersję płaskich butów do jazdy konnej. Włosy związała na karku jedwabną chustką w kolorze bluzki. Jej jedyną biżuterią były złote kolczyki.

Od kiedy zamieszkała w Houston, zaopatrzyła się w nowe stroje. Dzięki poradom uzyskanym w kilku ekskluzywnych domach mody wiedziała teraz, co przy jakiej okazji się nosi i w czym jej było najlepiej. Wiedza ta zdziałała prawdziwe cuda.

- Wyglądasz coraz bardziej czarująco - oświadczył Lane, wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku stajni, przed którymi tłoczyli się ludzie.

- Nie wiedziałam, że tu będziesz. Podczas naszej wczorajszej rozmowy telefonicznej nic o tym nie wspomniałeś. - Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Postanowiłem przyjechać i zadbać o to, by nie pojawiły się żadne problemy. -Nie dodał „z Abbie”, ale Rachel wiedziała, co miał na myśli. -A poza tym jako wykonawca testamentu Deana muszę być na miejscu i przyglądać się, jak przebiega aukcja.

- Oczywiście. -Na skraju ujeżdżalni stało kilka osób, przyglądających się koniowi i jeźdźcowi przy pracy. Rachel zatrzymała się. Przyjrzała się najpierw kasztanowej klaczy, a potem skierowała wzrok na osobę ujeżdżającą. Była to Abbie, w butach do jazdy konnej, kasku i białej bluzce. Ciemne włosy miała związane na karku. Uwagę Rachel zwróciły jej podkrążone oczy i zmęczony wygląd. -Lane, ona wygląda okropnie. Czy jest chora?

- Jest przemęczona. Jeden z jej koni złamał obie przednie nogi i Abbie czuwała przy nim cały dzień i całą noc.

- Jak do tego doszło?

- Klacz wyrwała się z zagrody. Schwytał ją jeden z sąsiadów i umieścił w swojej stajni. Tam wydarzył się ten wypadek, kiedy zwierzę przestraszyło się hałasu maszyny.

154

- To okropne. - Rachel poczuła dreszcze, kiedy wyobraziła sobie, że coś takiego mogłoby przytrafić się jej klaczy.

- Ja... myślę, że Chet mnie potrzebuje. Pójdiesz ze mną?

- Nie, przejdę się po stajniach i obejrzę sobie konie.

Rachel wyjęła z torebki katalog aukcyjny. Interesowały ją szczególnie trzy klacze.

- Wróć do ciebie później - obiecał Lane i zostawił ją samą. Kiedy Rachel weszła do stajni, w szerokim przejściu na środku kręciło

się kilkanaście osób oglądających konie w boksach. Sprawdziła jeszcze raz numery zwierząt, którymi się interesowała i porównała je z numerami umieszczonymi na końskich zadach.

Przed jednym z ostatnich boksów zatrzymała się. Rdzawoczerwona klacz z rozwianą grzywą stała tak, że z trudnością można było odczytać jej numer. Kiedy Rachel podeszła bliżej, przed boksem zatrzymał się ktoś jeszcze. Nie zwracała na niego uwagi, dopóki nie zagadnął:

- Halo, piękna pani.

Głos wydał jej się znajomy... Mężczyzna przesunął kowbojski kapelusz na tył głowy i Rachel rozpoznała Rossa Tibbsa, piosenkarza.

- Pan Tibbs!

- Wydaje mi się, że uzgodniłmy, iż będzie pani mówiła do mnie Ross. - Śmiejąc się, patrzył na nią tak, jak gdyby oprócz niej nie było nic i nikogo wokół nich, co lekko ją niepokoiło.

- Co pan robi na aukcji koni? - zapytała. Tylko tyle przyszło jej do głowy.

- To samo, co pani. Przyjechałem obejrzeć konie, ponieważ zawsze chciałem mieć araba i skrycie liczyłem na korzystną okazję. Ale sądząc po zgromadzonej publiczności, moje szanse na okazjny zakup wyglądają raczej marnie. Oglądanie jednak nic nie kosztuje. - Opuścił lekko głowę i oparł się o ścianę dzielącą boksy. Uwagę Rachel zwróciły jego ciemne, gęste brwi, prawie jak u kobiety. - Chciałbym zaprosić panią potem do restauracji.

- To niemożliwe. Nie jestem sama. - Szeroko otwartymi oczami patrzyła na rozpięty kołnierzyk jego koszuli, na gładką, napiętą skórę na szyi.

A z kim? Znowu z Lane' em Canfieldem?

- Tak.

- Niech pani powie, kim on dla pani jest? Słodkim tatusiem czy kimś w tym rodzaju? - Zabrzmiło to nieprzyjemnie. Na jego szczęście napięły się mięśnie.

- Jesteśmy przyjaciółmi - wyjąsiła oburzona.

155

- Przyjaciółmi? To może znaczyć bardzo wiele. Ross zbliżył się do niej jeszcze bardziej, przypierając ją do ściany działowej. - Rachel, on jest dla pani za stary.

- Lubię starszych mężczyzn.

- Ja zbliżam się do trzydziestki. Pasuję do tej grupy. - Przysunął się do niej jeszcze bliżej. Palcem wskazującym pogłaskał jej policzek aż do ucha.

Zrobiło jej się gorąco i poczuła szalone bicie serca. Nieprzerwanie patrzył na jej usta. Prawie czuła nacisk jego warg.

Gwałtownie odbiła się od ściany i szybko przycisnęła się obok niego. Zatrzymała się dopiero w pewnej odległości i mimowolnie obejrzała się za nim.

- Niech mi pani wybaczy. - Podniósł ręce w przeproszającym geście. - Nie chciałem być złośliwy.

- Proszę zostawić mnie w spokoju. - Wychodząc ze stajni, prawie zderzyła się z Lane'em.

- Właśnie zamierzałem cię poszukać - powiedział.

Rachel zmusiła się do uśmiechu, zawisła na jego ramieniu i pospiesznie odciągnęła go sprzed otwartych wrót stajni, zanim zdążył zauważyć Rossa Tibbsa.

Nie chciała, by Lane dowiedział się o jej spotkaniu z Rossem. Z drugiej jednak strony własne poczucie winy było dla niej niezrozumiałe. Tylko z powodu tej krótkiej chwili bliskości i próby... W końcu nic się przecież nie zdarzyło.

- Aukcja ma się rozpocząć za dziesięć minut. Chodźmy już, żebyś mogła zająć dobre miejsce. Licytator, widząc, że ma do czynienia ze znającą się na rzeczy publicznością, niewiele czasu tracił na wyliczanie przodków i nagród koni, które jeden po drugim wkraczały na maneż. Rzadko też potrzebował wzywać do wyższych ofert. Młotek był tak często w akcji i sprzedaż szła tak sprawnie, że oferta goniła ofertę.

Kiedy Abbie wyjechała z maneżu na ostatnim koniu, który miał być zaprezentowany pod siodłem, czekający na nią Ben przejął od niej cugle. Wyczerpana zsiadła z konia. Duszne powietrze dawało jej we znaki, tak samo jak wysiłek wkładany w jak najlepsze zaprezentowanie koni.

- Wszystko idzie dobrze. - Ben poklepał klacz po szyi. Potem odwrócił się i poszedł do stajni, prowadząc za sobą konia. Abbie podążała obok niego. - Licytator nie daje ludziom dużo czasu na zastanowienie się. Uzyskamy dobre ceny.

156

- Wiem. - Powinna się z tego cieszyć. Była jednak obojętna, co zapewne było wynikiem znużenia. - Czy następna grupa jest już gotowa do wyjścia?

- Tak.

- Jeżeli mnie nie potrzebujesz, chciałabym na chwilę usiąść i odpocząć.

- Oczywiście, damy sobie radę.

Usiadła na belce słomy, zdjęła kask i oparła się. Przez chwilę przysłuchiwała się jeszcze monotonnej recytacji licytatora, potem zaczęła wodzić wzrokiem po otoczonych białymi płotami łąkach, po starym domu, po ziemi i budynkach, które były jej rodzinną siedzibą, jedynym prawdziwym domem rodzinnym, jaki kiedykolwiek знаła. Nagle wszystko rozplynęło jej się przed oczami, w których zaśniły łzy. Jutro to wszystko będzie miało nowego właściciela. Nachyliła się, podniosła garść ziemi i roztarta jąw palcach, jak często robił jej dziadek. „To jest coś więcej niż tylko ziemia” - odpowiadał na jej pytania - „to ziemia Lawsonów”.

Wspomnienia tak ją przytłoczyły, że zacisnęła dłoń i sprasowała ziemię w kulkę.

- Mogę się do ciebie przysiąść?

Przestraszona zerwała się raptownie, kiedy usłyszała głos MacCrei.

- Co tu robisz? - zapytała, starając się ukryć trzymaną w zacisniętej dłoni ziemię.

- Miałem coś do załatwienia w mieście i pomyślałem sobie, że mogę zobaczyć, jak przebiega licytacja. - Usiadł obok niej. - Sporo ludzi przyszło na aukcję. A jak ty się czujesz?

- Dobrze - zapewniła go. - Jestem tylko bardzo zmęczona. - Woląla nie zdradzać mu swoich ponurych myśli.

Ze stajni wyszedł Ben.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że jako następna będzie licytowana River Breeze - przypomniał jej.

- Dziękuję. - Abbie podniosła się i poszła w kierunku maneżu. Mac-Crea podążył za nią.

Przecisnęła się przez tłum i doszła do ogrodzenia, kiedy licytator zapowiedział:

- Następna jest klacz numer dwadzieścia pięć w katalogu. Przed dwoma dniami uległa wypadkowi i zraniła się - wyjął aśnił. - Według diagnozy lekarskiej doznała złamania obu

przednich nóg. Nogi zagipsowano i założono na nie szyny. Szans pełnego wyleczenia nie ocenia się niekorzystnie.

Zesztywniała z napięcia Abbie zauważyła, że większość obecnych sceptycznie potrząsała głowami. Niektórzy odwrócili się od maneżu. Nikt nie

157

okazywał choćby najmniejszego zainteresowania River Breeze, nawet Rachel, którą dostrzegła po drugiej stronie maneżu. Była pogrążona w rozmowie z Lane'em.

Licytator przedstawił drzewo genealogiczne konia i stwierdził:

- Mimo zranień przyznacie państwo, że River Breeze to materiał na pierwszorzędną klacz zarodową. Kto pierwszy?

Abbie wstrzymała oddech, ale nikt nie wystąpił z ofertą, także na drugie wezwanie.

Zaproponowała wówczas sto dolarów.

- Sto dolarów. Kto da dwieście? - zawołał głośno licytator. Brak reakcji skłonił go do opuszczenia ceny. - Zaproponowano sto dolarów. Kto da sto pięćdziesiąt?

Tak jak przepowiadał MacCrea, nikt nie chciał rannego zwierzęcia. Po kilku minutach było po wszystkim.

- Teraz River Breeze należy do mnie - uśmiechnięta Abbie odwróciła się do niego.

- Rachunki od weterynarza również - przypomniał jej.

- Jest mi to obojętne. Jest tego więcej niż warta. - Ciągle jeszcze trzymała w ręce grudkę ziemi, która pod wpływem potu zmieniła się w lepka masę.

158

23

1 rzeź cały ranek wisiały nad River Bend posępne, ciemne chmury, rzucając upiorne półcienie. Dochodzące z oddali dudnienie zapowiadało burzę. Podium licytatora stało na werandzie dużego domu, naprzeciw prążkowanego namiotu, który rozpięto na trawie, by uczestnikom licytacji zapewnić ochronę przed deszczem.

Przez cały dzień Rachel obserwowała, jak zaciekawieni ludzie kręcili się po domu, wyglądali z okien, opukiwali drewno. Ona sama nie odważyła się jeszcze wejść do środka. Nie chciała, by zaraz po wejściu otoczyli ją najbardziej zuchwali ciekawscy.

Wśród zebranych w namiocie zapanowała cisza, kiedy licytator zapowiedział, że jako następne ma być licytowane samo River Bend. Rachel poczuła mdłości. Długie oczekiwanie, napięcie i niepewność dały się jej we znaki. Niespokojnie chwyciła Lane'a za rękę.

Grzmot zapędził wszystkich stojących na zewnątrz pod namiot. Kiedy licytator poprosił o pierwszą ofertę, zaczęło padać - łagodny deszczyk szybko przekształcił się w ulewę, powodującą w namiocie odgłosy kanonady. Niebo robiło się coraz ciemniejsze.

Stojąca przed Rachel kobieta odwróciła się do towarzyszącego jej mężczyzny.

- Poszukajmy Babs i powiedzmy jej, że już idziemy - powiedziała przytłumionym głosem. - Nie chcę tego oglądać... zapanował taki nastrój, jakby cały Teksas płakał.

Na Rachel ta uwaga nie wywarła żadnego wrażenia. To, co spływało po szybach, nie było przecież łzami, tylko wodą deszczową. Na tę chwilę czekała całe życie... wcale o tym nie wiedząc. Nie chciała dopuścić, by ktoś jej ją zepsuł.

- Nigdzie nie widziałam Abbie - uświadomiła sobie. - Czy ona tu jest?

- Nie, nie przyszła dziś - odparł Lane.

Rachel czuła, że jej marzenie było bliskie spełnienia, i to w taki sposób, jakiego nigdy nie odważyła się sobie wyobrazić. Wczoraj kupiła trzy zapłodnione przez Nahra El Kedara klacze razem z ich źrebakami. A dziś będzie do niej należało River Bend. Dzięki temu zdobędzie tę część świata Deana, która zawsze była przed nią zamknięta. Nerwowo ścisnęła rękę Lane[^] i w napięciu słuchała kolejnych ofert.

Były coraz wyższe, aż w końcu na placu boju zostało tylko trzech konkurentów, wśród nich Phillips, człowiek reprezentujący interesy Rachel. Kiedy cena przekroczyła oczekiwaną przez Lane'a granicę o ponad sto tysięcy dola-

159

rów, zaczęła się niepokoić. Phillips wstrzymał się od zgłaszania kolejnych ofert. Przestraszyła się.

- Lane, dlaczego on już nie zgłasza ofert? - wyszeptła.

- Nie chce jeszcze bardziej podbijać ceny.

Była to więc czysta taktyka, ale Rachel prawie już nie wytrzymywała napięcia. Kiedy nastąpiło przybicie, licytator wskazał na łysego Phillipsa jako zwycięzcę przetargu. Rachel poczuła wielką ulgę i oparła się o Lane'a.

- No jak, szczęśliwa? - zapytał, patrząc na nią radosnym wzrokiem.

- Jeszczenie. Chyba boję się tego uczucia-wyznała.

- Może wszystko wyda ci się bardziej realne, gdy wejdziesz do środka i rozejrzysz się po swoim nowym domu.

- Nie teraz. Wolałabym później... kiedy wszyscy odejdą. - Nie chciała, by ktoś przeszkadzał jej w oglądaniu domu. W towarzystwie innych nie miałaby uczucia, że należy do niej.

- Skoro tak chcesz, to poczekamy.

Późnym popołudniem odjechały ostatnie samochody. Deszcz przestał padać, ale krople wody ciągle jeszcze spadały z mokrych liści drzew rosnących na dziedzińcu. Chmury wciąż wisiały na niebie, tworząc ciemnoszary baldachim nad River Bend.

Rachel czekała nerwowo i niespokojnie, aż Lane szeroko otworzy drzwi. Przytrzymał je, a ona z wahaniem zajrzała do środka. Były to te same drzwi, które Abbie niedawno przed nią zatrzasnęła.

Nie był to już jednak dom Abbie. Od tej chwili ona była tu panią. Rachel weszła do środka, by objąć dom w posiadanie. W dużym przedsionku zatrzymała się zafascynowana wspaniałymi schodami z artystycznie wy-rzeźbionymi poręczami. Usiłowała wyobrazić sobie Deana schodzącego po tych schodach, by ją powitać, ale to jej sienie udało.

Lane oprowadzał ją po pokojach. W porównaniu z mieszkaniami, w których do tej pory spędzała życie, dom był ogromny. Wszędzie widać było patynę lat. Wygląd drewna parkietów, okuć drzwi i okien, boazerii i gzymsu kominka świadczył o tym, że ktoś wszystko starannie pielęgnował. Tylko gołe ściany i okna jakby wrogo na nią spoglądały. W pomieszczeniach pozbawionych mebli, firanek i obrazów rozlegało się głuche echo kroków.

- Gdy tylko zostaną załatwione wszystkie formalności i będziesz oficjalnie właścicielką, możesz zaprosić architekta wewnątrz - powiedział Lane, stojąc na schodach. - Z pewnością będziesz chciała coś zmienić.

- Tak - powiedziała zamyślona Rachel, choć miała wątpliwości, czy będzie chciała dokonywać drastycznych zmian. Ograniczą się one zapewne do wyboru mebli, dywanów i zasłon.

Zmieniła jednak tę decyzję, kiedy weszła do jednego z pokoi na pierwszym piętrze i poczuła ciarki na plecach. Wiedziała, że to musiał być pokój Abbie, ponieważ w powietrzu wisiał jeszcze zapach perfum Diora.

Podeszła do francuskiego okna, otworzyła je i wpuściła do środka świeże powietrze. Przez gałęzie drzew można było zobaczyć podjazd, kompleks stajni i puste łąki.

Kiedy oparła się na poręczy wąskiego balkonu, podszedł do niej Lane.

- No cóż, zbyt wiele nie powiedziałaś. Odwróciła się nieznacznie w jego stronę.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że to wszystko należy do mnie... a raczej do nas.

Tak, do nas, powtórzył w myśli.

- Zastanawiałem się... Czy kiedykolwiek pomyślałaś o tym, by naszemu partnerstwu zapewnić trwałość?

- Jak to sobie wyobrażasz? - Rachel zmarszczyła czoło. - Myślałam, że ono jest nastawione na trwałość. Dokumenty, które podpisa- liśmy...

Lane zaśmiał się.

- Chyba niejasno się wyraziłem. Nie miałem na myśli naszych interesów, lecz ciebie i mnie.

Rachel, czy kochasz mnie tak, że zechciałabyś wyjść za mnie i zostać moją żoną?

Rachel powstrzymała pragnienie rzucenia mu się w ramiona.

- Lane, mówisz to poważnie?

- Nie ma rzeczy, którą traktowałbym bardziej poważnie. Jeszcze nigdy nie oświadczyłem się kobiecie. Proszę cię, połóż kres mojej niepewności i powiedz po prostu tak lub nie.

- Tak.

W jednej chwili znalazła się w jego ramionach. Niemal stopiła się od gorąca jego pocałunku. Wreszcie uwolniła się z jego objęć i spojrzała mu w twarz, z której przemawiała siła, dobroć i łagodność.

- Kocham cię, Lane.

- Powinniśmy więc załatwić to oficjalnie. - Wziął swój ąteczkę i wyjął z niej pierścionek.

Pełne zmieszania zdumienie ogarnęło Rachel, kiedy zobaczyła połyskujący wianuszek brylantów otaczający wielki szafir. Lane wziął ją za rękę i wsunął pierścionek na serdeczny palec.

- Jest przepiękny. - Słowa tylko częściowo wyrażały to, co czuła, ale nic innego nie przychodziło jej w tej chwili do głowy.

- Od dwóch tygodni nosiłem ten pierścionek ze sobą i starałem się przekonać siebie, że myśl o małżeństwie z tobą jest słuszna. Rachel, zasługujesz na to, by być szczęśliwa. Jeżeli z innym mogłabyś być szczęśliwsza. ..

11 - Przyrodnie siostry

161

- Nikt nie daje mi tyle szczęścia, co ty - przerwała mu, odrzucając wszelkie inne możliwości.

- Możemy więc pomyśleć o weselu.

- Jeżeli chcesz, jeszcze dziś możemy polecieć do Meksyku. - Cichy ślub najbardziej by jej odpowiadał, bo nie chciała naocznie uświadomić sobie, że nie ma ani rodziny, ani przyjaciół.

- Nie, chciałbym, aby wszystko odbyło się z całym ceremoniałem. Nie mam na myśli czegoś przesadnie wystawnego, po prostu małe przyjęcie po ślubie w gronie kilku dobrych przyjaciół. Chcę, żebyś wzięła ze mną ślub w białej sukni.

- Jak sobie życzysz, Lane.
- Rachel, zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Powinnaś to wiedzieć. Nie da się jednak, niestety, uniknąć moich częstych wyjazdów w interesach, a ty nie będziesz mogła mi towarzyszyć. Ale chyba to rozumiesz, prawda?
- Naturalnie. Poza tym i tak będę dość zajęta... Konie i nowy dom będą wymagały dużo pracy.
- Rozstania nie będącej przeszkadzały, dopóki będzie wiedziała, że ją kocha.
- Jesteś wyjątkową kobietą-powiedział, zanim znowu przyciągnął ją do siebie.
- Ach, Lane. - Całowała go namiętnie, starając się okazać, ile dla niej znaczył.
- Takie chwile, jak ta, wywołują mnie pragnienie, by była to nasza noc poślubna - wyszeptał. Rachel była wzruszona jego staromodnym podejściem do tych spraw. Z drugiej strony jego zachowanie sprawiało jej kłopot. Odnosiła czasem wrażenie, że nie jest wystarczająco pociągająca. Nie chciała jednak w tym momencie tego analizować, bo odrzucenia pragnień Lane'a obawiała się tak samo, jak możliwego odkrycia przez niego jej braku doświadczenia w sprawach miłości.

162

24

reflektory rozświetlały drogę przed samochodem Abbie, która ciągle jeszcze myślała o tym, co usłyszała dziś w biurze Lane'a Canfielda.

W ciągu minionych dziesięciu dni krążyły najbardziej zwariowane pogłoski na temat tożsamości nowego właściciela River Bend. O tym, że Phillips, który wygrał przetarg, występował w imieniu nieznanego klienta, wiedzieli wszyscy. Prawdy dowiedziała się dziś, kiedy razem z Babs udały się do Lane'a, by je poinformował, ile pieniędzy zostało po odliczeniu wszystkich długów i kosztów.

Tak jak przez cały czas się obawiała, właścicielką River Bend została teraz Rachel. Udział Lane'a w całej kombinacji był dla niej rzeczywiście nieprzyjemnym zaskoczeniem. Jego zapowiedziany ślub z Rachel we wrześniu czynił tę sprawę jeszcze bardziej dwuznaczną pod względem moralnym. Kiedy Abbie się o tym dowiedziała, opuściła biuro Lane'a, bo nie mogła znieść jego towarzystwa.

Lane Canfield, godny zaufania przyjaciel rodziny! Obrócił się przeciw niej i razem z Rachel opracował podstępny plan. Właściwie już od pogrzebu powinna się domyślać, w którą stronę Lane skierował swój sympatię.

Z czasem może pogodziłaby się z tym, że nie była jedynym dzieckiem swojego ojca, być może także z tym, że Rachel kochał bardziej niż ją. Jednak to Rachel pozostawił majątek, podczas gdy dla niej nie zostało nic, i to Rachel przypadło teraz River Bend. W dodatku ona wyjdzie za człowieka, który był uważany za przyjaciela rodziny - było to znacznie więcej, niż mogła znieść.

Rachel jednak się myliła, jeśli sądziła, że Abbie wyjedzie i zacznie gdzieś nowe życie. Myliła się też, jeżeli uważała, że Abbie zrezygnuje z hodowli arabskich koni, ponieważ ona sama się teraz tym zajmie. Czy to się Rachel podobało, czy nie, w bezpośrednim sąsiedztwie będzie miała rywalkę. Rywalkę, która będzie ją walczyła i już samą swoją obecnością przypominała jej, że była intruzem w świecie Abbie.

Już z daleka zobaczyła silne reflektory wieży wiertniczej, która przywodziła jej na myśl światła bezpiecznego portu.

Bez pukania weszła do przyczepy MacCrei. W przedniej części nikogo nie było. Kiedy zajrzała do sypialni, zobaczyła MacCrea leżącego na łóżku w ubraniu.

Podeszła cicho bliżej i przyglądała mu się. Jeszcze nigdy nie widziała go śpiącego. Jego ciemne włosy były potargane, a mięśnie odprężone. Koszula

163

wysunęła mu się spod paska. Na widok jego poważnej miny Abbie się uśmiechnęła.

W ostatnim czasie nie sprzyjało jej szczęście. Widok MacCrei uświadomił jej jednak, że z powodu swoich problemów zapomniała o trudnościach, w obliczu których on stanął po śmierci swojego ojca. Podjął jednak walkę i odbudował przedsiębiorstwo.

Musiała przyznać, że jej sytuacja mogła być o wiele gorsza. Cieszyła się jednak dobrą opinią w kręgach hodowców. W ubiegłym tygodniu nawiązała kontakty z niektórymi mniejszymi stadninami w okolicy. Zaoferowała wzięcie koni pod opiekę i trenowanie ich. Ponieważ zbliżał się sezon jesiennych konkursów, niektórzy hodowcy wykazali prawdziwe zainteresowanie tą propozycją.

W dodatku ona i matka nie były całkowicie zrujnowane. Babs z przypadającej na nią części majątku dostanie w przybliżeniu pięćdziesiąt tysięcy dolarów i będzie mogła nawet wypłacić Jacksonowi sumę zapisaną mu w testamencie. Abbie miała River Breeze, która czuła się coraz lepiej, i do tego Bena jako partnera. A przede wszystkim miała mężczyznę, który spał teraz przed nią.

Powoli i ostrożnie położyła się na nim tak, żeby odczuwał jej ciężar stopniowo. Delikatnie wygładziła mu bruzdy na czole. Kiedy dotknęła ustami jego warg, poczuła, że się poruszył. Jego ręka zaczęła powoli gładzić najpierw jej ramiona, a potem plecy. Wiedziała, że się obudził, zanim żywo zareagował na jej pocałunek.

W końcu MacCrea zmienił pozycję i przyciągnął ją do siebie tak, że jej głowa spoczęła na poduszce.

- Halo-powiedziała Abbie półgłosem.

- Lubię takie budzenie. - Głos miał jeszcze zaspany. - Brakowało mi cię, Abbie. - W jego słowach było tyle uczucia, że prawie przestała odychać. Poczuła, jak wiele dla niego znaczyła, nawet jeżeli z jego ust nie padło słowo „kocham”.

- Ja też za tobą tęskniłam - wyszeptała.

Chciał ponownie przyciągnąć ją do siebie i całować, kiedy nagle z wieży wiertniczej dotarł głośny huk. MacCrea poderwał się gwałtownie.

- Hej, szefie! - Wiertacz w kasku na głowie jednym susem przebył kuchnię i zatrzymał się zaskoczony, gdy obok MacCrea zobaczył na łóżku Abbie. Zażenowany odwrócił wzrok. - Przepraszam. Nie wiedziałem, że ma pan kogoś u siebie. - Cofnął się o krok, niezdecydowany, czy ma zostać, czy wyjść.

- Co takiego, Barnes, co się stało? - MacCrea oparł się na łokciu. Abbie leżała nadal obok niego, z cudownym uczuciem, że ma do tego prawo.

164

- Eee... potrzebuję pana na chwilę na wieży - mruknął i odwrócił się, by wyjść.

- Już idę! - krzyknął za nim MacCrea. Abbie usiadła na łóżku.

- Nie zajmie mi to dużo czasu - powiedział MacCrea, który także się podniósł. - Zrób nam tymczasem kawy, dobrze?

Po kilku minutach kawa w ekspresie bulgotała, a jej zapach rozszedł się po całym pomieszczeniu. Abbie naląła sobie filiżankę i usiadła z nią przy biurku. Swobodnie oparta piła małymi łykami, przyglądając się leżącym na wierzchu dokumentom i segregatorom. Jeden z tych ostatnich rzucił jej się w oczy. Widniał na nim napis „Dokumenty CTS”. CTS to był skrót od „Sterowany Komputerowo System Kontroli” -przypomniała sobie Abbie. Zaciekawiona wzięła segregator do ręki, otworzyła go i zaczęła przerzucać dokumenty. Wiedziała, że projekt ten był dla niego niezwykle ważny, ale nigdy jej nie powiedział, jakie porozumienia zawarł ze swoimi partnerami. Przy kartkowaniu zawartości segregatora zauważyła jeden z podpisów. Rachel Farr. Zszokowana Abbie patrzyła na ten podpis szeroko otwartymi oczami, przekonana, że musiała to być jakaś pomyłka. MacCrea nie mógł przecież... nigdy by nie... Powoli się podnosiła, ze wzrokiem cały czas utkwionym w podpis Rachel Farr.

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł MacCrea. Abbie odwróciła głowę. Nie mogła wydobyć z siebie słowa, nie mogła jasno myśleć. Patrzyła tylko na niego, stojąc nieruchomo, jakby sparaliżowana nieszczęsnym dowodem trzymanym w ręku. MacCrea niczego nie zauważył i rzucił kask na kanapę.

- No, nie trwało to długo. - Śmiejąc się stanął przy biurku i dopiero wtedy zobaczył trzymany przez nią dokument. Nie drgnął nawet. Odwrócił się i poszedł do kuchni. - Kawa pachnie wspaniale.

- MacCrea, co to jest? -Abbie usiłowała podnieść się z fotela i pójść za nim, ale nie dała rady.

- To? - Podniósł filiżankę do ust, ale nie napił się. - To jest umowa z Lane'em o wspólnych prawach do patentu na CTS.

- To wiem. Nie mówię o jego podpisie. Mam na myśli jej podpis...

- Mówisz o Rachel? - Wymówił jej imię bez najmniej szego wahania. -Ponieważ jest to lista właścicieli, to i nazwisko Rachel musiało być oczywiście na niej umieszczone.

Jego spokojny głos wyrwał ją odrętwienia.

- Co to znaczy, oczywiście? Czy to ma znaczyć, że ona zainwestowała w twój projekt? Że ty... ty... - Szukała słów, które miały wyrazić, jak czuła się oszukana.

- Właśnie.

165

- Wzięłaś od niej pieniądze. - Drżąc, wyrzuciła z siebie to oskarżenie. A myślała, że coś do niej czuł. Najwyraźniej się myliła. - Jak mogłeś to zrobić?

- Całkiem prosto. Chciałem zrealizować mój projekt. Nigdy nie robiłem z tego taj emnicy.

Rozzłoszczona jego spokojem wytrąciła mu z ręki filiżankę, która uderzyła o ścianę i stłukła się, wysokim łukiem rozlewając gorącą kawę.

- Nie interesuje cię, skąd pochodzą pieniądze?

- W ogóle mnie to nie obchodzi! - zaperzył się MacCrea.

- Teraz wiem, dlaczego nigdy nie opowiadałeś mi o szczegółach twoich interesów. Ponieważ wiedziałeś, co bym o tym pomyślała. Jak mogłeś?

- Interes jest interesem.

- Interes! Nic więcej nie przychodzi ci do głowy? - Dla niej było to oszustwo w najgorszej formie. - Czy zawsze, kiedy byłeś w Houston, spotykałeś się z nią? - Mogła sobie wyobrazić, jak musiała się czuć Rachel.

- Zawsze byli przy tym inni - odparł ostro. - Sam nigdy z nią nie byłem, jeżeli chcesz wiedzieć.
- I ja mam w to wierzyć?
- Jest mi to obojętne.
- Widzę to. - Czuła, że nie miał zamiaru zerwać kontraktu z Rachel. - Tak samo jasne jest dla mnie to, że jestem ci całkowicie obojętne.
- Jeżeli tak chcesz to widzieć. - W wyrazie j ego twarzy nie było nawet cienia żalu, żadnego śladu przeprosin.
- Twój wynalazek zawsze był ważniejszy niż ja. Byłam głupia, że tego nie dostrzegałam. No cóż, teraz już wiem. - Rzuciła mu papiery w twarz i wielkimi krokami podążyła do drzwi. Przepelniona zazdrością, bólem i wściekłością, odwróciła się. - Mam nadzieję, że te papiery będą ci teraz ogrzewały łóżko, bo ja nie będę już tego robiła!
Wybiegła w rozświetloną reflektorami noc, starając się zapanować nad łzami i drżeniem. Nienawidziła MacCrei z taką samą namiętnością, z jaką go kochała.
MacCrea patrzył oniemiały na otwarte drzwi, pragnął dogonić i zatrzymać Abbie, ale się na to nie zdobył. Odwrócił się i nadepnął na papiery, które zaszeleściły pod jego stopami. Spojrzał przelotnie na podłogę, a potem wyładowując nagromadzoną frustrację i gniew rąbnął pięścią w drzwi szafki, które pod tym ciosem wygięły się i pękły.

166

25

Abbie przyglądała się, jak Ben dezynfekował otarcie na nodze konia, które powstało pod szyną. Do tej pory River Breeze bardzo dobrze znosiła szyny i niedawno zdołała nawet zrobić z nimi kilka kroków.
Po skończonej pracy Ben podniósł się, a klacz pocierała nozdrzami plecy Abbie. Wyglądało to jak gest wdzięczności. Abbie objęła głowę konia i małymi, okrężnymi ruchami głaskała wygiętą szyję.
- Wiesz przecież, że chcemy ci pomóc, Breeze - szeptała do niej pieszczotliwie. Kiedy Ben wyszedł ze stajni, by wyrzucić zużyte bandaże, przycisnęła twarz do szyi konia.
- Wygląda na to, że wszystko się zaleczyło.
Głos Dobiego przestraszył Abbie. Nie słyszała, jak wszedł.
- Tak, wygląda wspaniale. - Abbie poklepała konia i cofnęła się. - Chciałam z tobą porozmawiać. Chodzi o tę stajnię i kawałek łąki wzdłuż Brazos, który chciałabym wydzierżawić.
- Mówiłem już, że możesz je mieć - odpowiedział Dobie.
- Wtedy jednak była mowa tylko o River Breeze. Teraz natomiast kilku hodowców chce oddać pod naszą opiekę swoje konie, żebyśmy trenowali je przed zbliżającymi się zawodami. Na razie będzie ich około dwunastu. Ponieważ i tak musielibyśmy z Benem wydzierżawić gdzieś stajnię i łąkę, logiczne i sensowne wydawało mi się porozmawianie o tym najpierw z tobą.
- Nie widzę żadnych przeszkód - odparł Dobie, wzruszając obój ętnie ramionami. Ponieważ Abbie znała jego skąpstwo, była prawie pewna, że nie przepuści okazji zarobienia paru dodatkowych dolarów. Nie zawiodła się. - Stajnia nie jest oczywiście we wzorowym stanie - powiedział, wodząc wzrokiem po jej wnętrzu.

- Doprowadzimy ją do porządku na nasz koszt. - Nie wiedziała jeszcze, skąd weźmie na to pieniądze. Może do tego czasu sprzeda swego mercedesa. - W zamian spodziewamy się naturalnie rabatu w czynszu.

- Abbie, zaproponuję wam rozsądną cenę. Cokolwiek jest lepsze niż nic. A teraz nic z tego przecież nie mam.

A więc chodzi już tylko o wynegocjowanie ceny, stwierdziła z ulgą Abbie. Dobrze jej zrobi, jeżeli rano po przebudzeniu znowu będzie mogła słyszeć rżenie koni. Wyobrażała sobie, że Ben potrzebował tego jeszcze bardziej niż ona. Trzasnęły drzwi. Abbie odwróciła się myśląc, że zobaczy Bena. Był to jednak MacCrea, który zbliżał się do niej spokojnymi, długimi krokami.

167

- Czego chcesz? - Jej głos był szorstki i zimny.

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

Dobie chciał już odejść, ale Abbie zatrzymała go.

- Zostań, Dobie. Jego wyjaśnienia mnie nie interesują. - Odwróciła się do MacCrei plecami.

- Mam nadzieję, że uspokoiłaś się na tyle, żebyś mógł wyjaśnić ci kilka spraw.

Opanowała jęskliwość.

- Żadne z twoich wyjaśnień nie zdoła niczego usprawiedliwić. Kiedy chciała odejść, MacCrea przytrzymał ją za ramię.

Do diabła...

- Puść mnie! - wybuchła. Cofnął się. - Tylko mnie nie dotykaj! Nigdy więcej nie zbliżaj się do mnie! Słyszysz? A teraz wynoś się!

MacCrea długo patrzył na nią twardym wzrokiem, po czym szybko odwrócił się i opuścił stajnię.

- Wszystko w porządku, Abbie? - zapytał Dobie.

- Oczywiście.

- To nie był właściwy człowiek dla ciebie. Wiedziałem to od początku. On jest wildcatterem, a tacy nigdzie nie zatrzymują się na dłużej, ciągle polują duże pieniądze. Taka kobieta jak ty potrzebuje ogniska domowego, rodziny, mężczyzny, który się o nią troszczy...

- Sama potrafię dać sobie radę. Nie potrzebuję żadnego mężczyzny. - Poza Benem wszyscy mężczyźni sprawiali jej tylko kłopoty, od ojca i męża poczynając, a na MacCrei kończąc.

Przyrzekła sobie, że nigdy więcej nie da się ogłupić facetowi. - Wybacz, ale mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

- Hm, ja też. - Kiwnął głową i rzucił na nią niezdeterminowane spojrzenie, kiedy ruszyła w kierunku wyjścia. O czynszu rozmawiamy później.

- Zgoda.

Kiedy uzgodnili wysokość czynszu i opłaty dzierżawnej, Abbie nalegała na zawarcie umowy pisemnej, obejmującej kompleks stajni, kawałek łąki i dom, w którym mieszkały. Chociaż wierzyła Dobiemu, chciała mieć wszelkie możliwe gwarancje.

Następne dwa tygodnie wypełnione były pracami remontowymi w stajni i naprawą ogrodzeń.

Ciężka fizyczna praca tak wyczerpała Abbie, że nie miała czasu pomyśleć o czymś innym, nawet o swoim byłym domu rodzinnym i jego nowych posiadaczach lub o MacCrei. Zmęczona szła do domu, gdy Ben zaglądał jeszcze raz do kłaczy. Chociaż czuła każdy miesiąc, była

zadowolona, że zdołała zrobić coś, co wydawało się niemożliwe. Kiedy przyjadą konie, wszystko będzie gotowe.

168

Kiedy Abbie weszła do kuchni, jej matka siedziała przy stole, przyciskając ramieniem słuchawkę telefonu do ucha i pośpiesznie coś no-tując.

- Tak, to brzmi rozsądnie - powiedziała do słuchawki. Widząc Abbie, wzięła słuchawkę do ręki i odwróciła się. - Słucham? Dobrze. Zadzwoń, gdy tylko to załatwię. - Podniosła się i odłożyła słuchawkę. - Abbie, zupełnie straciłam poczucie czasu. - Pospiesznie zebrała papiery i notatki. - Jedzenie będzie za kilka minut... niestety tylko na zimno.

- To nic. Nakryję tymczasem do stołu. Z kim rozmawiałaś? Matka wyprostowała się przed lodówką, z której wyjęła parę rzeczy.

- Byłaś ostatnio tak zajęta, że nie miałam okazji powiedzieć ci o telefonie Josie Phillips. Poprosiła mnie o pomoc w przygotowaniu za miesiąc przyjęcia urodzinowego Homera. Zaproponowała mi nawet zapłatę, tyle, ile musiałaby zapłacić normalnej obsłudze za tak wielkie przyjęcie, mianowicie tysiąc pięćset dolarów. Mam się za to zająć organizacją i nadzorem.

- Tysiąc pięćset... Mamo, to cudownie! Ale... czy nie będzie ci przykro pracować u przyjaciółki?

- Co ty opowiadasz, mężczyźni przecież także to robią w życiu zawodowym - oświadczyła rezolutnie Babs. - Od telefonu Josie myślałam tylko o jednym: zastanawiałam się, w czym naprawdę jestem dobra. Stwierdziłam w końcu, że w urządzaniu przyjęć. Razem z twoim ojcem wydawaliśmy w roku trzy, cztery naprawdę duże przyjęcia i zapraszaliśmy ludzi na niezliczone obiady. Kiedy teraz pomyślę, ile pieniędzy wydawaliśmy rocznie tylko na gości... No cóż, urodziny Homera są dla mnie czymś w rodzaju próby generalnej. Jeżeli wszystko się uda, pomyślę o tym, by się usamodzielnić.

- Poważnie? - zapytała zaskoczona Abbie. Zestawienie Babs z samodzielną firmą było tak nieprawdopodobne, że zaczęła inaczej patrzeć na matkę.

- Jeszcze jak! W ciągu ostatnich trzydziestu lat zebrałam więcej doświadczeń niż każdy profesjonalny serwis przyjęciowy w Houston. Znam osobiście wszystkich dostawców i potrafię zorganizować dosłownie wszystko. A do tego znam wielu ludzi, którzy byli moimi gośćmi i wiedzą, co potrafię.

- Nie potrzebuj esz mnie przekonywać, mamo - powiedziała, śmiejąc się Abbie. - Przecież ja też wierzę, że wszystko potrafisz.

- Na razie wszystko mogę robić stąd. Mówiłaś, że poza końmi chciałabyś znaleźć jeszcze jakąś dodatkową pracę i pomyślałam sobie... Może weszłabyś razem ze mną do tego interesu, oczywiście pod warunkiem że wszystko się uda i dostanę dalsze zlecenia?

169

- Twój pomysł jest świetny. Oczywiście, że będę ci pomagała. Zbliżają się święta i sezon balowy. Założę się, że zostaniesz zasypana propozycjami, gdy tylko w Houston wszyscy się dowiedzą, co robisz.

W ciągu następnych dwóch tygodni głośno było o nowych posiadaczach River Bend. W porannym wydaniu „Houston Chronicle” ukazał się reportaż ze ślubu Lane'a Canfielda i Rachel Farr, w którym dokładnie opisano ceremonię zaślubin oraz przyjęcie weselne.

Wspomniano również, że po powrocie z podróży poślubnej do Europy młoda para zamierza spędzać czas na zmianę w Houston i w nowej posiadłości wiejskiej, którą obecnie remontowano.

Abbie obawiała się momentu, w którym Rachel wprowadzi się do Ri-ver Bend. A moment ten zapewne już wkrótce nastąpi, bo w Houston podczas zakupów dowiedziała się, że świeżo upieczeni małżonkowie wrócili z podróży poślubnej wcześniej, niż oczekiwano.

Wracając ciemną nocą do domu, starała się o tym nie myśleć. Serce jej się jednak ścisnęło, kiedy w światłach reflektorów ukazały się nowe słupy bramy wjazdowej. Wycięto kilka starych drzew i przez powstałą lukę dostrzegła białe poręcze werandy i część dwupiętrowej wieżyczki. Jej były dom rodzinny.

Nagle na niebie za domem ujrziała ciemną chmurę burzową. Burze letnie rzadko nadchodziły tu z północy. Jechała wolniej, wpatrując się w dom. Nagle w jednym z okien wieżyczki zauważyła migocący, żółtopomarańczowy płomyk. Początkowo myślała, że to jeden z robotników został po godzinach. Potem jednak poczuła gryzący w oczy dym.

- Mój Boże, nie! - Instynktownie nacisnęła hamulec, by skręcić w wyremontowaną drogę wjazdową.

Kiedy pędziła po świeżym asfalcie w kierunku domu, zapach dymu był coraz mocniejszy. Teraz dojrzała także dym kłębiący się pod dachem werandy. Zatrzymała się przed ogrodzeniem i szeroko otwartymi oczami patrzyła na żółte płomienie obejmujące okno. Zrobiła wszystko, co możliwe, by uniemożliwić Rachel zajęcie domu, ale nigdy nie pragnęła, by River Bend spłonęło.

Musiała sprowadzić pomoc. Tak szybko, jak tylko mogła, zawróciła samochód i pojechała, by zaalarmować miejscową straż pożarną.

Następnego dnia rano nad okolicą snuł się zapach spalenizny. Kasztanowa klacz Abbie sapiała i nerwowo tańczyła. Uspokoili się dopiero wtedy, gdy obok niej stanął Ben na swojej rdzawoczerwonej kobyle, mniejszej i silniej zbudowanej. Abbie skróciła cugle.

- Ben, chciałabym pojechać do River Bend.

- Tak myślałem. Możemy pogalopować na przełaj przez pola.

170

Oba konie były wypoczęte i przeszły w kłus bez popędzania. Szybko przebyli kilometr, który dzielił farmę Hiksa od River Bend. Już z daleka można było dostrzec, że dom spłonął aż do fundamentów.

Stajnia dla źrebaków była jedynym stojącym jeszcze budynkiem, ale i ona ucierpiała od pożaru. Dach i ściany były czarne.

Murowany komin jak kamień nagrobny wznosił się nad kupą popiołu, która była kiedyś jej domem rodzinnym. A drzewa, te prastare dęby, które stały na dziedzińcu - Abbie chciało się wyć, kiedy zobaczyła ich osmalone, zwęglone liście i pnie.

Ogrodzenie między domem a częścią gospodarczą nie istniało. Abbie odczekała, aż Ben przedrze się na swoim koniu przez leżące na ziemi druty, a potem ruszyła za nim, ostrożnie wyszukując drogę na rozmięklej, pokrytej popiołem ziemi.

Ściągnęła lejce i zatrzymała się w należytej odległości od zgliszczy, widząc, że koń jest przestraszony. Po drugiej stronie okopconego drewnianego płotu stało kilka samochodów. W

stajniach mężczyźni przeszukiwali zgliszcza, które jeszcze dymiły. Dwóch innych przeszukiwało ruiny domu.

Z całego kompleksu, który Abbie знаła od dziecka, nie pozostało prawie nic. Dom był spalony, stajnie i stodoły zniszczone. Abbie nie mogła ukryć bólu.

Zaskrzypiała głośno brama wejściowa. Na drodze prowadzącej do domu pojawił się siwowłosy mężczyzna z młodą kobietą. Kobieta odwróciła głowę i Abbie zobaczyła jej bladą z przerażenia twarz.

To była Rachel, całkowicie odmieniona, wyglądająca od stóp do głów jak fotomodelka.

Na widok Abbie Rachel zatrzymała się gwałtownie, a potem ruszyła do niej na przełaj. Lane usiłował ją zatrzymać, ale wyrwała mu się i pobiegła dalej.

Młoda klacz przestraszyła się jej, ale Rachel chwyciła za cugle i przytrzymała ją.

- Pani to zrobiła - krzyknęła do Abbie, trzęsąc się z wściekłości. - To pani podłożyła ogień!

- Nie! - Przestraszona Abbie chciała wyjaśnić, że to ona powiadomiła straż pożarną, ale Rachel w ogóle nie chciała jej słuchać.

- Pani tym groziła. Są świadkowie, więc niech pani nie kłamie. Nie mogła pani znieść, że wkrótce miałam zamieszkać w tym domu, i dlatego go podpaliła. - Trzęsła się i zaciskała pięści. - Nienawidzę pani za to. Słyszysz pani? - Rachel odepchnęła głowę konia i puściła go tak gwałtownie, że zrobił pół obrotu. - Niech się pani stąd wynosi! Niech się pani wynosi i nigdy więcej tu nie pokazuj e!

171

Oburzona Abbie chciała powiedzieć coś na swoją obronę, ale Ben ujął ją uspokajająco za ramię.

- Ona nie będzie cię słuchała. Najlepiej, jeśli stąd odjedziemy. Abbie nie chciała tego tak zostawić.

- Może pani myśleć, co pani chce, ale ja tego nie zrobiłam! - wykrzyknęła i ściągnęła cugle. Zawróciła konia, który posłusznie poddał się jej woli, bo sam chciał odejść z tego miejsca, przepełnionego zapachem pożaru i naładowaną atmosferą. Wyprostowana w siodle Abbie skierowała go powoli z powrotem przez leżące na ziemi druty. Dopiero gdy zniknęli z pola widzenia, popuściła cugli i przeszła do galopu.

Kiedy pędzili przez skoszoną łąkę, przeskakując nad zagrabionym sianem, wiatr osuszał łzy piekące ją w oczy. Wiedziała, że nie uwolni się od podejrzeń o podpalenie, nawet jeżeli w śledztwie zostanie ustalona inna przyczyna pożaru. To nie było w porządku.

26

Wv

ysiadającego z samochodu dostawczego MacCreepowitał stukotmłot-ków i hałas piły tarczowej. Przed nim jak Feniks z popiołu wyrastał szkielet budynku w wiktoriańskim stylu, podobnego do tego, który stał kiedyś w tym miejscu.

Nowy dom przypominał go we wszystkich szczegółach, poczynając od otaczającej go werandy, a na bliźniaczych wieżyczkach i kopule kończąc. Był tylko o połowę większy.

W pewnej odległości wznoszono ogromny budynek gospodarczy w tym samym stylu. Jedyne obiekty, które ocalały z pożaru, rozebrano, by zrobić miejsce pod nową, masywną budowlę. Nie pozostało nic starego, poza kilkoma drzewami, które ostały się płomieniom.

Kiedy MacCrea ruszył w kierunku domu, wyszła z niego szczupła, ciemnowłosa kobieta. Jej podobieństwo do Abbie tak bardzo wytrąciło go z równowagi, że stanął w miejscu. Zaciskając usta, skoncentrował wzrok na mężczyźnie za jej plecami, Lanie Canfieldzie. Gdyby nie to nieszczęsne podobieństwo, MacCrea już kilka miesięcy temu zapomniałby o Abbie. Lane podniósł na moment rękę w geście powitania i ponownie zwrócił się do wyraźnie zdenerwowanej Rachel. MacCrea nie słyszał początkowo, co mówiła.

172

- ..nie powinniśmy zbyt długo czekać z zatrudnieniem strażników. Chciałabym mieć kogoś już teraz. Wiesz przecież tak samo dobrze jak ja, że ona tylko czeka na zaawansowanie budowy, żeby znowu coś zrobić.

- Rachel, nie ma żadnych dowodów, że to ona podłożyła ogień. Zrezygnowany głos Lane'a pozwalał przypuszczać, że już nieraz dyskutowali na ten temat.

- Nie potrzebuję żadnych dowodów. Znam ją. Ona mnie nienawidzi. -Lane nie dał się przekonać i Rachel zaczęła prosić: - To chyba niezbyt duże wymaganie, by przynajmniej w nocy ktoś czuwał.

- No dobrze. - Wyglądało na to, że Lane nie zdoła jej od tego odwieść. - Wydam polecenie, żeby kierownik budowy kogoś zatrudnił.

- Pójdę natychmiast do niego i powiem mu o tym. - Pocałowała go lekko w policzek i pobiegła do domu poszukać kierownika budowy.

Wielokrotnie już MacCrea zauważył brak jakiegokolwiek napięcia w stosunkach między Rachel a Lane'em.

Nie mógł wprawdzie powiedzieć, że nie istniały między nimi oznaki sympatii i że nie wydawali się szczęśliwi, ale czegoś jednak brakowało. Trudno było określić, czy wynikało to z różnicy wieku, czy też takie mieli po prostu charaktery i sposób bycia.

- Tak j est cały czas od pożaru. - Lane przerwał rozmyślania MacCrei. - Opętała japo prostu myśl, że to sprawka Abbie. Nie twierdę, że nie ma żadnych podstaw do takich przypuszczeń... - Lane nie dokończył zdania. -Nie zaprosiłem jednak pana po to, by rozmawiać o Abbie.

- Nie. - MacCrea wyjął dokumenty z kieszeni kurtki. - Tu j est wstępna propozycja kosztów. Zobacz pan, że jest zgodna z tym, co omawialiśmy wczoraj przez telefon.

Obserwował minę Lane' a, gdy przeglądał dokumenty. Podniesione brwi zasygnalizowały jego zdziwienie.

- MacCrea, czy jest pan pewien, że pański system kontroli nie funkcjonuje? Ta oferta może być tylko trikiem, by się pana pozbyć.

- Też o tym pomyślałem. Kiedy jednak z doświadczalnych pól naftowych nadeszły negatywne raporty, pojechałem tam sam i przekonałem się. To rzeczywiście nie funkcjonuje. Jednak mimo niepowodzeń koncepcja spotyka się z zainteresowaniem, ponieważ można ją będzie usprawnić. Dlatego chcą kupić teraz ode mnie prawa, by później uniknąć ewentualnych procesów sądowych. - MacCrea nie wspominał, że firma produkująca szlam wiertniczy zaproponowała, aby sam opracował projekt i usprawnił go. Nie był jednak naukowcem. Poza tym wiedział, że im dłużej tu zostanie, tym dłużej będzie pamiętał o Abbie. - Uważam, że powinniśmy przyjąć tę ofertę.

173

- Prawdopodobnie ma pan rację - przyznał Lane. - A co pan teraz zamierza robić?
- Nabyłem prawa do poszukiwań na jednej z działek w Ascension Parish. Chciałbym zebrać kilku ludzi z kapitałem i rozpocząć tam wiercenia próbne.
- Hm, chętnie bym się w to zaangażował.
- To zależy od tego, jak bardzo pan jest chciwy - odparł szybko Mac-Crea, który zręcznie ukrył zaskoczenie tą nieoczekiwaną propozycją.
- Albo pan - powiedział Lane, śmiejąc się. - Niech pan się nad tym zastanowi i zadzwoni do mnie. Potem się spotkamy i porozmawiamy o liczbach i procentach.
- Nie potrzebuję się zastanawiać. Pan ma pieniądze, a ja umowę dzierżawy, sprzęt wiertniczy i ludzi. Jestem w tej chwili gotowy do rozmów. Może to pan powinien rozważyć?
- A więc jutro o dziesiątej w moim biurze. Tam możemy spokojnie porozmawiać, bez tego bałaganu. - Lane wskazał na panujący dookoła ruch.
- Przyjdę - obiecał MacCrea.

27

kiedy Abbie wypuściła River Breeze na małe pastwisko, w graniczącej z nim zagrodzie pół tuzina koni stłoczyło się przy ogrodzeniu z zachęcającym parskaniem. Klacz obejrzała się za nią niezdecydowanie.

- Idź już. - Abbie pogłaskała lśniąca srebrzyście szyję. - Ja i tak muszę odejść. Przecisnęła się między żerdziami do Bena, który stał po drugiej stronie. Breeze sztywno i trochę niezgrabnie poruszała się wzdłuż ogrodzenia. Jej nogi z każdym dniem stawały się coraz silniejsze, poprawiała się koordynacja ruchów, znikły obrzmienia... Utykać będzie już zawsze, ale to nie miało żadnego znaczenia. Widok River Breeze poruszającej się na wszystkich czterech nogach był dla Abbie najpiękniejszym widokiem na świecie.
- Z każdym dniem jest lepiej - stwierdził z zadowoleniem Ben.
- Nie uważasz, że wiosną będzie można pomyśleć o jej pokryciu?
- Tak, myślę, że tak.

174

- Powinniśmy się zastanowić nad ogierem. Chciałabym najlepszego, bez względu na koszty.
- Westchnęła. - Ciągle jednak nie można wykluczyć ryzyka, że jest bezpłodna. Dostała przecież tyle leków.
- Musimy odczekać.
- Tak. - Pragnęła, by Ben chociaż raz wyraził swój pogląd. - Nikt się nie spodziewał, że tak sobie poradzi. Wiosną musimy ją pokryć. Przygotuję listę ogierów, które mogą wchodzić w grę.
- Kiedy zobaczyła aprobujący uśmiech Bena, wiedziała już, że podzielał jej optymizm. - Listę zaczęłam już sporządzać. To cud, że może chodzić. Teraz trzeba wierzyć w to, że możliwe będzie także jej zapłodnienie.
- Czasami chciałabym mieć twoją wiarę.

Abbie podtrzymywała na duchu przede wszystkim jej zdecydowanie. Na optymizm nie mogła się zdobyć już od dawna. Westchnęła i odepchnęła się od ogrodzenia.

- Muszę już iść. Obiecałam matce, że pomogę jej dziś przy urządzeniu przyjęcia. Każde drzewo i każdy krzak na drodze dojazdowej do River Oaks był przystrójony małymi światełkami. Świątecznie udekorowany był też obszerny dom w hiszpańskim stylu. Dzień Dziękczynienia już minął i pierwsze przyjęcie przed Bożym Narodzeniem było gotowe.

W wielkiej sali pod szklanym dachem dominowała prawie dziesięciometrowa choinka. Rachel oddalała jedną z obsługujących gości dziewcząt swój ąkurtkę z norek i wzięła pod ramię Lane'a. Wmieszali się tłum gości, krążących po kosztownie i luksusowo udekorowanym domu. Delikatnym dotknięciem ręki upewniła się, że brosza, zdobiąca serco-waty dekolcji sukni, jest na miejscu. Jednocześnie poczuła ciężar dobranych do niej kolczyków. Od dnia ślubu Lane wprost zasypywał ją prezentami: sukniami, biżuterią, drogimi perfumami i różnymi drobiazgami. Początkowo miała z tego powodu niechęć, ponieważ zbyt dobrze pamiętała, jak Dean właśnie prezentami usiłował kupić jej miłość i uspokoić własne sumienie. Lane'owi jednak obdarowywanie jej dużymi lub małymi prezentami sprawiało wyraźną radość i Rachel uznała, że powątpiewanie w jego motywacje byłoby niesprawiedliwe. Kelner zaproponował im szampana. Rachel wzięła lampkę, by zająć czymś ręce, natomiast Lane powiedział:

- Przyniosę sobie drinka z baru. Pozwolisz?
- Oczywiście. - Przy takich towarzyskich okazjach Rachel pozostawała najczęściej sama, ponieważ Lane miał zwyczaj rozmawiać z partnerami od

175

interesów i znajomymi. Przyzwyczyła się już do tego, że w takie właśnie wieczory musi radzić sobie sama. Rozejrzała się, ale dostrzegła niewiele znajomych twarzy. Ciągłe jeszcze była tu obca, ciągle jeszcze nie w pełni akceptowana. Byli też ludzie, którzy okazywali jej otwartą wrogość, przede wszystkim ci, którzy trzymali stronę Abbie i jej matki. Nie mogli jednak całkowicie ignorować żony Lane'a Canfielda.

Z jednego z pomieszczeń przylegających do holu dobiegały dźwięki gitary. Kiedy Rachel ruszyła powoli w tym kierunku. W rogu dużego pokoju zespół country grał dla kilku par tańczących się na wolnej przestrzeni pośrodku. Do ustawionego z przodu mikrofonu podszedł piosenkarz. Rachel rozpoznała szczupłego mężczyznę w czarnym smokingu, była zaskoczona.

Czarnego kapelusza kowbojskiego, który stał się znakiem firmowym Rossa Tibbsa, nie można było pomylić z żadnym innym. Właściwie powinna się domyślić, że zaangażowano go na tę część wieczoru. Od kiedy napisana przez niego piosenka znalazła się na czele listy przebojów, stał się sławny. Rachel chciała natychmiast zawrócić i opuścić salę, ale uległa czystemu, pełnemu uczucia i ciepła barytonowi, który działał na nią jak pieśczoła. Przesuwała się wzdłuż ściany, aż znalazła miejsce, z którego, sama nie będąc widziana, mogła go obserwować.

Ledwie przebrzmiała piosenka, Ross odwrócił się, by przyjąć aplauz zebranych i spojrzał jej prosto w oczy. Przez moment wpatrywał się w nią bez ruchu, jak gdyby śnił. Rachel chciała odwrócić oczy i przerwać kontakt wzrokowy. Nie zdołała jednak tego zrobić, tak samo jak nie potrafiła zapanować nad przyspieszonym tętnem.

Ross podszedł znowu do mikrofonu.

- Chciałbym zaśpiewać jeszcze jedną z moich piosenek, którą w przyszłym tygodniu nagram w Nashville na płytę. Nosi ona tytuł „Oczy w kolorze teksańskiego błękitu”. - Skinął głową zespołowi i dodał cicho, kierując spojrzenie na Rachel: - To dla was, oczy w kolorze teksańskiego błękitu.

Rachel poczuła, że jej skóra płonie. Ukradkiem rozglądała się wokół, by sprawdzić, czy ktoś zauważył, że to jej zadedykowano tę piosenkę. Mogła jednak być spokojna. Spojrzenia wszystkich obecnych spoczywały na Rossie Tibbsie, który zaczął śpiewać.

Rachel nie mogła znieść słodkiej tęsknoty w jego głosie, w którym pobrzmiwało także pożądanie i ból. Nagle odwróciła się i ruszyła ku wyjściu. Na zewnątrz odetchnęła głęboko, starając się uspokoić.

Udała się na poszukiwanie Lane'a. Kiedy dostrzegła go w pobliżu baru, rozejrzała się wokół długiego stołu w dużej sali jadalnej ze wspaniałymi

176

kryształowymi lustrami. Zaskoczona, ujrzała w drugim końcu Abbie rozmawiającą przytłumionym głosem z kelnerem.

W czarnej jedwabnej spódnicy, do której włożyła pikowaną złotą bluzkę z szerokimi ramionami, wyglądała jak gość zaproszony na przyjęcie. Rachel zastanawiała się, w jaki sposób Abbie mogła dostać zaproszenie. W końcu uświadomiła sobie, że obie z matką miały firmę zajmującą się urządzeniem i obsługą przyjęć. Rachel nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy odchodząc, zobaczyła, jak kelner skinieniem głowy przyjął do wiadomości polecenie Abbie.

W drodze do baru, gdzie chciała skontrolować zapasy alkoholu, Abbie poleciła jednej z dziewcząt, by zebrała ze stołu używane talerze. Do ich zadań, jak stale wyjaśniała to matka potencjalnym klientom, należało odciążenie od obowiązków gospodyni przyjęcia, aby mogła poświęcić się wyłącznie swoim gościom. Obsługa troszczyła się o stałe donoszenie jedzenia i napojów, o regularne opróżnianie popielniczek oraz szybkie usuwanie do kuchni używanych talerzy i pustych szklanek. Obowiązki obsługi obejmowały wszystko: od zaparkowania samochodów po przejście płaszczy przy wejściu, od utrzymania czystości w toaletach po uspokajanie szukających sprzeczki, podpitych gości, od zaplanowania całego przyjęcia po sprzątnięcie po nim.

Abbie działała najczęściej na zapleczu, troszczyła się o poczęstunek dla gości i prawie nie wychodziła z kuchni.

Odstawiła na ladę pusty kieliszek po szampanie i czekała na barmana, który w drugim końcu sali rozmawiał z gościem. Kiedy wreszcie się odwrócił, odsłonił partnera zakończonej właśnie rozmowy. MacCrea. Poczowała ukłucie gwałtownego bólu - i pożądania. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na jego profil, tak niezwykle męski. Znała każdą jego cechę, każdy szczegół jego ciała, od gęstych, ciemnych wąsów poczynając, a na odstającym małym palcu kończąc. Swoją reakcję usiłowała wytłumaczyć faktem, że tak długo go nie widziała. Jak długo... chyba około trzech miesięcy? Niezrozumiałe było dla niej, że ciągle jeszcze mogła go kochać po tym wszystkim, co jej zrobił.

Barman podszedł do niej.

- Pani Lawson, potrzebuje pani czegoś?

- Tak. -Nagle zapomniała, czego chciała, ponieważ MacCrea z wyraźnym zainteresowaniem obserwował ją spod przymkniętych powiek. Aby nie zauważył, jakie wrażenie wywarło na niej to spotkanie, Abbie celowo przyjęła sztywną postawę służbową i całkowicie skoncentrowała uwagę na barmanie. Kątem oka dostrzegła, że MacCrea podniósł się od baru i podążył w jej kierunku.

- Halo. - Jego cichy głos był jak pieśczoła. Abbie nie potrzebowała zamykać oczu, by przypomnieć sobie dotyk jego szorstkich dłoni pieścących jej skórę.

Postanowiła nadal go lekceważyć.

- Jak wygląda zapas bourbona?

- Wystarczy - odpowiedział barman.

- Dobrze. - Usilnie próbowała nie patrzeć na MacCreę.

Nic to jednak nie dało. Wszystkie jej zmysły były skoncentrowane na nim. Świadoma była każdego jego ruchu. W końcu wróciła do sztywnej postawy i zapytała:

- Życzysz sobie czegoś?

- Ciebie - odparł cicho i bez ogródek MacCrea.

Bóg wie, ile razy potrafiła bez zmrużenia powiek odparować podobne uwagi ze strony mężczyzn, ale teraz nie mogła tego zrobić; nie w przypadku MacCrei. Nie miała jednak zamiaru dopuścić do tego, by znowu ją skrzywdził. Odwróciła się gwałtownie i szybko odeszła od baru, nie zwalniając kroku aż do jadalni.

- Zmierzasz do jakiegoś konkretnego celu? - usłyszała za sobą głos MacCrei.

- Jestem zajęta pracą- sztywno odpowiedziała, wściekła, że poszedł za nią, chociaż wiedział, że nie chciała już mieć z nim do czynienia. Odwróciła się do niego plecami i chwyciła półmisek z pasztetem.

- Abbie, nie jesteś tak nieczuła, jak myślałem - powiedział prze- ciągle.

- Nie bądź śmieszny-odparła ostro.

- Dlaczego przed chwilą uciekłaś?

- Na pewno nie ze strachu przed tobą.

- Udowodnij to.

- Nie potrzebuję. Odejdź i zostaw mnie w spokoju.

- To niemożliwe. Jestem głodny. - Położył jej rękę na ramieniu, a potem poufałym gestem opuścił ją wzdłuż ciała do talii.

- To proszę, poczęstuj się. - Podała mu półmisek.

Z cieniem uśmiechu na twarzy wziął go z jej rąk i postawił z powrotem na udekorowanym stole. Potem oparł się ręką o stół i nachylił nad nią.

- To tak rozmawia się z gościem? - W jego oddechu czuć było mocny zapach whisky.

- Piłeś.

- Oczywiście, przecież jestem na przyjęciu. - Potoczył wzrokiem po innych gościach kłębiących się w pomieszczeniu. - A na przyjęciach się pije.

178

- Tak. - Milczała wściekła i ponizona. To dlatego, że pił, mówił takie rzeczy, pobudzając w niej uczucia, a nie dlatego, że coś jeszcze do niej czuł lub chciał coś naprawić.

- Jaka szkoda, że nie chcesz się do mnie przyłączyć. Masz wszelkie powody do świętowania. Powinnaś wiedzieć, że mój system kontrolny zawiódł we wszystkich próbach przeprowadzonych w praktyce.

Z jednej strony odczuła zadowolenie, że Rachel straciła zainwestowane pieniądze, z drugiej jednak zaczęła współczuć MacCrei. Wiedziała, ile znaczył dla niego ten wynalazek i ile pracy w niego włożył.

- To jak, zgodzisz się teraz wypić ze mną drinka? - prowokował ją MacCrea, wysoko unosząc brwi.

Nie miała pojęcia, że tak trudno będzie mu się przeciwstawić.

- Nie płacami za rozmawianie z gośćmi. Jeżeli mi teraz wybaczysz... - Kiedy chciała przejść obok niego, mocno przytrzymał ją za ramię.

- Co to znaczy „płaca”? - Patrzył na nią pytająco spod przymkniętych powiek.

- Tak się składa, że j jestem pracującą kobietą i odpowiadam za to przyjęcie. - Przez pikowany jedwab bluzki czuła ciepło jego ręki. Miała wrażenie, że płonie od tego dotknięcia. - Powiedziałam już raz, że masz mnie zostawić w spokoju. Mam nadzieję, że nie będę musiała tego powtarzać. -Zdradliwe drżenie głosu doprowadzało ją do wściekłości.

- Pamiętam-powiedział i cofnął rękę, nie odwracając jednak wzroku od jej twarzy. - Pamiętam bardzo dużo rzeczy, Abbie. I myślę, że ty też.

Nie miała odwagi mu odpowiedzieć, więc odwróciła się i uciekła do kuchni. Spotkanie z MacCrea wstrząsnęło nią bardziej, niż chciała przyznać. Usiłowała zająć się czymś, co pozwoliłoby jej przestać myśleć o nim,

O jego wyglądzie, o powodach, które mogły go tu sprowadzić, i o tym, dlaczego w ogóle z nią rozmawiał. Czy żałował tego? Bolała myśl, że mogło tak być.

Krótko po północy do przebywającej wciąż w kuchni Abbie przysła Babs.

- Przyjęcie zakończy się gdzieś za godzinę. Gdybyś chciała pojechać do domu, sama wszystkiego dopilnuję. Jesteś na nogach od szóstej i pracowałaś już z końmi.

- Tak, jestem zmęczona - przyznała Abbie, której nie opuszczał ból głowy. - Jeżeli sama dasz sobie radę...

- Na pewno. Jedź do domu.

Dziesięć minut później Abbie opuściła dom wejściem dla służby i poszła do garażu, w którym zostawiła samochód. W porównaniu z krzątaniną

1 brzękiem naczyń w kuchni oraz śmiechami i hałasem panującym na przyję-

ciu, na zewnątrz otoczyła ją nieznajoma cisza. Był początek grudnia i powietrze było mroźne, ale zetknięcie z nim sprawiło Abbie przyjemność. Doszła już prawie do swego samochodu, kiedy nagle dostrzegła mężczyznę, który ze swobodnie skrzyżowanymi nogami stał oparty o czarny samochód dostawczy. Zdziwiona Abbie zamarła, gdy MacCrea wyprostował się i podążył w jej kierunku.

- Zastanawiałem się już, jak długo j jeszcze tam zostaniesz - powiedział. Abbie nie powiedziała ani słowa. Nie potrafiła się zdobyć na szczerą rozmowę z nim, nie dając się zbić z tropu, szła nadal do swego samochodu, ściskając w rękę kluczyk jak talizman.

- Czekałem na ciebie. - Para z jego oddechu zawisła w powietrzu.

- Gdybym przypuszczała, że tu stoisz, przywołałabym taksówkę. -Abbie stanęła obok samochodu i zimnymi, pozbawionymi czucia palcami usiłowała włożyć kluczyk do zamka.

- Nie, nie zrobiłabyś tego. - Stał obok niej z rękami w kieszeniach kurtki. -Nie jesteś typem, który ucieka, Abbie.

- Już od dawna nie znasz mnie tak dobrze, jak sobie wyobrażasz. -Nadal miała trudności z włożeniem kluczyka.

- Nie? W tym momencie nienawidzisz siebie samej, bo ciągle jeszcze mnie pragniesz.

- To nieprawda! - zaprzeczyła zawzięcie.

- Tak? - Mówiąc to, chwycił ją i przyciągnął do siebie. Jej serce zaczęło walić jak szalone, kiedy spojrzała na niego rozrywana sprzecznymi uczuciami. -Nie wierzę w to, Abbie, naprawdę nie wierzę.

Ujrzała zdecydowany błysk w jego oczach i zrozumiała, że nie ma żadnej szansy. MacCrea chwycił ją za kark pod włosami i mocno przytrzymał. Kiedy dotknął wargami jej ust, próbowała zachować bierność, by mu pokazać, jak jest jej obojętny. Zapomniała już jednak, jak działały na nią jego pocałunki. Jak bardzo brakowało jej tego, by leżeć w jego ramionach... by być kochaną.

Wreszcie uznała się za pokonaną i odwzajemniła pocałunek, położywszy mu ręce na ramionach. Nie próbowała już trzymać go na dystans. Teraz szukała kontaktu z jego twardym, silnym ciałem. Kiedy mocno przyciskał ją do siebie, stanęła na palcach, by wyrównać różnicę wzrostu.

Gdy przerwał pocałunek, Abbie przytuliła głowę do jego piersi i starała się przedłużyć ten moment.

- A teraz powiedz, że się pomyliłem - wyszeptał gorąco. - Powiedz mi, że jestem ci obojętny.

- Moje uczucia niczego nie zmieniają. Ciągle jeszcze tego nie rozumiesz? - zapytała.

180

- Chodzi o Rachel, jak przypuszczam.

- Tak, chodzi o Rachel. - Z opuszczoną głową cofnęła się o krok. MacCrea mocno chwycił ją za ramiona.

- Myślałem, że pokonałaś wreszcie w sobie tę głupią zazdrość - wyrzucił z siebie gwałtownie.

- Tobie może się ona wydawać głupia, ale mnie nie - odpowiedziała Abbie. - Dopóki masz do czynienia z Rachel, ja nie chcę mieć do czynienia z tobą.

- Ależ Abbie, spotykałem się z Lane'em i Rachel tylko po to, by omawiać sprawy związane z interesami. A wiesz, o kim zawsze myślę w obecności Rachel? O tobie, zawsze tylko o tobie. Nie wiesz nawet, jak często pragnąłem, żebyś to ty stała zamiast niej przede mną. A cała sprawa jest jeszcze bardziej zwariowana przez to, że ona jest tak całkowicie inna niż ty.

- Nie wiem już, w co mam wierzyć. - Abbie była zmęczona i zdezorientowana. Zbyt wiele naraz się na nią zważyło. W tej chwili nie panowała nad swoimi uczuciami, to raczej one zapanowały nad nią.

- Twoja zazdrość jest całkowicie bezpodstawna -kontynuował MacCrea. - Poza tym, co sobie ubzdurzyłaś, nigdy nie było do niej powodów. Zapomnij o tym. To już minęło. - Ścisnął ją mocniej, jak gdyby chciał ją potrząsnąć. Potem jego uchwyt stał się łagodniejszy. - A jeżeli już potrzebujesz czegoś do myślenia, to łam sobie głowę nad tym, że cię kocham.

- Ja też cię kocham - mruknęła. - Chyba wiesz, że tylko dlatego to wszystko tak mnie obchodzi.

- Abbie... -Podniósł ją do góry, a ona objęła go za szyję i tuliła się do mężczyzny, który sprawił jej tyle rozkoszy i bólu, do mężczyzny, którego kochała. Całowała go namiętnie i rozkoszowała się bolesnym uściskiem jego ramion. Czuli żal, kiedy znowu postawił ją na ziemi, ale jedno spojrzenie w jego oczy wynagrodziło jej to. - Pójdiesz ze mną.

Kiedy skierował się do swojego samochodu, zatrzymała go.

- Poczekaj. A co z moim autem?

- Do diabła z nim. - MacCrea nie zwolnił kroku. -Nie spuszczę cię z oczu. Nie będę ryzykował, że po drodze zmienisz zamiar.

Abbie zastanawiała się, czy będzie tego żałowała później, kiedy przyjdzie czas na zastanowienie się. Wydawało się to tak oczywiste jak to, że szła obok niego, a on obejmował ją ramieniem. Może rzeczywiście był to nowy początek.

Na jasno oświetlonej kiedyś działce wiertniczej panowała całkowita ciemność. Nie paliła się nawet jedna lampa. Reflektory samochodu na krótko oświetliły zdemontowaną wieżę wiertniczą, leżącą na przyczepie za tępono-sym ciągnikiem siodłowym.

181

- Prace są już zakończone?

- Tak. Osiągnęliśmy uzgodnioną w umowie głębokość i niczego nie znaleźliśmy.

Nie był zainteresowany dalszą rozmową o wierceniu. Kiedy się zatrzymali, zaniósł ją prosto do przyczepy, a następnie do łóżka. Nie było czasu na nic poza miłością, teraz, natychmiast. Jakby tylko zespolenie ich ciał mogło przewyciężyć palącą dumę i gorzką zazdrość, które ich rozdzieliły.

Dopiero później mieli czas, by znowu się wzajemnie odkrywać i rozkoszować sobą. Orgazm długo kazał na siebie czekać, ale kiedy przyszedł, Abbie wiedziała, że jeszcze nigdy nie było im tak wspaniale.

Leżała potem w jego ramionach. Czuła się cudownie odprężona i zaspokojona. Jego głęboki, równomierny oddech świadczył o tym, że usnął. Wtedy ona także zamknęła oczy i spróbowała odwrócić się na swój a stronę.

Jego ramię objęło ją mocniej i powstrzymało.

- Nie odchodź - powiedział sennym głosem. - Zostań u mnie przez całą noc.

- Nie mogę odejść, głuptasie. - Abbie przyglądała mu się z uśmiechem. Jego twarz ledwie była widoczna w ciemności panującej w sypialni. -Nie chciałeś przecież, żebym jechała moim samochodem.

Zaskoczony, wydał tylko jakiś nieartykułowany dźwięk. Całkowicie zapomniał, że była na niego skazana.

- Już dawno powinienem po prostu uprowadzić cię w ten sposób. -Zapanowało dłuższe milczenie i Abbie myślała już, że znowu zasnął. On jednak odezwał się nagle niskim głosem: - W przyszłym tygodniu jadę do Luizjany. Jedź ze mną, Abbie.

- Nie wiem, jak miałabym to zorganizować.

- Dlaczego nie? - Powoli gładził ręką jej piersi, jak gdyby tą pieszczotą chciał przełamać opór. -Na pewno znajdziemy kogoś, kto udzieli nam ślubu.

- Czy to oświadczyły? - Myślała, że się przesłyszała.

- Tylko wtedy, jeśli je przyjmiesz. Jeżeli nie, wszystko wycofam. -Zabrzmiało to tak ironicznie, że Abbie nie wiedziała, czy mówił to poważnie.

Zdecydowała się na pośrednią drogę.

- Wierz mi, że chętnie bym z tobą pojechała. Ale nie mogę tak po prostu zostawić wszystkiego i wyruszyć w drogę, jak ty. Mam tu zobowiązania.

- Twój a matkę, jak przypuszczam.

- Tak, a do tego Bena. Poza tym zawarłam umowy z hodowcami. Trenuję ich konie i prezentuję je. - Po potrąceniu wszystkich kosztów nie
182

pozostawało jej wiele, ale bądź co bądź wystarczało na zapłacenie rachunków za leczenie River Breeze. Całą resztę chciała zaoszczędzić na opłacenie pokrycia j ej. Szczegóły te wolała j jednak zachować dla siebie. Niezależnie od tego, jak chętnie by z nim wyjechała, w tej chwili było to całkowicie wykluczone. - Czy musisz jechać w przyszłym tygodniu? Nie możesz zrobić tego później? Co będziesz robił w Luizjanie?

- Chodzi znowu o ropę naftową.

- Znajdziesz ją także w Teksasie i wcale nie potrzebujesz jechać do Luizjany.

- Nabyłem tam prawa do bardzo obiecującej działki.

- Na pewno potrzebujesz jeszcze czasu, by zgromadzić kapitał na sfinansowanie wierceń.

- Tym razem nie. Znalazłem już inwestora.

- Kogo? - Abbie natychmiast się skurczyła. MacCrea trochę za długo zwlekał z odpowiedzią.

- To żadna tajemnica, że pieniądze da mi Lane Canfield.

Abbie poderwała się i zapaliła kinkiet u wezglowia, by móc widzieć j ego twarz. Musiała się upewnić, czy to nie okrutny żart. MacCrea zasłonił oczy, ale dostrzegła, że w jego spojrzeniu nie było wesołości.

- A więc j jednak powiedziałaś to poważnie.

- A dlaczego miałbym kłamać? - Zmarszczył czoło.

- Nie. Ty nigdy nie kłamiesz. - W Abbie narastała dusząca wściekłość. - Każesz mi tylko wierzyć w nieprawdziwe rzeczy. Tak jak chciałeś, że bym uwierzyła, że z Rachel wszystko skończone.

- Czy musimy znowu przerabiać to wszystko?

- Nie, w żadnym wypadku. - Sztywna ze złości i wstydu podniosła się i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Co ty robisz, do diabła?

- A jak myślisz? - zapytała szyderczo. - Odchodzę. Myślisz, że zostanę i będę wysłuchiwać twoich półprawd? MacCrea Wilder, zaufałam ci po raz ostatni. Słyszysz? Po raz ostatni!

- Nie masz przecież samochodu. Nie możesz odejść.

- Jeszcze zobaczymy. - Pospiesznie włożyła spódnice i bluzkę. Rajstopami na razie nie zawracała sobie głowy.

Trzymała je w ręku, kiedy biegła do drzwi.

- Abbie, j jeżeli przejdiesz teraz przez te drzwi, nigdy więcej nie pój dę za tobą- ostrzegł ją.

- Dobrze. - Chwyliła za klamkę.

- Abbie, ta przeklęta zazdrość cię niszczy. Czy ty tego nie widzisz?

183

Wyszła na zewnątrz i trzasnęła drzwiami. Potem pobiegła do jego samochodu. Kluczyki tkwiły w stacyj ce. Weszła do środka i natychmiast uruchomiła silnik. W światłach reflektorów dostrzegła jeszcze, jak MacCrea wybiega z przyczepy. Dodała gazu, zawróciła ciasnym łukiem i szybko odjechała, zanim zdołał jej w tym przeszkodzić.

28

Te

ej nocy Abbie śniła o MacCrei. Pobrali się i po ślubie prowadził ją pod obwieszonymi festonami drzewami do białego domu, który miał być jej domem rodzinnym. Drzwi stały otworem i Abbie zobaczyła w środku czekającą Rachel. MacCrea powiedział jej, że Rachel też tu mieszka; we trójkę mieli żyć szczęśliwie - jak w bajce. Abbie wyrwała się i uciekła, ale MacCrea jąścigał. Początkowo biegła bardzo szybko, tak że nie mógł jej dogonić, ale potem stawał się coraz większy - a jego ręce coraz dłuższe.

Słyszała złośliwy śmiech Rachel. Czyjaś ręka dotknęła jej pleców i Abbie wrzasnęła.

Natychmiast usiadła wyprostowana na łóżku, cała oblana potem.

- Abbie, potwornie mnie przestraszyłaś. - Przy łóżku stała Babs, przyciskając jedną rękę do piersi. Obie zaśmiały się z ulgą.

- Ja... miałam koszmarny sen. - Koszmarny sen, zakorzeniony w realiach. Wciąż jeszcze oszołomiona popatrzyła w okno, przez które świeciło słońce. - Która godzina?

- Wkrótce dziewiąta. Chciałam zapytać, czy wybrałabyś się dziś ze mną i z Benem do kościoła.

- Dzisiaj chyba sobie daruję.

- Przykro mi, że cię obudziłam. Śpij dalej. Obiadem nie zaprzataj sobie głowy, stoi już w piekarniku.

Kiedy za Babs zamknęły się drzwi, Abbie ponownie wsunęła się pod kołdrę, chociaż wiedziała, że już nie zaśnie. Rozpaczliwie pragnęła zapomnieć ostatnią noc. Przewyciężyła już prawie ból i rozgoryczenie, a teraz te uczucia znowu wróciły, j jeszcze gorsze niż przedtem.

Na pocieszenie pozostawało jej przynajmniej to, że MacCrea opuści Teksas, co wykluczy przypadkowe spotkania. Zniknie z jej życia, tym razem na zawsze.

Została w łóżku aż do momentu, gdy Babs wyszła z domu. Potem poszła do łazienki, gdzie zimną wodą obmyła ręce i twarz w nadziei, że pozbędzie się uczucia odrętwienia. Otworzyła lustrzaną szafkę nad umy-

184

walką i chciała sięgnąć po szczoteczkę do zębów, ale znieruchomiała, kiedy jej wzrok padł na płaskie plastikowe pudełeczko na najniższej półce - pudełeczko, w którym przechowywała krążek antykoncepcyjny.

Mimo kuracji hormonalnych i badań lekarskich jej małżeństwo z Christopherem pozostało bezdzietne, więc była przekonana, że jest bezpłodna i z MacCrea uciekała się do antykoncepcji tylko w czasie dni płodnych. Pełna niepokoju zaczęła teraz obliczać swój cykl. Ostatnio poświęcała temu niewiele uwagi, ponieważ żyła powściągliwie. Nie przypuszczała, że może jej się przytrafić coś takiego jak ostatniej nocy.

Teraz jednak doszła do wniosku, że mogła zajść w ciążę. Pod wpływem rzeczywistego strachu i urojonych mdłości Abbie przycisnęła ręką żołądek. Co powinna zrobić, jeżeli rzeczywiście jest w ciąży?

Po pewnym czasie ta możliwość zaczęła się stawać coraz bardziej prawdopodobna. Abbie stale budziła się rano z uczuciem mdłości. Czasami myślała, że nie da sobie rady z poranną pracą przy koniach. Kiedy Babs pytała o przyczyny jej bledzi, wykręcała się znużeniem i przepracowaniem, ale wiedziała, że nie będzie mogła już zbyt długo ukrywać prawdy.

Pewnego późnego popołudnia po nakarmieniu koni przechodziła obok szopy na maszyny.

Kiedy zobaczyła w niej Dobiego majstrującego coś przy ciągniku, zawahała się. Nade

wszystko pragnęła wrócić do domu i położyć się, ale musiała jak najszybciej przeprowadzić swój plan. Gruntownie wszystko przemyślała i doszła do wniosku, że chce mieć to dziecko, a ono potrzebowało ojca. Zdecydowanie weszła do szopy. Halo, Dobie.

Wyprostował się i wytarł szmatą pobrudzone smarem palce.

- Halo, Abbie. - Jego uśmiech świadczył o zaskoczeniu i radości. Odpowiedziała mu uśmiechem i natychmiast przeszła do rzeczy.

- Masz j jeszcze dużo pracy? Mam ochotę wypić drinka, może trochę potaćzyć, ale nie chciałabym iść sama. Pomyślałam sobie, że... może poszedłbyś ze mną.

Na chwilę odebrało mu mowę.

- Tak, bardzo chętnie - wykrztusił wreszcie. Przesunął do tyłu pomięty kapelusz, tak że jego jasnorude włosy stały się bardziej widoczne. -Może moglibyśmy wyjechać trochę wcześniej i najpierw coś zjeść?

- Tak, to świetny pomysł - szybko zgodziła się Abbie.

- A więc przyjdę po ciebie o siódmej, dobrze?

- Wspaniale.

Tego wieczoru Dobie zabrał ją nowiutkim samochodem dostawczym, który zwykle stał nieużywany w garażu pod pokrowcem. Wyszorował się i ubrał

185

w westernową kurtkę, nowe dżinsy oraz błyszczące buty kowbojskie z wężowej skóry. Jego czerwone włosy były świeżo umyte.

Wieczór nie wystawił na próbę jej cierpliwości, czego Abbie tak się obawiała. Przeciwnie, nie mogłaby sobie wymarzyć bardziej troskliwego opiekuna. Dobie przytrzymał przed nią drzwi, odsuwał jej krzesło i przynosił drinki. Przy jedzeniu rozmawiali o jego farmie i możliwościach zbytu produktów, a podczas tańca uważał, by jej zbyt mocno nie obejmować.

W drodze powrotnej Abbie walczyła z poczuciem winy. Pragnęła niemal, by Dobie nie był tak doskonałym dżentelmenem. Nie miała jednak wyboru.

Poczekala, aż Dobie otworzy drzwi i pomoże jej wysiąść.

- No, to jesteśmy znowu w domu, cali i zdrowi.

Abbie wyszła z auta i stojąc na ziemi, nie wypuszczała jego ręki.

- Zanim pójde do domu, chciałabym zajrzeć jeszcze do River Bree-ze. Pójdiesz ze mną?

- Chętnie - zgodził się ostrożnie. Wszystko to wydawało mu się podejrzane.

Puściła jego rękę i poszła w kierunku stajni.

- Bardzo dobrze się dziś bawiłam, Dobie. Mam nadzieję, że ty też.

- Ależ oczywiście - zapewnił, podążając pół kroku za nią. - Już dość dawno nie wychodziłem do miasta.

Przed stajnią wyprzedził ją i otworzył przed nią wrota. Abbie weszła do środka. Kiedy zapaliła światło, kilka koni parsknęło i wysunęło głowy nad ściankami boksów. Abbie podeszła środkowym przejściem do River Bre-eze, która powitała ją cichym rzeniem i przycisnęła do jej dłoni delikatne nozdrza.

- No, mała, jak się masz? - zapytała pieszczotliwie i zaczęła delikatnie pocierać małe wgłębienie nad jednym z błyszczących, brązowych oczu.

- Jest bardzo do ciebie przywiązana-zauważył obserwujący je Dobie. - Ja właściwie nigdy nie miałem przekonania do koni... od czasu, kiedy jako dziecko zostałem zrzucony z siodła i złamałem nogę.

- Powinieneś nadal zajmować się końmi, gdy tylko noga już się zrosła. Jeżeli ktoś raz się zrani, to wcale nie znaczy, że stale będzie się ranił.

Spojrzał najpierw na nią, a potem wbił wzrok w ziemię, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

- Ach, w niektórych sprawach ryzyko się nie opłaca.

- Dobie, dlaczego nigdy się nie ożeniłeś? Poza domem i farmą masz jeszcze o wiele więcej do zaoferowania kobiecie. Na pewno jest cała gromada dziewcząt, które tylko czekają na twoje oświadczenia.

186

- Możliwe - przyznał. -Nie chciałem jednak żadnej z nich. - Jego spojrzenie zdradzało niepewność. - Była tylko jedna jedyna dziewczyna, z którą chciałem się ożenić. Myślę, że wiesz która.

- Mogłeś przecież zmienić zdanie.

- Nie zmieniłem. - Jego głos zabrzmiał głucho.

- Ciesz się tym. - Abbie zmuszała się do zachęcającego uśmiechu. Podpowiadała sobie przy tym, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko uda jej się zrealizować plan.

Nieśmiało podszedł do niej i oparł rękę o ścianę obok jej głowy. Schylił głowę i przez kilka sekund ostrożnie przyciskał usta do jej warg. Kiedy chciał się cofnąć, Abbie go przytrzymała.

- Dobie, bardzo się z tego cieszę - wyszeptała i znowu zbliżyła się do jego ust, by go lekko, ale przekonująco pocałować. Przez moment Dobie był tak zaskoczony jej inicjatywą, że nie zareagował. Potem jednak objął ją, przyciągnął do siebie i namiętnie pocałował. Był jak człowiek, który zbyt długo łaknął wody, a teraz pospiesznie pochłaniał pierwszą szklanekę. Nagle się wyprostował.

- Przykro mi, Abbie, ja...

- Nie, proszę! - Przycisnęła się do niego.

- Od tak dawna pragnęłam cię całować i trzymać w ramionach! Dlaczego właśnie teraz? - zapytał.

- Dobie, czasem człowiek przyzwyczaja się do tego, że ma kogoś koło siebie i że... no wiesz, prawie go nie dostrzega. - Abbie starannie dobierała słowa. -Wie się, że jest miłym, cudownym człowiekiem, ale... traktuje się to jak coś oczywistego i nie potrafi się go właściwie ocenić. Myślę, że tak właśnie zawsze ciebie traktowałam.

- Tak sądzisz?

- Tak. - Skinęła głową. - Od rozvodu bałam się znowu zaufać mężczyźnie. Ale ostatnie miesiące spędzone w pobliżu ciebie, kiedy codziennie cię widzę, otworzyły mi oczy.

- A ja już myślałam, że nie mam u ciebie cienia szansy.

- Myliłeś się. - Oparła głowę na jego ramieniu. Nie mogła okłamywać go i patrzeć mu przy tym w oczy. - Całkowicie się myliłeś.

- Cały czas myślałam...

- Wiem. - Poszukała jego ust i mocno zacisnęła powieki, kiedy znowu ją całował.

Poczuła się jak oszustka, ale zaraz uświadomiła sobie, że to nie tak. Dobie dostał, co chciał, a chciał jej. Może nie była taka, jakiej pragnął, ale takie jest przecież życie.

187

Kiedy jeden pocałunek doprowadził do następnych, jego pieszczoty stawały się coraz bardziej odważne i dla Abbie było już drobnostką pociągnięcie go na słomę obok ściany boksu. Nie miała pojęcia, że tak łatwo uda jej się kogoś uwieść... i że potem poczuje się tak podle.

Kiedy na twarzy poczuła piekące łzy, odwróciła się do niego plecami. Usiadła i naciągnęła bluzkę. Słyszała, jak on ubierał się za nią: szelest słomy, odgłos naciągania długich butów kowbojskich i zaciągania zamka błyskawicznego. Abbie powoli zapinała guziki bluzki, by opóźnić moment, w którym będzie musiała się odwrócić i zachowywać tak, jak gdyby sprawiło jej to przyjemność.

- Abbie... -Ukląkł na sianie obok niej. -Czy... czy żałujesz tego? Było to ostatnie pytanie, jakiego się spodziewała. Najchętniej wrzasnęłaby na niego, żeby nie był tak cholernie taktowny.

- Niejasne, że nie-odpowiedziała.

I była to prawda. Zrobiłaby to jeszcze raz, gdyby dzięki temu miała wyczarować obrączkę ślubną na swoim palcu. Nie chciała narażać się na przykrości i upokorzenia, które niosło ze sobą urodzenie nieślubnego dziecka. Dość już plotek krążyło ojej rodzinie. Kiedy przyjdzie na świat dziecko, będzie miała także męża. Z ugruntowanym przekonaniem odwróciła się do Dobiego.

- A ty żałujesz?

- Nie. - Jego uśmiech i cała twarz wyrażały gorące uwielbienie. - Ja nie mogę żałować. Ja cię kocham.

W ciągu następnych dni Abbie jeszcze trzykrotnie zaaranżowała spotkania sam na sam z Dobiem. Wreszcie w przeddzień wigilii przekonała go, że najpiękniejszy prezent podaruje jej wówczas, gdy uczyni z niej swojażonę. Po południu tego samego dnia sędzia pokoju udzielił im ślubu. Noc poślubną spędzili w motelu w Galveston.

Kiedy wracali do domu w zachmurzony i deszczowy dzień Bożego Narodzenia, Abbie była już wobec prawa panią Hix.

188

29

Abbie czekała do drugiej połowy stycznia. Potem poszła do lekarza, by potwierdził, że jest w ciąży. Kiedy powiedziała o tym Dobiemu, ten wpadł w ekstazę i nalegał, by natychmiast pójść do jej matki i przekazać tę wspaniałą wiadomość. Jego czysta radość była dla Abbie prawie nie do zniesienia.

Kiedy leżeli tego wieczoru w łóżku, Dobie nie mógł zasnąć z podniecenia. Abbie poczuła, że jego ręka przesuwana się po kołdrze i chwyta ją za ramię.

- Nie, Dobie, proszę cię, jestem zmęczona... - Myśl, że mógłby stawiać żądania, wywoływała w niej mdłości.

- Wiem przecież, kochanie. Pomyślałem tylko, że od tej chwili powinnaś wszystko trochę ograniczyć.

- Tak.-Nie miała ochoty rozmawiać.

- Powiedziałem już twojej matce, że powinna poszukać sobie kogoś innego do pomocy na przyjęciach, ponieważ ty już nie dasz rady jej pomagać.

Zaskoczona Abbie odwróciła się.

-Co taki ego...?

Od kiedy się pobrali, stale robił aluzje, że nie musi już pracować. Była teraz j ego żoną i powinna zadowolić się siedzeniem w domu i prowadzeniem gospodarstwa. Jeżeli będzie potrzebowała pieniędzy, on jej da. Pamiętając o jego skąpstwie, Abbie wiedziała, że nie byłoby tego dużo. Puszczając jego aluzje mimo uszu, uważając, iż z czasem przyzwyczai się do tego, że jego żona pracuje.

- Powiedziałem jej, że nie możesz już czuwać przez całą noc. Potrzebujesz teraz spokoju. A jutro zadzwonisz do właścicieli koni i powiesz im, żeby je zabrali.

- Nic takiego nie zrobię! ZatrzytygodniewScottsdalejestpokazkoni i dwóm właścicielom obiecałam, że zaprezentuję na nim ich zwierzęta. To jedna z najważniejszych imprez dla hodowców koni arabskich. A ja długo i ciężko pracowałam, by przygotować do niej konie. Boksy są zarezerwowane, opłaty wniesione, transport zamówiony. Nawet gdybym mogła znaleźć kogoś, kto je zaprezentuje, nie zrobię tego.

- Nie możesz przecież poważnie myśleć o tym, że wyjedziesz na dwa tygodnie i zostawisz mnie tu samego. Jesteś teraz mojażoną. -Nawet w ciemności można było dostrzec jego minę wyrażającą niedowierzanie.

189

- A jednak pojedę. Od dawna wiedziałeś, że to było zaplanowane -przypomniała mu. - Wybij sobie z głowy te pomysły.

- Myślę tylko o tobie. Jesteś w ciąży i musisz na siebie uważać.

- Jestem normalną, zdrową kobietą oczekującą dziecka - powiedziała z naciskiem. - To nie jest żadna choroba. Dopóki uprawiam gimnastykę i rozsądnie się odżywiam, wszystko jest w porządku, a dopóki mi lekarz nie zabroni, nadal będę pracowała. Zresztą dostałabym bzika, gdybym całymi dniami musiała siedzieć w domu. - Była to prawda, której jednak nie powinna była wyrazić tak szorstko. - Poza tym muszę myśleć o Benie. Konie to źródło jego dochodów.

- Mógłby przecież pracować dla mnie na farmie. Abbie wiedziała, że Ben wcale się do tego nie pali.

- Gdyby nie mógł pracować z końmi, oznaczałoby to dla niego śmierć. Są jego życiem, tak samo jak ta farma twoim.

Dobie przekręcił się na plecy i zapatrzył w sufit. Był wyraźnie rozczarowany.

- Czasem naprawdę cię nie rozumiem - wymruczał pod nosem. - Co ludzie sobie pomyślą? Jesteś moją żoną i nie przestajesz pracować, tylko dalej galopujesz przez pola.

- Jest mi obojętne, co myślą. Będę nadal pracowała i koniec. - Odwróciła się, poprawiła poduszkę i zamknęła oczy. Kiedy chciał jeszcze coś powiedzieć, przerwała mu ostrym: „Dobranoc, Dobie”.

Ten temat stał się stałym punktem zapalnym. Doszło nawet do tego, że Dobie powiedział jej prosto w oczy, iż farma należy do niego, tak samo jak ostatnie słowo w sprawie koni. Abbie odcięła mu się, że ma umowę dzierżawy, zapewniając jej wykorzystywanie stajni i łąki. Jeżeli za siedem miesięcy nie będzie chciał jej przedłużyć, to umieści swoje konie gdzie indziej.

Kiedy poruszył sprawę przyjęć, zapytała go, skąd ma wziąć pieniądze na pokrycie wiosną River Breeze. Zapytała go nawet wprost, czy dałby jej dziesięć lub dwadzieścia tysięcy dolarów, plus zakwaterowanie i transport. Według niego były to wyrzucone pieniądze. Humor popsuł mu się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, ile sukni koktajlowych i wieczorowych zapakowała, jadąc do Scottsdale. W końcu był to pokaz koni. Abbie usiłowała mu wyjaśnić, że to także wydarzenie towarzyskie, połączone z galowymi przyjęciami. Sądził, że jego żona nie ma czego szukać na przyjęciach, nawet w towarzystwie Bena. Skutek był taki, że aż do dnia wyjazdu do Arizony Abbie nie zamieniła z nim słowa.

Połączony z nagrodami pokaz w Scottsdale miał w kręgach hodowców koni arabskich opinię najbardziej prestiżowej i, jak niektórzy twierdzili, także najbardziej kosztownej wystawy tych zwierząt w całym kraju. Przede

190

wszystkim jednak była to najważniejsza impreza handlowa. Na ogromnym parkingu obok wybiegu, na którym prezentowano konie, stały ciasno obok siebie przyczepy do ich transportu i ciężarówki z rejestracjami ze wszystkich stanów, a nawet z Kanady.

Na dzień przed otwarciem wystawy Abbie i Ben zatrzymali się w tanim motelu. Jednoosobowy pokój Abbie był jaskrawym przeciwieństwem luksusowych apartamentów, w których zawsze mieszkała z ojcem przy takich okazjach, ale przecież w jej życiu nie tylko to się zmieniło.

Pierwsze dwa dni imprezy były bardzo nerwowe. Trzeba było ulokować konie, doprowadzić je do porządku i pielęgnować. W dodatku stale przybywali nowi wystawcy, a kwiaciarze masowo dostarczali wiązanki i wieńce, by przekształcić zwykłe boksy w okna wystawowe. Bez przerwy kręcili się stolarze i elektrycy. Obok głównego wybiegu do prezentacji koni rozrastał się bazar; ciągle otwierano nowe stoiska, w których można było kupić dosłownie wszystko, od lodów, uzd i futer z norek po obrazy olejne i bawełniane koszulki.

Te pierwsze dni były jednak dla Abbie także bardzo przyjemne. Ciągle spotykała starych znajomych, którzy wiedzieli oczywiście o śmierci jej ojca i o sprzedaży River Bend. Cieszyli się na jej widok. Cieszyli się zwłaszcza z tego, że prezentowała konie, nawet jeżeli nie były to jej własne zwierzęta.

Po pierwszym konkursie pokazów, w którym wzięła udział późnym popołudniem, zadzwoniła do właścicieli koni i poinformowała ich, że przeszły przez pierwszą rundę eliminacji. Potem spakowała ubrania i przybory toaletowe i pobiegła do samochodu z natryskami dla pań, by się wykąpać i przebrać. „Desert Farm Arabians” wydawała przyjęcie w stajni, by zaprezentować swój ego nowego ogiera rozplodowego, noszącego imię Radzyń. Abbie nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy, ponieważ zajmował on pierwsze miejsce na liście, którą sporządziła dla swojej młodej klaczy.

Jedno spojrzenie na wspaniałego, rdzawobrazowego ogiera wystarczyło, by stwierdzić, że przewyższa on jej najśmielsze oczekiwania. Mimo tłumy ludzi, którzy cisnęli się wokół i częściowo zasłaniaли jej widoczność, Abbie była pod wrażeniem jego królewskiej postawy: głowa podniesiona wysoko do góry, ogon dumnie wygięty.

- Ben, co o nim sądzisz? - Spojrzała na stojącego obok niej Bena, który jak zwykle miał na sobie praktyczną marynarkę z tweedu. Jedyнным ustępstwem wobec wymogów obowiązujących na przyjęciu był krawat.

Ben krytycznie przyglądał się koniowi.

- Brakuje mu klasycznego Ytóa/z, który chętnie bym u niego widział. - Terminem tym określał szerokie czoło, typową cechę koni arabskich.

191

- Breeze go ma. Radzyń ma za to spadzisty zad i dobrze rozwinięty kark. Breeze ma klasyczne cechy: wyciągnięte biodra, krótki grzbiet. Tam, gdzie Radzyń ma słabe punkty, ona jest mocna, i odwrotnie. Dobrze by się uzupełniali.

Ben, który potrzebował więcej czasu, by wyrobić sobie własny pogląd, skinął głową.

- Tak. Ja również tak uważam.

- Dobrze, więc ta sprawa byłaby rozstrzygnięta. Teraz chodzi już tylko o to, jak zgromadzić pieniądze na pokrycie. Z gwarancją na żrebaka żądaj piętnaście tysięcy, a bez gwarancji dziesięć.

Przeciskała się z Benem do bufetu, bo poczuła dobrze już znane uczucie pustki w żołądku. Choćby nie wiadomo ile w siebie wpychała, i tak nie mogła zaspokoić wilczego głodu, który pojawił się u niej wraz z ciążą.

- Niemartw się, znajdziemy wyjście-uspokajają Ben.

- Mam nadzieję - westchnęła, nakładając na talerz górę smakowitych kanapek, na których nie zabrakło również kawioru.

Po drugiej stronie bufetu jakaś kobieta szturchnęła towarzyszącego jej mężczyznę.

- Popatrz, czy to nie nowa właścicielka River Bend? - zapytała, pokazując nabitą na patyczek kulką mięsa.

Abbie, usłyszawszy to, odwróciła się i spojrzała we wskazywanym przez kobietę kierunku.

Zobaczyła Rachel ze śnieżnobiałą etolą z gronostajów na ramionach. Pod nią miała czarną koronkową suknię z cekinami, włożoną na różową satynową halkę bez ramiączek.

- Co ona tu robi? - Abbie zrobiło się najpierw zimno, a potem gorąco. - Nie zgłosiła przecież żadnych koni do konkursów, prawda?

- Nie, ale to nie znaczy, że nie chce ich kupić.

- Ach, zakupy. Tak, pewnie będzie na imprezach handlowych - stwierdziła Abbie. Uświadomiła sobie przy tym boleśnie, że jej własne nazwisko nie znajdzie się na żadnym zaproszeniu.

Nawet gdyby udało się jej wyprosić u kogoś kartę wstępu na większe połączone ze sprzedażą koni - były to ekstrawagancko zaaranżowane imprezy, które mogłyby konkurować z każdym przedstawieniem na Broadwayu - to i tak będzie siedziała na nich gdzieś z tyłu, na pewno nie w sektorze „złotych kart”, do którego była dotychczas przyzwyczajona. Dostęp do nich wymagał finansowego zaplecza Rockefellera... albo Lane'a Canfielda.

Mimo zajęcia dobrych miejsc Abbie cieszyła się, że pokazy wreszcie się zakończyły. Podczas całej imprezy czuła się ścigana plotkami o Rachel. Jej duma nie mogła już tego ścierpieć.

Musiała wrócić do domu i wyleczyć swoje rany. Ciężko przychodziło jej jednak traktowanie starego domu Do-

192

biego jak własnego. Domem rodzinnym było dla niej i na zawsze pozostanie River Bend.

Powrót do domu przyniósł przynajmniej jedno pocieszenie: Dobie nie wykazywał skłonności do ponownego odgrzewania starego sporu. Czuła wprawdzie, że nadal zajmował niechętnie stanowisko wobec jej pracy, ale miała nadzieję, że w końcu zrozumiał bezcelowość swoich żądań. Nigdy nie będzie gospodarną i świadomą swoich obowiązków kurą domową i matką,

jaką chętnie widziałbyją Dobie. Im wcześniej się z tym pogodzi, tym łatwiej będzie się układało ich wspólne życie.

30

1 ordzewiały, stary samochód dostawczy z przyczepą do transportu koni zgrzytał na długim podjeździe. Co jakiś czas rzucały nim zawirowania powietrza, wytwarzane przez wyprzedzające ich szybko samochody. Po obu stronach szerokiej drogi rozciągały się dzikie, kamienno-piaszczyste tereny porośnięte kłującymi krzewami i nędzną trawą.

Abbie, która opuściła szyby i dla ochrony przed słońcem włożyła ciemne okulary, z niepokojem spoglądała raz po raz na wskaźnik temperatury. Gorący wiatr, który niósł piasek z pustyni Arizony, wiał jej w twarz, szarpał włosy związane w koński ogon i uwolnił kilka kosmyków bijących ją teraz po twarzy. Nie zważała na to, tak samo jak na pulsujący ból w krzyżu i bolące piersi. Myślała tylko o wzniesieniu, które trzeba pokonać. Spojrzała w lusterko wsteczne i upewniła się, że z przyczepą i siwą kłaczą wszystko było w porządku.

Wjechawszy na wzniesienie, Abbie westchnęła z ulgą wrzuciła wyższy bieg.

- Teraz będzie już przeważnie z górki - powiedziała do siedzącego obok niej Bena. Kilka minut później pojawiło się na pustyni miasto Phoenix, rozległe skupisko zrosniętych ze sobą osiedli otoczonych górami. Cztery dni potrzebowała na przejechanie z Teksasu do Arizony, ponieważ po drodze często musieli robić przerwy, by nie przeciążać River Breeze i zapewnić jej możliwość odpoczynku oraz popasu przy drodze. Pomijając pewne zeszywnienie i niewielkie obrzmienia na nogach, River Breeze znosiła podróż lepiej, niż Abbie oczekiwała. Długa jazda na przyczepie dla każdego konia jest ogromnym wysiłkiem, a tym bardziej dla zwierzęcia z niesprawnymi po złamaniu nogami.

13 - Przyrodnie siostry

193

Ponieważ od świtu byli w drodze, koło południa zatrzymali się przed przydrożną restauracją, by Abbie mogła wziąć prysznic i przebrać się w czyste rzeczy. Była już w piątym miesiącu ciąży i nie mieściła się w swoje zwykłe ubranie. Z trzech kompletów ciążowych zachowała na ten dzień najładniejszy: tunikę z haftami i dopasowane do niej spodnie.

Na przedmieściach Phoenix ruch był większy.

- Prawie tak samo ciasno jak w Houston. - Abbie poszukała po omacku mapy i podała ją Benowi. - Drogi do farmy Charliego Carstairsa zaznaczyłam. Ja będę uważała na ruch, a ty będziesz mi mówił, jak mam jechać.

Szumiące wentylatory zapewniały chłód w stajni dla ogierów. Na przeciwległym końcu szerokiego przejścia chłopiec stajenny polewał z węża kamienną posadzkę, by zapewnić jeszcze dodatkowe chłodzenie.

Spojrzenia wszystkich obecnych skierowane były jednak na ciemnobrązowego ogiera arabskiego, którego prezentowano po wyprowadzeniu z boksu. Rachel patrzyła oczarowana, jak ogier wyginał łabędzią szyję i tańczył na tylnych nogach. Trzymający go luźno na linie stajenny skłonił zwierzę do zatoczenia kręgu, zanim zatrzymał się z nim przed Rachel. Widok był tak wspaniały, że zaparło jej dech. Ogarnęło ją podniecenie, kiedy zobaczyła czarny ogień w aksamitnych oczach i delikatne, ukształtowane w formie półksiężyców, czujnie nastawione uszy. Rachel wdychała silny zapach, który bardziej uderzał jej do głowy niż jakiegokolwiek drogie perfumy.

Wielkie chrapy rozděły się, ciemny ogier podniósł doskonale wyrzeź-bioną głowę i wydał z siebie jasne, wibrujące rzenie. Rzenie, którym znajdujące się obok klacze odpowiedziały na to wyzwanie, wywołały w Rachel dziwne uczucie zazdrości.

Uśmiechnęła się do Lane'a:

- Chyba usłyszałam Simoon. Czy ona wie, że odpowiedziała swojemu przyszłemu ukochanemu?

- Wątpię - padła sucha odpowiedź. Jego spojrzenie wyrażało pobłażliwość i rozbawienie. Nie potrafił zrozumieć jej entuzjazmu. Od początku jednak w sprawie koni Canfield spełniał każde życzenie, bez względu na koszty i okoliczności. Tak jak w przypadku tej podróży do Phoenix. Zapewniał ją wprawdzie, że ma tu coś do załatwienia służbowo, ale Rachel wiedziała, że przyjechał tylko ze względu na nią. Lane dawał jej tak dużo, że często męczyły ją wyrzuty sumienia, że tak niewiele ofiarowywała mu w zamian.

194

- No jak, co pani sądzi o Bashy al-Nazirze, Rachel? - Charlie Carstairs skrzyżował ręce na piersiach.

- Wspaniały koń. - W duchu widziała już źrebię, które przyjdzie na świat z połączenia z Simoon.

- Można go zaprowadzić z powrotem do boksu - polecił Charlie kierownikowi stadniny, Vince'owi Romaine'owi. Ten krótkim ruchem ręki przekazał to polecenie chłopcu stajennemu trzymającemu konia. - Zawsze kiedy widzę tego ogiera, zastanawiam się, czy rzeczywiście powinienem go sprzedać - oświadczył Charlie, potrząsając głową. - Ponieważ jednak w Skottsdale zwyciężył Radzyń, postanowiłem mój program hodowli przestawić na konie arabskie polskiego pochodzenia. Wygląda na to, że właśnie tego wymaga dziś rynek. Jesienią planujemy z moją żoną Patsy podróż do Polski. Mamy nadzieję, że kupimy w Janowie kilka dobrych klaczy zarodowych, które będzie mógł pokryć Radzyń. Hodowla koni to właściwie całkiem zwariowana branża. Za pięć lat na całym świecie może zapanować moda na konie pochodzenia egipskiego i wówczas będę rwał włosy z głowy, że sprzedałem Bashę... Potem modne staną się konie arabskie pochodzenia hiszpańskiego lub rosyjskiego.

Z półmroku panującego w stajni wyszli na zewnątrz, gdzie oślepiająco świeciło pustynne słońce.

- Co by państwo powiedzieli na to, gdybyśmy poszli do domu na drinka? Patsy miksuj e wspaniałą margaritę.

- Może powinniśmy j jeszcze poczekać. - Lane wskazał ruchem głowy na samochód dostawczy z przyczepą, zbliżający się drogą dojazdową. - Wygląda na to, że przybywa jeszcze jeden gość.

Był to stary model samochodu dostawczego, którego wiek można było odczytać z pordzewiałych zderzaków i plam rdzy na drzwiach. Pokryty był grubą warstwą kurzu, tak że Rachel nie mogła odróżnić, czy jest ciemnozielony, czy też ciemnoniebieski.

Wehikuł wyglądał żałośnie na tle budynku z niewypalanej cegły, w którym mieściły się biura, w samym środku tej wspaniale zadbanej stadniny, w której nawet piaszczysta ziemia była starannie wygrabiona w jodełkę. Nie pasował do tego otoczenia.

- Najprawdopodobniej jakiś drobny hodowca, który chciałby pokryć swoją klacz. Vince, zajmij się nimi - polecił Charlie.

Kierownik stadniny odszedł i udał się w stronę wysiadającej z gruchota kobiety z końskim ogonem i w ciemnych okularach.

Rachel widziała, jak tamta wyjmując z torebki dokumenty i przekazując je kierownikowi stadniny. Nie słyszała, o czym rozmawiano. Bardzo dobrze mogła sobie wyobrazić siebie na miejscu tej kobiety. Jeszcze przed rokiem

195

sama należała do drobnych hodowców. Między nimi istniało nawet pewne podobieństwo zewnętrzne. Dopiero kiedy kobieta odwróciła się bokiem, można było zobaczyć, że jest w ciąży.

Srebrnoszaraklacz wyprowadzono z przyczepy i Charlie powiedział z niesmakiem:

- Widzi pani, lewa noga jest ułomna. To na pewno wada rozwój owa. Rachel nie zdołała jeszcze przyjrzeć się koniowi, kiedy Lane zwrócił jej uwagę na niewysokiego, kanciastego mężczyznę trzymającego w rękach cugle.

- Ten stary mężczyzna... czy nie przypomina Bena Jabłońskiego? W tym momencie wszystko stało się jasne: stary mężczyzna, ułomny koń, stary gruchot i ciemnowłosa kobieta. Abbie.

- Czego ona tu szuka? - rzuciła zdziwiona Rachel.

- Pani ich zna?-zapytał Charlie.

Rachel nie musiała odpowiadać, ponieważ w tym momencie wrócił kierownik stadniny.

- Chcą, żeby Radzyń pokrył ich klacz. Zapłacą gotówką. Ponieważ przyjechali nie zameldowani, uznałem, że będzie lepiej, jeżeli zapytam najpierw pana, co mam robić.

- Czy powiedziała, jak się nazywa? -zapytał Lane.

- Tak, nazywa się Hix - odpowiedział szef stadniny. - Twierdzi, że pana zna.

- Tak myślałem. - Kiedy Charlie spojrzał na niego ze zdziwieniem, wyjaśnił: - Pani Hix jest córką Deana Lawsons.

- Nie... niemożliwe. - Charlie wlepił oczy w ciążarną kobietę stojącą obok starego samochodu.

- Wybaczcie mi, ale chciałabym pójść do domu - przerwała Rachel i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do budynku. W żadnym wypadku nie chciała spotkać się z Abbie.

Abbie nie wierzyła swoim oczom, kiedy rozpoznała siwowłosego mężczyznę stojącego obok wysokiego, masywnego Charliego Carstairsa. Spotkanie Lane'a Canfielda właśnie tutaj było nieprawdopodobnym przypadkiem.

Widziała, że Charlie Carstairs zamienił kilka słów z Lane'em i Rachel i szykowała się do walki. Gdyby Rachel zależało na tym, mogłaby pokrzyżować jej plan pokrycia Breeze przez Radzynia.

Zauważyła, że Rachel odeszła nagle od pozostałych i ruszyła w kierunku dużego domu mieszkalnego. Po chwili wrócił kierownik stadniny.

- Jakies problemy, panie Romaine? - zapytała, zanim zdążył coś powiedzieć.

196

- Ależ nie, proszę za mną, pokażę, gdzie może pani ulokować swojego konia. Ze względu na niebezpieczeństwo infekcji nie trzymamy obcych klaczy razem z naszymi.

Po tych wyjaśnieniach Abbie szybko odłączyła się od nich i prawie biegnąc, krzyknęła do Bena przez ramię:

- Ben, weź Breeze i idź z panem Romaine'em. Zaraz do was dołączę. - Pospieszyła, by zastąpić drogę Rachel. Chciała za wszelką cenę zapobiec niebezpieczeństwu, które właśnie dostrzegła.

Rachel, widząc japończyców w jej kierunku, zatrzymała się.

- Czego pani chce?

- Nic-powiedziała Abbie odpychająco. -Chcę tu pokryć moją klacz. Gdyby River Breeze coś się przydarzyło, to wiem, kto będzie temu winien.

Abbie nie tylko zainwestowała w konia pieniądze, lecz poświęciła mu też wiele serca i troski. Z Breeze były teraz związane wszystkie jej nadzieje i marzenia. Wszystko, co kiedyś do niej należało, przywłaszczyła sobie lub zniszczyła Rachel. River Breeze ucieleśniała przyszłość Abbie. Nie mogła dopuścić, by klaczy coś się stało.

- Nie mam zamiaru nawet zbliżyć się do pani konia. Takie intrygi pozostawiam pani

-powiedziała lodowatym głosem Rachel i spojrzała na nią pogardliwie. - MacCrea nie mógł zrobić nic mądrzejszego niż opuścić panią.

Abbie zamierzyła się z wściekłością i uderzyła Rachel w twarz. Przez moment myślała, że ta odplaci jej tym samym. Nawet życzyła sobie tego.

Rachel jednak nie oddała jej uderzenia. Odwróciła się i poszła do domu.

Wieczorem Rachel siedziała w pokoju gościnnym Charlesa Carstai-rsa i tak mocno szcztokowała włosy, że zaczęła japieć skóra. Nie dawało jej spokoju oskarżenie Abbie, że zamierzała zrobić coś jej koniowi, by zemścić się za pożar River Bend.

Odgłos zsuwającego się na podłogę buta skierował jej uwagę na odbicie Lane'a w lustrze.

Zdejmował buty, siedząc na brzegu łóżka, zjedną nogą założoną na drugą.

Zamyślony patrzył w jej oczy.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co było przyczyną dzisiejszej sceny z Abbie.

Rachel nie przerywała szcztokowania włosów.

- Była naprawdę obrzydliwa. Nie chcę o tym rozmawiać.

- Na twoim miejscu nie brałbym sobie tego tak bardzo do serca. Kobiety w jej stanie są...

powiedzmy, nadwrażliwe. - Zrzucił drugi but na podłogę. -A przy okazji, nie miałem pojęcia, że ona jest w ciąży. Wiedziałaś o tym?

197

- Nie. Jeśli jednak weźmie się pod uwagę, jak pospiesznie wyszła za tego Hiksa, to można było się tego domyślić. - Zdawała sobie sprawę, jak podła była ta uwaga. Wiedziała też, że Lane'owi nie podobało się, gdy się tak wyrażała. Kiedy jednak badawczo przyglądała się jego minie, stwierdziła ze zdziwieniem, że uśmiechał się z zadumą. Odwróciła się do niego. - Lane, czy powiedziałam coś śmiesznego?

- Co mówisz? - Nadal był pogrążony w myślach, ale otrząsnął się i popatrzył na nią. - Nie, właściwie nie. - Zaczął rozpinąć koszulę.

- Dlaczego więc się śmiałeś?

- Ach, myślałem o mężu Abbie. Jaki musiał być dumny i podniecony, kiedy się dowiedział, że zostanie ojcem.

Powiedział to spokojnie, z opanowaniem, ale Rachel wydawało się, jakby w jego głosie pobrzmiwał smutek. Czy to możliwe, że zazdrościł mężowi Abbie? Uświadomiła sobie nagle,

że przez te wszystkie miesiące ich małżeństwa nigdy nie doszło do rozmowy na temat dzieci, nawet wtedy, gdy ustalali nowe plany domu.

Odnosiła wrażenie, że Lane nie chciał mieć dzieci. Nie dlatego, by jej to wyraźnie powiedział; nie, ona po prostu wychodziła z założenia, że nie chciał.

Uczciwie musiała j jednak przyznać, że sama też nigdy nie zastanawiała się nad własnym stosunkiem uczuciowym do tej sprawy. Prawdopodobnie zawsze mniej lub bardziej świadomie uważała, że kiedyś będzie miała dzieci, tak jak wszystkie inne kobiety. Jej marzenia i tęsknoty zawsze obracały się wokół hodowli najwspanialszych koni arabskich. Ciężą i porodem nigdy nie zaprzętała sobie wyobraźni. A widok Abbie z nieforemnym brzuchem i dużymi, ciężkimi piersiami podzielał na nią dość odstrasza­jąco.

Jej odczucia z tym związane były j jednak nieważne. Chodziło o Lane 'a.

- Co byś powiedział na to, gdybyśmy mieli dziecko?

Lane, który wyciągał właśnie koszulę spod paska, przerwał tę czynność i popatrzył na nią uważnie.

- Czy chcesz mi coś zasugerować?

- Nie. - Zaśmiała się zażenowana i odwróciła z powrotem do lustra przekonana, że błysk w jego oczach nie był przywidzeniem. - Zastanawiałam się właśnie, czy by ci to przeszkadzało. W sprawie różnicy wieku zawsze byłeś tak wrażliwy, że myślałam sobie, iż może nie chcesz mieć dzieci.

Rachel przyglądała się w lustrze, jak powoli podchodzi do niej i delikatnie kładzie ręce na jej ramionach.

- Rachel, a ty... czy ty chciałabyś mieć dzieci?

- Tylko wtedy, gdy ty będziesz tego chciał. - Nie mogła powiedzieć mu szczerze, że życzyła sobie tylko jednego. W swojej obecnej sytuacji czuła się bardzo szczęśliwa. Jeżeli jednak posiadanie dziecka miało coś dla

198

Lane' a znaczyć... Po tym wszystkim, co j jej dał, była mu to winna. - Jeżeli nie uczyni cięto szczęśliwym...

- Nie uczyni szczęśliwym? Rachel, zostanie ojcem zawsze wydawało mi się jedną z najszcześniejszych chwil w życiu mężczyzny. - Jego twarz rozjaśnił ciepły i pełen uczucia uśmiech. -Nie możesz sobie wyobrazić, co to dla mnie znaczy, że chciałabyś mieć moje dziecko. Ale w moim wieku, zanim dziecko doszłoby do college'u, byłbym już trzęsącym się starcem. Nie byłoby to w porządku ani wobec ciebie, ani wobec naszego dziecka.

- Jesteś pewien? Kiedy przed chwilą mówiliśmy o Abbie...

- No tak, może zabrzmiało to trochę zawistnie. Przyznaję, że od dawna wyobrażałem sobie ciebie wyglądaj ącajak Abbie. Wiedziałem jednak też, że to nie byłoby stosowne. - Przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. - Zawsze zakładałem, że rolę dzieci spełniały w twoim życiu konie.

- W pewnym sensie może masz rację. - Nigdy nie zastanawiała się nad tym, również teraz. Odwróciła się i chwyciła rękę spoczywającą na jej ramieniu. - Lane, chciałabym uczynić cię szczęśliwym.

- Kochanie, jestem szczęśliwy. Tylko ty jesteś mi potrzebna do szczęścia. - Pochylił się nad nią i całował delikatnie, jak gdyby chciał ją przekonać o prawdziwości swoich słów. Rachel

jednak mu nie wierzyła. - Już późno -powiedział Lane i wyprostował się. Uwagi Rachel nie uszedł żar w jego oczach. -Nie uważasz, że najwyższy czas pójść do łóżka?

- Tak, oczywiście.

Rachel podniosła się i poszła z kosmetyczką do łazienki. Postawiła ją na marmurowej półce obok umywalki i odkręciła krany. Wyjęła słoiczek z kremem do zmywania makijażu. Zawahała się, gdy ujrzała pudełeczko z pigułkami antykoncepcyjnymi. Lane nie kłamał, że chciałby mieć dziecko. Przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy mówił o Abbie i przyznał, że pragnąłby, aby to była ona.

Z mocnym postanowieniem, że już nigdy ich nie użyje, Rachel wycisnęła pigułki z plastikowej folii i wrzuciła je do toalety.

Rachel sumiennie chodziła każdego ranka do stajni, by doglądać swojej klaczy. W dniu przewidywanego wyjazdu ciemnosiwa klacz nie kładła uszu po sobie. Kręciła się wokół własnej osi, kiedy prowadzono ją do wyściełanej ściany, za którą znajdował się „wabik”, drugorzędnej jakości ogier, którego zadanie polegało na podniecaniu klaczy, by można było stwierdzić, czy odczuwa już pociąg do ogiera. Tym razem Simoon zareagowała na podniecone rzenie ogiera oparciem się o ścianę i oddaniem moczu przy

199

lekko rozstawionych tylnych nogach i podniesionym, czarnym jak węgiel ogonie. Klacz była gotowa.

Kiedy prowadzono Simoon na wewnętrzny dziedziniec, Rachel była tak zdenerwowana, poruszona i przestraszona, jak przed własną nocą-po-ślubną. Początkowo uważała, że jej obecność przy tym jest niewłaściwa, ale nikt z personelu stajennego nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy mieli dość zajęcia z przygotowaniem klaczy, polegającym na obandażowaniu jej ogona, założeniu ochron na tylne nogi i wymyciu płynem antyseptycznym sromu, zadu i nasady ogona.

Nagle rozległo się przeraźliwe rzenie ogiera. Rachel z przyspieszonym pulsem spojrzała w kierunku wejścia, kiedy Simoon odpowiedziała na to wyzwanie. Prowadzony za cugle przez chłopca stajennego, pełen ognia i życia ogier wyrwał się na dziedziniec. Polana wodą piaszczysta ziemia tłumila uderzenia kopyt, więc wydawało się, że ogier unosi się nad nią z dumnie wygiętym grzbietem. Długi ogon powiewał za nim jak krzaczaste, czarne pióro. Rachel poczuła pełne nadziei mrowienie, kiedy sapiącego i pożądliwie rwącego do przodu ogiera prowadzono do klaczy. Stojąc przy bocznym ogrodzeniu, nie odrywała wzroku od koni. Mimo rżenia i sapania miała wrażenie, że uczestniczy w czymś bardzo doniosłym, w dokonaniu królewskiego zespolenia. Wszystko przebiegało według ścisłego ceremoniału: rytualne przygotowania narzeczonej, wielki występ narzeczonego, obecność świąty.

Gdy tylko naprężone mięśnie grzbietowe i pełna erekcja zasygnalizowały gotowość ogiera, pozwolono mu wskoczyć na Simoon. Po przeciwnej stronie jeden z pomocników chwycił jednocześnie ogon klaczy i mocno go przytrzymał, uchylając się przy tym przed kopytami ogiera. Inny trzymał głowę Simoon, blokując jej mimowolny ruch do przodu i nie dopuszczając do tego, by ustąpiła na więcej niż krok czy dwa przed wspinającym się na nią ogierem.

Rachel poczuła przyspieszone tętno, kiedy przecinający ze świstem powietrze ogon ogiera zasygnalizował jego ejakulację. Przez chwilę jeszcze ogier pozostał na klaczy, potem

zeskoczył i został odprowadzony. Simoon uwolniono od ochron i bandażu na ogonie. Dopiero teraz Rachel zauważyła po drugiej stronie dziedzińca mężczyznę w kowbojskim kapeluszu. W chwili gdy rozpoznała Rossa Tibbsa, poczuła prąd przebiegający jej po krzyżu. Wiedziała wprawdzie, że przebywał w Phoenix, ale nie przypuszczała, że się z nim spotka.

- Panie Tibbs, co za niespodzianka, że pana tu widzę... -Na jej twarzy pojawił się promienny, trochę nienaturalny uśmiech, do którego przy-
200

zwyczała się, towarzysząc często Lane'owi przy różnych okazjach towarzyskich.

- Pani Canfield... - Ross mówił jej oficjalny ton. - W rubryce towarzyskiej przeczytałem wczoraj, że przebywa tu pani ze swoim mężem. Już dawno nie spotkałem nikogo z Teksasu. Kiedy stale się jest w podróży, odczuwa się samotność. Wtedy dałoby się nie wiadomo co, by zobaczyć znajomą twarz.

- Proszę mi wybaczyć, ale mojego konia prowadzą z powrotem do boksów. Chciałabym zobaczyć, jak Simoon znowu się zaaklimatyzuje.

- Czy ma pani coś przeciw temu, żebyśmy poszedł z panią?

Miała coś przeciw temu, ale nie mogła się zdobyć na odrzucenie jego propozycji.

- Zupełnie nic.

Ross szedł u jej boku przez dziedzińiec; przed sobą mieli zad Simoon.

- Pani klacz mi się podoba - powiedział. - Zastanawiałem się nad odkupieniem od Charliego ogiera Bashy al-Nazira. Cena była jednak tak wysoka, że mnie odstraszyła, mimo że zapewniono mi dobre warunki.

- Traktował więc pan poważnie to, co mówił w ubiegłym roku o zamiarze kupienia paru koni arabskich czystej krwi? - Myślała wówczas, że powiedział to tylko po to, by wyrzeć na niej wrażenie.

- Co to znaczy poważnie? Marzę o tym od... już nie pamiętam od jak dawna - oświadczył z pełnym ekspresją i gestem. - Proszę mnie źle nie zrozumieć. ... Moim życiem jest muzyka i zawsze tak będzie. Konie są jednak moją wielką miłością. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale tak jest.

- Potrafię pana zrozumieć. - Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że dla Rachel konie były jednocześnie życiem i miłością.

Ross wypytywał Rachel o drzewo genealogiczne Simoon i interesował się innymi jej klaczami. Jedno pytanie prowadziło nieuchronnie do drugiego. Rachel nie mogła sobie potem przypomnieć, jak opuścili stajnię i weszli do oddzielnego obiektu, w którym umieszczono obce klacze. Wydawało jej się, jak gdyby jakaś czarodziej ska ręka przeniosła ją z jednego miejsca na drugie. Chociaż Lane zawsze ochoczo nadstawiał ucha, kiedy chodziło o jej ulubiony temat, teraz odkryła, że zupełnie inaczej rozmawiał się z kimś, kto tak samo jak ona był zafascynowany hodowlą koni.

Gdy tylko umieszczono Simoon w boksie, zaczęli razem oglądać inne klacze w stajni. Kiedy zbliżyli się do żelaznej kraty jednego z boksów, znajdująca się w nim srebrnoszara klacz, cicho sapiąc, podniosła głowę i z zaciekawieniem przyglądała się im dużymi, błyszczącymi oczyma. Rachel mimowolnie zatrzymała się przed boksem.

201

- To się nazywa piękno - pochwalił konia Ross. Podeszedł do boksu bardzo blisko i patrzył nad ścianką działową.

Rachel widziała, jak klacz Abbie rozděła chrapy i próbowała uchwycić jej zapach. Zawsze, kiedy wkraczała do stajni, była witana przez konia cichym rżeniem.

Pewnego razu Rachel podeszła do niej bardzo blisko. Ledwie jednak klacz powąchała jej rękę, odwróciła się i zaszyła w najbardziej odległym kącie. Od tego czasu Rachel nigdy już nie zbliżała się do niej.

Nagle zwrócił się do niej zaskoczony Ross.

- Widziała pani? Przednie nogi są zniekształcone.

- Tak, po jakimś wypadku. - Nie chciała rozmawiać o klaczy i jej właścicielce. Nie czekając na Rossa, przeszła do następnego boksu. Przed chwilą czuła się całkowicie swobodnie, a teraz wróciło wewnętrzne napięcie.

- Pamięta pani jeszcze, kiedy ostatni raz byliśmy razem w stajni? - Ton jego głosu stał się poufały.

- Proszę... - zaprotestowała, ponieważ dokładnie pamiętała, co czuła, kiedy jej dotykał.

Niepewna unikała jego przenikliwego wzroku.

- Charlie powiedział mi, iż Lane wie o koniach tylko tyle, że mają cztery nogi, głowę i ogon. Co wspólnego może pani mieć z takim człowiekiem jak on?

- Ross, proszę, nie wolno panu tak mówić.

Kątem oka zauważyła, że zaczął się do niej zbliżać, więc szybko odwróciła się do niego.

- Co może pan o tym wiedzieć? Nie zna pan ani mnie, ani Lane'a. - Speszona i przepełniona sprzecznymi uczuciami ruszyła do wyjścia ze stajni.

202

31

Dur

urzowe chmury wiszące groźnie nad Houston wylądowały się z całą siłą w momencie, gdy MacCrea Wilder wchodził do biura Lane'a. Jego włosy błyszcząły wilgocią i były przez to jeszcze bardziej kędzierzawe.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział na powitanie.

- Przy tej burzy obawiałem się już, że pański samolot w ogóle nie będzie mógł wylądować. - Lane wyszedł zza biurka, by wymienić z Mac-Creą uścisk dłoni.

- Też się tego obawiałem. - Zdjął przemoczoną lnianą marynarkę i powiesił ją na oparciu jednego z dwóch krzeseł przed biurkiem Lane'a. Na drugim usiadł, podciągając nieco nogawki spodni. W przemoczonej koszuli czuł się dość nieswojo. - Lane, przywożę dobre wiadomości. Krótco przed odlotem dowiedziałem się, że w otworze numer trzy natrafiono na coś obiecującego.

- No to ze wszystkich stron spotykają mnie dziś pomyślne informacje. - Lane z szerokim uśmiechem wziął do ręki pudełko z ręcznie zwijanymi cygarami i zaproponował MacCrei jedno z nich. - Może to dla dumnego ojca trochę przedwcześnie rozdzielać cygara, ale mimo to niech się pan poczęstuje.

Zaskoczony MacCrea zatrzymał się w połowie ruchu.

- Dumnego ojca?

- Tak, dobrze pan usłyszał. - Lane uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Rachel spodziewa się dziecka. - Kiedy MacCrea wziął cygaro, Lane obciął mu je i przypalił zapałką.
- Niech mnie diabli wezmą! - wyrzucił z siebie MacCrea między dwoma pociągnięciami.
- Zareagowałem podobnie. - Lane uśmiechał się filuternie. - Rachel od dwóch tygodni czuła się okropnie. Początkowo myślała, że złapała grypę, ale lekarz natychmiast domyślił się ciąży. Wyniki badań laboratoryjnych potwierdziły wczoraj j ego przypuszczenia.
- A kiedy nastąpi to radosne wydarzenie? - MacCrea, otrząsnąwszy się z pierwszego zaskoczenia, znowu się wygodnie usadowił. Bawił go ten jawny entuzjazm Lane'a. Taka reakcja nie pasowała do rzeczowego mężczyzny, za jakiego MacCrea uważał swego partnera w interesach.
- W drugiej połowie stycznia. Niech pan sobie wyobrazi, ja jako ojciec. .. w moim wieku. - Lane potrząsnął głową i znowu usiadł za biurkiem. - Mężczyźni w moim wieku oczekują już narodzin pierwszego wnuka. A ja

203

po raz pierwszy w życiu będę ojcem. Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie byłem tak zdenerwowany.

- Lane, moje najserdeczniejsze gratulacje dla was obojga. A może lepiej dla całej trójki - poprawił się z uśmiechem MacCrea.

- Dziękuję. Chwała Bogu, że Rachel jest z tego powodu tak samo szczęśliwa jak ja, chociaż poranne mdłości bardzo jej się dają znaki. Nie przeszkadzaj jej jednak w intensywnym zajmowaniu się koźmii rozbudową domu.

- A kiedy dom ma być gotowy? - MacCrea strząsnął popiół cygara do kryształowej popielniczki. Zapytał o to raczej z uprzejmości niż z zainteresowania.

- Firma budowlana chce zakończyć prace do listopada. Rachel już się bardzo cieszy.

- Nie było żadnych dodatkowych problemów?

- Myśli pan o Abbie?

Do diabła, zaklął w duchu MacCrea. Kiedy usłyszał o jej ślubie z Hik-sem, przysięgł sobie, że nigdy więcej nie będzie o nią pytał.

Przyjmując jego milczenie za potwierdzenie, Lane powiedział:

- Z pewnością wie pan, że Abbie też spodziewa się dziecka... wczesną jesienią, jak myślę. Abbie w ciąży... z dzieckiem tego typu.

- Nie, nie wiedziałem. - Poczuł, że coś ścisnęło go w gardle. Do diabła, musiał j ak naj szybciej skończyć tę rozmowę, złapać następny samolot i odlecieć. To ostateczny koniec. Zniknęły wszelkie nadzieje, które jeszcze żywił.

Noszenie obrączki kogoś innego to była jedna sprawa, ale noszenie dziecka spłodzonego przez innego było czymś znacznie gorszym... MacCrea odłożył cygaro do popielniczki i zostawił je tam.

- Mówił pan, że j est kilka dokumentów, które chciałby pan razem ze mną przejrzeć

-przypomniał Lane'owi rzeczywisty cel tej rozmowy.

Część druga

32

W,

iatr wzbijał kurz wokół nóg barwnie przystrojonych koni arabskich, szarpał frędzlami i ozdobami zwisającymi przy uzdach, napierśnikach i siodłach. Były to wspaniałe dekoracje, których malowniczość przewyższały tylko arabskie stroje, w które byli ubrani jeźdźcy. Tłum przy wjeździe na główną arenę pokazów w Stottsdale rozstał się, by zrobić miejsce tańczącym ze zniecierpliwienia koniom.

- Popatrz, mamó, jakie piękne konie! - zawołała podniecona Eden. Abbie z zaniepokojeniem poszukała ręki swojej pięcioletniej córki i przyciągnęła ją do siebie.

- Posłuchaj, jeżeli nie będziesz wreszcie posłuszna i nie będziesz się mnie trzymać, będę musiała przywiązać cię do siebie cuglami - skarciła ją.

Jej wzrok padł niechętny na dłoń Eden i na wykrzywiony mały palec, który wystawał nieco ponad pozostałe. Dziedziczna cecha MacCrei. To i kręcone włosy miała po nim. Abbie pragnęła zapomnieć, że ojcem Eden nie był Dobie. Nie chciała, by jej przypominano o istnieniu MacCrei, ale było to prawie niemożliwe. Odkrycia złóż ropy naftowej w Luizjanie i późniejsze sukcesy w interesach sprawiły, że jego nazwisko było w Houston na ustach wszystkich.

- Nic nie widzę - poskarżyła się Eden.

- Bardzo dobrze będziesz widziała. Konie przejdą tuż przed tobą.

Konie z jeźdźcami paradowały przed nimi jeden po drugim. Złoto, srebro i miedź połyskiwały jak biżuteria na kostiumach w barwach z czerwieni, błękitu, purpury i głębokiej czerni. Eden chwyciła nagle matkę za rękaw bluzki.

207

Abbie pochyliła się posłusznie, by Eden mogła jej wyszeptać do ucha:

- Windstorm jest o wiele ładniejszy niż ten tam, prawda, mamusiu? Jeżeli go tak wystroimy, to na pewno wygra. - Mówiła o pięcioletnim ogierze, którego matką była River Breeze.

- Idę o każdy zakład - odpowiedziała Abbie, śmiejąc się i puszczając oko.

Wszystkie najlepsze ogiery w kraju współzawodniczyły ze sobą na tych prestiżowych pokazach w Scottsdale. Windstorm zdobył już kilka nagród regionalnych, ale dopiero zwycięstwo w Scottsdale mogło mu przynieść zasłużone uznanie.

Abbie miała za sobą długą i kosztowną drogę, ale zbliżyła się do spełnienia marzenia o pierwszorzędnej hodowli koni arabskich. Wydzierzała od Dobiego jeszcze więcej ziemi, pobudowała nowe stajnie, zakupiła dziesięć dobrych klaczy zarodowych i wynajęła trzy dalsze, a do tego jednego ogiera. Wszystko za zarobione przez nią pieniądze albo dochód z obsługi przyjęć, czym zajmowały się z Babs, która tymczasem osiadła w Houston, albo z korzystnej sprzedaży źrebiąt. Sprzedała je wszystkie, z wyjątkiem Windstorma i jego dwuletniej siostry.

Abbie dobrze jeszcze pamiętała swoją podróż do Scottsdale przed sześciu laty. Wtedy każdego centa musiała obracać dwa razy. Teraz dysponowała już znaczną sumą w banku i ogierem, który miał duże szanse na zdobycie nagrody. Wszystko to osiągnęła w najbardziej niekorzystnych warunkach, jakie można sobie wyobrazić. Poza Benem nikt jej nie pomógł, nawet Dobie.

Czasami podejrzewała, że Dobie zazdrości jej samodzielności, tak jak zazdrościł jej sukcesu. Wiedziała, iż po cichu liczył na to, że jej sienie uda. W dodatku jego duma została zraniona,

kiedy ze sprzedaży żrebaków uzyskiwała tak dużo pieniędzy. Nie dopuścił, by wydała z tego chociaż centa na Eden lub na dom, ponieważ były to pieniądze na konie, a on sam mógł przecież wyżywić rodzinę. Abbie nie wdawała się z nim z tego powodu w żadne kłótnie. Jej małżeństwo już dawno przestało być małżeństwem, jeżeli kiedykolwiek nim było. Żyła z Dobem pod jednym dachem, dzieliła z nim łóżko i od czasu do czasu wykorzystywali się wzajemnie do zaspokojenia swych potrzeb cielesnych. Dopóki miała Eden i konie, łatwo przychodziło jej zapomnieć, że czegoś jej w życiu brakowało.

- Chodź już. - Wzięła Eden za rękę, gdy przegalopował przed nimi ostatni koń. - Musimy poszukać Bena.

Przeciskała się z córką przez tłum kłębiący się na terenie pokazów. Przemieszanie egzotycznych kostiumów, jaskrawych namiotów i stoisk z ka-
208

napkami i napojami na tle błękitnego, pustynnego nieba i kołyszących się na wietrze palm tworzyło prawie cyrkową atmosferę.

Abbie dostrzegła Bena w cieniu stajni dla ogierów. Schyliła się do Eden i pokazując palcem powiedziała:

- Tam. Widzisz go?

Zamiast odpowiedzieć, Eden wyrwała się i kołysząc na boki końskim ogonem, pobiegła do Bena. Abbie z uśmiechem patrzyła za swoją córką. W butach i spodniach do jazdy konnej, w białej bluzce i czarnym krawacie Eden wyglądała jak dorosła. Dobrze pamiętała, jak sama jako dziecko z podobnym entuzjazmem biegała do Bena. Ten zaś obchodził się z Eden tak samo łagodnie i cierpliwie jak z nią, a może nawet bardziej wyrozumiale. Jasne było, że Eden owinęła go sobie wokół małego palca.

- Mamusiu, Ben wiedział, że tu przyjdziemy - zawołała Eden, kiedy Abbie podeszła bliżej. Ben wszystko wie, prawda?

- Wszystko. - Wie nawet, kto jest twoim biologicznym ojcem, dodała w duchu. Z biegiem lat Ben stał się zaufanym stróżem wielu tajemnic.

Kiedy spojrzała na niego, poczuła, że odżyły wspomnienia. Ben był zawsze jej podporą, opoką, kancią i niewzruszoną. Jeżeli nawet wszystko wokół się zmieniało, Ben pozostawał zawsze taki sam. Na jego porwanej bruzdami twarzy nie było widać upływu lat, ale siwe włosy stały się jeszcze bardziej białe, powłóczył trochę nogami i krok już miał nie tak pewny jak kiedyś. Wiek wyraźnie doganiał Bena, ale Abbie nie chciała się z tym pogodzić. To dziwne, że mogła zaakceptować siwiejące włosy matki, podczas gdy od Bena oczekiwała, że zawsze pozostanie młody.

- Ben, czy kiedyś będę wiedziała tyle co ty? - zapytała z powątpiewaniem Eden.

- Tak, któregoś pięknego dnia, być może. - Skinął powoli głową.

- Wejdzmy do środka i obejrzymy kandydata Rachel na championa? - zaproponowała Abbie, by położyć kres nie kończącym się pytaniom Eden.

Długa hala wystawowa była wypełniona po obu stronach luksusowymi boksami pokazowymi. Każda reprezentowana tu stadnina wynajęła trzy, cztery lub więcej boksów, z których tylko jeden był zajmowany przez prezentowanego ogiera. Pozostałe przekształcono w ekstrawagancko udekorowane przedziały, wspaniale przystrojone, by zapewnić należyte otoczenie stadninie i jej ogierom.

- Dobrze, biegnij tam i obejrzyj sobie film. Tylko nie odchodź nigdzie dalej, jasne? I nikogo nie denerwuj, słyszysz?

- Tak, mamusiu - obiecała Eden i pobiegła.

Abbie zaczęła, aż córka usiadła na wyłożonej dywanem podłodze przed telewizorem, i zwróciła się znowu do Bena.

14 - Przyrodnie siostry

209

- Mówi się, że Sirocco nie ma przyjemnego usposobienia - powiedziała. Windstorm natomiast miał bezsprzecznie łagodny charakter, co mógł stwierdzić każdy, kto widział, jak delikatnie obchodził się z pięcioletnią Eden.

- Ciekaw jestem, co on tam wie o prawdziwym życiu konia - stwierdził Ben. - Jak wygląda jego świat? Przyczepa, boksy, bieganie na lonży i wędrowanie po wybiegu przed gwizdającym i wrzeszczącym tłumem widzów. Kiedy mógł skakać przez ogrodzenie jak Windstorm i kiedy ktokolwiek dla przyjemności galopował na nim na przełaj przez pola, tylko dla zabawy, tak jak ty często to robisz z Windstormem? Dla niego są tylko pokazy i trening. Na jego miejscu też byś nie była zadowolona. - Ben znowu potrząsnął krytycznie głową. - Nie można brać koniowi za złe, że ma przykre usposobienie. Nie znam żadnego konia pokazowego, który miałby w głowie wszystko w całkowitym porządku.

Abbie z własnego doświadczenia wiedziała, że niektóre konie pokazowe, najczęściej młode klacze, które nigdy nie widziały swoich rówieśników i dorastały tylko z ludźmi, mogły się śmiertelnie przestraszyć, kiedy bez przygotowania puszczano je na łąkę do innych koni.

- Gdzieś tu musi być ogier, którego ostatniej zimy sprowadzono z Rosji. Chciałbym go zobaczyć. - Ben odwrócił się i rozejrzał po sąsiednich boksach.

- Myślę, że jest po drugiej stronie, trzy boksy dalej. Pójdę po Eden i spotkamy się tam.

Eden jednak nie chciała jeszcze iść. Zanim Abbie zdołała ją do tego nakłonić, zaczęła ją młoda para hodowców, którzy kupili jedno ze źrebiąt River Breeze. Pokazali jej zdjęcie źrebaka, który wspaniale wyrósł i został zaprezentowany w klasie dorastających klaczy. Abbie była dumna, bo oznaczało to, że w Scottsdale wystąpi dwoje potomków jej klaczy, a mianowicie Windstorm i młoda Silver Lining.

Rozmowa trwała dłużej niż cierpliwość Eden, która miała nagle dość filmu.

- Mamusiu, gdzie jest Ben? - zapytała niecierpliwie mała.

- Ogląda innego konia.

- Mogę go poszukać?

- Nie, zostaniesz tutaj. - Abbie zignorowała grymas na twarzy Eden i znowu pogрузzyła się w rozmowie z właścicielami Silver Lining. Wiedziała, że sukces tego źrebaka uczyniłby ją pretendentką do kolejnego zwycięstwa.

- Ben jest tam, idę do niego - zawołała nagle Eden i pobiegła, zanim Abbie zdążyła ją zatrzymać.

Tłok wokół niej był tak duży, że obawiała się, by córka się nie zgubiła, tym bardziej że nigdzie nie mogła dostrzec Bena. Pożegnała się więc pośpiesznie i pobiegła za Eden.

MacCrea wszedł do hali wystawowej i rozejrzał się, wyraźnie czegoś lub kogoś szukając.

Spokojnie pozwolił nieść się tłumowi gości. Nie spieszyło mu się z odnalezieniem boksu Canfielda i spotkaniem z Lane'em. Wolał spotkać się z nim tu, ponieważ od trzech lat w miarę możliwości unikał Houston. Czasami udawało mu się to bardzo długo, czasami jednak nie.

Nagle ktoś chwycił za nogawkę jego dżinsowych spodni. Kiedy spojrzął w dół, zobaczył patrzącą na niego w górę małą dziewczynkę z dużymi, niebieskimi oczami, w których lśniły łzy.

- Widzisz moją mamę? - zapytała mała.

- Twoją mamę? - zdziwił się MacCrea.

- Tak, boję się, że się zgubiła - oświadczyło zatroskane dziecko.

- Ach tak, a więc twój a mamusia się zgubiła. A ja już myślałem, że to ty się zgubiłaś - powiedział MacCrea, którego rozweseliła ocena sytuacji.

- Nie, zostawiłam ją tam, kiedy szukałam Bena. - Dziewczynka wskazała na szereg boksów po lewej stronie. - Nie udało mi się go znaleźć i kiedy wróciłam, mamy już nie było. Pomoże mi pan ją odszukać? - Znowu zadarła głowę i spojrzała na niego błagalnie.

MacCrea zdziwił się, dlaczego wśród tylu ludzi mała właśnie jego poprosiła o pomoc.

Spojrzeniu tych niebieskich oczu nikt jednak nie zdołałby się oprzeć. Przykucnął przy niej i przesunął kapelusz na tył głowy.

- Jasne, że ci pomogę. Zawsze miałem słabość do niebieskich oczu. - Śmiejąc się, podniósł Eden do góry i posadził sobie na ramionach. - Zobaczymy, czy ktoś wywoła twoją mamę przez głośniki. Co sądzisz o tym, maluchu?

Eden spojrzała na niego poważnie, przytrzymując się jego pleców.

- Nie jestem żadnym maluchem. Jestem małą dziewczynką.

- Ach tak? - MacCrea udawał sceptycyzm. - A ile masz lat?

- Pięć i pół.

- A jak się nazywasz?

- Eden. A ty?

- MacCrea Wilder - odpowiedział ubawiony jej roztropnym pytaniem.

- Czy MacCrea to imię? - patrzyła na niego pytająco, kiedy niósł ją do głównego wejścia, gdzie miał nadzieję spotkać kogoś z organizatorów imprezy, kto mógłby mu pomóc.

- Tak.

- Śmieszne imię. Ale Eden też jest śmieszne. Mój tatuś powiedział, że tak nazywał się pewien ogród i dlatego głupiej jest nazywanie tak samo dziecka.

211

Mamusia powiedziała, że bym go nie słuchała. - Eden zrobiła na jego ramieniu pół obrotu. - Jak pan myśli, gdzie może być moja mamusia?

- Nie mogę pozbyć się uczucia, że już cię rozpaczliwie poszukuje.

- Może powinniśmy wrócić i zobaczyć, czyje tam nie ma?

- Prościej i szybciej będzie, jeżeli każemy ją wywołać i poczekamy na nią. - Podniósł ją trochę wyżej. - Chodź, zobaczymy, czy...

- Eden! - Rozpaczliwy okrzyk dotarł z tyłu.

- Poczekaj! - Eden znowu się obróciła. - Jest tam!

MacCrea także się odwrócił. Zobaczył szczupłą, ciemnowłosą kobietę, która przeciskała się przez tłum w ich kierunku. Kiedy go rozpoznała, stanęła jak wryta. On też, kiedy ją poznał, poczuł się jak rażony piorunem. Abbie. Przez moment zapomniał o wszystkim, nawet o dziecku utrzymanym na ramieniu. Stał, patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma i po tych wszystkich latach wchłaniał w siebie jej widok... po sześciu latach i dwóch miesiącach, dokładnie licząc.

Dziwił się, jak mało się zmieniła. Ciemne włosy miała troszeczkę krótsze, ledwie sięgające ramion. Długa spódnica-spodnie zakrywała wąskie biodra, ale szeroki pas wokół bioder pokazywał, że zachowała dobrą figurę. W jej oczach ciągle jeszcze był niebieski ogień, który tak dobrze pamiętał. Minione lata dodały jej urodzie dojrzałości i siły wyrazu, których przedtem jej brakowało.

Szok ponownego spotkania spowodował, że Abbie zbladła. Zaraz jednak oblała się purpurą.

- Dokąd ją niesiesz? - ofuknęła go. - Co robisz z moją córką? - Zanim się spostrzegł, odebrała mu Eden i przycisnęła ją do siebie.

- Nie miałem pojęcia, że ta mała jest twoją córką. - MacCrea ciągle jeszcze nie mógł tego pojąć. - Mogłem się jednak tego domyślić, kiedy zobaczyłem jej niebieskie oczy.

- Mamusiu, ten pan chciał, żeby wywołano cię przez głośniki - powiedziała Eden i chwilowo odwróciła uwagę Abbie. - Cieszę się, że cię znalazłam. Martwiłam się już.

- Ona myślała, że się zgubiłaś - rzucił MacCrea, który odczuwał prawie fizycznie niechętnie spojrzenie Abbie. O Boże, jak bardzo pragnął ją przytulić! Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego, jak mocno tkwiły w nim tęsknota i ból. Krytyczne i czujne spojrzenie Abbie spowodowało jednak, że zachował powściągliwość.

- Dlaczego nie zostałeś grzecznie przy mnie? - włączyła się Abbie. - Nie doszłoby do tego wszystkiego.

- Kiedy nie mogłam znaleźć Bena, to wróciłam, ale ciebie już nie było - odparła z wyrzutem Eden.

Abbie nie była zainteresowana jej wyjaśnieniami.

- Dlaczego ona była z tobą? - zapytała MacCreę. Zaśmiał się bezradnie.

- To naprawdę nie był mój pomysł. Po prostu przyszła do mnie. Dlaczego, nie wiem. Być może wyglądałem na kogoś godnego zaufania.

- Jest niestety za młoda, by to poznać. - Gorycz jej słów pozbawiła MacCreę nadziei na to, by miniony czas zmienił jej opinię o nim.

- On nazywa się MacCrea. Wiedziałaś to, mamusiu? Śmieszne imię, ale podoba mi się. Moje imię też mu się podoba, prawda?

- Tak. - Poczul pewne perwersyjne zadowolenie z tego, że spodobał się córce Abbie.

- Po co tu przyjechałeś? - Gdy tylko zadała to pytanie, zdała sobie sprawę, jaka może być odpowiedź, i spojrzała w kierunku bokсів River Bend. Spochmurniała jeszcze bardziej. - Nie sprowadziło cię tu zapewne zainteresowanie końmi.

- Mamy arabskiego ogiera - wtrąciła się Eden. - To najpiękniejszy koń ze wszystkich.

Chciałbyś go zobaczyć? Nazywa się Windstorm.

- Tak, bardzo chętnie, Eden. - MacCrea przyjął zaproszenie z uśmiechem i zignorował niezadowoloną minę Abbie.

- Pan Wilder z pewnością ma coś lepszego do roboty niż oglądanie Windstorma. Jest bardzo zajęтым człowiekiem.

- Powiedział, że chce - nie ustępowała Eden.

- A więc gdzie stoi twój koń, Eden? - zapytał MacCrea.

- W innej stajni. Zaprowadzimy cię tam, prawda, mamusiu?

- Może innym razem, Eden. - Jej spojrzenie dawało mu do zrozumienia, że nie powinien się przy tym upierać. - O wiele pilniejsze jest teraz znalezienie Bena. Pan Wilder to zrozumie. Mam rację, panie Wilder?

- Nie. -Nie chciał dopuścić, by go tak nieuprzejmie odprawiono.

- Słuchaj - zaczęła z prawie nie ukrywaną wściekłością, kiedy z tyłu pojawił się Ben.

- Bogu dzięki, że znalazłaś Eden. - Ben położył guzowatą, pokrytą starczymi plamami rękę na ramieniu dziewczynki. - Mała, martwiliśmy się o ciebie. Ile razy matka ci mówiła, że nie powinnaś się tak lekkomyślnie oddalać?

Pojawienie się Bena właśnie w tym momencie jeszcze bardziej rozgniewało Abbie. Starzec tak bardzo jednak się ucieszył z odnalezienia Eden, że nie mogła okazać mu złości. Teraz trzeba było wyjaśnić sytuację.

- Przypominasz sobie z pewnością Bena Jabłońskiego - powiedziała, zwracając się do MacCrei. Ben patrzył na niego zaskoczony i, jak się wydawało Abbie, zażenowany i niepewny. 213

- Ależ oczywiście. Halo, Ben. Cieszę się, że pana znowu widzę. -MacCrea wymienił z Benem uścisk dłoni.

Na pytający wzrok Bena Abbie niedostrzegalnie potrząsnęła głową, dając mu do zrozumienia, że MacCrea nie zna jej tajemnicy.

- Jak się panu powodzi, panie Wilder? - Ben bardzo powoli pozbywał się sztywnej nieśmiałości.

- Ben, on chciałby zobaczyć Windstorma. - Podekscytowana Eden zwróciła się do matki. -

Ben już jest z nami. Możemy zaprowadzić pana Wildera do Windstorma, prawda?

Abbie najchętniej zakneblowałaaby córkę. Ponieważ było to niemożliwe, zwróciła się do MacCrei z nadzieją, że wykaże rozsądek i zrozumie wreszcie, iż ona nie życzy sobie jego obecności.

- Nie chcielibyśmy zabierać ci niepotrzebnie czasu.

- Ach, zostaw mnie ten kłopot.

- No dobrze, to pokażemy ci konia. - W obecności Eden nie chciała żadnych scen, co MacCrea dokładnie wyczuwał. Zależało jej, by mieć to szybko za sobą. Popchnęła Eden w kierunku Bena. - Pójdziecie oboje przodem. Tylko nie puszczaj ręki Bena.

Eden żwawo podskakiwała obok Bena, a Abbie szła równym krokiem z MacCrea. Nie zdołała się przemóc, by spojrzeć na niego. Ledwie mogła oddychać. Nigdy by nie pomyślała, że ponowne spotkanie może być tak bolesne. MacCrea wyglądał tak, jak go zapamiętała. Może tylko jego twarz wzbogaciła się o kilka bruzd i stała się twardsza, ale jego leniwy uśmiech i ten szyderczy, wyzywający urok nie uległy zmianie.

Kiedy zobaczyła go z Eden na ramionach, w pierwszym momencie przestraszyła się śmiertelnie; obawiała się, że jakoś się dowiedział, że była jego córką i planował jej porwanie. Jeszcze teraz uważała, że ta myśl wcale nie była taka nedorzeczna. Ta obawa była silniejsza niż wszystkie inne uczucia, które obudziło w niej ponowne spotkanie MacCrei.

- Zaskoczenie było tak duże, że zapomnieliśmy o zachowaniu wszelkich form - powiedział, kiedy wyszli ze stajni na jaskrawo świecące słońce. -Może powinniśmy to nadrobić.. A więc... co u ciebie słychać, Abbie?

- Jestem mężatką.

- To już słyszałem. Czy twój mąż jest tu z tobą?
- Nie. - Farsa tego małżeństwa była ostatnią rzeczą, o której chciałaby rozmawiać z MacCrea.
- Został w domu. Na farmie jest w tej chwili dużo pracy. - Miała uczucie, jakby siedziała na koniu, który w każdej chwili może stanąć dęba, przy czym nie wiadomo, w którym kierunku rzuci się najpierw. Jeżeli nie chciało się zostać zrzuconym, należało być przygotowanym na wszystko.

214

Nie kontynuowali tematu, ponieważ Eden odwróciła się i oświadczyła:

- To jest stajnia, w której stoi Windstorm. Zobaczysz, MacCrea, że to najpiękniejszy koń, jakiego można sobie tylko wyobrazić.
- Eden, należy mówić „pan Wilder”. - Abbie nie podobało się, że mała tak poufale się do niego zwraca.
- Nie mam nic przeciw temu, by mówiła do mnie MacCrea.
- Ale ja mam. Byłabym wdzięczna, gdyby nie podważano moich metod wychowawczych - odparła Abbie.

Abbie pierwsza weszła do stajni. Ben puścił teraz rękę Eden i mała pobiegła do trzeciego boksu po lewej stronie.

- Windstorm, już wróciliśmy. Przyprowadziliśmy gościa.

Abbie mimowolnie uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, jak Windstorm podniósł głowę i zarżał do Eden. Pod względem wyglądu był w jej oczach prawie ideałem. Ale cechą, którą najbardziej uniego ceniła, było jego łagodne usposobienie.

Typowy dla koni arabskich czystej krwi ogień i temperament brały się u Windstorma raczej z radości życia i dążenia do swobody niż z wrodzonej dzikości. Wszystkie źrebięta, które od niego pochodziły, odziedziczyły po nim nie tylko wygląd zewnętrzny, lecz także charakter. Prawdziwym testem dla rozplodowego ogiera była jego zdolność do możliwie pełnego przekazywania własnych cech potomstwu. Abbie uważała, że Windstorm był właśnie ogierem tej klasy.

Weszła do boksu, by go podziwiać. Była to czynność, która nigdy jej nie nudziła i której się nie wstydziła. W ciągu pięciu lat życia Windstorma jego pierwotnie siwa sierść przyjęła śnieżnobiałe zabarwienie i już tylko kilka srebrnoszarych pasemek można było dostrzec w grzywie i ogonie. Czarny kolor skóry był widoczny tylko na ciemnych nozdrzach i wokół oczu, które sprawiały przez to wrażenie jeszcze większych.

Abbie podrapała ogiera w jego ulubionym miejscu pod uchem i spostrzegła, że MacCrea zbliżył się do niej na odległość paru centymetrów.

Serce waliło jej tak gwałtownie, że krew szumiła w uszach i prawie nic nie słyszała. Czuła, że wystarczy się tylko obrócić, by poczuć jego ramiona i podniecające działanie pocałunku.

Wystarczył tylko j eden ruch z j ej strony, jedno milczące wezwanie.

Abbie odsunęła się na bok i zwiększyła odstęp między nimi.

- Mówiłeś o swoim zainteresowaniu Windstormem... proszę, obejrzyj go sobie dokładnie. - Dziwiła się, jak spokojnie wypowiedziała te słowa mimo wewnętrznego rozdygotania.

Kiedy MacCrea wszedł do boksu, Eden wdrapała się na belę siana, by móc patrzeć ponad ścianką działową.

215

- Czy nie jest piękny? - wykrzyknęła zasapana. Ogier gryzł ją delikatnie w głowę, a ona chwyciła go za pysk i pociągnęła w dół. - Przestań, głupi - rozkazała mu i pogładziła go po policzku. Do MacCrei powiedziała: - Widać mu żyły. Oznacza to, że jest suchy. A to bardzo dobrze.

- Widzę, że znasz się trochę na koniach.

- Tak, mam własnego kucyka. Nazywa się Jojo.

Abbie widząc, jak ich głowy stykają się ze sobą, dziwiła się, że Mac-Crea nie zauważył podobieństwa: ciemnych, kręconych włosów, gęstych brwi oraz takiego samego wykroju szczęki i ust. I ręk: Abbie spojrzała na lekko odstający mały palec Eden, kiedy ta głaskała konia. MacCrea nie może zobaczyć tego palca. Nie wolno do tego dopuścić.

- Eden, zejź na dół - rozkazała.

- Ale...

- Żadnego ale. Rób, co ci każe. Wystarczająco długo nadużywałaś już cierpliwości pana Wildera. - Gdy tylko Eden z oporami zeszła na dół, Abbie chwyciła małą za rękę i poprowadziła ją do Bena. - Idźcie już do samochodu, ja zaraz do was dołączę.

- Do widzenia Mac... panie Wilder. - Pomachawszy mu ręką, Eden odeszła z Benem.

- Powodzenia, Eden. Na pewno jeszcze się zobaczymy.

W Abbie jakby przepalił się bezpiecznik i uwolnił wszystkie emocje, które z takim trudem powstrzymywała. Jednym ruchem odwróciła się do MacCrei.

- Nie, nie zobaczycie się! Zostaw moją córkę w spokoju... i mnie też! Wiedziała, że głos jej drży, ale z nagłego potoku łez zdała sobie sprawę dopiero wtedy, gdy MacCrea położył dłoń na jej policzku i kciukiem otarł z niego łzy.

- Abbie, ty płaczesz. Dlaczego?

Łagodność jego głosu i troska, którą było w nim słychać, sprawiły, że poczuła się dezorientowana. Tak chętnie poddałaby się dotykowi jego rąk. Gwałtownie się odwróciła.

- Ty także nie zapomniłaś, prawda? - zapytał MacCrea.

- Nie wiem, o czym mówisz - skłamała.

- Wy szłabyś dziś ze mną... ze względu na dawne czasy? Twoją córkę i Bena mogłabyś wziąć ze sobą, jeżeli miałyby ci to dać większe poczucie bezpieczeństwa - powiedział z lekką drwiną.

- Jedyne „dawne czasy”, które mnie interesują, to te, w których cię nie było. Dlaczego nie dostosujesz się znowu do tego i nie znikniesz?

- Chwileczkę. To ty byłaś tą, która pojawiała się i znikła - przypomniał jej.

216

Jego rozgoryczenie przywróciło jej zimną krew, której potrzebowała, by wytrzymać jego wzrok.

- Ach, tak? Zapewne nie akceptowałam sposobu, w jaki wykorzystywałeś ludzi.

- Ty mi zarzucasz wykorzystywanie ludzi? A co z tobą? Na pewno wolałabyś, żeby nie wspominać o prawdziwych powodach twojego małżeństwa z tym farmerem? Nie kochasz go...

- To nie twoja sprawa. Czego ty tu w ogóle szukasz?

- Przyjechałem, by spotkać się z Lane'em.

- No to go znajdź. A do mnie już się więcej nie zbliżaj.

Abbie odwróciła się i odeszła z łomotem w głowie i uciskiem w gardle. O wiele bardziej, niż chciała to przyznać, bolało ją, że także tym razem się nie pomyliła. MacCrea był tu, by spotkać się z Rachel i Lane'em.

33

Rac

achel przymrużyła oczy, kiedy oślepił ją błysk flesza. Stajnia była wypełniona tłumem ludzi, którzy pili szampana i jedli kawior. Ubrani byli we wszelkie możliwe stroje, od Laurenta po levisy. Przyszli wszyscy, którzy coś znaczyli w świecie hodowli koni arabskich: gwiazdy show-biznesu, ludzie sukcesu, śmietanka towarzyska, a także prawdziwi profesjonaliści, trenerzy i kierownicy stadnin.

- Powiedziano mi, że szampan jest dla damy z najbardziej niebieskimi oczami. Gdzie mogę ją znaleźć? - Dobrze znany głos rozległ się bezpośrednio za plecami Rachel.

Odwróciła się z bijącym mocno sercem.

- Ross! Jak to dobrze, że znowu pana widzę. Słyszałam, że miał pan tu być. Dopiero teraz pan przyszedł?

- Nie, jestem tu już dłuższy czas.

- Ach tak? - Udawała, że tego nie dostrzegła. Ignorowanie go kosztowało ją wiele wysiłku. Ross nie zmienił się od czasu, kiedy go poznała, ale wyraźnie widać było po nim oznaki sukcesu. Cały świat wiedział teraz, kim był Ross Tibbs.

- A gdzie pani mąż? - zapytał, nie spuszczać z niej wzroku. Rachel wypita łyk musującego szampana. Doświadczony podniebienie powiedziało jej, że nie był w najlepszym gatunku, zakręcił jej jednak w głowie.

- Jest jeszcze w Houston i przyjedzie za kilka dni.

217

MacCrea też już się pojawił i pytał o jej męża. Miała powoli dosyć ciągłego wynajdywania wymówek usprawiedliwiających nieobecność Lane'a. Jeżeli nie były to interesy, to mały Alex, ich syn, który miał właśnie grypę i którym musiał się opiekować. Wydawało się, że Lane nie ma już dla niej czasu. Na samej górze skali jego wartości znajdował się Alex, potem były interesy, a dopiero na nędznym, trzecim miejscu ona. Zazdrość o własnego syna była może niewłaściwa, ale Rachel nie przypuszczała, że mąż będzie bardziej kochał małego niż ją.

- Ross, niech mi pan opowie o swojej klaczy - powiedziała, starając się podtrzymać konwersację. - Cały świat już o niej mówi.

- Widział ją pani?

- Nie.

Zanim zdążyła zareagować, wziął od niej kurtkę z norek, którą trzymała przerzuconą przez ramię.

- Proszę ze mną. Pójdziemy tam i pokażę ją pani. - Kurtka znajdowała się już na jej ramionach, razem z jego ręką, którą prowadził ją przez tłum gości do wyjścia.

- Teraz? Ale... - Rachel protestowała niezdecydowanie. Miała niejasne poczucie winy, że tak po prostu dała się wykraść z przyjęcia.

- Proszę poczekać, aż zobaczy pani konia. - Ross nie przejmował się jej lekkim oporem. - To klejnot. Dlatego też tak go nazwałem: Klejnot Pustyni, oczywiście po arabsku, ale nie potrafię tego wymówić.

Ostatnie strzępy nieczystego sumienia ulotniły się, kiedy Rachel zobaczyła jednoroczną klacz. Patrzyła już wyłącznie na nieskazitelnie zbudowanego konia w kolorze brązu i o niczym innym nie mówiła. Najchętniej z miejsca by go kupiła. Kiedy Ross zdecydowanie to odrzucił, twierdząc, iż nie sprzeda klaczy za żadne pieniądze, wymusiła na nim obietnicę, że w wieku trzech lat pokryje ją Sirocco i sprzeda jej przynajmniej żrebaka.

Później Rachel nie wiedziała, jak doszło do tego, że straciła wszelkie poczucie czasu. Dopiero kiedy podała Rossowi klucz od swego apartamentu hotelowego, zauważyła, że nie wrócili na przyjęcie. Było już za późno, by zastanawiać się nad tym, jak będzie komentowane jej zniknięcie z Rossem. Odeszła przecież, nie zamieniwszy nawet słowa z gospodarzami.

- Uważam, że powinniśmy oblać nasze porozumienie. A pani? - Ross otworzył drzwi i wszedł za Rachel do środka.

- Ja też, ale proszę o coś słabego. Nieźle już mi się kręci w głowie i nawet nie wiem, czy to od szampana, czy od perspektywy uzyskania żrebaka od naszych dwóch koni. - Podeszła do małego barku i oparła się o ladę, by się przyjrzeć, jak Ross miksuje drinki. Nie mogła ukryć podniecie-

218

nia. - Ross, czy jest pan pewien, że nie da się pan namówić do sprzedaży klaczy?

- Rachel, nie znam niczego piękniejszego nad pani próby perswazji. Bóg mi świadkiem, że jest pani jedyną osobą, która mogłaby nakłonić mnie do zmiany zdania. - Ze szklankami w rękach wyszedł zza barku i stanął blisko niej.

Jego bliskość, jego spojrzenie, lekkie dotknięcie palców, gdy odbierała od niego szklankę, wszystko to nasiliło jej nieokreślone pragnienie, które bezskutecznie usiłowała stłumić.

Ross podniósł rękę i ostrożnie dotknął jej kolczyka.

- Czy kiedykolwiek ktoś pani powiedział, że jej oczy są bardziej niebieskie niż te szafiry?

- Tak. - Lane to powtarzał. Rachel pragnęła, by Ross nie przypominał jej o tym.

Zdecydowanym ruchem odstawiła szklankę i przeszła obok niego do owalnego lustra na ścianie.

Dostrzegła w nim błysk szlachetnych kamieni. Chwyliła kolczyki i zaczęła je powoli zdejmować, najpierw jeden, potem drugi. Prezent jak wiele innych, nic więcej. Prezenty i puste słowa to były jedyne rzeczy, które jeszcze otrzymywała od Lane'a. A przecież zawsze pragnęła tylko jego miłości.

W przypadku Deana też nie było inaczej, jak sobie teraz uświadomiła. Zrozumiała przy tym jednocześnie, że zawsze poruszała się w zamkniętym kręgu. Z Lane'em była tak samo samotna jak z Deanem, a do tego skazana na to, by udawać zadowoloną z resztek sympatii i czasu, który jej poświęcał. Wszystkie skarby świata nie mogły zastąpić miłości, której znowu jej odmówiono. Czy coś było z nianie tak? Dlaczego nikt nie mógł jej kochać? Rachel użalała się nad sobą, męcząc się jednocześnie z zapięciem drogocennej kolii.

- Proszę zostawić to mnie. - Ross pojawił się w lustrze obok niej. Jego ciepłe palce na nagim karku przepędziły ponure myśli. Przyglądała się jego odbiciu, jego pięknym, młodzieńczym rysom, które przywoływały w jej pamięci ujmujący uśmiech, tak często goszczący na jego ustach, i jawnie uwodzicielskie spojrzenie, którym zazwyczaj ją obdarzał. Przyłapała się na pragnieniu, by dotknąć jego kręconych, kasztanowych włosów i stwierdzić, czy rzeczywiście były tak miękkie i gęste, jak wyglądały.

Kolia spoczywała na jej szyi. Objęła zimne, twarde kamienie i zdjęła je z karku. Martwy chłód ustąpił miej sca ożywiaj ącemu ciepłu, kiedy Ross przycisnął usta do boku jej szyi. Przeniknął j ąrozkoszny dreszcz.

- Dlaczego pan to robi? - Mocno ścisnęła w r ęku kolię, a jego r ęce gładziły jej nagie ramiona.
219

- Ponieważ cię kocham, Rachel. Zawsze cię kochałem. Byłaś dla mnie inspiracją do piosenki o miłości, tęsknocie i bólu, którą napisałem. Kocham cię-powtórzył cicho, ale dobitnie.

- Ross, nie mów tak, jeżeli to nie jest prawda. Nie zniósłabym tego. -Usiłowała zapanować nad szlochem.

- Kocham twoje, cudowne niebieskie oczy. - Zbliżył się jeszcze bardziej i czuła teraz na ustach jego oddech. - Chciałbym ci pokazać, jak bardzo cię kocham.

Podniósł ją zaniósł do sypialni. Wyglądało to jak romantyczna scena z filmu, tyle że Rachel naprawdę ją przeżywała.

Postawił ją łagodnie i znowu wziął w ramiona, pieszcząc lekkimi pocałunkami czoło i policzki. Rachel zadrżała, kiedy poczuła na plecach dłonie rozsuwające zamek błyskawiczny.

Suknia zsunęła się na podłogę i leżała u ich stóp. Od nagłego chłodu Rachel dostała dreszczy. Rozpięła jego miękką kurtkę zamszową, objęła go wpół i przytuliła się do niego, aż przez cienką jedwabną koszulę poczuła ciepło ciała.

Ross ujął ją pod brodę i pociągnął do góry, by móc całować jej usta. Kapelusz rzucił w kąć pokoju, gdzie panował półmrok.

Kiedy kilkoma ruchami ramion zsunął z siebie kurtkę, Rachel poczuła ruchy jego mięśni, zamknęła oczy i rozkoszowała się swoimi uczuciami. Odsunął ją jednak, by rozpiąć guziki koszuli.

Na widok gęsto owłosionej piersi Rachel odwróciła się i mimo narastającego niepokoju zaczęła powoli pozbywać się bielizny. Za daleko już zaszła, by teraz przerwać. Zresztą jeżeli miała być uczciwa wobec siebie samej, to wcale tego nie chciała. Bała się tylko stanąć przed nim nago. Bała się, że kiedy zobaczy przed sobą niepozorną Rachel, uzna, iż nie jest już dla niego pociągająca.

Z drugiej strony musiała się przecież upewnić. Powoli odwróciła się do niego, wdzięczna za to, że w sypialni był półmrok. Z wahaniem podniosła wzrok, ale on zdążył ją już objąć i obsypać gorącymi pocałunkami. Otworzył jej usta z takim żarem, że obezwładniła ją siła jego pożądania.

Opuścił ją na łóżko, sam położył się obok niej i gładząc jej ciało, pieszcząc piersi, wsunął się między jej nogi.

Rachel skurczyła się mimo woli, chociaż, lub właśnie dlatego, że rozpaczliwie pragnęła, by z nim było inaczej, bo chciała czegoś więcej niż tylko podniecającego mrowienia na plecach. Raz w życiu nie chciała niczego udawać.

Kiedy poczuła go w sobie, objęła mocno Rossa, wbiła palce w jego plecy, aż podniecający ból nagle eksplodował i zastąpiła go fala czystej

220

rozkoszy. Sekundę później poczuła, jak dreszcze wstrząsnęły Rossem, co było sygnałem jego zaspokojenia.

Kiedy upajała się w jego ramionach uczuciem absolutnego spełnienia, po raz pierwszy poczuła się naprawdę kochana. Odwróciła się na bok, by móc obserwować Rossa, mężczyznę, który doprowadził do tego, że czuła się kobietą.

34

Rac

achel wykorzystywała każdą okazję, by być razem z Rossem. Kosztowne przyjęcia i tak samo wspaniałe pokazy handlowe, nieodłączny element imprez w Scottsdale, umożliwiły jej spotkanie się z nim w sposób nie zwracający niczyjej uwagi. Zawsze przy tym się pilnowali, by oddzielnie przychodzić i oddzielnie wychodzić.

Wszystko zaaranżowali tak, by móc siedzieć przy wspólnym stoliku w sektorze „złoty kart” i z bliska oceniać przeznaczone do sprzedaży konie, które prezentowano na przypominających artystyczne występy imprezach.

Siedzieli obok siebie w czasie ocen i wspierali się nawzajem moralnie, kiedy ich konie miały się zakwalifikować do końcowej rundy. Potem przychodziły noce. Noce pełne płonącej namiętności, w czasie których Ross oddawał się miłości z takim żarem, że nie mogła wątpić w głębię jego uczuć. Wydawało jej się, że nic nie może zmać szczęścia, które znalazła.

Rachel przeciągnęła cienką koszulę nocną przez głowę i opuściła śliski materiał wzdłuż nagiego ciała. Nieobecna duchem poprawiła na ramionach szerokie ramiączka, odwracając się w stronę szerokiego łóżka, na którym leżał obserwujący ją Ross.

- Ubierz się - rozkazała mu łagodnie.

- Chciałem ustalić, czy piękniejsza jesteś naga, czy ubrana.

- I co?

- Nie mogę tego jeszcze stwierdzić. - Uniósł się na łokciu, by chwycić Rachel za rękę i przyciągnąć ją do siebie. - Dlaczego nie zdejmiesz koszuli, bym mógł to rozstrzygnąć?

- Nie, nie zrobisz tego. - Wykręcała się, nie wrywając się jednak z jego rąk. - Jest już późno, prawie północ, a ja muszę wstąpić wcześniej. - Sirocco miał wystąpić w ostatniej rundzie w swojej klasie.

- Tak?

- Potrzebuję snu, i ty też.

221

- Dlaczego nie mogę spać tutaj? Chciałbym się rano obudzić i widzieć cię leżącą obok mnie.

- Ross, to niemożliwe. - Wolała, by ją o to nie prosił. - Co będzie, jeżeli ktoś zobaczy cię wychodzącego z mojego apartamentu? Co ludzie sobie pomyślą?

- To samo, co myślą, widząc mnie wymykającego się z twojego apartamentu w środku nocy. - Pociągnął ją na łóżko i zaczął okrywać pocałunkami jej ramię. - Nie wyobrażaj sobie, że moglibyśmy kogoś zmylić. Każdy mógł zauważyć, jak patrzę na ciebie.

- Prawdopodobnie masz rację. - Nie chciała się nad tym zastanawiać.

- Rachel, kocham cię naprawdę i choćby cały świat o tym wiedział, nie obchodzi mnie to.

- Ross, ja... - Kiedy wyciągnęła rękę, by pogłodzić go po twarzy, na nocnym stoliku zadzwonił telefon. Drgnęła przestraszona i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w aparat. Dopiero po drugim dzwonku podniosła słuchawkę.

Halo!

- Rachel, mój skarbie, obudziłem cię? - Głos Lane'a było słychać bardzo wyraźnie.

- Tak - skłamała odwracając się plecami do Rossa. - Czy coś się stało? Coś z Alekssem?
- Nie, czuje się wspaniale. Dziś już nie miał gorączki. - Po co Lane dzwonił, skoro nie miał nic pilnego do przekazania? - Kilka razy usiłowałem dziś cię złapać.
- Tak? Przykro mi, ale cały dzień byłam tak zajęta, że nie mogłam troszczyć się o to, czy ktoś do mnie zadzwoni. Zresztą i tak bym do ciebie zadzwoniła, ale... -Nie chciała z nim rozmawiać. Nie chciała także teraz, i to nie dlatego że obok niej leżał Ross.
- Tak sobie pomyślałem. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jutro przylatuję. Najprawdopodobniej będę w Phoenix w poradnie.
- Ach tak? - Nie wiedziała, co ma myśleć, co ma powiedzieć.
- Obiecałem przecież, że będę przy tobie w czasie konkursu finałowego. Czy kiedykolwiek zламаłem słowo?
- Nie - odparła.
- Twój głos nie świadczy o tym, że cię to uszczęśliwia.
- Ależ tak, jestem szczęśliwa - pospieszyła z zapewnieniem. - To tylko... nie obudziłam się jeszcze całkowicie. Mam cię odebrać z lotniska?
- Bardzo bym się cieszył. - Jej wyjaśnienia wydawały się mu wystarczać. - Śpij dalej, kochanie, zobaczymy się jutro... przepraszam, dzisiaj.
- Tak. Dobrej nocy.

222

- Dobranoc, mój skarbie.

Rachel poczekała na trzask odkładanej słuchawki na drugim końcu i dopiero potem odłożyła swoją. Kiedy kładła na kolanach ręce, przypadkowo dotknęła obrączki.

- Twój mąż? - domyślił się Ross.

- Tak. Przylatuje jutro.

Ross pieszczotliwie gładził jej ramię. Nie robił tego inaczej niż zwykle, ale tym razem Rachel przyjmowała jego dotknięcia bardziej nerwowo. Telefon skomplikował sytuację jeszcze bardziej. Przed dziesięcioma minutami wszystko wydawało się jeszcze całkiem proste: Ross ją kochał. Żadnej roli nie odgrywało to, że Lane był jej mężem. Teraz jednak znowu miało to znaczenie.

- Powiesz mi o wszystkim? - zapytał Ross.

Na myśl o tym ogarnął ją strach. A jeżeli się myliła? Jeżeli Ross nie kocha jej naprawdę? Wszystko przyszło tak szybko...

Jak mogła być pewna? Rachel podniosła się i odeszła kilka kroków od łóżka.

- Ross, to niemożliwe - odpowiedziała z wymuszonym spokojem. Rachel...

- Proszę, Ross, myślę, że najlepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz. -Nerwowo skrzyżowała ręce, nie mogąc zdobyć się na to, by spojrzeć na niego.

- Nie. - Usłyszała odgłos odrzucanej kołdry, a potem ciche stapanie jego bosych stóp. - Nie odejdę, dopóki nie wyjaśnimy kilku spraw. - Ujął ją mocno i zmusił, by na niego popatrzyła. - Co właściwie chcesz mi dać do zrozumienia? Powodzenia, było mi bardzo miło!? Nie zgodzę się na to, byś mnie tak odprawiła. Nie mogę tak po prostu odejść i o wszystkim zapomnieć. Kocham cię. Dla mnie to nie jest przelotna przygoda.

- Ross, dla mnie też nie. Chciałabym cię znowu zobaczyć. Przy Lane-'ie jednak trudno będzie to zorganizować. A poza tym masz występy telewizyjne i inne terminy. Od dziś będziemy mogli spotykać się tylko w bardzo trudnych warunkach.

- Mogłabyś przecież opuścić Lane'a i odejść ze mną. - Chciał wziąć jąw ramiona, ale Rachel zaparła się rękami o jego pierś.

- Ross, chciałabym być z tobą, potrzebuję cię bardziej, niż przypuszczasz. Nie wymagaj jednak tego ode mnie, jeżeli mnie naprawdę kochasz. Nie mogę opuścić Lane'a, w każdym razie nie w tej chwili. Za wcześnie na to. Jest jeszcze tyle innych rzeczy do przemyślenia. Nie jestem nawet pewna, czy byłoby to dobre dla nas obojga.

- Jeżeli kochamy się, to musi być dobre.

223

- Nie rozumiesz mnie. - Rachel potrząsnęła głową. - W przypadku Lane'a także byłam przekonana, że go kocham... Teraz chcę być pewna.

- Pięknie, nie chciałbym naciskać na ciebie, ale nie będę szczęśliwy, dopóki w dzień i w nocy nie będę cię miał przy sobie. Wiesz, że nie jestem tak bogaty jak twój mąż, ale z drugiej strony nie jestem też biedny. Teraz już nie. Obiecuję ci, że będziesz miała wszystko, co zechcesz. Powiedz tylko, a będzie należało do ciebie.

- Nie chcę niczego. - Dlaczego każdy mężczyzna uważał, że musi kupować jej miłość drogimi prezentami?

Minęło kolejnych dwadzieścia minut, zanim Rachel zdołała przekonać Rossa, by się ubrał i poszedł.

Kiedy leżała, nie mogąc zasnąć, i rozmyślała, doszła do wniosku, że nie powinna nigdy zadawać się z Rossem. Oczywiście była z nim szczęśliwa. Przedtem jednak też bywała szczęśliwa, ale to szczęście nigdy nie trwało długo. Dlaczego nie uświadomiła sobie tego wcześniej?

35

G

/o najmniej dziesięć razy Abbie wyczesywała cząsteczki kurzu z jedwabi-stej sierści Windstorma i kontrolowała błyszczące czarne kopyta, czekając na wywołanie klasy ogierów. Wokół niej panował nerwowy ruch. Nawet konie wyczuwały napięcie wiszące w powietrzu. Abbie, nie mając do dyspozycji personelu stajennego, który zająłby się ostatnimi przygotowaniem, gładziła długągrzywę, aż jej kosmyki spadły na czoło konia.

Przypomniała sobie, że po raz pierwszy szła łeb w łeb z Rachel, jej ogier przeciw Sirocco. Musiała wygrać. Nie mogła z niąprzegrać.

Kiedy wywołano wreszcie klasę ogierów, poczuła, że serce podeszło jej do gardła.

Wydawałojej się, że minęła cała wieczność, zanim przyszła na nią kolej i mogła wyprowadzić na tor Windstorma.

- Do przodu, chłopcze - wyszeptwała, zanim puściła go kłusem po ciasnym łuku do bramy. - Pokaż im, kto jest najlepszy!

- Głowa do góry! - zawołał ktoś, a Abbie dała ogierowi więcej swobo-dy.

Windstorm wpadł obok niej na tor. Biały płomień z wygiętą szyją, rozwianą grzywą i powiewającym ogonem. Zatoczył mały łuk, zbliżył się do Abbie i uniósł się trochę na tylnych nogach.

Pomruk podziwu, który przebiegł przez tłum, wywołał uśmiech na jej twarzy.

- Windstorm, zrobiłeś na nich wrażenie! A teraz postawa! Wydawał się ślizgać za nią po ziemi, kiedy poruszali się po owalnym

torze. Abbie wiedziała, że obój e byli rozkoszą dla oczu: biały ogier i delikatna, ciemnowłosa kobieta. Wiedziała też, że Windstorm rozkoszował się wrzawą i skierowaną na niego uwagą. Wraz z nasilającym się aplauzem był coraz bardziej żwawy i demonstrował temperament, który mógł mieć tylko ogier arabski.

Tuż przed wywołanymi wcześniej ogierami przytrzymała Windstorma na wodzy. Ocena zaczynała się dopiero wtedy, gdy na torze znaleźli się wszyscy konkurenci. Spojrzała na trybuny, gdzie siedział Ben z Eden. Z dziesiątego rzędu podekscytowane dziecko machało do niej ręką. Uśmiechnięta Abbie chciała już odwrócić się do Windstorma, gdy nagle jej uwagę zwrócił jakiś ruch po prawej stronie.

Doznała szoku, kiedy odkryła obserwującego ją MacCreę. Twarze wokół niego widziała jakby przez mgłę, tylko jego była wyraźna. Co tu robił? Abbie czuła, jak jej serce waliło o żebra. W tym momencie pochylił się do przodu ktoś siedzący obok MacCrea i zajął jego uwagę. Abbie od razu rozpoznała rzucające się w oczy siwe włosy. Obok MacCrea siedzieli Lane i Rachel.

- Brama zamknięta - zagrzmiało z głośników. - Rozpoczyna się premiowanie w klasie ogierów. Jurorzy proszą kandydatów o poprowadzenie koni wokół toru.

Z lewej i z prawej rozpoczął się ruch. Abbie, której nerwy wciąż były napięte, poprowadziła pobudzonego, tańczącego Windstorma najpierw po małym kręgu, a potem wzdłuż bariery, by uwidocznili jego piękny, rozkołysany chód. W odróżnieniu od niej ogier był bardzo skoncentrowany.

Jakże często Ben doradzał jej, by nie zwracała uwagi na publiczność i koncentrowała się wyłącznie na koniu!

Potem wszystko ruszyło naprawdę: krok, klus, pozowanie z idealnym trzymaniem nóg, nastawionymi uszami, wyciągniętym grzbietem i wygiętym ogonem, najpierw w grupie, potem pojedynczo. Konkurs jak zawsze trwał całą wieczność, szarpał nerwy i wzmagał napięcie do nieznośnych granic.

Wreszcie padła zapowiedź:

- Jury podjęło decyzję. Podczas liczenia punktów konie mogą odpocząć.

Abbie podeszła do Windstorma z boku i pocierała jego biały kłęb. Drżały jej kolana.

15-Przyrodnie siostry

225

Mimowolnie spojrzała wzdłuż szeregu koni na brązowego ogiera Rachel, który spokojnie i arogancko patrzył na tłum. Uwagi Abbie nie uszła pewność siebie, malująca się na twarzy jego trenera. Kiedy jednak dostrzegła, jak nerwowo zwilżał wargi, natychmiast zrobiło jej się lżej na sercu. Jej usta były suche jak pergamin.

Minuty pełnego napięcia oczekiwania na werdykt mijały bardzo powoli. Kiedy wreszcie spiker zapowiedział, że wyniki już są gotowe, mieszanina głosów przeszła w podniecony szmer.

Zanim podał, które konie zajęły zwycięskie, pierwsze i drugie miejsce, zaczął wyliczać „dziesięć najpiękniejszych ogierów”, uprzedziwszy, że wszystkie są równorzędne, niezależnie od kolejności ich wyliczenia.

Wymieniono siedem ogierów i po każdym z nich wybuchały okrzyki radości i gwizdy. Za każdym razem Abbie wstrzymywała oddech, ponieważ za bardzo pragnęła zwycięstwa, by zadowolić się oceną plasującą jej ogiera wśród „dziesięciu najpiękniejszych”.

- Następny numer czterysta pięćdziesiąt siedem. Windstorm! - Abbie zamarła. Wszystko w niej burzyło się przeciw tej ocenie. - Prezentowany przez właścicielkę i trenerkę Abbie Hix. Oślepiąca łzami wyprowadziła Windstorma nieco przed szereg, głucha na oklaski i pojedyncze okrzyki niezadowolenia. Przegrała. Uczucie porażki było tak przygnębiające, że nie zapamiętała momentu wręczania szarfy i ceremonii pozowania do zdjęć. Nic nie zachowało się w jej pamięci, co miało miejsce przed momentem ogłoszenia zwycięskiego ogiera.

- Tegorocznym zwycięzcą jest ogier numer trzysta pięćdziesiąt osiem, Sirocco!

Kiedy z głośnika padały te słowa, Windstorm zrobił skok i bez mała wyrwał Abbie z rąk cugle. Instynktownie okiełznała go i rakiem sprowadziła na miejsce. Stał, elegancko potrząsając głową, i wyzywająco zarżał w kierunku dumnie paradującego w świetle reflektorów Sirocco, jak gdyby stawiał pod znakiem zapytania decyzję jury.

Reakcja konia kosztowała Abbie bardzo wiele i napięła jej nerwy do granic wytrzymałości.

Spieszyła się z opuszczeniem toru i nie zwracała uwagi na liczne gratulacje. Dla wielu hodowców miejsce wśród dziesięciu najlepszych mogło być wartym zabiegów celem, ale nie dla niej. Nigdy. Przez całe życie przegrywała z Rachel. Ta porażka wywołała u niej szczególnie niesmak.

Abbie pozostała kilka minut w boksie i odzyskała równowagę, zanim nadeszli Ben i Eden. W obliczu wyraźnego rozczarowania Bena i łez Eden trudno jej było jednak zmusić się do uśmiechu. Nade wszystko pragnęła móc płakać razem z córką.

226

- Najwyższy czas - powitała oboje, celowo starając się zrobić to możliwie najbardziej naturalnie. - Czekaliśmy na was.

Podniosła Eden do góry, podała jej szarfę i pomogła zawiesić ją na frontowej ścianie boksu. - Co myślicie o wspólnym wypadzie do restauracji? - zapytała, wycierając ostatnie ślady łez na buzi córki.

- Nie jestem wcale głodna! - powiedziała nadąsana Eden.

- Nawet jeżeli na deser będzie ogromna porcja lodów z czekoladą, śmietaną i wiśniami? - Abbie знаła swoją córkę.

- Ogromna porcja a lodów tylko dla mnie?

- Tak, dla uczczenia tego dnia.

Kiedy opuszczali stajnię, Eden znowu żywo podskakiwała obok Abbie, jak gdyby znikły wszystkie kłopoty. Abbie zazdrościła jej tej dziecięcej zdolności zapominania.

Przed stajnią dla ogierów tłoczyli się ciekawscy. Abbie nie zwracała uwagi na pochwalne okrzyki i gratulacje pod jej adresem. Uważała tylko, by nie zgubić w tłumie Bena i Eden. Nagle stanęła twarzą w twarz z Rachel. Gdy tylko Rachel otrząsnęła się z zaskoczenia, natychmiast przyjął postawę pełną spokoju i pewności siebie.

- Już pani odchodzi? - zapytała z nutą złośliwości w głosie.

Abbie osłupiała. W słowach Rachel wyczuła aluzję, że ucieka, by leczyć swój e rany.

Denerwowało ją to tym bardziej, że było w tym trochę prawdy.

- Tak, odchodzę.

- W stajni dla ogierów urządzamy małą uroczystość. Może zechce pani przyjść?
Abbie początkowo chciała przyjąć to zaproszenie, tylko po to, by zdenerwować Rachel. Oparła się jednak pierwszemu impulsowi, dobrze zdając sobie sprawę z tego, że Rachel niechybnie chciałaby ją upokorzyć z powodu jej porażki.

- A co się będzie świętować? - zapytała ostro. - Zwycięstwo w konkursie urody?

- Na pewno mówiłaby pani inaczej, gdyby to pani ogier wygrał.

Abbie zauważyła, że w pewnej odległości pojawił się MacCrea w towarzystwie Lane'a Canfielda i Rossa Tibbsa, ale była tak zajęta konfrontacją z Rachel, że przestała zwracać uwagę na tę trójkę.

- Myli się pani. Zawsze traktowałam te pokazy wyłącznie jako konkurs urody, w którym ocenia się wygląd konia, a nie jego umiejętności sportowe. Niezależnie od dzisiejszego wyniku zamierzam wystawić Windstorma w tym roku na wyścigach. I zrobię to. Ciekawa jestem, jakie plany ma pani z Sirocco.

227

- Zawiozę go do domu, do River Bend - podkreśliła celowo - by mógł wypocząć przed rundą finałową na jesieni. Potem już nie potrzebuje wygrywać.

- Z wyjątkiem wyścigów. Zresztą uważam pani decyzję za bardzo rozsądną. - Zdziwiona mina Rachel sprawiła Abbie satysfakcję - Wie pani tak samo dobrze jak ja, że pani ogier nie dorósł do trudów wyścigów. Na pani miejscu również wahałabym się przed zbyt dużym obciążeniem konia.

- Pani nie wie, co mówi - odparła sztywno Rachel.

- Ach tak? Wie pani, mój ojciec miał podobne poglądy. Zależało mu przede wszystkim na hodowli pięknych koni. - Abbie zaśmiała się. - Mnie natomiast zależy na hodowli koni arabskich. Podobnie jak pani, on również nie dostrzegał różnicy.

- To kłamstwo! - Rachel z wściekłością podniosła głos.

- Moj a mamusia nie kłamie! - zaprotestowała Eden.

- Bądź cicho! - ofuknęła ją Rachel.

- Nie ma pani prawa odzywać się do mojej córki takim tonem!

- To niech pani nauczy tego bachora dobrych manier! - odgryzła się Rachel.

- Nie wolno pani krzyczeć na moją mamusię! - Eden wyrwała się Abbie i rzuciła się na Rachel. Zanim Abbie zdołała chwycić i odciągnąć małą, podniosła ją góra MacCrea.

- Dość tego. - Posadził ją sobie na biodrze, chwycił Abbie za ramię i popychał przed sobą w tłumie.

- Puść mnie! - Abbie chciała się uwolnić, ale osiągnęła tylko tyle, że jeszcze bardziej zacisnęła uchwyt.

- Ani mi się śni - warknął. Dopóki niósł Eden, nie pozostawało jej nic innego, jak iść razem z nim. Dopiero w pobliżu parkingu, gdy daleko za sobą pozostawili tłum, zatrzymał się i puścił ramię Abbie. Nie zamierzał jednak puścić Eden. - Obie jesteście tego samego pokroju. Powinno się was przełożyć przez kolano i solidnie przetrzepać.

- Na twoim miejscu raczej bym się od tego powstrzymała - ostrzegła go Abbie. - A teraz daj mi moją córkę.

MacCrea nie zwracał na nią uwagi. Patrzył na Bena, który biegł za nimi.

- Ben, spotkamy się przed hotelem. Abbie i Eden wracają ze mną. -Nie czekając na odpowiedź Bena, poszedł na parking. Abbie stała przez chwilę niezdecydowana, ale po krótkim wahaniu poszła za nim.

- Pięknie, uznaję się za pokonaną - powiedziała z rezygnacją, kiedy go dogoniła.

- Nie wątpiłem w to ani przez moment. Tam, naprzeciwko... ten brązowy samochód w drugim rzędzie jest mój.

228

MacCrea podszedł do samochodu, otworzył drzwi i umieścił Eden na tylnym siedzeniu.

- Dokąd jędziemy, mamusiu? - zapytała mała.

- Wracamy do motelu.

Abbie miała przynajmniej nadzieję, że MacCrea je tam zawiezie. Ale tak naprawdę nie wierzyła mu.

- A moje lody? - dopytywała się dalej Eden.

- Jeżeli będziesz grzeczna, dostaniesz ogromną porcję ze wszystkim, co możliwe - obiecał jej MacCrea.

- To przekupstwo - zarzuciła mu Abbie, kiedy Eden posłusznie opadła z powrotem na siedzenie.

- Ale nie gorsze od tego, co ty robisz. - Kierując się wskazówkami na tablicach, jęechał powoli w stronę wyjścia z terenów wystawowych.

- Co to znowu ma znaczyć?

- Jak cię znam, to jesteś teraz dumna z siebie. - Jego głos zabrzmiał gorzko, a twarz przybrała twardy wyraz. - Nie byłaś zadowolona, dopóki nie wciągnęłaś małej w tę głupią, przepelnioną zawiścią sprzeczkę z Rachel. W ten sposób już od małego wszczepia się dzieciom nienawiść.

- Nie ja zaczęłam. To Rachel wciągnęła w to Eden.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś jej umyślnie nie drażniła. Nie możesz temu zaprzeczyć, bo wszystko słyshałem.

- No dobrze, broń biednej, małej Rachel - odparła ironicznie Abbie, próbując jednocześnie zapanować nad wzbierającym szlochem.

- O obronie nie może być mowy.

- A jak inaczej określić twoje postępowanie? - Nie chciała słuhać jego wyjaśnień. - W ogóle nie wiem, po co wdaję się z tobą w dyskusję. Nikogo nie powinno obchodzić, jak wychowuję swoją córkę.

- Może i tak, ale kiedy patrzę na małą, to widzę ciebie... ty też musiałaś być taka, zanim zazdrość i nienawiść zaślepiły ci serce. Chciałabyś, żeby twoja córka też wyrastała w takim rozgoryczeniu i w takiej nienawiści?

- Nie!

- To opamiętaj się wreszcie i uświadom sobie, jaką krzywdę robisz Eden. Twoja zazdrość zniszczy jątak samo, jak nas zniszczyła.

Abbie chciała zaprotestować i powiedzieć, że to on ją oszukał, ale jaki miałoby to sens? Wszystko było skończone. MacCrea nie rozumiał tego wtedy i nie zrozumie również dziś. Poza tym nie mogła spierać się z nim o Eden. Pewnego dnia będzie musiała powiedzieć

swojej córce, kim była Rachel, albo mała dowie się o tej smutnej historii z innej strony. W jednym MacCrea miał rację: nie wolno jej było przelewać własnego rozgoryczenia na Eden.

229

Eden pojawiła się w przerwie między przednimi siedzeniami.

- Rozmawiacie o tej damie, która krzyczała na mamusię? Nie lubię jej. Nie jest miła.

Abbie uchwyciła wiele mówiące spojrzenie MacCrea.

- Eden, nie powinnaś tak mówić - skarciła dziecko.

- Dlaczego? Ty też jej przecież nie lubisz, mamusiu.

- Abbie, skończ z tym jak najszybciej - poradził jej MacCrea.

- Patrzcie, tam jest już nasz motel! - Eden wskazała na tablicę reklamową przed nimi.

Abbie poczuła ulgę, kiedy MacCrea skręcił na podjazd i zatrzymał się przed wejściem.

Powstrzymała chęć pochwycenia Eden na rękę i pobiegnięcia do motelu. Wyszła z nią na chodnik i czekała, aż MacCrea do nich dołączy.

- Powiedz panu Wilderowi dobranoc i podziękuj za podwiezienie. - Starła się powiedzieć to w sposób normalny i naturalny, chociaż nie mogła się spodziewać, że tak po prostu zniknie z Eden w motelu.

- A co z moimi lodami?

- Ach, słusznie. Obiecałem ci największą porcję w mieście, jeżeli będziesz grzeczna - przypomniał sobie MacCrea.

- Nie ma problemu - wtrąciła się Abbie. - Kawiarnia jest jeszcze otwarta. Eden może tam

dostać swoje lody. Z pewnością zamierzasz jeszcze wrócić na przyjęcie. Nie chciałabyśmy cię zatrzymywać.

- Nie zależy mi na przyjęciu. - Zwrócił się do Eden i kontynuował: - Wolę pójść z małą dziewczynką na lody, niż stukać się szampanem za jakiegoś konia.

Abbie, która uznała jego upór za męczący, nie wdała się w dyskusję na ten temat.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju? MacCrea zrobił minę, jakby się zastanawiał nad przyczynami swego zachowania.

- Nie wiem. Być może dlatego, że tak bardzo chcesz mnie od siebie odepchnąć.

Czy zrodziły się w nim podejrzenia? Czy zastanawiał się już nad tym, że za jej postawą kryło się coś więcej niż tylko dążenie do zejścia z drogi byłemu kochankowi?

- W takim razie chodź z nami, jeżeli już tak koniecznie tego chcesz. Nie oczekuj jednak, że będę się z tego cieszyła. - Odwróciła się zdecydowanie i prowadząc Eden za rękę, ruszyła w kierunku wejścia.

- Mamusiu, Ben przyjechał! - Eden pomachała przyjaźnie kierowcy, który skręcał na parking przed motelem.

230

36

restauracji byli praktycznie sami, poza dwoma mężczyznami przy barku i czterema osobami przy stoliku w drugim końcu sali. Abbie popijała kawę i raz po raz spoglądała w kierunku kuchni, nie mogąc się doczekać, kiedy Ben dostanie swoje ciastka, a Eden lody.

- Czy ty też mieszkasz w tym motelu? - zapytała Eden MacCreę. Byli przy stoliku jedynymi osobami, które miały ochotę na rozmowę.

- Tak, oczywiście.

- My też. A kiedy odjeżdżasz? My jedziemy jutro. Tatuś będzie się bardzo cieszył, kiedy wrócimy, prawda, mamusiu?

- Jeszcze jak... -Mimowolnie zaczęła obracać obrączkę na palcu. -My też się cieszymy, że znowu go zobaczymy. - Jakże nieprawdziwie zabrzmiały jej w uszach własne słowa...

Wreszcie przyszła kelnerka i przyniosła Eden ogromny puchar lodów waniliowych z sosem czekoladowym i czapą bitej śmietany, przybraną orzechami i wiśnią.

- No, porcja jest większa od ciebie - przekomarzał się z Eden Mac-Crea. Mała rozwiązała problem w ten sposób, że uklękła na krześle.

- Uważaj, żebyś się nie pobrudziła - upomniała ją Abbie, chociaż wiedziała, że mogła sobie tego oszczędzić. - Weź serwetkę.

Kiedy Eden wbiła łyżeczkę w lody, przez brzeg pucharu wylał się potok stopionej masy lodowej, sosu czekoladowego i śmietany. Eden zebrała tę masę palcem, włożyła z powrotem do pucharu i oblizała rękę.

Bardzo szybko doprowadziła do tego, że na twarzy, rękach i stole wylądowało prawie tyle samo lodów i czekolady, co w jej żołądku. Przyglądanie się, jak jadła, było próbą cierpliwości, a cierpliwość Abbie była już prawie wyczerpana.

Kiedy Eden znowu podniosła do ust ociekającą łyżkę, jej wzrok padł na MacCrea i ręka zawisła w powietrzu w połowie drogi.

- Mamusiu, MacCrea ma tak samo wykrzywiony palec jak ja - powiedziała zdziwiona i wskazała na jego rękę.

Przez moment Abbie czuła się jak sparaliżowana. Po zmieszanej i z-dezorientowanej minie MacCrea było jednak widać, że w ogóle nie dotarło do niego znaczenie uwagi Eden. Jeżeli teraz szybko zareaguje, istniała możliwość, że tak pozostanie.

- Eden, poplamiałaś cały stół. - Nerwowo chwyciła małą dłoń trzymającą łyżkę i zakryła mały palec, by MacCrea nie mógł zobaczyć skrzywienia. -Uważaj. Widzisz, co zrobiłaś?

231

- Mamusiu, widziałaś jego palec?

Abbie pominęła to pytanie milczeniem. Modliła się o to, by nie usłyszał go MacCrea.

- Myślę, kochanie, że już dosyć tych lodów. Teraz pobawisz się koło nas. - Kątem oka dostrzegła, jak MacCrea odsunął filiżankę i z zamyśleniem zmarszczył czoło. Wyjęła łyżkę z lepjących się palców małej i sięgnęła po serwetkę. - Założę się, że więcej lodów masz na sobie niż w sobie. Nawet twój a piękna sukienka jest poplamiona. Coja mam z tobą zrobić? Abbie zwilżyła serwetkę w szklance z wodą i zaczęła wycierać córce twarz i ręce. Czując, że MacCrea skoncentrował na niej całą swoją uwagę, Eden otworzyła usta, by coś powiedzieć. Abbie uprzedziła ją zaczęła udawać, że mokrą serwetką ściera jej z ust ślady czekolady. Potem wstała i podniosła małą z krzesła.

- Myślę, że już pójdziemy i przyzwolicie cię umyjemy. Już i tak najwyższy czas pójść do łóżka.

- Abbie zlekceważyła protesty Eden i z udawanym spokojem odebrała spojrzenie MacCrea, chociaż serce biło jej tak gwałtownie, że obawiała się, iż można je usłyszeć. - Eden, podziękuj panu MacCrea za lody i pożegnaj się z nim. Wyjeżdżamy bardzo wcześnie rano i już się nie zobaczymy.-Przynajmniej miała taką nadzieję.

- Ale...

- Eden... - Abbie spojrzała ostrzegawczo na małą. Myślała już, że wszystko ma za sobą. Jednak po chwili wstrzymała oddech, widząc, że MacCrea podniósł się i stanął obok niej.
 - Dziękuj ę za lody, panie Wilder - wymruczała przygnębiona Eden.
 - Było mi bardzo przyjemnie. Może następnym razem twój a matka da ci więcej czasu najedzenie.
 - Tak - powiedziała bez większej nadziei w głosie.
 - Żegnam, Eden. - Abbie myślała, że serce jej stanie, kiedy MacCrea wyciągnął rękę do jej córki.
 - Lepiej nie. - Chciała zapobiec temu uściskowi dłoni. - Jeszcze cię pobrudzi. - Szukając rozpaczliwie pomocy, zwróciła się do Bena. - Idziesz?
- MacCrea traktował Bena jak powietrze. Patrzył tylko na małą dłoń Eden, spoczywającą na ramieniu Abbie. Nawet nie patrząc w tę stronę, Abbie wiedziała, że ostatni człon małego palca Eden wyraźnie odstaje do góry. Wzrok MacCrea wyrażał zmieszanie i bezradność. Abbie gorączkowo zastanawiała się, co powinna zrobić, jeżeli on domyśli się prawdy. Na szczęście uwagę wszystkich zajął na chwilę Ben.
- Panie Wilder, dziękuję bardzo za kawę i ciastko.
 - Nie ma za co, Ben - odparł pogrążony w myślach MacCrea.

232

- Dobranoc i bardzo dziękuj ę - pożegnała się Abbie i ruszyła, j jeszcze zanim skończyła.
- Chwileczkę, Abbie. - MacCrea chciał pójść za nią, ale zatrzymała go kelnerka.
- Pański rachunek.

Abbie, gdy tylko wyszła z sali, puściła się biegiem. Pędziła wzdłuż drugiego korytarza do swojego pokoju, trzymając na biodrze kołyszącą się na boki Eden. Dopiero w pokoju za zamkniętymi drzwiami poczuje się bezpieczna.

Drżącą ręką usiłowała włożyć klucz do zamka. Niecierpliwie postawiła Eden na podłodze, by mieć obie ręce wolne. Kiedy Ben ją dogonił, podniosła na moment wzrok. Za Benem podążał korytarzem MacCrea.

- On wie - powiedział Ben półgłosem.

Wreszcie udało jej się i przekręciła klucz, ale było już za późno, aby szybko wepchnąć Eden do pokoju.

- Ben, myślę, że zajmie się pan teraz Eden, żebyśmy mogli rozmówić się z Abbie - usłyszała krótkie i chłodne polecenie MacCrea.
- Nie mamy niczego do omawiania - usiłowała się bronić.
- Mamy, mamy i bardzo dobrze o tym wiesz. - Z trudem panował nad wściekłością. - Jeżeli jednak chciałabyś omówić tę sprawę natychmiast w tym miejscu, to zgadzam się także i na to.

Nie miała wyboru.

- Kochanie, pójdiesz teraz z Benem. Pomoże ci się umyć. Przyjdę po ciebie za kilka minut. - Zaczekała, aż Ben odejdzie z małą, po czym odwróciła się i weszła do swego pokoju.

MacCrea szedł za nią krok w krok.

Trzasnęły drzwi, a Abbie popadła w bojowy nastrój. Miała nadzieję, że nigdy nie dojdzie do tej konfrontacji, teraz jednak czekała na nią z pewnym napięciem.

- Eden jest moją córką, mam rację? - zapytał MacCrea. Abbie odwróciła się szybko.

- Eden jest moją córką!
 - Wiesz bardzo dobrze, do diabła, co mam na myśli. - Z wściekłością i zniecierpliwieniem zacisnęła usta, uwydatniając mięśnie szczęki. - Jestem jej ojcem.
 - Dla Eden jesteś nikim. Obcym człowiekiem, który postawił jej lody. Dobie jest jedynym ojcem, jakiego zna. Jego nazwisko znajduje się w jej akcie urodzenia.
 - Dlatego w ogóle wyszłaś za niego, zgadza się? Ten biedny głupiec nie ma pewnie pojęcia, jak go osaczyłaś i wykorzystałaś.
- Abbie unikała jego wzroku.

233

- Moje dziecko potrzebowało ojca.
- Do diabła, miała przecież! Mnie! - Chwycił ją za ramiona i zmusił, by na niego spojrzała. - Ty idiotko! Wiedziałaś, że chciałem się z tobą ożenić, bo cię kochałem.
- Aleja nie chciałam ciebie, ciebie ani twoich oszustw i półprawd. -Dziwne, j ak świeży był ból.
- Ale moje dziecko chciałaś.
- Chciałam mieć moje dziecko. Palce wbijał jej w ramię.
- Nawet jeżeli zaprzeczasz, to i tak pozostaje faktem, że to ja jestem ojcem. Nie możesz tego zmienić.
- No i co z tego? Jakie to ma znaczenie? - przeciwstawiła się. - Jeszcze przed kwadrans w ogóle nie miałaś pojęcia, że masz córkę.
- A czyja to wina? Może to mnie chcesz za to obwiniać?
- Eden cię nie potrzebuje - powiedziała wymijająco. - Spowodowałbyś tylko w jej życiu niemożliwy do usunięcia zamęt.
- Abbie, mówisz o sobie - zarzucił jej. - Mówiąc to, nie mam na myśli naszego stosunku, lecz twoją postawę wobec ojca. Znowu ta przeklęta zazdrość.
- Możliwe. Może uważam, że z takich ojców jak ty i mój ojciec należy zrezygnować.
- Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że twój ojciec mógł kochać i ciebie, i Rachel? Czy nie mogło być tak, że sposób, w jaki się zachowywał wobec ciebie, brał się z jego poczucia winy?
- Ach, co ty o tym wiesz? Jak możesz stawać po stronie mojego ojca? - Próbowała uwolnić się od niego, ale jej nie puszczął.
- Wiem, co czułem, kiedy uświadomiłem sobie, że mam córkę. Myślałem o tym, że powinienem być przy jej narodzinach. Że powinienem być przy tym, jak stawiała pierwsze kroki i wypowiadała pierwsze słowa. Powinienem też być przy niej, kiedy płakała. Jednak było to niemożliwe. Czuję się winien, chociaż to nie moja wina. Jeżeli ja mam takie odczucia, to zastanów się, co musiał czuć twój ojciec z powodu Rachel.
- Tak jednak nie było. - Jak doszedł do tego, by szukać wytłumaczenia dla sytuacji, o której nie miał pojęcia, i tylko po to, by przeforsować swoje egoistyczne dążenia? - On kochał Rachel, a nie mnie. Dla mnie pozostawało tylko słabe odbicie jego miłości do niej, ponieważ byłam do niej podobna.
- Nie wierzysz w to, że kochał was obie?
- Nie - odparła ostro Abbie, zbyt wzburzona tym sporem, by móc jasno myśleć. -Nie można kochać jednocześnie dwojga ludzi.

234

- Ach tak? Ale ty kochasz Eden, swoją matkę i Bena, prawda?

- Oczywiście! - Ledwie wyrwało jej się to słowo, a już dostrzegła pułapkę, w którą wpadła.
 - A jak to sobie tłumaczysz?
 - To zupełnie coś innego - broniła się.
 - Nie, to nie jest coś innego. Całą trójkę kochasz jednakowo mocno, ale w inny sposób.
 - Tak, coś w tym rodzaju. - Abbie pospiesznie uchwyciła się tego wyjaśnienia.
 - Czy nie było więc również możliwe, że twój ojciec tak samo mocno, ale w inny sposób kochał jednocześnie ciebie i Rachel?
 - Wszystko zawsze przekręcasz. - Rozgoryczenie i wściekłość ścisnęły jej gardło, kiedy na niego spojrzała. - Rachel była jego ulubienicą. Jej zawsze wszystko dawał.
 - Może w ten sposób chciał jej wynagrodzić to, że nie mógł zawsze przy niej być, a okazywanie uczuć musiał ograniczać do tych nielicznych, krótkich godzin.
 - A pieniądze, które jej zostawił, podczas gdy my z matką odeszliśmy z pustymi rękami? - Łzy piekły ją w oczach i przesłaniały wzrok, łzy, które wzięły się z bólu i nie zaleczonych ran.
 - Powinnaś wiedzieć, że fundusz założył w chwili narodzin Rachel. Ulokował dla niej pieniądze na długo przedtem, zanim popadł w trudności finansowe.
 - Skąd wiesz?
 - Dowiedziałem się o tym - odparł MacCrea.
 - A dlaczego nie ulokował pieniędzy także dla mnie?
 - Prawdopodobnie dlatego, że byłeś jego legalną spadkobierczynią i był przekonany, że i tak wszystko dostaniesz, cały majątek, który był wówczas o wiele większy niż kapitał ulokowany dla Rachel. Być może postąpił też tak dlatego, że wiedział, jaka niezdolna suka z ciebie wyrośnie. Bestia, która postara się o to, by Rachel nie dostała niczego, tak jak teraz starasz się o to, bym nie miał dostępu do mojego dziecka.
 - Kłamiesz! - z wściekłością zaczęła bić go na oślep. Jej ciosy lądowały na jego ramionach i piersiach. MacCrea zaklął po cichu i przyciągnął ją do siebie tak, że nie mogła poruszać rękami.
- Kiedy pochylił się nad nią, Abbie chciała się odsunąć, ale ujął ją za włosy i mocno przytrzymał, by brutalnym pocałunkiem zdusić jej głośny protest. Abbie była jak sparaliżowana z bólu i upokorzenia.
- Ten nagły atak zakończył się tym, że ustami pieścił jej policzki, a potem szyję.

235

- Abbie, bądź przeklęta za to, co ze mną wyrabiasz - wymruczał pod nosem.
- Z początku nie wiedziała, co miał na myśli. Potem poczuła, że zaczął gładzić jej ramiona. Nie!
- przemknęło jej przez głowę. Nigdy więcej nie pozwoli, by traktował ją jak idiotkę.
- Gwałtownym ruchem do tyłu udało jej się wyrwać z jego uchwytu. Kiedy zrobił krok w jej kierunku, cofnęła się jeszcze bardziej.
- Nie zbliżaj się do mnie! Nienawidzę cię! Zejdź mi z oczu! Wynoś się! Szybko!
 - Wspaniale, tylko ty to potrafisz! Masz wprawę w grzecznym wyprasaniu ludzi ze swojego życia.
 - Wynoś się! - Najchętniej zarzuciłaby mu coś jeszcze, ale wiedziała, że w ten sposób tylko by go sprowokowała.

- Idę - powiedział, ale nie zabierał się do wyjścia. Abbie wstrzymała oddech. Nie chciała powiedzieć niczego, co mogłoby wpłynąć na zmianę jego decyzji. - Ale jeszcze nie koniec z nami.

- Między nami wszystko się skończyło ponad sześć lat temu.

- Zapominasz chyba, że musimy rozwiązać sprawę Eden.

- Trzymaj się od niej z daleka. - Abbie walczyła z narastającą paniką.

- Abbie, możesz mnie wyrzucić z twojego życia, ale nie dopuszczę, żebyś mnie wyrzuciła także z życia Eden. Przyzwyczaj się do tej myśli.

- Nie. - Wiedziała, jak słabo zabrzmiał jej protest. MacCrea odwrócił się i przeszedł kilka kroków dzielących go od drzwi.

Otworzył je i jeszcze raz się odwrócił.

- Jeszcze mnie zobaczysz - obiecał z zawziętością w głosie.

Drzwi się zatrzasnęły. Strach ścisnął Abbie za gardło. Nie mogła pokazać się teraz ani Benowi, ani Eden. Potrzebowała czasu na uporządkowanie myśli.

Następnego ranka opuścili motel przed świtem i pojechali na tereny wystawowe po Windstorma. Kiedy słońce weszło nad górami, Phoenix było już daleko za nimi.

Przez pierwsze pół godziny Abbie ciągle spoglądała w lusterko wsteczne, spodziewając się zobaczyć wypożyczony samochód MacCrea. Odetchnęła dopiero po przekroczeniu granicy Arizony. Poczula taką ulgę, że błyskawicznie ustąpiło napięcie mięśni karku. Z boku wyczuwała nacisk małej stopy. Z uśmiechem spojrzała na śpiącą Eden, która leżała zwinęta z głową na nodze Bena.

- Jaka ona zmęczona - zauważyła Abbie. - Nic dziwnego, skoro tak wcześnie musiała wstać z łóżka. Ale przynajmniej mamy trochę spokoju od jej ciągłych pytań.

236

- Wyjechaliśmy tak wcześnie chyba nie tylko dlatego, żeby mogła usnąć - stwierdził trzeźwo Ben. - Bałaś się, że MacCrea mógłby dziś rano wrócić.

- Nie byłam pewna i nie chciałam ryzykować. Powiedział, że ma do niej prawo.

- Oczekiwałaś czegoś innego?

- Nie wiem. Właściwie nie liczyłam się z tym, że dowie się wszystkiego.

- I co teraz zamierzasz? Abbie wzruszyła ramionami.

- Może jeszcze zmieni zdanie. Dlaczego właściwie miałoby mu zależeć na Eden? Przecież jej prawie nie zna. Nie potrafiłby jej kochać. Większość mężczyzn cieszyłaby się, gdyby ktoś inny troszczył się o ich dziecko i przejął za nie odpowiedzialność. Może on też dojdzie do takiego przekonania, jeżeli gruntownie wszystko rozważy i zapomni o tym idiotycznym poczuciu winy.

- Poczuciu winy?

- Tak, twierdzi, że czuje się winny, ponieważ nie był przy jej narodzinach i tym podobne głupstwa - powiedziała Abbie. Ledwie jednak wymówiła te słowa, przypomniała sobie, co MacCrea powiedział o Rachel i ich ojcu. Całą noc o tym myślała. - Ben, czy sądzisz, że tatuś kochał i mnie, i Rachel?

- Tak, myślę, że tak.

- Gdybyś miał konia, który jest silny, i drugiego, słabego, któremu dawałbyś więcej owsa?

- Oczywiście słabszemu.

- Właśnie.

Czy Ben chciał przez to powiedzieć, że Rachel była słaba? Czy Rachel dostała więcej dlatego, że jej pozycja wyjściowa była gorsza? MacCrea dawał jej do zrozumienia to samo, chociaż innymi słowami. Czy to było możliwe, że przez cały czas niesłusznie zazdrościła Rachel i odrzucała ją?

37

Z,

daleka słychać było monotony hałas silnika traktora, który na byłej łące zdejmował darń razem z górną warstwą ziemi. Powoli zarysowywał się owalny kształt powstającego tam toru treningowego. Pół kilometra dalej było River Bend, które widać było z toru i odwrotnie. Kiedy jej wybór padł na to miejsce, Abbie zdawała sobie sprawę, że Rachel będzie sądziła, iż złośliwie podjęła taką decyzję.

237

Tymczasem przesądził o tym fakt, że teren był płaski i względnie suchy, a poza tym położony w takiej odległości od rzeki, że można było prawie wykluczyć niebezpieczeństwo zalania go po silnych opadach. Bliskość toru wyścigowego od River Bend była więc czysto przypadkowa, niezależnie od tego, czy Rachel chciała w to wierzyć, czy nie.

Abbie westchnęła głęboko, kiedy pożegnała przedstawicielkę jednego z największych czasopism fachowych, poświęconych hodowli koni arabskich, i zobaczyła ją odjeżdżającą małym samochodem.

- Ben, nie wiem, jak się czujesz, ale dla mnie to był ciężki dzień. Dostarczyłam tej damie materiałów na kilka artykułów.

- O, nadjeżdża autobus szkolny Eden - zauważył Ben, nie reagując na uwagę Abbie. Patrzył na szosę.

- Pobiegnę na jej spotkanie. - Abbie zostawiła Bena i ruszyła pośpiesznie wzdłuż drogi dojazdowej.

Od kiedy MacCrea odkrył, że Eden jest jego córką, Abbie wykazywała przesadną troskę o nią i nie spuszczała jej z oczu. Trwało to już dziesięć dni. Do tej pory nie widziała MacCrea i nic o nim nie słyszała. Pragnęła, by na zawsze dał im spokój.

Zobaczyła, że samochód dziennikarki zjechał na bok, by ustąpić miejsca jadącemu z przeciwka nieznanemu kombi. Znała jednak dobrze małą dziewczynkę, która machała do niej z siedzenia dla pasażera. Była to Eden. Abbie pomachała jej także i spojrzała na kierowcę. Poczula lodowaty chłód. Zdarzyło się to, czego najbardziej się obawiała. Przyjechał MacCrea... razem z Eden.

- Mamusiu! - dziewczynka wysunęła głowę przez okno zatrzymującego się samochodu. - Popatrz, kto przyjechał nas odwiedzić!

Abbie nie powiedziała ani słowa. Patrzyła tylko na Eden, lekceważąc MacCrea.

- Wsiadaj-powiedział krótko.

Sztywnymi palcami otworzyła drzwi i wsiadła. Eden przesunęła się na środek i natychmiast zaczęła płać. Do świadomości Abbie nie docierało żadne jej słowo. Myślała, że była przygotowana na taką możliwość, teraz jednak, kiedy to się zdarzyło, nie wiedziała, co robić.

- Mamusiu, nie chcesz wysiąść? - zapytała ją zniecierpliwiona Eden. Dopiero teraz zauważyła, że podjechali pod dom. - Szybko, mamusiu, chcę pokazać MacCrei mojego kucyka.

Abbie reagowała jak automat.

- Najpierw musisz się przebrać. - Popychała Eden w kierunku domu.
- Mamusiu, proszę...
- Eden, znasz zasady.

238

- No, dobrze - odparła zrezygnowana dziewczynka i zakręciła się wokół MacCrea, który stanął obok niej. - To pójdzie bardzo szybko. Zaczekasz na mnie, prawda?
- Tak, zaczekam.

Abbie stała jak wryta. Bała się poruszyć, bała się, że przedwcześnie coś powie lub zrobi, kiedy poczuła, że Mac Crea całą uwagę skoncentrował na niej. Nagle zrobiło jej się ciasno w dresie do jazdy konnej, w wysoko zapiętej bluzie, czarnej kurtce i szarych spodniach.

- Dużo się tu zmieniło - stwierdził MacCrea. - Zniknęła stara murowana stajnia.
- Rozebrano ją, by zrobić miejsce na nową dla klaczy zarodowych - odpowiedziała Abbie.

Wszystkie trzy stajnie, dostosowane do potrzeb stadniny, pomalowano na piaskowy kolor. Drewniane ogrodzenia zagród, toru wyścigowego i wybiegu były impregnowane na ciemno. Wszystko wyglądało bardzo praktycznie i użytecznie.

Abbie wiedziała, że osiągnęła bardzo wiele, i była dumna z tego aż do momentu, kiedy spostrzegła, że jej stadnina nawet w przybliżeniu nie mogła równać się z supernowoczesnymi urządzeniami w River Bend.

- MacCrea, przecież to wszystko w ogóle cię nie interesuje. Powiedz mi szczerze, dlaczego tu przyjechałeś? - zażądała wyjaśnień, patrząc na niego badawczo. Dopiero teraz spostrzegła jego zmęczony wygląd, zapadnięte policzki i cienie pod oczami.
- Abbie, ja naprawdę próbowałem wszystkiego, żeby nie przyjechać, ale nie mogłem wytrzymać. Nie mogę zapomnieć, że ona jest moją córką.
- Nie... - wyszeptwała.
- Chciałbym mieć swój kawałek w jej życiu.
- To niemożliwe.

- Nie? - Wbił w nią wyzywające spojrzenie, by potem błyskawicznie przenieść je na jakiś punkt za nią. - Jeszcze zobaczysz.

Prawie w tym samym momencie Abbie usłyszała stukot butów na bruku dziedzińca. Odwróciła się. Nadbiegała Eden z powiewającym z tyłu warkoczem. Jedna nogawka przyozdobionych łatkami dżinsów tkwiła za cholewką długiego buta, druga była nad nią podwinęta.

- No jak, szybka jestem? - zawołała do MacCrea. Nie zatrzymując się, chwyciła go za rękę i pociągnęła do stajni.
- Chodź, musisz zobaczyć Jojo. To najpiękniejszy kucyk na świecie. Gdybyś nie był taki duży, pozwoliłabym ci się na nim przejechać.
- Już dobrze. Obejrzę go i bez tego - odpowiedział z uśmiechem MacCrea.

239

Dopiero teraz spojrzała przez ramię na Abbie.

- Mamusiu, pójdziesz z nami?
- Tak. - Nie chciała zostawiać jej samej z Wilderem. Patrząc na Eden i słuchając jej nie mogła nie zauważyć, jak bardzo ujął ją MacCrea. Usiłowała wytłumaczyć sobie, że to nic nie znaczy.

Eden zawsze lubiła ludzi. Nic więcej za tym się nie kryło. Idiotyzmem byłoby dopatrywanie się szczególnej więzi między nimi.

- Hm, ta mała dobrze siedzi w siodle - zauważył MacCrea, nie odrywając wzroku od Eden, która galopowała na kucyku wzdłuż toru.

Jego ton, w którym pobrzmiwała ojcowska duma, rozwścieczył Abbie.

- Tak, jak na jej wiek jeździ bardzo dobrze. - Gdyby tego nie powiedziała, zaprzeczyłaby swojej dumie z Eden.

MacCrea podeszedł do ogrodzenia i oparł na nim rękę.

- Popatrz, Abbie - szepnął do niej - ona jest częścią nas, naszym ciałem i krwią.

Abbie popatrzyła nagle na Eden innymi oczami. Ciemne włosy i niebieskie oczy rozpoznała jako cechy odziedziczone po niej, loki i odstający palec jako dziedzictwo po MacCrea, czemu nie można było zaprzeczyć. Odwróciła wzrok od Eden i spojrzała na niego, mimo że trudno było jej wytrzymać spojrzenie jego ciemnych, badawczych oczu.

- Jest naszym wspólnym dziełem. - Jego głos stał się nagle czuły. Zastraszająco łatwo było sobie wyobrazić, jak byłoby w jego ramionach.

- Nie... nie mów tak. - Odstąpiła krok do tyłu. - Nie wolno ci nawet tak myśleć.

- Ty wiesz, że tak jest. - Nadal stał oparty o ogrodzenie. Wydawało się, że nie ma pojęcia o jej zdenerwowaniu.

Podeszła do bramy toru.

- Eden, na dziś koniec. Pan Wilder musi jechać. Chodź się pożegnać. Eden przyklusowała do nich.

- MacCrea, nie możesz jeszcze chwilę zostać? Mamusiu, postaw mi kilka przeszkód, by mógł zobaczyć, jak wysoko Jojo potrafi skakać.

- Nie, już za późno. - Abbie schwyciła kucyka za uzdę i sprowadziła z toru.

- Czy MacCrea może zostać na obiedzie?

- Nie. - Jeszcze tylko tego brakowało, by Dobie się dowiedział o jego wizycie. Kątem oka dostrzegła, że MacCrea wyprostował się, najwyraźniej z zamiarem pójścia do samochodu. - Pytałam go już o to. Nie może. - Jej spojrzenie świadczyło, że nie życzy sobie żadnej dyskusji na ten temat.

- Może innym razem, Eden - powiedział Wilder.

240

- Odwiedzisz nas znowu?

- Możesz być pewna.

- Mac... - zaczęła Abbie. Nie pozwolił jej jednak dojść do słowa.

- Twojej matce chciałem właśnie powiedzieć, że znowu przeprowadzam się do Houston. - Powiedział to tak od niechcienia, że początkowo nie uświadomiła sobie znaczenia jego słów.

- Nie możesz tego zrobić. - Abbie patrzyła na niego osłupiała. Dopiero po chwili dotarło do niej to, co powiedział.

MacCrea zaśmiał się, ale oczy miał poważne.

- To jest właśnie zaleta zawodu wildcattera. Dowolnie może zmieniać siedzibę swojego przedsiębiorstwa. A ja zupełnie przypadkowo postanowiłem działać w Houston. Najwyższy czas, żebyśmy znalazł sobie stałe miejsce.

Abbie wykrzyczałaby najchętniej tysiąc protestów, ale przy Eden nie mogła tego zrobić.

- Czy uważasz to za rozsądne? - zapytała krótko.
- Rozsądne dla kogo? - Jego uśmiech wyrażał denerwującą pewność siebie. - Przez kilka dni będę się rozglądać po mieście. Może nasze drogi gdzieś się skrzyżują.
- Abbie była tak wściekła, że nie mogła wydobyć słowa. Wiedział bardzo dobrze, że nie mogła przyjąć jego decyzji bez sprzeciwu. Musiała spotkać się z nim i spróbować wybić mu te plany z głowy, w jakiś sposób przywołać go do rozsądku.
- Po paru słowach wymienionych z Eden MacCrea poszedł do samochodu. Abbie poczuła ulgę, kiedy zobaczyła, że wsiadł.
- Dlaczego sienie pożegnałaś, mamusiu?
- Mac, poczekaj! - Uświadomiła sobie nagle, że nie wie, gdzie on mieszka. Było już jednak za późno. Warkot silnika zagłuszył jej okrzyk. Nie usłyszał jej, a biec za nim nie chciała.
- Jak to j est, że mówisz na niego Mac? - zapytała ciekawska Eden.
- Ja... ja nie wiem. Prawdopodobnie to jego przezwisko.
- Tak rzadko zwracała się do niego w ten sposób, z wyjątkiem chwil, kiedy się kochali.
- Ja też będę tak na niego mówiła - stwierdziła zdecydowanie Eden. Abbie bardzo chciała się temu sprzeciwić, ale nie wiedziała jak to zrobić. Z każdym krokiem coraz głębiej pogrążała się w wykopanym przez siebie dole.
- Eden, musisz rozsiodłać Jojo i zaprowadzić go do stajni. Potem konie dostaną karmę, a my musimy zająć się gotowaniem kolacji, by była gotowa, kiedy tatuś wróci z pracy.

16- Przyrodnie siostry

241

Truesdale Building był pustym, dwupiętrowym budynkiem z cegły z przełomu wieków. MacCrea chciał się z nią tu spotkać, ale Abbie nigdzie nie mogła dostrzec jego samochodu. Weszła na schody prowadzące do głównego wejścia i spróbowała otworzyć drzwi, które poddały się lekkiemu naciskowi.

Kiedy weszła do środka, zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. W powietrzu wisiał zapach stęchlizny. Gdzieś z oddali dobiegał metaliczny huk.

- Halo? Jest tu ktoś? - Jej głos odbił się echem w pustym pomieszczeniu. Tak jakby wołała w pustkę. W ogołoconych pokojach nienaturalnie głośno rozległy się kroki. - MacCrea?
- Tak, już idę. - Abbie rozpoznała jego głos, który głucho zabrzmiał z oddali. Zaraz potem wyłonił się z ciemności na końcu korytarza i szedł w jej kierunku, otrzepując rękawy marynarki.
- Przepraszam, Abbie. Chciałem tylko przyjrzeć się bliżej rurom i nie słyszałem cię. Ponieważ makler dał mi klucze, pomyślałem sobie, że mógłbym się tu trochę rozejrzeć. No jak, co sądzisz o tych starych murach?
- Ja... ja nie wiem. - Nie przyszła tu po to, by rozmawiać o budynku.
- Solidna, stara budowla. Przy niewielkich nakładach znowu odzyska swoją świetność. - MacCrea rozejrzał się krytycznie. - Umowa sprzedaży jest już podpisana.
- MacCrea, nie możesz tu osiaść. Powiedziałam ci już, że musimy o tym porozmawiać. Co ci przyszło do głowy? - Po jego wstępie runęły wszystkie tak starannie przemyślane argumenty. - Dlaczego nie mogłeś poczekać ze swoją decyzją, aż wszystko przedyskutujemy?
- Jeśli o mnie chodzi, to nie ma o czym dyskutować.
- Dlaczego się wreszcie nie opamiętasz? Czy nie widzisz, jak nieznośna stanie się sytuacja? Nie tylko dla mnie, także dla Eden i wszystkich zainteresowanych. Nie możesz tak po prostu przychodzić sobie i widywać się z dzieckiem - upomniała go Abbie.

- Dlaczego? Jest moją córką. - Jego słowom towarzyszyło obojętne wzruszenie ramion.
- Powinam się domyślić, że taka właśnie będzie twoja reakcja. - Rozwścieczona Abbie odwróciła się do niego plecami. - O uczucia innych nigdy się nie troszczyłeś. Dla ciebie liczą się tylko twój e własne. Robisz, co chcesz, stwarzasz problemy, których konsekwencje muszą ponosić inni.

Wzburzona wpadła do przyległego, pustego pomieszczenia i rzuciła torebkę na ustawione wzdłuż ściany drewniane skrzynie.

- Abbie, tych problemów nie stworzyłem ja, ale ty, wychodząc za Hiksa i przedstawiając moje dziecko jako jego - powiedział MacCrea, który podążył za nią. - Nie miałem żadnego udziału w twojej decyzji. A teraz ta

242

błędna decyzja obraca się przeciw tobie i tracisz nerwy. Nie powinnaś była wychodzić za tego człowieka.

Miał rację i dlatego go nienawidziła.

- Prawdopodobnie uważasz, że powinnam wyjść za ciebie.
- Tak, oczywiście. Nie znalazłabyś się później w tej matni.
- Nie, MacCrea, tkwiłabym w jeszcze gorszej.

Skrzyżował ramiona, usiłując zapanować nad wzbierającymi emocjami.

Dłuższą chwilę oboje milczeli. MacCrea podszedł do jednej ze skrzyń i nieobecny wzrokiem przyglądał się umieszczonym na niej napisom. Wreszcie powiedział:

- Nasze ostatnie spotkanie... po tym przyjęciu przed Bożym Narodzeniem. .. to musiało być chyba wtedy. To po tym spotkaniu zaszła w ciążę.

- Tak. - Dla niej był to drugorzędny szczegół.

- Ostatnio często myślałem o tamtej nocy. Ty też musiałaś ją wspominać.

- Pamiętam przede wszystkim, jak się skończyła - wyrzuciła z siebie ostro. Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. - Komu opowiedziałeś o Eden? Czy Rachel wie o niej?

- Nikt nie wie. - MacCrea chwycił Abbie za rękę i przyciągnął ją bliżej.

- Abbie, nigdy tego nie mogłem pojąć... Co Rachel ma z nami wspólnego? Z moimi uczuciami czy z twoimi?

- Jeżeli teraz jeszcze nie wiesz, to nigdy nie zrozumiesz. - Daremnie usiłowała uwolnić się z jego chwytu.

- Ja chcę wiedzieć - upierał się. - Powiedz mi, co ona ma z nami wspólnego.

- Nie mogę. - Rzeczywiście, Rachel jakby nagle przestała odgrywać w ich życiu jakąkolwiek rolę.

- Wobec tego pozwól, że zadam ci pytanie: zakładając, że Rachel ma konia, którego ty chciałybyś mieć, czy kupiłabyś go od niej?

- Ach, co to ma za znaczenie! Nigdy by mi go przecież nie sprzedała.

- Abbie nie wiedziała w ogóle, dlaczego wdała się w tę bezsensowną dyskusję.

- Załóżmy jednak, że Rachel sprzedałaby. Kupiłabyś od niej?

- Gdybym chciała, to tak.

- Mimo że jej nienawidzisz i nie chcesz mieć z nią wspólnego?

- Nie nienawidzę Rachel. - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, ze zdziwieniem zaczęła je analizować. Ze zdziwieniem, bo były prawdziwe. Kiedy i w jaki sposób do tego doszło, nie

wiedziała, ale faktem było, że już jej nie nienawdziła. - Poza tym kupno konia to interes i nie ma nic wspólnego z osobistymi uczuciami.

243

- Również moje stosunki z nią miały... i mają... charakter ściśle zawodowy. Jak często usiłowałem ci to uświadomić? Nie chciałaś mnie jednak słuchać. Dlaczego, Abbie?

- Nie wiem. - Gorączkowo poszukiwała jakiegoś sensownego wyjaśnienia. - Może nie mogłam wtedy inaczej. Może byłam za młoda i za bardzo nastawiona na to, by podejrzewać najgorsze. W tamtym roku wydarzyło się tak wiele... - Nie potrafiła zebrać w jedną całość wszystkich rozproszonych okrucich przeszłości. - Jakże teraz to ma znaczenie? - zapytała. -1 tak wszystko już minęło.

Wyprostował się, objął ją zniemacka w pól i odwrócił do siebie.

- Nie musiało tak być, Abbie.

Spojrzała w jego oczy i prawie mu uwierzyła. Kiedy zobaczyła, że zbliżają się jego usta, nie uchyliła się. Pozwoliła, by dotknął nimi jej warg i poczuła ich łagodny, ciepły i podniecający nacisk, który pobudził w niej uczucia od lat zapomniane. Zbyt wiele czasu upłynęło od chwil, w których czuła tyle delikatnej namiętności i jego łagodnie pieszczące ręce na swym ciele. Przypomniały jej, jaką rozkosz przeżywała kiedyś w jego ramionach. Abbie przycisnęła się do niego, kierowana pragnieniem kochania tego mężczyzny, pragnieniem, które długo pozostawało niespełnione.

- Abbie, pragnę cię. - Trzymał ją bardzo mocno i pieścił wargami jej ucho. - Przez te wszystkie lata nie przestałem cię kochać i tęsknić, a z tobą było podobnie. Nic się nie zmieniło, Abbie, zupełnie nic.

Nie była to jednak prawda.

- Mylisz się. - Abbie odsunęła się od niego. - Dużo się zmieniło. Nie jestem już ta sama, co kiedyś i ty też nie jesteś ten sam. Oboje się zmieniliśmy. Ja stałam się dorosła. Myślę i czuję zupełnie inaczej. Nie znasz mnie już i nie wiesz, jaka teraz jestem, czego bym chciała i czego potrzebuję.

- Nie? Założyłbym się, że w niektórych sprawach bardzo trafnie mógłbym ci doradzić - zażartował. - Weźmy na przykład twoje włosy, które spinasz teraz w ciasny węzeł na karku. Na pewno nie pozwalasz im już opadać tak swobodnie jak kiedyś. - Poglądził palcami jej kark i przesunął je na wysoko zapięty kołnierzyk bluzki. - Nosisz też golfy i wysoko zapinane bluzki. Do tego męskie marynarki. Idę o każdy zakład, że w twojej szafie nie wisi już ani jedna piękna sukienka, która podkreślałaby figurę.

- Błąd. Mam takich kilka.

- Nowych?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Ach tak? Abbie, usiłujesz ukryć swoją naturę pod wysoko zapinanymi bluzkami i pod ciasnym węzłem włosów. Nie kochasz swojego męża— farmera, i nigdy go nie kochałaś.

244

- Co więc proponujesz? Mam go opuścić? - Mina MacCrea dawała do zrozumienia, że właśnie tego po niej oczekiwał. -A co powinnam zrobić potem? Wrócić do ciebie?

- Tak, do diabła, tak. - Zmarszczył czoło. - Czy nie widzisz, że byłoby to idealne rozwiązanie? We trójkę moglibyśmy żyć jak należy.

Abbie patrzyła zmieszana. Uwolniła się od niego i chodziła zdenerwowana po pustym pomieszczeniu, nie mogąc stłumić gorzkiego uśmiechu.

- Po co to wszystko? Dlatego, że chciałbyś mieć swoją córkę?
- Czy to takie niewiarygodne, że chciałbym was obie?
- Nie. Posłuchaj mnie. Może rzeczywiście masz prawo widywać swoją córkę, poznać ją...
- Jeszcze jakie!
- Masz też prawo ujawnić całą sytuację publicznie. Jeżeli pozwolę ci widywać się z Eden, czy dasz mi słowo, że nie będziesz mówił o swoim ojcostwie, przynajmniej przez jakiś czas?
- A jeżeli dam ci moje słowo, uwierzysz?
- Nie pozostanie mi nic innego.
- To nie świadczy o szczególnym zaufaniu.
- Decyzję w sprawie czasu i miejsc spotkań musisz pozostawić mnie. Wstrzymała oddech, kiedy MacCrea przyglądał jej się z namysłem. Nie spieszył się z odpowiedzią.
- Zgadzam się.
- Dobrze. - Poczowała ulgę, ponieważ po raz pierwszy nabierała nadziei. - Przyrzekam ci, że nie zerwę kontaktów. - Po tych słowach odwróciła się i odeszła.
- Abbie! - Dogonił ją korytarzu. - Jeszcze jedno, zanim odejdziesz. Kiedy zobaczyłem cię znowu w Phoenix, ty byłaś tą, którą chciałem mieć. Na długo przed odkryciem, że Eden jest moją córką. Zastanów się nad tym. Całowaliśmy długo i namiętnie... Nie przestał, dopóki nie odpowiedziała mu pocałunkiem.

245

38

1 rzechodząc korytarzem, Rachel zauważyła, że drzwi gabinetu są na wpół otwarte. Cofnęła się i otworzyła je na oścież. W wyłożonym boazerią z orzechowego drewna pomieszczeniu nie było nikogo. Za sobą słyszała szelest krochmalonego fartucha. Zza rogu wyszła j edna ze służących.

- Mario, widziałaś pana Tibbsa? - Ross obiecał w Scottsdale jej i La-ne'owi, że odwiedzi ich w River Bend i już od trzech dni był ich gościem.
- Tak, pani Canfield, j est we frontowym salonie.
- Dziękuję. - Rachel szybko poszła dalej do przedsionka. Omal nie przeoczyła przy tym chłopca stojącego przy drzwiach wyjściowych i walczącego z suwakiem kurtki. - Dokąd się wybierasz, Alex?

Spojrzał na nią przestraszony i natychmiast opuścił brodę, która prawie zniknęła w kołnierzu kurtki.

- Na dwór - wymruczał niechętnie. Brązowy kosmyk włosów zakrywał mu niebieskie oczy.
- Czy pani Weldon ci pozwoliła? - Rachel zadała to pytanie ze zmarszczonym czołem, starając się, by nie wyglądało to tak, jak gdyby chciała go uderzyć. Jeszcze nigdy go nie uderzyła.

Skinał skwapliwie głową.

- Powiedziała, że mogę wziąć ciężarówkę, którą podarował mi wujek MacCrea. Spojrzała na stojącą na podłodze ogromną zabawkę z monstrualnymi kołami.

- Uważaj, żebyś jej nie zepsuł. - Rachel starała się być dobrą matką, ale nie udawało jej się nawiązać z chłopcem kontaktu. Doszło nawet do tego, że czasami zastanawiała się, czy ten nieśmiały, wrażliwy chłopiec rzeczywiście jest jej synem. Ogromnie frustrujące było to, że w oczach Aleksa Lane niczego nie mógł zrobić źle, a ona niczego dobrze.

Kiedy Alex nadal nie mógł poradzić sobie z zamkiem błyskawicznym, Rachel podeszła do niego.

- Poczekaj, pomogę ci. - Wygladziła kołnierz kurtki i położyła mu rękę na ramieniu. - No, teraz dobrze. - Uśmiechnęła się do niego. Z wahaniem odpowiedział jej uśmiechem i Rachel poczuła chęć przygarnięcia go do siebie. Ledwie jednak wyciągnęła ręce, cofnął się o krok. Wszystko wydało jej się nagle nieprzyjemne i wymuszone. Wyprostowała się gwałtownie, rozczarowana jego zachowaniem. - Idź i pobaw się na zewnątrz.

Zachowanie chłopca sprawiło jej ból. Rachel odwróciła się i sztywnym krokiem podeszła do podwójnych drzwi. Kiedy wchodziła do salonu, za-

246

pomniała już, że miał w nim być Ross. Zdziwiona zatrzymała się, gdy ktoś wziął ją za ramię i odwrócił.

- Nie ma ucieczki, błękitnooka - powiedział Ross. Śmiejąc się, splótł ręce na jej plecach i przyciskał ją do siebie. - Tym razem cię mam.

- Ross, jesteś... - Zdusił jej protest pełnym żaru pocałunkiem, który przełamał jej sztywność. Z westchnieniem zadowolenia oparła głowę na jego ramieniu. - Tak mi cię brakowało - wyszeptała.

Prawie w tym samym momencie usłyszała od strony drzwi jakiś szmer. Za późno przypomniała sobie, że zostawiła je otwarte. Maria, pani We-Idon... każdy mógł zobaczyć, że Ross ją całował. Z poczuciem winy odwróciła się oczekując, że zobaczy jedną z pomocy domowych. Ale ujrzała Aleksa, który niepewnie zatrzymał się w progu.

- Alex, miałeś wyjść na dwór. Co tu robisz? - zapytała ostrym tonem. Spuścił wzrok i cofnął się nieznacznie.

- Pomyślałem... że może chciałabyś wyjść ze mną i popatrzeć, jak bawię się moją nową ciężarówką.

- Nie! - Wiedziała, że powiedziała to z niechęcią i oburzeniem, ale nie mogła się opanować. - Teraz nie. Jestem zajęta. - Alex cofał się dalej, nie spuszczać z niej wzroku.

- Może innym razem, mały - wtrącił się Ross.

Rachel nie mogła znieść spojrzenia syna. Jasnoniebieskimi oczyma patrzył na nią z urazą i niemym wyrzutem.

- Alex, proszę, idź pobawić się na dwór.

Zrobił jeszcze jeden krok do tyłu, odwrócił się i pobiegł do drzwi wyjściowych. Rachel stała bez ruchu do chwili, gdy drzwi zatrzasnęły się i usłyszała jego kroki na schodach werandy. Dopiero potem podeszła do drzwi salonu i zamknęła je. Spojrzała na Rossa i bezwładnie oparła się o nie. Czowała ucisk w gardle.

- Nie powinnaś traktować chłopca tak ostro - upomniał ją łagodnie.

- Nie rozumiesz tego. On mnie nie lubi. A co będzie, jeśli powie La-ne'owi? - Zdenerwowana oderwała się od drzwi.

- A co takiego może mu powiedzieć? - Ross stanął przed nią i wziął ją za rękę.

- Nie wiem... - Rachel czuła się podle. - Cieszę się, że tu jesteś, ale jednocześnie się boję, że Lane mógłby się we wszystkim zorientować.

Ross podniósł jej prawą rękę i pocałował w sam środek dłoni.

- Czy byłoby to takie straszne, gdyby się dowiedział? W końcu kocham cię, a ty kochasz mnie.

- Chciałabym być razem z tobą, kochanie, musisz mi wierzyć. Ale to nie jest takie proste, jak sobie wyobrażasz. Gdybym teraz wyszła z tobą

247

przez te drzwi i odeszła, straciłabym wszystko, mój dom rodzinny, River Bend, Sirocco i - chciała powiedzieć: „...i wszystkie inne konie”. Ross jednak przerwał jej.

- Wiem... twojego syna.

- Tak, Aleksa także. - Poczwała się podle, że nawet nie pomyślała o małym. W duchu jednak zawsze widziała w nim tylko syna Lane'a. River Bend, konie to należało do niej, ale Lane nigdy by jej tego wszystkiego nie zostawił. Była o tym przekonana. Patrząc wstecz, rozumiała teraz bardzo dobrze, przez co musiał przejść Dean. Ten kawałek ziemi i dom od pokoleń były w posiadaniu rodziny. Jak mógłby wziąć na siebie ryzyko utraty tego wszystkiego przez rozwód, mimo że bardzo kochał jej matkę? Dwoje ludzi nie potrzebuje ślubu, by znaleźć wspólne szczęście. Rachel była pewna, że z czasem uda jej się przekonać Rossa, iż najlepszym wyjściem jest trzymanie ich miłości w tajemnicy. Jeżeli ją naprawdę kocha, pogodzi się z tym i nie będzie oczekiwał, że zrezygnuje ze wszystkiego, o czym marzyła przez całe życie.

- Czy wiesz, jak frustrujące jest dla mnie spanie z tobą pod jednym dachem, ale nie w jednym łóżku? - Ross znowu przyciągnął ją do siebie. - Chodźmy na górę i zamknijmy się. Mamy do dyspozycji całe popołudnie.

- Wykluczone. Lane i MacCrea mogą wrócić w każdej chwili.

- Jestem tu już trzy dni i nie otrzymałem niczego więcej poza paroma skradzionymi pocałunkami, Rachel.

- Porozmawiajmy lepiej o czym innym. - Podeszła do okna i odsunęła na bok firankę. Aleksa nigdzie nie było widać.

- Masz jakieś konkretne propozycje?

Rachel pominęła milczeniem jego ironiczne pytanie.

- Czy wczoraj po obiedzie MacCrea powiedział ci, dlaczego tak niespodziewanie zdecydował się na powrót do Houston? Prowadziliście taką ożywioną rozmowę.

- Nie, nic mi nie powiedział. A ty znasz powód?

- Mam wrażenie, że on znowu zaczyna z Abbie. - Pamiętała jeszcze dokładnie, jak zniknął z nią w wieczór zwycięstwa Sirocco.

- Aha, przy okazji, przeczytałaś artykuł o Abbie w marcowym numerze pisma dla hodowców koni? - Ross wskazał na pismo leżące na stoliku. Na tytułowej stronie paradował Sirocco.

- Przeczytałam tylko artykuł o Sirocco. Na więcej nie miałam czasu. Ross przekartkował pismo i podał jej otwarte na stronie z artykułem o Abbie.

- Zapowiedź Abbie, że wystawi swego ogiera w wyścigach, wywołała spore poruszenie. Zdjęcia jej hali treningowej są naprawdę wspaniałe.

Rachel przejrzała pobieżnie podsunięty jej artykuł. Zajmował pięć stron, o jedną więcej niż tytułowa publikacja o Sirocco.

- Musisz przyznać, że to dobry artykuł - powiedział Ross, gdy skończyła go przeglądać. Rachel wróciła do początku i czytała wszystko jeszcze raz. Jej gniew narastał z każdym słowem.

- Tego starego Polaka cytuj ajak prawdziwego guru. A czytałeś jej wypowiedź? - Zaczęła głośno czytać: - „W amerykańskiej hodowli koni arabskich wyścigi będą wkrótce odgrywały tak samo znaczącą rolę, jak w Rosji, Polsce czy Egipcie. Są one częścią naturalnego procesu selekcji. W Stanach Zjednoczonych za dużą wagę przywiązuje się do urody koni arabskich -twierdzi pani Hix. - Zbyt wiele naszych ostatnich zwycięzców kraj owych ma poważne wady budowy. Każdy trener, który zna się na swojej pracy, od razu wykluczyłby je z wyścigów. A jednak mimo to, dzięki naszemu systemowi ocen, zdobywają one nagrody. Jeżeli to one mają być tymi najlepszymi, to obawiam się, że wkrótce popadniemy w poważne trudności".
Koniec cytatu.

- Mówi wreszcie otwarcie to, co w wąskim kręgu wielu znawców branży twierdzi już od lat.

- Tak? - Rachel rzuciła pismo na stolik do kawy. - Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że ten artykuł to aluzja do Sirocco? Abbie brakuje tylko odwagi, by wymienić go po imieniu. Nie może znieść, że mój ogier wygrał, a jej przegrał. Teraz robi wszystko, by obniżyć zalety Sirocco. Ile bym dała za to, żeby można było nakłonić ją do cofnięcia tej wypowiedzi!

- Niestety, nie dojdzie do tego.

- Dlaczego nie?

- No wiesz, ponieważ... ponieważ nie zgodzisz się na start Sirocco w wyścigach. Musisz przygotować go do konkursu krajowego. Poza tym nie zaryzykujesz, by tak cenny ogier zranił się na torze.

- A więc ty też uważasz, że on by padł na torze?

- O tym nie ma mowy. - Ross podniósł rękę w obronnym geście. -Ale po co ten spór? I tak nie pošlesz go na wyścigi.

- Kto tak powiedział?

Zmieszany Ross opadł na aksamitne poduszki antycznej sofie.

- Myślałem, że twój a decyzja już zapadła.

- A może zmieniłam zamiar? Jeśli zacznę trenować Sirocco, będę miała dwa razy większą publicy niż ona. Znalezienie trenera nie jest żadnym problemem. Mogłabym pozwolić sobie na najlepszego.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Dlaczego nie? Dziadkowie Sirocco uczestniczyli w wyścigach w Egipcie... i wygrywali je. - Im drożej się nad tym zastanawiała, tym mocniej -

sza była jej decyzja. - Abbie mówi w artykule, że chce wystawić swojego ogiera czwartego lipca w wyścigu Liberty Classic w Delaware Park. - Znowu wzięła do ręki czasopismo.

- Tak, myślę, że tak.

- Sirocco również wystartuje w tym wyścigu. - Przerzuciła artykuł jeszcze raz, by podkreślić nazwę, datę i miejsce wyścigów.

- To jest twój koń, Rachel... i chyba wiesz, co robisz.
- Oczywiście. Wszystko się uda... pod wieloma względami. Czy nie rozumiesz tego, Ross? Zapewni to nie tylko ogromną popularność Sirocco, ale stworzy nam także możliwość spotkania się w tajemnicy... daleko stąd, gdzie nikt nas nie zna. Muszę wysłać gdzieś Sirocco na treningi. Przed Liberty Classic musi też zaliczyć kilka innych wyścigów. Lane nie będzie miał żadnych podejrzeń, jeżeli co dwa tygodnie będę latała do Sirocco. Moglibyśmy być razem, sami, jak w Scottsdale.

- Więcej nie potrzebujesz mówić. Mnie przekonałaś. Rachel patrzyła na zdjęcie Abbie.
- Ile bym dała za to, by widzieć jej twarz, kiedy się o tym dowie. - Jej śmiech był głęboki i gardłowy. Rozkoszowała się tą myślą.

Ciepła, wilgotna bryza od zatoki rozwiewała grzywę Windstorma i o-wiewała rękę Abbie, kiedy galopowała na nim po łące. Marcowe słońce świeciło z pastelowo błękitnego nieba.

Abbie powściągnęła konia i ruszyła klusem po torze wyścigowym zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Obok niej natychmiast pojawiła się Eden, której kucyk miał trudności z dotrzymaniem kroku Windstormowi. Po pierwszej rundzie córka straciła jednak chęć do dalszej wspólnej jazdy. Zawsze było tak samo. Eden koniecznie chciała j eździć razem, kiedy trenował Wind-storm, ale bardzo szybko miała dosyć ciągłego krążenia po torze. Szukała potem odmiany, robiła rozpoznawcze wycieczki nad staw albo skakała przez zbudowane własnoręcznie przeszkody.

Gdzieś rozległo się przeraźliwe rzenie konia. Przy białym ogrodzeniu należącej do River Bend łąki przepychało się kilka j ednolatków.

- Hej, ty! - Nagły okrzyk Eden ponownie skierował uwagę Abbie na tor. - Co tam robisz? Kto ci pozwolił tu się bawić?

Intruzem był mały chłopiec mniej więcej w wieku Eden. Pod pachą trzymał dużą plastikową ciężarówkę. Kiedy Abbie zatrzymała Windstorma obok konika córki, przestraszony malec się cofnął. Dużymi oczami patrzył na przemian na Abbie i Eden, a potem spojrzął przez ramię na zewnętrzne ogrodzenie toru, jak gdyby chciał ocenić swoje szansę.

250

- Mamusiu, co ten chłopiec tu robi? - chciała wiedzieć Eden, która najwyraźniej poczuła się urażona w swojej dumie właścicielki.

- Ja... Usta chłopca się skrzywiły. - Chciałem się tylko pobawić moją nową ciężarówką. Niczego nie zrobiłem.

Abbie, której zrobiło się go żal, uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że nie. Napędziłeś nam tylko strachu. Nie wiedziałyśmy, że tu jesteś. Jak się nazywasz?

- Alex - odpowiedział z oporem.

Abbie mimowolnie spojrzała w kierunku River Bend. Syn Rachel miał na imię Alex. Jej wzrok znowu powędrował ku chłopcu. Poza niebieskimi oczami nie mogła dostrzec w nim większego podobieństwa do Rachel.

- Mieszkaś w River Bend, prawda? Skinął głową, by zaraz dodać:

- Czasami.

Abbie słyszała już, że syn Rachel w ciągu tygodnia przebywał w prywatnej szkole w Houston.

- Czy twoja matka wie, że się tu bawisz?

- Nie. - Opuścił wzrok. - Ale i tak byłoby jej to obojętne. Wszystko, co robię, jest jej obojętne. - W jego cichej odpowiedzi było tyle żalu i niechęci zarazem, że Abbie nie wierzyła własnym uszom.

- Ach nie, tylko tak sobie wmawiasz. Z całą pewnością nie jest jej to obojętne - usiłowała go pocieszyć, na co Alex zareagował przeczącym ruchem głowy. - Cieszę się, że cię poznałam, Alex - kontynuowała. - Ja jestem Abbie, a to Eden.

- Jak to jest, że ta ciężarówka ma takie ogromne koła? Wygląda naprawdę śmiesznie. - Eden powiedziała to z krytycznie zmarszczonym czołem. - Mogę ją obejrzeć? - Wysunęła stopy ze strzemion, zeskoczyła z kucyka i bez wahania podeszła do Aleksa.

Abbie chciała zawołać ją z powrotem i odesłać Aleksa do domu, bo wiedziała dokładnie, jak zareagowałaby Rachel, gdyby dowiedziała się o eskapadzie chłopca. Z drugiej strony Eden cieszyła się, gdy mogła bawić się z równolatkiem, a Alex nim był. Dzieci nie musiały wiedzieć o tym, że była z Rachel na wojennej stopie.

Kiedy Abbie zaproponowała, by bawili się na środku toru wyścigowego, Eden aż podskoczyła do góry. Nie pomyślała nawet o tym, że Alex mógłby nie mieć na to ochoty. Abbie kontynuowała tymczasem trening Windstorma.

Kiedy mijala pierwszy słupek, dostrzegła białego mercedesa jadącego powoli przebiegającą obok toru drogą. Abbie wiedziała, że w najbliższym otoczeniu był tylko jeden taki samochód i że należał do Canfieldów.

251

Mimowolnie powściągnęła Windstorma i obróciła się w siodle za bawiącymi się na środku toru dziećmi. Nagle uzmysłowiła sobie, że nie miała pojęcia, jak długo chłopiec już tu stał, zanim zaczął bawić się z Eden. W końcu odkryto przecież jego zniknięcie i z pewnością jest już poszukiwany.

Dlaczego nie posłuchała pierwszego impulsu i nie odesłała go do domu? Rachel wyjdzie z siebie, jeżeli go tu odkryje.

Kiedy mercedes się zatrzymał, po stronie pasażera ktoś z niego wysiadł. Samochód pojechał dalej zostawiając mężczyznę na drodze. Dopiero teraz Abbie rozpoznała jego szybki, długi krok.

Podenerwowana ściągnęła jeszcze bardziej cugle, tak że Windstorm zaczął nerwowo tańczyć i strzyc niespokojnie uszami. Nie spuszczał przy tym wzroku z mężczyzny, który energicznym skokiem przesadził płot i zbliżał się do nich. Abbie rzuciło się w oczy, jak wypoczęty był MacCrea, inaczej niż przy ich ostatnim spotkaniu.

- Hej! - MacCrea zatrzymał się po drugiej stronie ogrodzenia toru, trzymając ręce swobodnie w kieszeniach skórzanej kurtki.

Siedząc w siodle, Abbie z niepokojem dostrzegła różnicę wzrostu między nimi; nie była przyzwyczajona patrzeć na niego do góry. Zsunęła się z konia na ziemię. Unikając jego wzroku, wzięła w ręce cugle.

- Byłeś u Lane'a?

- Tak, omawialiśmy ostateczne warunki jednego kontraktu. Widzę, że poważnie potraktowałeś to, co powiedziałaś Rachel o zamiarze wysłania twojego konia na wyścigi. - Rozejrzał się po torze treningowym.

Tak. MacCrea gładził konia po grzbiecie.

- Wygląda na to, że da sobie radę.
- Jeszcze jak. - Czuła dokładnie, że cała jego uwaga była skoncentrowana na niej, chociaż pozornie zajmował się czym innym.
- Dostałem zdjęcie Eden, które mi wysłałaś.
- To zdjęcie szkolne... - Liczyła na to, że w ten sposób uda się jej ułagodzić go trochę i powstrzymać przed upieraniem się przy częstych spotkaniach z córką.
- Gdzie ona jest?
- Bawi się tam. - Ruchem głowy wskazała kierunek.
- Kim j est ten chłopiec? Alex? To niemożliwe!
- Wiem, że powinnam była odesłać go do domu. Pomyślałam sobie jednak, że nie zaszkodzi, jeżeli się trochę pobawią. - Odwróciła się w momencie, kiedy Alex z wahaniem zaczął głaskać nozdrza kucyka.
- Popatrz tylko - powiedział półgłosem MacCrea.

252

Abbie przyjęła jego zabawne niedowierzanie jako krytykę pod swoim adresem.

- Co to ma znaczyć?
- Alex zawsze bał się koni. Spójrz teraz na niego.
- Prawdopodobnie jak każdy chłopiec nie chce pokazać przed dziewczyną, że się boi.

Eden zauważyła MacCreę i wydała okrzyk radości.

- Mac! - Rzuciła się w jego kierunku, ciągnąc za sobą konika. Alex biegł trochę z tyłu; zachowywał pełen respektu dystans od jego kopyt. Mac-Crea wyszedł małej naprzeciw i na powitanie podniósł ją wysoko, a potem postawił na ogrodzeniu. - Jak się tu dostałeś? - Eden rozglądała się za jego samochodem firmowym.

- Czary. - Mrugnął do niej.

Eden obejrzała go krytycznie i zwróciła się do Abbie.

- Mamusiu, j ak on tu się znalazł? Pieszko.
- Czary to nie były, wiem o tym. - Zeskoczyła z ogrodzenia i chwyciła go za rękę. - Chodź, tam jest mój przyjaciel. Ma ciężarówkę z kołami większymi niż on sam. - Pomachała na Aleksa, żeby się pospieszył. - Chodź, pokaże ci swoją ciężarówkę.

Alex sienie spieszył.

- Alexwie, żeznamjego ciężarówkę-powiedziałMacCrea.
- Skąd? - chciała wiedzieć Eden. - Znasz Aleksa?
- Tak. - Zaśmiał się.
- Czy muszę teraz iść do domu? - Mina chłopca zdradzała ogromną niechęć.

MacCrea rzucił Abbie krótkie spojrzenie. Miał wrażenie, że ona również nie chciała psuć dzieciom zabawy.

- Twój ojciec wrócił. Chciałby wiedzieć, gdzie jesteś. Twoja matka też już z pewnością cię szuka.
- Nie robi tego - odparł Alex z niechęcią, którą Abbie już знаła.
- Mimo to powinniśmy już pójść -upomniął go cicho MacCrea i spojrzał na Abbie. - Rozumiesz to, prawda?

- Oczywiście. - Jeżeli Alex jest poszukiwany, to byłoby lepiej, gdyby go tu nie znaleziono. Nie wiedziała jeszcze, jak miała wytłumaczyć Eden, że w przyszłości rodzice Aleksa nie pozwoląmu się z nią bawić.

- Alex, przyjdiesz jeszcze? - zapytała Eden i potwierdziła tym obawy Abbie.

- Nie wiem, czy będę mógł. - Skrępowany chłopiec przestępował z nogi na nogę.

253

- Proszę cię, musisz spróbować - naciskała Eden. - Będzie znowu świetna zabawa.

Zażenowany Alex, który nie chciał się zobowiązywać, gryzł dolną wargę. MacCrea przerwał tę ciszę.

- Chodź, chłopcze, idziemy już.

Eden zwróciła się teraz ze swóją sztuką przekonywania do MacCrei.

- Ale ty wrócisz?

- Naturalnie, bardzo szybko - obiecał jej i spojrzawszy na Abbie dodał: - Wiesz, jak możesz mnie znaleźć.

Przypuszczała, że przez jego biuro w Richmond, ale zamiast go zapytać, skinęła tylko głową. Alex szedł z MacCrea na przelaj z opuszczoną głową, trzymając pod pachą ciężarówkę. Im bardziej zbliżali się do ogrodzenia, tym wolniejsze były jego kroki. Za ciemnymi pniami rzucających cień drzew połyskiwał w słońcu biały dom.

- Powiesz mojej matce, gdzie byłem? - zapytał nagle Alex.

- Nie, jeżeli tego nie chcesz. - MacCrea uśmiechnął się zachęcająco i Alex od razu poczuł niezwykłą ulgę.

Gdy tylko doszli do płotu, MacCrea usłyszał, jak Rachel woła Aleksa. Chwilę później słychać było również głos Lane'a.

- Wygląda na to, że jesteś poszukiwany, kolego. - Wziął Aleksa pod ramię i przesadził go przez płot.

Chłopiec pobiegł między młodymi drzewkami, które kilka lat temu posadzono w miejsce starych, zniszczonych przez pożar. MacCrea spokojnie podążał za nim.

- Alex! - krzyknął odwrócony do nich plecami Lane.

- Tatusiu, jestem tu! - Biegł do ojca obok pawilonu ogrodowego z delikatnymi, białymi kratami.

Kiedy Lane go zobaczył, krzyknął przez ramię:

- Rachel, jest tutaj! - Ukłął i z wyciągniętymi ramionami czekał na Aleksa, a Rachel nadbiegała od strony stajni.

- Alex, wszędzie cię szukaliśmy. Nie słyszałeś nas?

- Ja... przybiegłem przecież szybko. - Zasapany i trochę niepewny zbliżył się do Lane'a.

Pozwolił się wziąć w ramiona dopiero wtedy, gdy nadeszła Rachel.

- Alex! Lane, czy coś mu się stało? Co się dzieje?

- Nic mu się nie stało - uspokoił ją Lane.

- Alex, jak mogłeś tak po prostu odejść? - zbesztala syna. Jej strach przerodził się w złość. - Gdzie byłeś?

Alex unikał jej pełnego wyrzutów spojrzenia.

254

- Bawiłem się...

- Gdzie? Szukaliśmy cię wszędzie. Napędziłeś nam stracha.

- Przepraszam. - Przycisnął się jeszcze bardziej do Lane'a. MacCrea zauważył, jak zacięte stały się usta Rachel. Z jej twarzy znikł niepokój.

- No dobrze, od ojca na pewno nie będziesz się już oddalał i bawił w swoim tajnym miejscu. - Zwróciła się do Rossa, który przyszedł za nią. - Idę teraz do stajni i powiem panu Woodallowi, jakie mam plany w związku z Sirocco. Chciałby pan pójść ze mną?

- Tak, chętnie.

Lane popatrzył za obojgiem z obojętną miną. Tylko ktoś, kto przyjrzałby się dokładnie, mógłby zobaczyć ból przebijający z jego spojrzenia. Podniósł się z wysiłkiem, przewyciężając starczą sztywność stawów.

- Chodź, synu. - Wziął Aleksa za rękę. - Idziemy. Wyglądasz, jakbyś tarzał się w błocie.

MacCrea szedł obok nich, kiedy skierowali się do domu.

39

Z,

r trybun dla widzów podnosiły się głośne, zagrzewające okrzyki, kiedy chłopiec stajenny prowadził na miejsce siodłania połyskującego, białego ogiera, u boku którego szła Abbie. Jej jedwabna sukienka i wstążka kapelusza z szerokim rondem dobrane były kolorystycznie do barw Windstorma.

Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości, dłonie wilgotne. Była bardziej zdenerwowana niż tydzień temu Alex, którego Eden namówiła, by jeździł z nią razem na Jojo. Alex powiedział później:

- Może matka będzie mnie bardziej lubiła, kiedy nauczę się jeździć konno. - Była to wypowiedź, która w uszach Abbie zabrzmiała jak ironiczne echo przeszłości. Dawno temu również ona zajął się końmi, mając nadzieję na zdobycie ojcowskiej aprobaty.

Alex regularnie wykradał się do nich, by bawić się z Eden. Od czasu do czasu Abbie miała wątpliwości, czy słusznie pozwala mu na to. Eden potrzebowała jednak rówieśnika do zabawy tak samo pilnie, jak Alex, a jego nieśmiałość tworzyła przeciwwagę dla jej pychy, tak że jedno uczyło się od drugiego. Nie wolno było jednak nie liczyć się z Rachel.

Zawsze ta Rachel, pomyślała zaniepokojona Abbie. Dlaczego dopuszczała do tego, by myśl o Rachel psuła jej piękny, słoneczny dzień czerwcowy? Windstorm miał wyjść na start w następnym biegu. Dlaczego, zamiast

255

myśleć o Rachel, nie oddawała się radosnemu, pełnemu nadziei podnieceniu?

Abbie знаła odpowiedź na to pytanie. Rano od jednego z posiadaczy koni dowiedziała się, że dzień wcześniej Sirocco wygrał o trzy długości. Za dwa i pół tygodnia Sirocco wystąpi przeciw Windstormowi w Liberty Clas-sic, pod warunkiem, że jej koń wyląduje tu wśród pierwszych.

Musi, pomyślała Abbie. Musi także wygrać Liberty Classic, wyścigi, które powszechnie uważa się za rywalizację championów.

Abbie nie mogła znieść myśli, że znowu mogłaby przegrać z Rachel. Eden pociągnęła ją za rękę.

- Mamusiu, jak myślisz, czy Mac jest tutaj?

- Nie wiem. - Abbie wiedziała jednak, że powinien być.

W ciągu minionych trzech miesięcy organizowała „przypadkowe” spotkania, by MacCrea mógł być razem z Eden. Zadanie to stawało się jednak coraz trudniejsze od czasu, gdy Dobie

dowiedział się, że MacCrea wrócił do Houston. Dwukrotnie pytał ją o niego. Chciał wiedzieć, czy widziała się z nim lub rozmawiała. Abbie przyznała, że zdarzyło się to raz czy dwa, ale przedstawiła wszystko jako rzecz zupełnie niewinną. Wątpiła, czy Dobie jej uwierzył. Jego podejrzliwość i jej poczucie winy jeszcze bardziej obciążały i tak już zachwiane małżeństwo. W dodatku Abbie ciągle jeszcze nie wiedziała, jak powinna postępować. Początkowo miała nadzieję, że MacCrea będzie miał wkrótce dosyć roli ojca, ale było odwrotnie i jego stosunek do Eden był coraz cieplejszy.

Kiedy rozmawiała z nim na początku tygodnia, obiecał jej, że przyleci na wyścigi z terenu wiertniczego w Wyoming. Miał nadzieję być na miejscu w poradnie. Może przeszkodziła mu zła pogoda? Dlaczego jednak nie zadzwonił i nie zostawił dla niej wiadomości? Abbie walczyła z narastającym uczuciem paniki, kiedy nagle ktoś otoczył ją ręką w talii. Przestraszona odwróciła się i spojrzała MacCrea prosto w oczy.

- A jednak przyjechałeś - powiedziała z ulgą. Ja... my... Eden ciągle pytała, czy będziesz. Kiedy nacisk jego ręki nasilił się, myślała już, że ją pocałuje. On jednak schylił się i podniósł w górę Eden.

- Naprawdę myślałeś, że nie przyjadę zagrzewać Windstorma? - zapytał małą. - Przecież mianowałaś mnie członkiem klubu jego fanów.

- Wiem, ale rozglądałam się dookoła i nigdzie nie mogłam cię zobaczyć. Mamusia powiedziała, że może jesteś za bardzo zajęty, by przyjechać.

- Ach, tak powiedziała? - Mocniej przytrzymał Eden w ramionach i odwrócił się do Abbie. - Twoja mamusia się myliła. Niezależnie od tego,
256

co się dzieje, dla ciebie zawsze będę miał czas. Nie zostawię przecież na lodzie mojej małej przyjaciółki.

- Przyszedłeś za późno - dąsała się Eden. - Windstorm jest już na miejscu siodłania.

- Wiem i bardzo mi przykro. W drodze z lotniska utkwilem w korku.

- A więc to cię zatrzymało? Myślałam już... - Abbie przerwała. Wstydziła się strachu o niego, który przeżyła w związku z tym opóźnieniem. - Ruszmy się, chodźmy na miejsce siodłania - naciskała. - Przed startem chciałabym jeszcze porozmawiać z trenerem.

Od trenera Windstorma chciała właściwie tylko usłyszeć, że koń jest gotowy do startu; chciała także uwolnić się od MacCrea.

Abbie poczuła się całkowicie zbyteczna, kiedy zobaczyła, jak trener osobiście siodła Windstorma. Nie chciała jednak odejść i obserwowała pół tuzina zgłoszonych do biegu koni arabskich, z których wszystkie, poza dwoma, miały duże doświadczenie w wyścigach, a także znaczące sukcesy.

- No, ale jesteś nerwowa - zauważył MacCrea.

- Nerwowa, podniecona i zaniepokojona - przyznała Abbie. - Windstorm trafił na silną konkurencję.

- Zbyt optymistycznie to nie brzmi. Zapomniałaś, że wygrał wszystkie trzy poprzednie wyścigi?

- Nie. Nie biegał jednak jeszcze na takim dystansie ani z takiej klasy rywalami. Mam więc powody do niepokoju. Nie masz pojęcia, jak ważny jest ten wyścig. Od tego, jak tu wypadnie, zależy jego start w Liberty Clas-sic czwartego lipca.

- Myślałem, że już tam jest zgłoszony.
- Tak, ale jeżeli dystans nie będzie mu odpowiadał, wycofam zgłoszenie. W Liberty dystans wynosi półtora kilometra. - Abbie popatrzyła na srebrnobiałego ogiera, który z napiętą uwagą, ale jednocześnie spokojnie poddawał się nerwowym zabiegom trenera i personelu stajennego.
- On musi wygrać. Musi.

Podszedł do nich Ben.

- Musimy już iść na nasze miejsca. Wyścig zaraz się zacznie. Złożyli jeszcze dżokejowi życzenia szczęścia i poszli do łóż właścicieli koni, by nie przeoczyć parady wierzchowców przed startem. Eden była zbyt podniecona, by spokojnie usiedzieć na miejscu. Jej nieustanna paplanina sprzyjała teraz Abbie, bliskość MacCrei stanowiła dla niej dodatkową próbę nerwów.
- MacCrea, postawiłeś na Windstorma? - chciała wiedzieć Eden.
- To się rozumie. - Wyciągnął z kieszeni kupony zakładów.
- O, jak dużo! Mogę je potrzymać?

17-Przyrodnie siostry

257

MacCrea przekazał jej kupony.

- Ojej, sama także postawiłabym chętnie na Windstorma - kontynuowała z westchnieniem Eden. - Chciałam nawet stłuc moją świnkę, ale mamusia nie pozwoliła.
- Powiedziałam już, że jesteś za mała. Dzieci nie mogą zawierać zakładów - przypomniała jej Abbie.
- Kiedy będę duża, postawię na Windstorma i wygram dużo pieniędzy - zapowiedziała radośnie.
- Tę pasję do zakładów musi mieć po ojcu - wyrwało się Abbie. Natychmiast pożałowała zbyt pochopnej uwagi.
- Tu możesz mieć rację - odparł z wiele mówiącym spojrzeniem.

Abbie zrobiło się gorąco i odwróciła od niego wzrok. Całą uwagę skoncentrowała na torze wyścigowym. Głośne oklaski z trybun dla widzów powitały konie, biorące udział w zawodach.

- Mamusiu, popatrz, tam jest Windstorm! - zawołała podniecona Eden, kiedy zobaczyła srebrnoszarego ogiera, oficjalnie określanego jako siwy.

Windstorm wkraczał na tor tanecznym krokiem, z wygiętym grzbietem i długim ogonem ciągniętym za sobą jak biała flaga. O ile inne konie bały się hałasu, on reagował na widzów tak, jak gdyby znajdował się na pokazowym ringu, a nie na torze wyścigowym.

- Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy dobrze zrobiłam, że nie wystawiałam go w wyścigach od samego początku - powiedziała do Bena zaniepokojona Abbie.
- Nie obawiaj się, ten zwierzak dobrze wie, po co tu jest - odparł Ben, obserwując tor przez lornetkę.

Nerwowość Abbie narastała do granic wytrzymałości. Kiedy konie ustawiły się za boksami startowymi, przesunęła się do przodu.

- Jak on wygląda, Ben? - zapytała pełna napięcia, bo z tej odległości mogła wprawdzie odróżnić Windstorma od innych koni, ale nie widziała żadnych szczegółów.
- Jest trochę mokry. To dobrze.
- Daj mi popatrzeć. - Chwyciła lornetkę Bena. Tak, na grzbiecie pojawił się ciemny cień. Odrobina nerwowości nie może jednak zaszkodzić. Była to oznaka napiętej gotowości.

Kiedy wszystkie konie przyprowadzono na start, rozległ się meldunek:

- Wszystkie konie na starcie do piątej gonitwy. -Napięcie Abbie jeszcze bardziej wzrosło. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim wreszcie rozległ się dzwon i odskoczyły bramki startowe. Abbie zerwała się z miejsca.

258

- Jak wystartował? Nie mogłam zobaczyć. - Od samego początku na czele znajdowały się trzy konie. Windstorma wśród nich nie było.

- Bezbłędnie - odparł Ben, który też się podniósł. - Teraz tylko nic na siłę. Musi znaleźć swój rytm. - Jego słowa były skierowane właściwie do dżokeja Windstorma.

- ... Windstorm piąty, Kaslan na szóstym miej scu... - popłynęło z głośników.

Srebrny ogier biegł po torze zewnętrznym, pięć i pół długości za prowadzącym stawkę. Biegł swobodnie i utrzymał swoją pozycję także wtedy, gdy konie zbliżały się do pierwszego łuku. Abbie ponownie podniosła do oczu lornetkę.

Stawka jeszcze bardziej się rozciągnęła.

- Teraz jest czwarty! - zawołała Abbie. W podnieceniu chwyciła Mac-Cree za ramię. - Myślę, że przesuwa się do przodu. Mam nadzieję, że nie za wcześnie. - Windstorm wciąż biegł z nastawionymi uszami, co było nieomylnym znakiem, że jeszcze ma rezerwy sił.

Na ostatnim łuku straciła go z oczu. Widziała tylko jasną kreskę na zewnętrznym torze, przysłoniętą prawie całkowicie przez pozostałe konie.

Dwóch jeźdźców prowadzących stawkę wyszło z ostatniego zakrętu i pogalopowało po prostej do mety. Całkiem na zewnątrz biegł Windstorm, który zbliżał się do nich z każdym potężnym wyrzutem kopyt.

Wrzawa z trybun dla widzów docierała do Abbie jakby z oddali. O wiele głośniej dźwięczały jej w uszach uderzenia końskich kopyt. Kiedy Windstorm dochodził do czołówki, opuściła lornetkę i zagrzewała go okrzykami i gestami. Przy słupku oznaczającym siedem ósmych dystansu ogier dogonił prowadzących i zaczął ich wyprzedzać. Inni jeźdźcy zaczęli okładać konie biczami. Dżokej Windstorma nie potrzebował jednak nawet ruszyć ręką, kiedy zbliżali się do celu. Prowadzili o pół długości... całą... dwie.

Kiedy Windstorm przekroczył linię mety i biegł dalej, Abbie wrzasnęła:

- Dał radę! Wygrał! - Jej wrzaski przeszły w śmiech.

- A nie mówiłam?

Impulsywnie rzuciła się MacCreei w ramiona, a on podniósł ją do góry. Ledwie jednak jej wargi dotknęły jego ust, uświadomiła sobie, co robi, i chciała się cofnąć. On jednak nie puścił.

- Nie, Abbie - szeptał i całował ją dalej.

Trwało to tylko kilka sekund, po czym MacCrea puścił ją i odwrócił się do śmiejącej się i piszczącej z radości Eden.

Razem z Benem zeszli na dół, na uroczyste wręczenie nagród zwycięzcom. Kiedy robiono zdjęcia, MacCrea przeprosił ich pod pretekstem, że chce odebrać wygraną. Abbie patrzyła, jak zniknął w tłumie. Wiedziała tak

259

samo dobrze jak on, że nie dałoby się wytłumaczyć Dobiemu, dlaczego MacCrea znalazł się na zdjęciu zwycięzców.

W drodze do stajni myślała już wyłącznie o Liberty Classic.

- Teraz wiadomo, że wystartuj e w Liberty - powiedziała rozochociona do Bena. - Windstorm poprawił swój najlepszy czas na tym dystansie o całą sekundę.
- Ustanowił nawet nowy rekord toru dla koni arabskich - wtrącił się z tyłu trener.
- Ach tak? - Abbie odwróciła się. - Wiedziałam, że jest szybki, ale... - Roześmiała się. - Ben, to nie do wiary. Nowy rekord toru. - Nie mogła się doczekać, kiedy powie to MacCrea. Nagle przypomniała sobie o pocałunku i natychmiast otrzeźwiała. Musiała jednak przyznać, że ta pieszczoła głęboko nią wstrząsnęła, więc kiedy zobaczyła go, zmierzającego w jej kierunku, ponownie poczuła przyspieszone bicie serca.
- Masz wygraną? - zawołała do niego z daleka Eden.
- Ma się rozumieć! - Pomachał banknotami. - Możemy za to nieźle zabalować.
- A czy wiesz, że Windstorm poprawił rekord toru dla arabów? -Radości Eden nie było końca.
- No to mamy aż trzy okazje do uczczenia: zwycięstwo Windstorma i moją wygraną.
- A ta trzecia? - dopytywała się ciekawska Eden.
- Kupiłem posiadłość Jeffordów. Dom, ziemię i całą resztę. - Popatrzył na Abbie. - Piętnaście kilometrów od farmy Hiksa.
- Znam tę posiadłość - powiedziała Abbie.
- Może przyjedziecie kiedyś mnie odwiedzić - zaproponował MacCrea, ale Abbie nie zareagowała. Kiedy nadal milczała, zwrócił się znowu do Eden: - A jak młoda dama wyobraża sobie naszą uroczystość?
- Hm... - Eden intensywnie myślała. - A więc najpierw duże lody, potem sklep z zabawkami. A potem moglibyśmy pójść jeszcze do kina.
- Wspaniały pomysł - powiedział MacCrea ze śmiechem.
- Beze mnie - wzbraniała się Abbie. - Ben i ja zostaniemy przy Windstormie. - Zawsze aranżowała sytuację w ten sposób, by MacCrea mógł być z Eden sam.
- Chciałabym, żebyś ty też poszła z nami - prosiła Eden. - Bez ciebie nie będzie tak pięknie. Jeżeli nie pójdziesz, to ja też nie idę. - Jej zdecydowana mina świadczyła, że nie zamierza ustąpić. Abbie spojrzała bezradnie na MacCrea, którego ta scena wyraźnie bawiła.
- Ben...? Abbie zwróciła się do swego powiernika.

260

- Nad czym tu się zastanawiać? - Ben wzruszył ramionami. - Idź spokojnie z nimi.
 - Widzisz, Ben też się zgadza - ucieszyła się Eden. Wzięła matkę za rękę, a potem także Bena.
 - Ben, ty także pójdziesz z nami, prawda? Będzie naprawdę wspaniale. Radość córki była tak wielka, że Abbie nie chciała jej psuć zabawy.
 - Dobrze, przekabaciliście mnie - poddała się.
- Kiedy dwie godziny później wychodzili z kina, zapadał już zmrok i niebo pokryło się fioletową poświatą. Eden była bardzo rozczarowana, gdy Abbie upierała się, by natychmiast wracać do motelu. Usiłowała przekonać matkę, że nie jest zmęczona i ma prawo zjeść jeszcze lody. Po dziesięciu minutach spała już jednak na tylnym siedzeniu i kiedy przybyli na miejsce, MacCrea musiał zanieść ją do pokoju na rękach. Abbie przytrzymała mu drzwi do numeru 126, który zajmowała wspólnie z Eden, natomiast Ben poszedł dalej do swojego pokoju.
- Połóż ją na pierwszym łóżku - poprosiła MacCrea.

Eden wydawała pomruki protestu, kiedy chciał ją położyć, i mocno objęła go za szyję. Bardzo ostrożnie ułożył ją na poduszkach i zdjął jej ręce ze swojego karku. Abbie wyjęła koszulę nocną Edena z leżącej na komodzie otwartej walizki. MacCrea usiadł tymczasem na brzegu łóżka i zaczął zdejmować małej buty i skarpetki.

- Zostaw, ja to zrobię - powiedziała Abbie.

- Nie, chciałbym spróbować. Ty możesz układać ją do snu codziennie, a ja nigdy jeszcze nie miałem okazji.

Po krótkim wahaniu Abbie podała mu nocną koszulę małej. Sama stanęła i zaczęła się przyglądać. Mimowolnie poczuła wzruszenie, kiedy zobaczyła, jak czule i delikatnie MacCrea zajął się Edenem, by go nie obudzić. Ostrożnie nałożył jej koszulę nocną i przykrył ją. Potem pochylił się i pocałował go w czoło. Stał przez chwilę pochylony i patrzył na śpiącą dziewczynkę. Potem zgasił nocną lampkę, cichutko wstał i podszedł do Abbie.

- Popatrz tylko na nią. Taka mała i niewinna. Śpiący anioł.

- Nie łudź się. Tak grzeczna jak dziś jeszcze nigdy nie była - starała się go wyprowadzić z błędu Abbie. - Nie widziałeś jej jeszcze, kiedy jest chora lub w złym nastroju. Jest wtedy bardzo męcząca i uciążliwa. - MacCrea nie był dostatecznie przekonany, jak można było wywnioskować z jego miny, dlatego pospiesznie dodała: - Rodzicielstwo to nie tylko żarty i zabawa. Poczekaj, aż poznasz Edena naprawdę bezczelną lub upartą. Nie będziesz wtedy mówić o uroku i niewinności. A do tego ta ciągła paplanina, dzień w dzień.

Nie mogła dalej mówić, bo chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

261

Zaskoczona, spojrzała na niego, ale zanim zdążyła zareagować, całował ją gorąco i namiętnie. Początkowo zapomniiała o wszelkim oporze. Kiedy jednak przyszła do siebie, odsunęła się od niego.

- MacCrea, myślę...

- Abbie, to twój wielki błąd. - Nie puszczaj go, zaczął pieścić ustami jej kark i ucho. - Za dużo myślisz i za dużo mówisz. Bądź ten jeden jedyny raz cicho.

Kiedy ponownie zaczął całować jej usta, ta rada wydała jej się nagle bardzo mądra. Dlaczego ma odmawiać sobie czegoś, czego pragnęła tak samo jak on? Tylko dlatego że nie chciała się do tego przyznać?

Gdy oddała się wreszcie rozkoszy jego objęć, przeżyła to, jak powrót do domu po długiej nieobecności. Radość, ciepło i uczucie ponownego zespolenia z nim, wszystko to teraz się pojawiło... i jeszcze coś, co Abbie bała się nazwać.

MacCrea gładził palcami jej włosy i nagle zaczął wyjmować spinki wpięte w jej kok. Cofnął się o krok i spod przymkniętych powiek obserwował jej włosy, które swobodnie opadały teraz na ramiona.

- Tego widoku od dawna pragnąłem.

Nie spuszczając z niej wzroku, podniósł ją do góry i podszedł do najbliższego fotela. Usiadł na nim, a ją umieścił sobie na kolanach. Siedzieli teraz jak para nastolatków, całując się wzajemnie i pieszcząc, jak gdyby nie mogli się sobą nasycić. W pewnej chwili MacCrea zabrał się do rozpinania jej sukienki i Abbie poczuła, jak przez jej ciało przebiegł dreszcz rozkoszy. Straciła wszelkie poczucie czasu i nie miała pojęcia, jak długo tak siedzieli.

Kiedy usłyszała, że Eden poruszyła się i powiedziała coś przez sen, znowu obudził się w niej instynkt macierzyński. Nie mogła ignorować obecności córki w tym samym pomieszczeniu. Usiłowała zachować powściągliwość, co skłoniło MacCreę do protestu.

- Abbie, pozwól mi... oboje tego chcemy.

- Nie tutaj. - Odsunęła się od niego. - Nie można. Eden mogłaby się obudzić. - MacCrea patrzył na łóżko z mieszaniną gniewu, rozczarowania i niepokoju. - Lepiej przestańmy, zanim... zanim jedno z nas straci panowanie nad sobą- argumentowała Abbie, która żałowała tak samo, jak on.

- Zapewne mówisz o mnie - powiedział cicho z wyraźną drwiną w głosie.

- Tego nie powiedziałam.

Głęboko westchnął i odchylił się do tyłu, by mogła się podnieść z jego kolan. Abbie czuła drżenie nóg i nie pragnęła niczego więcej, jak tylko zno-

262

wu znaleźć się w jego ramionach. Mimo to poprowadziła go do drzwi, przytrzymując j edną ręką rozpiętą sukienkę.

- Między nami nic nie jest skończone, wiesz o tym - powiedział w drzwiach.

- Tak. - Skinęła głową i jednocześnie uświadomiła sobie, że ona też nie chciała, by było inaczej.

Jego usta wykrzywiły się w szerokim, leniwym uśmiechu.

- No cóż, długo trwało, zanim to przyznałaś. - Wyszedł, nim Abbie zdążyła powiedzieć choćby jedno słowo.

Automatycznie zamknęła drzwi i założyła łańcuch. Przez cztery miesiące od ponownego spotkania z nim w Scottsdale wmawiała sobie, że między nimi wszystko skończone. Teraz wiedziała, że to nieprawda. Pragnęła go aż do bólu.

Podeszła do otwartej walizki i wyjęła z niej nocną koszulę. Po drodze spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Długie włosy były w nieładzie, usta zmysłowo nabrzmiałe, a sukienka do połowy rozpięta. Wyglądała jak kobieta, która namiętnie oddawała się miłości. No tak, może nie do końca namiętnie, uściśliła, mając na uwadze swój e niezaspokoj one pragnienie.

Obserwując swoje odbicie, zrozumiała jedno: część jej serca nigdy nie przestała kochać MacCreę, a reszta nauczyła się znowu go kochać.

Przygotowała się do spania, odłożyła jeszcze ubrania na następny dzień dla siebie i Eden, a całą resztę spakowała.

Z początku nie zwróciła uwagi na lekkie stukanie, przekonana, że ktoś puka do drzwi innego pokoju. Za chwilę jednak usłyszała je ponownie. Tym razem było głośniejsze i bardziej niecierpliwe.

W dodatku ktoś cicho wołał ją po imieniu. Chciała podejść do drzwi wejściowych, kiedy w połowie drogi dotarło do niej, że pukanie dochodziło od strony drzwi przejściowych do sąsiedniego pokoju. Zatrzymała się i poczekała, aż się powtórzy.

- Tak?-zapytałaniepewnie.

- To ja, MacCrea. Otwórz.

Abbie przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Stał oparty o futrynę, trzymając w ręku dyndający klucz.

- Człowiekowi w recepcji dałem sto dolarów, twierdząc, że 128 to mój szczęśliwy numer. Miałem rację?

Patrzyła na niego zaszokowana, nie mogąc się zdobyć na najprostszą odpowiedź. Wreszcie odzyskała głos.

- Tak. -Znalazła się w jego pokoju i w jego ramionach, zanim zdążyła się zastanowić nad swoją decyzją. Nie miało to już jednak żadnego znaczenia.

263

40

Ma

LacCrea, cudownie zaspokojony, balansował na granicy snu i jawy. Bronił się przed przebudzeniem i zniknięciem czaru, który obdarzył go tak wspaniałym uczuciem. Obok niego jednak coś się poruszyło i w miejscu, gdzie dotychczas było ciepło, poczuł na gołej nodze chłód. Instynktownie wyciągnął rękę i znowu przyciągnął do siebie ciepłe ciało. Nagle wszystko stało się jasne. Otworzył oczy, by się przekonać, że to nie sen. W ramionach trzymał Abbie.

Całkowicie przebudzony i podniecony wspomnieniem minionej nocy zaczął ją całować.

- To już rano? - zapytała sennym głosem.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Oparł się na ramieniu. Drugą ręką gładził jej ciało.

- Owszem, ma. - Jej ciało mówiło coś zupełnie innego.

- Powinno tak być każdego ranka, Abbie. Ty i ja w jednym łóżku, a Eden w pokoju obok.

- Muszę wracać. Eden nie powinna obudzić się sama w obcym pomieszczeniu. - Abbie sięgnęła po zegarek leżący na nocnym stoliku. - Już ósma. Muszę obudzić Eden, spakować rzeczy i pojechać na lotnisko.

MacCrea zatrzymał ją, gdy chciała wstać.

- Weź następny samolot. Zostań jeszcze chwilę.

- To niemożliwe. - Odsunęła się na brzeg łóżka. - Dobie przyjedzie po nas na lotnisko.

Ton jej głosu go zaniepokoił. Najchętniej ciągnąłby ją znowu do łóżka i namówił do pozostania. Stłumił rozczarowanie i sięgnął po leżące na podłodze dzinsy, gdy ona wkładała nocną koszulę.

- Powiesz chyba wszystko Dobiemu? - Zamiast mu odpowiedzieć, Abbie po krótkim wahaniu podeszła do drzwi łączących oba pokoje. Jej milczenie nie spodobało się MacCrea. -Abbie, nie odchodź jeszcze, jeżeli nie chcesz, by ta rozmowa była kontynuowana w obecności Eden. Abbie zatrzymała się przy drzwiach i odwróciła się.

- Dlaczego? Co tu jest do omawiania?

- Musimy porozmawiać o nas. Abbie, kochasz mnie?

- Tak. - Wyznaniu temu towarzyszyło westchnienie.

- Abbie, wiesz, że to wszystko zmienia... Nie możesz ciągnąć małżeństwa z Dobiem. Musisz powiedzieć mu prawdę. Mam nadzieję, że o tym wiesz?

- Nie, nie wiem - odpowiedziała przygnębiona.

264

MacCrea zacisnął zęby.

- Abbie, co z tobą? Jesteś zbyt uparta czy zbyt dumna, by przyznać, że popełniłaś błąd? A może tak jak twój ojciec chcesz utrzymać małżeństwo z niekochanym partnerem?

- To nie było tak - rzuciła zaciekle.
- Nie? To powiedz mi, jak długo mam żyć z twoim kłamstwem!
- Nie wiem. Nie miałam jeszcze czasu, by się nad tym zastanowić...
- To się zastanów, i to szybko. Wystarczająco długo uczestniczyłem w tej zabawie. Teraz mam tego dosyć.
- Nie dam się zastraszyć. - W oczach Abbie pojawiły się łzy.
- Nie miałem takiego zamiaru. - Położył jej rękę na ramieniu. - Abbie, kochamy się wzajemnie. Nie pozwolę, żebyś nam to zrobiła.
- To nie jest takie łatwe, jak sądzisz - próbowała słabo protestować.
- Łatwiejsze w każdym razie niż spędzenie reszty życia w kłamstwie. Abbie oparła się o niego i objęła go w pasie.
- Mac, kocham cię. Tylko tak trudno rozstrzygnąć, co jest słuszne, a co błędne. Zawsze byłam przekonana, że to wiem.

MacCrea odpowiedział pocałunkiem. Nie wiedział, co jeszcze mógł-by w tej sytuacji zrobić lub powiedzieć.

Na dole trzasnęły drzwi. Abbie podniosła się na łożku i nasłuchiwała. Kiedy usłyszała kroki, zeszła na dół sprawdzić kto to.

Przy zlewie w kuchni stał Dobie i nalewał do szklanki wodę. Swój wy-miętoszony kapelusz przesunął na kark. Do spoconej skóry kleiły się źdźbła słomy.

- Co ty tu robisz? - Abbie spojrzała na zegar ścienny. - Jeszcze nie ma nawet pory obiadowej. Czy coś się stało?

Potrząsnął głową.

- Zobaczyłem odjeżdżający samochód i myślałem, że znowu chciałaś się wyrwać z domu. - W jego głosie brzmiała wściekłość.

- Ben zawiózł Eden na pływalnię. Potem pójdą coś zjeść. - To był jej pomysł, żeby Eden nie było w domu. - Dobie, musimy porozmawiać. - Chciała już mieć to wszystko za sobą.

O co chodzi?

- O nasze małżeństwo. Nic już się nie układa. - Fakt, że już raz coś takiego przeżyła, wcale nie ułatwiał jej zadania.

- Sprawiałaś jednak wrażenie bardzo zadowolonej, zanim znowu pojawił się tu ten Wilder. Nie próbowała zaprzeczać.

265

- Może miałam jeszcze nadzieję na zmianę... Ale od początku nam się dobrze nie układało. Dobie, ja nie jestem kobietą, jakiej chciałeś... gospodynią domową, która co wieczór czeka, kiedy wrócisz z pola.

- A czy skarżyłem się na coś? Zgodziłem się na twój e konie i na ciągle rozjazdy.

- Dobie, przestań. - Nie chciała dopuścić, by wszystko skończyło się zwykłą kłótnią. - Chcę się rozwieść. Uwierz mi, że tak będzie lepiej dla nas obojga.

- A jednak za tym stoi ten Wilder! - Dobie wykrzywił usta. - Spotykasz się z nim potaj emnie, a teraz chcesz rozwodu, żebyś mógł za niego wyjść.

Wszystko się niby zgadzało, a jednak wyglądało inaczej, niż on sądził.

- Kocham go - wyznała cicho.

Dobie patrzył na nią z bólem w oczach. Potem odwrócił się do zlewu i oparł ręce na jego brzegu. Stał tak ze zwieszoną głową i opuszczonymi ramionami. Na widok jego przygnębienia Abbie zbierało się na płacz.

- Cholera, Abbie - wykrztusił. - Ja też cię kocham. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?
- Ależ tak. Czy myślisz, że w przeciwnym wypadku przychodziłoby mi to wszystko tak ciężko? Dobie, nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Tak często pragnęłam, by istniało jakieś inne wyjście.

- A więc po co to wszystko?

- Ponieważ j est to j edyne słuszne i uczciwe rozwiązanie.

- Uczciwe dla kogo? - Odwrócił się. Zauważyła, że oczy ma czerwone. - Dla ciebie? Dla Wildera? A gdzie w tym wszystkim Eden i ja?

Abbie unikała j ego wzroku.

- O Eden też musimy porozmawiać. Wiem, jak bardzo jąkochasz...

- No i co? Czy to coś niezwykłego? Jest moj ą córką...

Abbie w milczeniu potrząsnęła głową, nie mogąc zdobyć się na wypowiedzenie tych słów. Z drugiej strony nie mogła już dłużej ukrywać przed nim prawdy, nawet gdyby miała być dla niego bolesna.

- Nie, nie jest.

- Co?

Z wielkim trudem zdołała spojrzeć mu w oczy.

- Eden nie jest twoją córką. Byłam już w ciąży, kiedy pierwszy raz spaliśmy ze sobą.

- Kłamiesz!

- Tym razem nie. Chciałam, żeby moje dziecko miało ojca i wiedziałam, że ty byłbyś dobrym ojcem. To okropne z mojej strony, że cię oszukałam, ale...

- Jeżeli ja nie jestem ojcem, to kto? Chyba nie ten Wilder?

266

- Właśnie on.

- Nie możesz tego udowodnić i nie możesz oczekiwać, że twoje słowo mi wystarczy.

- No to obejrzyj sobie mały palec Eden. MacCrea ma taki sam.

- Mój Boże... - Dobie zbladł. - Przez te wszystkie lata...

- Bardzo mi przykro. Bardziej niż przypuszczasz.

Kiedy Abbie usiłowała złapać MacCreę w jego biurze, powiedziano jej, że jest w River Bend na rozmowie z Lane'em Canfieldem. Przez moment rozważała, czy nie zrezygnować z telefonowania tam, ale koniecznie musiała z nim porozmawiać. Z napięciem i niesmakiem wybrała numer.

Zgłosiła się Rachel. Abbie od razu poznała jej głos i bardzo musiała panować nad sobą, by natychmiast nie odłożyć słuchawki.

- Chciałabym rozmawiać z MacCreą Wilderem, to bardzo pilne - powiedziała.

- Bardzo mi przykro. Rozmawia właśnie z Lane' em.

- Wiem - powiedziała pospiesznie, bojąc się, że Rachel po prostu odłoży słuchawkę. - Proszę mu powiedzieć, że to ja.

Po dłuższej chwili rozległ się w słuchawce trzask. Kilka sekund później trzask powtórzył się i usłyszała głos MacCrei.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale musiałam z tobaporozmawiać.
- Nie ma sprawy. Powiedz szybko, co się stało.
- Powiedziałam Dobiemu, że chcę się z nim rozwieść. Natychmiast się domyślił, że to z twojego powodu. Potem wyznałam mu, że ty jesteś ojcem Eden. - Wzięła głęboki oddech. - Kiedy to wszystko usłyszał, wybiegł z domu i jeszcze nie wrócił.
- Gdzie teraz jesteś?
- U Bena. Zostaniemy u niego.
- Edenjestztobą?
- Tak.
- Zaraz do was przyjadę.
- Nie, MacCrea, nie można. Kiedy Dobie wróci i zobaczy cię tutaj, będzie jeszcze gorzej.
- Do cholery, nie możecie tam zostać!
- Musimy, przynajmniej do czasu, gdy znajdziemy możliwość przetransportowania koni. Powinnam zaczekać z tą rozmową do rozwiązania tego problemu.
- To już załatwione. Możesz umieścić konie u mnie. Wrzuć wszystko do walizki, weź Eden i Bena i jedź do mnie. Spotkamy się za pół godziny.

267

- Ale...
 - Żadnych sprzeciwów. Nie chciałbym ryzykować, że coś się stanie tobie lub Eden. Jeżeli ja nie mogę przyjść do ciebie, to ty przyjdiesz do mnie, zgoda?
- Abbie była bezradna. Jeżeli Dobie wróci do domu i na oczach Eden rozpocznie się scena... nie, lepiej odejść.
- Tak.
 - Wobec tego widzimy się za pół godziny. I jeszcze coś, Abbie...
 - Tak?
 - Kocham cię.

Poczuła napływające do oczu łzy.

- Ja ciebie też.

Abbie czekała w cieniu domu, aż MacCrea skręci na podjazd i zaparkuje obok jej samochodu. Już sam jego widok wystarczył, by zniknął strach. Był tak silny, żywotny i opanowany, że poczuła, iż wszystko będzie dobrze.

Kiedy zbliżała się do niego, rozejrzała się dookoła.

- A gdzie są Ben i Eden?
- Wiesz przecież, jaki jest Ben. Musiał natychmiast obejrzeć stajnie, a Eden poszła razem z nim.
- Jak ona to wszystko znosi?
- Zupełnie nie wie, co się dzieje. Jeszcze jej nie powiedziałam.
- Zrobimy to wspólnie. Krok po kroku. Mówiąc szczerze, Abbie, nie byłem wcale pewien, czy rzeczywiście zerwiesz z Dobiem.
- Gdybym gruntowniej to przemyślała, prawdopodobnie nie stałoby się to tak nagle. W końcu za dwa tygodnie są wyścigi, a ja nie wiedziałam, gdzie się podziać z końmi. - W rzeczywistości jednak nie chciała już spać razem z Dobiem w jednym łóżku, nigdy więcej po tym, jak była ponownie z MacCrea. - Musiałam to jednak zrobić.

- Gdybyś mu nic nie powiedziała, ja bym to zrobił za dwa dni. - Wziął jąw ramiona i zaczął całować tak gwałtownie, że Abbie zabrakło tchu.

- Jak długo BeniEden zostanęwstajni?- wyszeptając jej do ucha.

- Aż tak długo chyba nie. - Zaśmiała się. - MacCrea, nie pokazałeś mi jeszcze twojego domu.

- W tym momencie usłyszała czyjeś głosy i odwróciła się. - Nadchodzą Ben i Eden.

Poczekamy na nich i razem obejrzymy dom.

Weszli do przestronnego budynku wznoszącego się wokół dziedzińca. W dach kryty czerwoną dachówką wpuszczone były okna, przez które

268

w dzień świeciło słońce, a w nocy księżyc i gwiazdy. Posadzki z płytek rozdzielały drewniane podłogi, na których leżały indiańskie dywany.

Gdy tylko Eden zobaczyła ogromny, murowany kominek w salonie, natychmiast zaczęła atakować MacCreę, by rozpałił ogień, ale Abbie przekonała ją, że mimo klimatyzatora jest na to za gorąco. Eden wpadła jednak w prawdziwy zachwyt dopiero wtedy, gdy zobaczyła pokój przeznaczony dla niej. Szczególnie wrażenie wywarło na niej łóżko z baldachimem.

- Mam wrażenie, że dziś nie będzie żadnych problemów z zapędzeniem jej do łóżka - zauważyła Abbie wychodząc z pokoju.

- Na to liczyłem. - Wzrok MacCrei mówił jej, jakie plany miał na ten wieczór.

- A gdzie będzie spała mamusia? - chciała wiedzieć Eden.

- Tu. - Otworzył drzwi do wielkiej sypialni. W jednym kącie stał kominek z białej cegły, a przed nim dwa głębokie fotele. Po obu stronach ogromnego, podwójnego łóżka leżały dywany z futra. Między dwiema szafami znajdowały się drzwi do przepięknej, marmurowej łazienki.

- To wspaniałe, mamusiu, prawda? - krzyknęła zachwycona Eden. - MacCrea ma najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Cieszę się, że ci się podoba, mała. - MacCrea podniósł Eden i posadził sobie na biodrze.

- A gdzie będzie spał Ben? Nie pokazałeś nam jeszcze jego pokoju-upomniła się Eden.

- Ja nie zostanę na noc - rzucił Ben. - Oczekujemy żrebaka i o ile znam tę klacz, to na ożrebiecie wybierze sobie właśnie tę noc.

MacCrea odwrócił się do Bena.

- Ben, czy pan sam da sobie radę?

Kiedy Eden była już w łóżku, Abbie i MacCrea usiedli w fotelu przytuleni do siebie.

Głębokie westchnienie, które jej się wyrwało, było oznaką wewnętrznego niepokoju.

- O czym myślisz?

Abbie odpowiedziała dopiero po chwili.

- Zastanawiam się właśnie, co... co zrobi Dobie. Wolalabym to wiedzieć.

- Abbie... - Chwycił ją pod brodę i zmusił, by popatrzyła mu w oczy. - Jesteś u mnie, na zawsze. On nie może tu niczego zmienić.

- Wiem. - Przytuliła twarz do jego dłoni.

- Chciałem ci to powiedzieć dopiero wtedy, gdy wszystko będzie załatwione, ale zrobię to teraz. Lane wyraził dziś gotowość odsprzedania mi

269

swoich udziałów w Wilder Oil. Trzeba jeszcze wprawdzie uregulować szczegóły, ale za trzy, cztery tygodnie sprawa może być załatwioną.

- Co ty mówisz? - Abbie patrzyła na niego z niedowierzaniem.
- Krótko po moim powrocie zaproponowałem mu, że go splącę. Zdołałem już zgromadzić niezbędny kapitał. Po tak wielkim spadku cen ropy naftowej banki są dość powściągliwe w udzielaniu kredytów tej branży.
- Czy stać cię na splącenie Lane'a?
- Prawdę mówiąc, j jestem teraz zadłużony po uszy. - MacCrea roześmiał się. - Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że lepiej będzie szła hodowla koni arabskich.
- Ale po co to wszystko?
- Nie domyślasz się? Dwukrotnie traciłem cię z powodu moich interesów z Lane'em i Rachel. Tym razem już nie chcę ryzykować.
- Jeśli to tylko z tego powodu, to nie musiałeś.
- Ryzyko było za duże.
- MacCrea, jesteś szalony. - W jej oczach błyszczało uczucie. Do cholery, masz rację. A to wszystko tylko z twój ego powodu.

Trzy dni później z Abbie skontaktował się adwokat Dobiego i przedstawił jej jego warunki rozwodu za obopólną zgodą. Musiała zrezygnować ze swój ej umowy dzierżawnej, z wszelkich roszczeń finansowych z tytułu remontu i przebudowy j ego budynków, a także z roszczeń do majątku wspólnie zgromadzonego w czasie trwania ich małżeństwa. Z metryki urodzenia Eden musiało zniknąć jego nazwisko. Nie mogła liczyć na to, że będzie płacił na utrzymanie dziecka. Zatrzymać mogła wszystkie konie, łącznie z wyposażeniem stajni, jak również zarobione dzięki nim pieniądze oraz rzeczy osobiste, swoje i Eden. Dobie zastrzegł sobie również, by wyznaczyła mu możliwe do zaakceptowania przez niego terminy odwiedzin u Eden. Abbie na wszystko się zgodziła.

270

41

Stc

tojący na placu do siodłania ogier patrzył na zgromadzonych przy ogrodzeniu jak władca dokonujący przeglądu swych poddanych. Wydawało się, że w ogóle nie zwraca uwagi na czynności siodłającego go personelu stajennego; król, przyzwyczajony do obsługiwanego przez innych.

- Czy nie jest fascynujący, Lane? - zawołała Rachel, która nie mogła oderwać wzroku od Sirocco. - Widziałeś go kiedykolwiek tak pięknego i silnego? Wygra, ja to wiem.

Jej głos skłonił ogiera do obrócenia głowy w jej stronę i wyciągnięcia długiej szyi, by mogła podrapać go za uchem. Była tak zajęta przyglądaniem się wierzchowcowi, że w ogóle nie usłyszała odpowiedzi Lane'a, który zapewnił ją:

- Będziemy go wszyscy gorąco dopingowali.

- Kto powiedział, że piękny koń nie może szybko biegać? - przymilała się do Sirocco. - Dziś wszystkim pokażemy, prawda? - Objęła konia. - Powodzenia. - Cofnęła się i stanęła obok Lane'a.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i odwróciła głowę w kierunku białego ogiera, który podniósł wysoko łeb i wietrzył szeroko rozwartymi chrapami. Stała przy nim Abbie z tym starym Polakiem. Byli też MacCrea i Eden. Patrząc na tę pewną siebie czwórkę, Rachel poczuła na skórze nieprzyjemne swędzenie.

- Mamo, czy mogę życzyć Sirocco szczęścia i pogłaskać go? Będzie mu to odpowiadało? Odwróciła wzrok od rywalki i powiedziała szorstko:

- Ależ oczywiście.

Dopiero potem uświadomiła sobie, jak niecodzienne było zachowanie jej syna i obróciła się w jego stronę. Alex ostrożnie zbliżył się do ogiera i równie ostrożnie położył rękę na jego umięśnionym karku.

- Powodzenia, Sirocco - powiedział cicho i natychmiast się cofnął, gdy koń odwrócił łeb w jego stronę. Alex zatrzymał się dopiero wtedy, gdy znalazł się znowu między ojcem a panią Weldon.

- Alex, zrobiłeś się odważny. Myślałam, że boisz się koni - zauważyła zdziwiona Rachel. Chłopiec opuścił wzrok.

- Konie są duże, ale nikomu przecież nic nie robią, w każdym razie celowo.

- Cieszę się, że to wreszcie zauważyłeś. Konie mogą być najlepszymi przyjaciółmi. - Rachel popatrzyła na Sirocco, syna Simoon, który tak wiele

271

dla niej znaczył, a potem znowu spojrzała na Aleksa, który potakująco skinął głową.

- Czy zaprzyj ażniłeś się z jakimś koniem, Alex? - Kiedyś przyłapała go, jak wspiał się przez płot i zniknął w zagrodzie.

Jedyną reakcją syna na to pytanie było nieokreślone wzruszenie ramion, przy czym jego broda znowu zniknęła w kołnierzyku białej koszuli. Sfrustrowana Rachel zastanawiała się, dlaczego zadawała sobie tyle trudu i usiłowała nawiązać z nim rozmowę. Alex nie chciał mieć z nianie do czynienia. Lane i jego niania, pani Weldon, byli jedynymi ludźmi, którzy coś dla Aleksa znaczyli.

Razem poszli na swoje miejsca na trybunach. Zgodnie z planem miał tam na nią czekać Ross. Ona udała zdziwioną i będzie się zachowywała tak, jak gdyby nie wiedziała, że on jest w tym mieście. Oboje będą ignorowali fakt, że minioną noc spędzili razem.

To był cudowny wieczór, zakłócony tylko małym nieporozumieniem, kiedy Ross usiłował wcisnąć jej do ręki wizytówkę rzekomo wspaniałego adwokata wyspecjalizowanego w sprawach rozwodowych.

Ross nie mógł się pogodzić z faktem, że nie chciała rozwodu ani teraz, ani później. Rachel nie widziała powodu do rozwodzenia się. Miała wszystko: swoje konie, dom rodzinny, Lane'a i Rossa.

Zobaczyła Rossa natychmiast, bo jego kowbojski kapelusz wyraźnie wystawał ponad tłum.

- Lane, popatrz, kto tam jest! - Rachel nie czekała na reakcję męża i szybko pobiegła do Rossa. - Co za niespodzianka! Myślałam, że nie będzie pan mógł przyjechać. Miał pan dziś przecież jakiś ważny termin.

- To prawda. - Ross celowo powiedział to bardzo głośno, by mógł to usłyszeć także Lane. - Bezpośrednio po gonitwie odlatuję.

Kiedy Lane wszedł do łoży, Rachel odsunęła się, by mogli podać sobie ręce.

Kilka minut później wyprowadzono konie na start. Od tej chwili Rachel skupiała uwagę wyłącznie na nich. Przez lornetkę obserwowała, co się działo na starcie na dole, próbując opanować napięcie. Sirocco musi wygrać ten bieg. W tej chwili było to dla niej nawet ważniejsze niż konkursy narodowej esienią.

Na dźwięk dzwonka bramki startowe podskoczyły i Rachel natychmiast poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Jedenaście koni wyszło jednocześnie ze startu i przez pewien czas galopowało w jednej linii. Potem widziała, jak Sirocco zajął pozycję na czele stawki. Po zewnętrznej usiłował go wyprzedzić jakiś kasztan. Rachel powiodła wzrokiem po pozostałych wierzchowcach i odkryła konia Abbie na piątej

272

lub szóstej pozycji. Wiedziała, że potrzebował pewnego czasu, by znaleźć swój rytm. Pozostałych dziewięć koni się dla niej nie liczyło. W jej oczach był to wyścig między Sirocco i Windstormem. Kiedy po pierwszym łuku Sirocco ciągle prowadził, Rachel opuściła lornetkę i rzuciła ukradkowe spojrzenie na Abbie, która stała w jednej z pobliskich łóż. Widać było, że również ona była podniecona i napięta. Jednak gdy Abbie potrafiła demonstrować swoje uczucia, to Rachel czuła się sztywna jak posąg. Jakże chętnie krzyczałaby głośno i zagrzewała swojego konia, ale nie mogła.

Ponownie skierowała lornetkę na Sirocco, który prowadził teraz o trzy długości. Wyprzedzenie zmniejszało się jednak coraz wyraźniej, ponieważ inne konie po zakręcie nadrobiły dystans. Z każdym skokiem zbliżał się biały ogier, ale dżokej dosiadający Sirocco jakby tego nie zauważał. Skoncentrował się na kasztanie, który atakował go po zewnętrznej.

Rachel, chociaż chciała krzyknąć ostrzegawczo, nie zdołała otworzyć ust. Biały ogier wysunął się o łeb do przodu. Sirocco nadrobił to i teraz galopował łeb w łeb z Windstormem, z całą siłą grmiących podków, które wrywały grudy twardej ziemi.

Paręset metrów przed metą dżokej Sirocco chwycił za pejcz. Koń uruchomił własne rezerwy, ale nie mógł pozbyć się rywala. Windstorm szedł z nim łeb w łeb. Nagle Sirocco potknął się... Dżokej daremnie usiłował go poderwać. Ogier padł na ziemię wprost pod kopyta pędzącego za nim konia.

- Nie! -krzyknęła Rachel, jeszcze nie wierząc w to, co zobaczyła. -Nie! Sirocco! Nie!
Abbie prawie nie zauważyła, że Windstorm jako pierwszy przekroczył linię mety. Jak odurzona patrzyła szeroko otwartymi oczami na konia i jego j eźdźca, którzy pozostali bez ruchu na ziemi za galopującą stawką. Milcząco zeszła wśród tłumu na dół, gdzie ludzie z personelu wyścigów wbiegali na tor.

- Mamusiu, co się stało? Dlaczego koń się nie podnosi? Czyj est ranny?

- Obawiam się, że tak, kochanie - powiedziała Abbie i przycisnęła Eden do siebie.

- A wyzdrowieje?

- Tego nie wiem. - Dżokej próbował wstać, chociaż dwóch mężczyzn radziło mu, żeby tego nie robił i poczekał na karetkę, która wjechała już na tor. Koń się nie ruszał. Abbie spojrzała w stronę łoży Rachel. Mogła sobie wyobrazić, co ona w tym momencie przeżywała, bo wciąż dokładnie pamiętała, co sama przeszła z River Breeze.

18 - Przyrodnie siostry

273

Lane i Rachel torowali sobie drogę przez gapiący się tłum. Abbie słyszała z daleka histeryczne, przerywane łkaniem okrzyki:

- Muszę iść do niego. Proszę, ja muszę do niego.

- O Boże! -Abbie się odwróciła. Poczowała, że MacCrea dotknął jej ramienia.

- Abbie, musisz iść na dekorację zwycięzców.

- Nie mogę. - Potrząsnęła głową. Wygrała i pokonała Rachel, ale mimo to czuła się podle.

- Musisz. Windstorm wygrał. Tego nic nie zmieni, nawet wypadek. -Wziął ją pod ramię, by wyprowadzić z łoży. Abbie wiedziała, że miał rację. Jednak wcale nie było jej przez to lżej. Przed wygradzonym terenem, przygotowanym na uroczystość dekoracji, zatrzymała się, ponieważ z tego miejsca dobrze było widać tor. Ogier leżał na ziemi, a jego czerwona sierść lśniła w słońcu. Obok niego, w otoczeniu kilku ludzi z personelu pomocniczego, klęczał lekarz. Kiedy dwóch sanitariuszy pomagało dżokejowi wejść do karetki, na miejsce wypadku dotarła Rachel z Lane'em.

- MacCrea, proszę cię, ja muszę wiedzieć, jak poważny jest ten wypadek. Możesz tam pójść i zobaczyć?

Przyjrzał się uważnie.

- Tak, zrobię to.

Abbie niechętnie poszła z Benem i Eden na uroczystość dekoracji. Kiedy przyprowadzono pokrytego pianą Windstorma, poczuła rosnącą dumę. Wychowała tego ogiera, dzisiejszego zwycięzcę. Zalana łzami objęła konia.

- Wygraliśmy, uczciwie wygraliśmy. - Dżokej uśmiechał się do niej z siodła. - Minęliśmy go już, kiedy upadł.

- Wie pan, jak właściwie do tego doszło? Potrząsnął głową.

- Usłyszałem odgłos... jakby złamania kości. Sirocco był świetny, ale my jednak wygraliśmy.

Zażądałem od Windstorma więcej i dał mi to, a Sirocco nie miał już żadnych rezerw.

Jakby złamanie kości... Słowa te odbiły się echem w jej świadomości. Usiłowała sobie wmówić, że złamanie kości wcale nie musi oznaczać końca Sirocco.

- A dżokej?

- Ktoś z personelu stajennego powiedział mi, że złamał sobie ramię i doznał wstrząsu mózgu.

Na pewno dojdzie do siebie. Widziałem już wiele upadków.

Podszedł do nich członek kierownictwa wyścigów.

274

- Pani Hix, musimy wreszcie dokonać dekoracji zwycięzców. Zechce pani tu podejść?

Kiedy Abbie odwróciła się i poszła za nim, dżokej powtórzył:

- W każdym razie wygraliśmy.

Oszołomiona przyjmowała gratulacje od sponsorów wyścigu, srebrny puchar oraz nagrodę i pozowała do zwyczajnych przy takich okazjach zdjęć. Nie potrafiła jednak zmusić się do uśmiechu, dopóki widziała na torze Rachel klęczącą obok konia.

Wreszcie wszystko się skończyło. Abbie widziała, jak dżokej zsiadł z konia i udał się z siodłem do wagi. Chłopiec stajenny okrył derką mokry grzbiet Windstorma i odprowadził go.

- Mamusiu, nie pójdziemy z Windstormem do stajni? - zapytała zaniepokój ona Eden.

- Teraz nie, czekam na MacCreę. - Zobaczyła, że idzie do niej na przełaj przez tor. Z jego miny próbowała wyczytać jakąś wskazówkę, ale twarz Wil-dera nie zdradzała niczego. Mimowolnie ścisnęła mocniej puchar, kiedy zobaczyła, że do leżącego konia podjechała ciężarówka.

- Bardzo źle? - zapytała.

Odpowiedział dopiero wtedy, gdy stanął przed nią i mógł przytrzymać ją za ramiona.

- Abbie, on nie żyje. Skręcenie karku.

- Nie! -jęknęła. - O Boże, nie. - Szukała oparcia w jego ramionach. -To nie może być prawda.

- To prawda, bardzo mi przykro.

- Dlaczego? - zawołała i zwinęła dłoń w pięść. - Dlaczego musiało się to stać?

Jej wzrok powędrował w kierunku ciężarówki, która przyjechała po martwe zwierzę. Wkrótce tragedia zostanie zapomniana i rozpoczną się następne wyścigi. Abbie jednak wiedziała, że nigdy nie zapomni momentu, w którym Sirocco padł na ziemię, a galopujące za nim konie usiłowały go przeskoczyć. Widziała ich desperackie wysiłki, a potem Sirocco leżącego w chmurze wzniesionego kopytami pyłu.

- To moja wina - powiedziała.

- To był wypadek. Mógł się przytrafić każdemu koniowi ze stawki, także Windstormowi. Nie rób sobie z tego powodu żadnych wyrzutów.

- A jednak to moja wina. Rachel wystawiła Sirocco w wyścigach, bo ja ją do tego podjudziłam. Przypominasz sobie ten wieczór w Scottsdale po zwycięstwie Sirocco, kiedy powiedziałam Rachel, że wygrał tylko konkurs urody i nie nadaje się na konia wyścigowego? Mój Boże... To ja ją w to wpędziłam.

275

- To była jej własna decyzja. Znała ryzyko i mimo to zgłosiła konia na start. Nie możesz obarczać się winą...

Abbie jednak wiedziała, że to nieprawda.

42

1 oranna bryza marszczyła powierzchnię wody w basenie i szeleściła dokumentami umowy, leżącej na kolanach Lane'a. Wyglądził automatycznie papier, nie odwracając wzroku od postaci, która przykucnęła obok świeżo usypanego wzgóрка na łące. Musiał przestudiować umowę, którą MacCrea chciał podpisać po południu. Niepokój o Rachel uniemożliwiał mu jednak koncentrację. Nie mógł również oderwać wzroku od pluskającego się w wodzie Aleksa.

- Przepraszam, panie Canfield - podeszła do niego służąca. - Przyszedeł pan Tibbs.

- Dziękuję, Mario. - Lane odsunął na bok papiery i podniósł się, by powitać gościa. - Halo, Ross. Nie spodziewałem się pana. - Poprosił go, by usiadł.

- Nie, dziękuję. Nie mam czasu. - Ross zdjął kowbojski kapelusz i obracał go ostrożnie w rękach. - Chciałem tylko zobaczyć, jak czuje się Rachel, ponieważ wiem, jak bardzo przeżyła wypadek Sirocco...

- Tak, jego śmierć wzięła sobie do serca. - Rozmowę z Rossem o Rachel uważał wprawdzie za rzecz osobliwą, ale dlaczego nie? Obaj ją przecież lubili.

- Gdzie ona jest?

- Tam. Przy jego grobie. - Wskazał rękaw stronę wzgóрка. - Koniecznie chciała pochować Sirocco tu, w River Bend. Początkowo nie miałem zastrzeżeń, ale teraz nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł.

- Czy miałby pan coś przeciw temu, żebym z nią porozmawiał? Przy-niosłem jej coś, co być może sprawi jej radość.

- A więc niech pan próbuje. - Lane'owi było obojętne, kto wyprowadzi Rachel z depresji.

Z zażenowaną miną Ross skinął głową, nałożył kapelusz i ruszył w kierunku wzgóрка, leżącego w pobliżu płotu, w połowie drogi między domem i stajniami. Lane patrzył za nim, zastanawiając się, czy tym razem Rachel ostatecznie wyląduje w ramionach Rossa.

Wprawdzie po wypadku zwróciła się

276

do niego, a nie do Rossa, ale była to prawdopodobnie tylko instynktowna reakcja.

- Tatusiu, widziałeś mój skok na głowę? - zapytał Alex, wrywając Lane'a z rozmyślań. - Nie chcesz ze mną trochę popływać?

- W tej chwili to niemożliwe. Ale chętnie popatrzę na ciebie. Alex zastanowił się.

- No to usiądę lepiej koło ciebie. I tak już jestem zmęczony.

- Tak, chodź do mnie - powiedział Lane, który z powodu Rachel zaniedbał ostatnio syna. Śmiejąc się, obserwował, jak mały wdrapywał się na leżak.

- Czego tu chce pan Tibbs? - zapytał Alex.

- Odwiedza twoją matkę. Przywiózł jej coś, co być może trochę ją rozweseli.

- Jest taka strasznie smutna, prawda? Może ja mógłbym coś zrobić, by ją pocieszyć?

Lane wyczuł w jego głosie współczujący ton i potrafił zrozumieć jego potrzebę udzielenia pomocy.

- Może mógłbyś.

- Ale jak? - Alex patrzył na niego pytająco.

- W takiej sytuacji drobiazgi znaczą często więcej niż wszystko inne... Mógłbyś urwać dla mamy parę kwiatków albo...

- ... albo mógłbym narysować Sirocco i kolorowo go pomalować. Żeby zawsze wiedziała, jak wyglądał - zawołał podniecony Alex. - Tak, to jej się będzie podobało. Pani Weldon mówi, że umiem ładnie rysować.

- Tak, to z pewnością sprawiłoby mamie radość.

- Zaczęj już teraz. - Nie skończył jeszcze mówić, a już zszedł z leżaka i pobiegł do domu.

Lane popatrzył za nim i pomyślał, jak to wspaniale być młodym i niewinnym, przekonanym, że na wszystkie kłopoty życia można znaleźć radę.

Rachel siedziała na trawie obok prostokątnego grobu. Pochyliła głowę i ramiona. Jedną rękę opierała na ziemi.

Ross zatrzymał się przed nią, przestraszony jej zrozpaczoną miną. Halo, Rachel.

Początkowo nie wiedział, czy go w ogóle usłyszała. Potem jednak spojrzała na niego matowymi, pustymi, pozbawionymi życia oczyma. Minęło kilka chwil, zanim go rozpoznała.

- Tu leży Sirocco - powiedziała bezdźwięcznie. - Muszę tu postawić nagrobek... marmurowy... z jego imieniem i cytatem. - Zadumana wyrecytowała: - „Znałeś tylko urok jego członków, a prawdziwe piękno było przed tobą ukryte”.

277

- Jak pięknie... Rachel, słuchaj, to niedobrze, że tak się pograżasz w żalu. Nie możesz zmienić faktów. - Powiedział to z naciskiem, gdyż jej postawa go przestraszyła. - Jestem przy tobie. Proszę cię, chodź ze mną. - Chwył ją za ramiona, by łagodnie postawić na nogach.

Rachel nie stawiała oporu, ale nie spuszczała wzroku z grobu.

- On powinien tu być, by przywoływać rzeniem klacze w zagrodzie.

- Chciałbym coś dla ciebie zrobić. - Czuł się bezsilny i bezradny, jak wtedy po wypadku na torze. - Nie wiesz nawet, jak bardzo pragnąłem wtedy zostać, ale musiałem wyjechać. Czułem jednak, że i tak nie mógłbym ci pomóc. Lane był przy tobie. Wiedziałem, że będzie się o ciebie troszczył.

- Lane zawsze jest na moim miejscu, za każdym razem - wyszeptala.

- Wiem. - Ciągle jeszcze niepokoił go fakt, że w pierwszych chwilach szoku po wypadku szukała schronienia u Lane'a. - Muszę dziś jechać na nagranie płyty do Nashville. Gdybyś jednak chciała, to zostanę przy tobie.

- Nie trzeba. To nie ma znaczenia, czy jesteś tu, czy nie. Wszystko stało się nieważne. Była tak obojętna, tak oddalona od niego, jak gdyby była obcą osobą. Znikła wszelka zażyłość. Szli obok siebie do domu.

- Chodź, mam coś dla ciebie. - Zmuszał ją do pośpiechu, gdy zbliżali się do stajni, przed którą stał samochód do transportu koni. Na znak Rossa stojący obok człowiek wyprowadził przez tylne drzwi żrebaka.

Na twarzy Rachel pojawiło się zdziwienie, kiedy zobaczyła młodego konia arabskiego, którego brązowa sierść połyskiwała w słońcu.

- To Juwel - powiedział Ross. - Chciałbym, żebyś ją zatrzymała. Pamiętam jeszcze, jak bardzo pragnęłaś ją mieć. Mówiłem wtedy poważnie, że nie chciałem jej sprzedać. Ponieważ jednak nie będzie już żrebaka z Juwel i Sirocco, daję ci ją w prezencie.

- Nie! - Cofnęła się wściekła i oburzona.

Zdumionej reakcją Ross wziął do rąk cugle i wyciągnął do niej.

- Proszę, weź ją. - Rachel potrząsała głową. - Wiem, to nie jest Sirocco - powiedział - ale może wynagrodzi ci to, że wtedy nie zostałem przy tobie.

W tym momencie przepalił się w niej jakiś bezpiecznik.

- Dlaczego od wszystkich dostaję prezenty? Czy myślisz, że mógłbyś mnie kupić? - krzyczała jak w transie. - Prezenty nie mogą wynagrodzić godzin, które musiałam spędzać sama. Nie jestem dzieckiem, żeby można było mnie udobruchać zabawką!

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie chciałem cię kupować...

278

- Więc co? Chcesz uspokoić swoje sumienie? Ale ja nie chcę twój ego konia. I ciebie też nie! Zabieraj swoją chabetę i wyńs się! I nigdy się tu więcej nie pokazuj, zrozumiałeś? - Stała przed nim z zacisniętymi pięściami, trzęsąc się z wściekłości i zalewając się łzami.

- Rachel, nie mówisz tego poważnie. - Ross szukał wyjaśnienia tej nagłej zmiany. - Nie wiesz, co mówisz - powtórzył.

- Wiem bardzo dobrze. Jeśli w ciągu pięciu minut nie znikniesz, sprowadzę szeryfa, żeby cię stąd wyprowadził. - Po tych słowach odwróciła się i poszła do stajni. W połowie drogi puściła się biegiem.

- Rachel... - Ross przez chwilę chciał pobiec za nią. Nie mógł pojąć, co się stało.

- Myślę, że ona traktuje to bardzo poważnie - powiedział do niego mężczyzna, który wyprowadził konia z transportera.

Ross musiał mu przyznać rację.

Wstrząsana konwulsyjnym szlochem Rachel poszła prosto do części przeznaczony dla klaczy.

- Simoon-powiedziała przez łzy, obejmując klacz za szyję-dlaczego tak ze mną postępują? Zawsze dostaję tylko prezenty, a ja chcę przecież miłości. Nikt mnie nie kocha. - Czuła delikatne szturchnięcia końskiego pyska, którym towarzyszyło przytłumione rżenie. - Nie, to nieprawda. Ty mnie kochasz, prawda, moja piękna? - szeptała, trzymając oburącz głowę

konia i z uśmiechem pozwalając mu zlizywać łyżę ze swego policzka. - Ja też ciebie Kocham. Jeszcze nigdy nie zostawiłaś mnie na lodzie.

W sąsiednim boksie zaszeleściła słoma, gdy wiekowy wałach odważył się podejść do ściany działowej i popatrzeć na nich. W tym samym momencie w środkowym przejściu pojawił się chłopiec stojący i Rachel ukryła zapłakaną twarz na szyi Simoon.

Kiedy znowu nikt jej nie przeszkadzał, ponownie zalała się łzami. Oplakiwała śmierć ukochanego Sirocco i zdradę mężczyzny, który nigdy naprawdę jej nie kochał. Simoon nagle parsknęła i odwróciła głowę w kierunku wejścia do stajni. Ktoś wszedł do środka. Rachel szybko otarła łyżę i starała się opanować.

- Mamusiu? - Alex szedł powoli środkowym przejściem i rozglądał się. - Jesteś tu?

Miała ochotę udąć, że go nie słyszy, ukryć się przed nim i przed wszystkimi.

- Tak, Alex, co się stało? - zapytała zduszonym głosem. Chłopiec nie wiedział początkowo, z którego boks dobiegał jej głos.

- Ach, tu jesteś - wykrzyknął radośnie, kiedy ją zobaczył. - Popatrz, coś ci przyniosłem. -

Wyciągnął się, by sięgnąć przez kratę. - Ale nie

279

mogłem tego ładnie zapakować - powiedział, pokazując jej z dumą kawałek papieru ukrywany za plecami.

- Nie chcę tego. - Znowu prezent, pomyślała Rachel. Dlaczego wszyscy chcieli ją kupić?

Jego uśmiech błyskawicznie zniknął.

- Ale... Tatusz myślał...

- To źle myślał! Nie chcę żadnych prezentów, od nikogo. Wracaj do twojego tatusia. Nie chcę cię tutaj.

Znowu zaczęła szukać pocieszenia u Simoon. Słyszała niewyraźnie kroki chłopca, gdy wybiegał ze stajni. Rysunek upadł na ziemię.

Następną godzinę spędziła tylko z końmi, usiłując wmówić sobie, że poza swoimi zwierzętami nie potrzebuje nikogo.

Z niechęcią znowu zarejestrowała czyjeś kroki. Dostrzegła Lane'a, który wyraźnie czegoś szukał.

- Alex! - zawołał.

Rachel miała ochotę głośno się roześmiać. Mogła się domyślić, że to nie z jej powodu się zamartwia. Zależało mu wyłącznie na synu. Chciała ukryć się pod ścianą na samym końcu boks, ale było już za późno. Usłyszał jej ruch i odwrócił się do niej.

- Rachel, widziałaś Aleksa? Maria nigdzie go nie może znaleźć.

- Nie, nie mam pojęcia, gdzie on może być - powiedziała głucho. Lane podszedł bliżej.

- Musiał tu jednak być. Jeden z chłopców stajennych powiedział mi, że widział, jak wchodził.

O, a co to takiego? - Patrzył zdziwiony na podłogę. Na wiórach leżał kawałek papieru zgnieciony końską podkową. - Czy to nie portret Sirocco, który namalował dla ciebie Alex?

- Tak, prawdopodobnie. - Wzruszyła ramionami.

- Więc chłopiec był już tutaj i przyniósł ci swój prezent? - Pytającym wzrokiem szukał potwierdzenia.

- Tak. Powiedziałam mu, że nie chcę tego.

- Ty... co? - Wytracony z równowagi patrzył na nią z niedowierzaniem. - Jak mogłaś! Sam to namalował dla ciebie.

- Jest mi to obojętne - parsknęła. - Przez całe życie otrzymuję od wszystkich prezenty jako rekompensatę za zaniedbania.

- Mój Boże, Rachel, to jeszcze dziecko. Czy przy tym użalaniu się nad sobą jesteś aż tak zacierzwiona, że wszyscy musimy cierpieć i ci współczuć? To coś więcej niż dziecinny rysunek. To był dowód miłości.

Jeszcze nigdy Rachel nie widziała Lane'a tak wzburzonego. Jego gniewne słowa padały na nią jak uderzenia. Przez chwilę myślała, że rzeczywiście zacznie ją bić. Skulona cofnęła się przed nim.

280

- Nie wiedziałam. Myślałam...

- Myślałaś - powtórzył wzburzony. - Znowu myślałaś tylko o sobie. Chciałbym wiedzieć, czy kiedykolwiek myślisz o innych. - Powiedziawszy to, wyszedł ze stajni.

Przejżdżając przez maszyną bramę, markując drogę do River Bend, MacCrea spojrzął na zegarek i stwierdził, że spóźnił się pięć minut. Kiedy jechał drogą dojazdową, zauważył trzech mężczyzn, którzy w jednym szeregu szli przez łąkę położoną po lewej stronie. Pewnie usiłują złapać jednego z koni, pomyślał.

Kiedy zajeżdżał na dziedziniec, zauważył Rachel na siwej klaczy. Koń błyszczał od potu.

Dlaczego Rachel wyjeżdżała właśnie w największy upał w południe? I ci mężczyźni na łące...

Coś musiało się stać. Szybko zawrócił i pojechał do stajni. Zatrzymał się w momencie, gdy Rachel zeskoczyła z konia i podała cugle stajennemu. Wsiadając, usłyszał jeszcze ostatnie słowa jej pytania:

- ... coś się wydarzyło? - Mężczyzna zaprzeczył i wprowadził konia do środka.

- Co się stało? - zapytał MacCrea.

Rachel skuliła się w sobie i obejrzała się. Miała wzrok zaszczutego zwierzęcia.

- MacCrea! Nie wiedziałam, że to pan!

- Gdzie jest Lane?

- Tam, razem z innymi... Szukamy Aleksa. Zniknął gdzieś. Od południa nikt go nie widział...

Wołał i wołał... - Drżąc, wdychała głęboko powietrze. - Tak się boję, że mogło mu się coś stać. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

MacCrea już jej chciał powiedzieć, że być może wie, gdzie ukrył się Alex. Chłopiec nie miał pojęcia, że Eden nie mieszkała już na sąsiedniej farmie, więc może pobiegł do posiadłości Hiksa. Nie chciał jednak robić niepotrzebnego zamieszania i wolał najpierw sam się rozejrzeć.

- Na pewno się znajawi - powiedział uspokajając się.

- Mam nadzieję.

- Jeżeli zobaczy pani Lane'a, proszę mu powiedzieć, że przyjdę później,

Skinęła głową, ale MacCrea wątpił, czy będzie pamiętała o przekazaniu tej informacji. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Abbie wносиła z domu ostatnie kartony ze swoimi rzeczami i ładowała je na samochód. Przed stajnią dla klaczy stał wynajęty samochód dostaw-

281

czy i dwóch pomocników systematycznie wyносиło ze środka i ładowało narzędzia, uprzęż i inne rzeczy. Wyglądało na to, że wkrótce skończą.

Dobie był na polach. Przy odrobinie szczęścia powinna zdążyć zapakować wszystko i załadować przed jego powrotem. Na spotkaniu z nim w ogóle jej nie zależało. Zapewnianie go kolejny raz o tym, jak jej przykro, nie mogło zadośćuczynić krzywd, jakie mu wyrządziła.

Na odgłos silnika zbliżającego się samochodu odwróciła się. Gdy rozpoznała MacCree, w pierwszym odruchu zmarszczyła czoło. Co będzie, jeśli Dobie go tu zobaczy?

- Co się stało? Dlaczego tu przyjechałeś? - zapytała go, starając się ukryć niepokój.

- Szukam Aleksa. Nie widziałaś go?

- Nie, dlaczego?

- Przyjechałem z River Bend. Rozpaczliwie go tam poszukuję. Myślałem, że przyszedł tu pobawić się z Eden.

- Nie, nie widziałam go, a jesteśmy tu cały czas. Poza tym woda w strumieniu tak bardzo przybrała, że Alex... - Jeszcze nie dokończyła, kiedy poczuła na ramionach chłód. - Mac, chyba nie próbował przejść przez strumień? Musiał przecież widzieć, że to jest zbyt niebezpieczne!

MacCrea z ponurą miną ponownie uruchomił silnik.

- Lepiej sprawdzę.

- Jadę z tobą. - Abbie podbiegła do drugich drzwi.

MacCrea pojechał wzdłuż stawu wyboistą polną drogą, przez przylegającą do niego łąkę.

- W tym miejscu jest naturalna mielizna, którą przy normalnym stanie wody można przejechać. - Abbie wskazała na miejsce przed nimi i MacCrea zatrzymał się. Wysiedli.

Błękitne niebo i wymyta do połysku przez deszcz zieleń drzew nadawały krajobrazowi złudny, sielski wygląd. Strumień nie był już jednak małym potoczkiem, szemrzącym wśród piasku i kamieni. Jego szum prawie zagłuszył trzaśnięcie drzwi samochodu.

Przeszukiwali wzrokiem brzeg strumienia, którego ciemne wody niosły ze sobą gałęzie drzew.

- Gdzie on może być? - Abbie bała się coraz bardziej. - Musi przecież wiedzieć, że go poszukują.

- Najlepiej będzie, jeśli rozdzielimy się i przeszukamy oba brzegi. - MacCrea poszedł zdecydowanie w kierunku małej mielizny.

- Uwważaj-upomniła go Abbie.

282

Uśmiechnął się do niej, dodając jej odwagi, i ostrożnie zaczął brodzić w bulgoczącym strumieniu. W najgłębszym miejscu woda sięgała mu do bioder. Gdyby Alex wpadł do wody, nie miałby żadnych szans.

Z drugiego brzegu pomachał do niej, kiedy już rozejrzał się we wszystkie strony. Zwinął dłonie w trąbkę i krzyknął:

- Był tutaj! Znalazłem coś! - Pokazał jej, że powinni szukać dalej w dół strumienia.

Abbie odpychała od siebie najczarniejsze myśli i koncentrowała się na poszukiwaniach. Ostrożnie poruszała się wzdłuż brzegu, stale utrzymując się na tej samej wysokości co MacCrea.

Kawałek dalej wypatrzyła coś żółtego, co zaczepiło się o naniesione prądem gałęzie.

- Popatrz tam! - krzyknęła i wskazała na coś, co wyglądało na część ubrania. Alex miał żółtą kurtkę. Wiedziała o tym. Wstrzymując oddech, czekała, aż MacCrea dostanie się do tej rzeczy i wyłowi ją. Była to żółta kurtka!

- Alex! - zawołała przestraszona Abbie. - Gdzie jesteś? - Biegła dalej, bez przerwy wykrzykując jego imię i nie zwracając uwagi na coraz bardziej gęste zarośla na brzegu strumienia.

Nagle wydało jej się, że usłyszała wołanie. Zatrzymała się. MacCrea nigdzie nie było widać. Czy aż tak go wyprzedziła? Szybko pobiegła z powrotem.

- Abbie! - Machał do niej z drugiego brzegu, Alex siedział na jego biodrze. - Mam go! Niecierpliwie czekała, aż MacCrea przebrnie z powrotem przez strumień.

- Gdzie go znalazłeś?

- Siedział w krzakach.

Abbie nachyliła się i upewniła, że małemu nic się nie stało. Z bliska widać było, że na twarzy ma rozmazane łzy. Odgarnęła mu mokre włosy z czoła.

- A teraz natychmiast do domu. Ze mną. Cofnął się.

- Nie, nie chcę tam iść.

- Dlaczego? - Abbie była wstrząśnięta jego gwałtowną reakcją. - Twój rodzice już się bardzo martwią.

- To nieprawda. Mojej matce jest to obojętne - twierdził uparcie, a łzy znowu popłynęły mu po policzkach. - Ona mnie nie chce. Powiedziała, żebym się wynosił. No to uciekłem i już nigdy nie wrócę.

- Alex, twój a matka tak nie myślała.

283

- Myślała - upierał się. Po chwili rzucił się w ramiona Abbie i głośno rozplakał. - Ja chcę zostać z tobą i Eden.

Poruszona jego prośbą Abbie spojrzała bezradnie na MacCrea. Ten ukląkł i położył rękę na wstrząsanych szlochami ramionach chłopca.

- Alex, teraz tak mówisz. Pomyśl jednak, jak twój ojciec by się czuł.

- On zawsze musi pracować.

- Nie zawsze.

- Należysz do swoich rodziców. Musisz wrócić do domu - usiłowała namówić go Abbie. Kiedy jednak MacCrea chciał chłopca od niej odciągnąć, mocno objął ją szyję.

- Nie!

- Będę go niosła - powiedziała zdecydowanie. Młodec mocno otoczył ją nogami w talii.

Zniosła go do samochodu i nie puściła nawet w czasie jazdy.

- Wysadzę cię na farmie Hiksa przy twoim samochodzie - zaproponował MacCrea.

- Nie, jadę z tobą do River Bend. - Decyzję taką podjęła podczas poszukiwania chłopca. - Mam coś do powiedzenia Rachel.

- Abbie! - W jego głosie brzmiała dezaprobatą. Nie chciała więcej słyszeć ani słowa.

- Jadę z wami. - Nikt i nic nie mogło jej powstrzymać, nawet MacCrea.

Około pół tuzina mężczyzn poszukujących Aleksa odpoczywało w cieniu ocalałych z pożaru starych dębów. Na pytania Lane'a i Rachel potrząsali tylko przecząco głowami. Ich

poszukiwania były do tej pory bezskuteczne. Kiedy podjechał MacCrea, prawie nikt tego nie zauważył.

Abbie wysiadła ostrożnie z Alekssem w ramionach. Początkowo nikt nie zwrócił na nią uwagi, bo wszyscy patrzyli na MacCrea. Dopiero kiedy obchodziła samochód, Rachel zobaczyła chłopca.

- Alex! Jesteś! -Pobiegła Abbie naprzeciw. -Alex, gdzie byłeś? Bardzo się o ciebie baliśmy.

- Był tam, na farmie - powiedziała Abbie. Chłopiec objął ją jeszcze mocniej.

Dopiero teraz Rachel dostrzegła, kto przywiózł Aleksa. Natychmiast zatrzymała się, rozłószczona i czujna.

- Dlaczego pani go niesie? Proszę mi oddać mojego chłopca.

Alex protestował przeciw zabraniu go od Abbie tak głośno, jak tylko potrafił.

- Nie, ja chcę zostać u ciebie!

- Co pani z nim zrobiła? - Oczy Rachel zapłonęły niebezpiecznie.

284

- Nie chodzi o to, co ja z nim zrobiłam, lecz co pani z nim zrobiła -odpowiedziała Abbie.

Lane wkroczył między nie. Na jego opalonej twarzy widać było ślady napięcia ostatnich godzin.

- Nic mu się nie stało? - zapytał z troską.

- Nie, jest cały. - Alex nie stawiał oporu, kiedy ojciec wziął go na ręce, ale odwrócił twarz od matki. - Powinna pani wiedzieć, że już od kilku miesięcy przychodzi do nas, by się pobawić z Eden - oświadczyła Abbie. - Należało położyć kres tym tajemnicom, ale nie chciałam dopuścić do tego, by dzieci zostały wciągnięte w nasze osobiste zatargi.

- Ty... ty... ty podburzałaś dziecko przeciw mnie - zarzuciła jej Rachel. W swej niepohamowanej wściekłości nie zauważyła, że zwraca się do Abbie po imieniu. - Powinłam się tego domyślić. Zawsze wszyscy kochali tylko ciebie. Dean... po prostu wszyscy. Ty miałaś wszystko. A teraz chcesz mi ukraść mojego syna. Do tej pory nie wiedziałam, jak bardzo cię nienawidzę. Wynoś się, zanim każę cię wyrzucić.

- Rachel, nie mam ci za złe twojej nienawiści. Może nie zasługuję na nic innego. Nie odejdę jednak, dopóki nie powiem tego, co należy powiedzieć.

- Nie interesuj mnie to...

- Ze względu na Aleksa wysłuchasz mnie - nie ustępowała Abbie. -On myśli, że ty go nie kochasz. Musisz położyć temu kres. Ja również dorastałam, wierząc, że mój ojciec mnie nie kocha. Z tobą było inaczej. Pamiętasz jeszcze, jak to było? To samo czuje teraz Alex.

- On nigdy mnie nie lubił - powiedziała Rachel głucho. - Zawsze był przywiązany tylko do Lane'a.

- A ty miałaś mu to za złe. Alex wyczuwał to. Nie można oczekiwać, by dzieci wczuwały się w zmartwienia dorosłych, jeżeli nie nauczyły się radzić sobie nawet z własnymi. On chce być kochany i uważa, że coś z nim nie jest w porządku, ponieważ rzekomo go nie kochasz. Rachel usiłowała przeciwstawić się zarzutom Abbie, ale każdy z nich był jak wbił ajacy się w nią cierni.

- Nie wiesz, co mówisz - zaprotestowała.

- Tak? Rachel, popatrz na nas obie. Popatrz, jak rozgoryczenie i zazdrość zmarnowały nam życie. Tak przecież jest. A ja obwiniałam cię za wszystko! Jesteśmy siostrami. Co zrobiło z nas

wrogów? Dlaczego nieustannie ze sobą konkurujemy? Nie może już przecież chodzić o miłość naszego ojca. On nie żyje. Ale gdyby mógł nas teraz zobaczyć... Rachel, powinnaś wiedzieć, że on by tego nigdy nie chciał.

- Przestań! - Rachel zakryła sobie uszy.

285

- Może kochał nas obie? Potrzebowałam dużo czasu, by to zrozumieć. Ty też musisz w to uwierzyć. Być może nigdy nie będziemy siostrami w pełnym znaczeniu tego słowa, ale czy nie mogłybyśmy przynajmniej położyć wreszcie kresu naszej waśni?

- Bardzo byś tego chciała, co?

Abbie milcząco popatrzyła jej w oczy. Potem powiedziała:

- Musisz nauczyć się kochać swego syna, Rachel. I daj mu to odczuć, tak jak powinien był to uczynić nasz ojciec.

Po tych słowach Rachel odwróciła się nagle i pobiegła zalana łzami. To wszystko to tylko kłamstwa, tylko sztuczki...

Po chwili od strony stajni doleciał huk kopyt. Rachel wyskoczyła ze środka na siwej klaczy.

- Ona ma tylko cugle i uzdę!

- Ktoś musi pojechać za nią! Szybko! - krzyczał Lane. Szlochająca Rachel uczepliła się kurczowo ciemnej grzywy Simoon i

uderzeniami pięt popędzała ją do galopu. Musiała uciec przed myślami, które kłębiły się jej w głowie.

Dudnienie w skroniach nie ustąpiło j jednak nawet wtedy, gdy pędziła na przełaj, płosząc pasące się konie. Przez cały czas usiłowała sobie wmówić, że Abbie chciała tylko zasiać w niej niepewność. To nie była prawda, że Dean kochał je obie. Ukryła twarz w rozwianej grzywie i nie zauważyła płotu, który nagle znalazł się przed nią. Poczowała tylko naprężenie tylnych nóg i hamowanie przednich, zanim klacz zatrzymała się tuż przed przeszkodą. To nagłe zatrzymanie wyrzuciło Rachel do przodu, na szyję konia. Simoon stanęła dęba, a Rachel uczepliła się jedynej rzeczy, którą miała - cugli. Ponieważ ciągnęła je całym swoim ciężarem, koń szarpnął głową i Rachel całkowicie straciła równowagę. Spadła na ziemię, a Simoon upadła na nią. Rachel poczuła najpierw zderzenie z ziemią, potem przygniatający ją ciężar konia, a następnie ból... Ból w całym ciele, gwałtowny i męczący. Szeptęła imię swego ojca, aż ogarnęła ją litościwa ciemność.

Badania wykazały liczne obrażenia wewnętrzne. Po operacji, w czasie której zatamowano wewnętrzny krwotok, rokowanie nadal było niepewne. Lane nie odstępował j jej na krok.

Umieszczono j ją w prywatnej izolatce na oddziale intensywnej terapii. Mógł zostawać tam nawet na noc, ale niewiele spał w ciągu ostatnich trzech dni, kiedy Rachel leżała nieprzytomna. Tylko pisk aparatury, do której była podłączona, i migotanie monitorów zdradzały, że jeszcze żyła. Lane, który nigdy tego nie robił, zaczął się modlić, czuwając przy niej, jakby swojowolnością j musiał, by ożyła.

286

Jej powieki zadrgały. Lane pomyślał najpierw, że to złudzenie, ale kiedy to się powtórzyło, wstrzymał oddech. Rachel próbowała z mozołem otworzyć oczy. Udało jej się to dopiero przy drugiej próbie. Lane natychmiast zawołał pielęgniarkę i pochylił się nad łóżkiem.

- Rachel, słyszysz mnie?

Widać było, że miała duże trudności z rozpoznaniem go. Jej usta poruszały się, ale nie wydawały żadnego dźwięku. Lane wziął ją za rękę i ponownie wymówił jej imię.

- Lane. - Jej szept był ledwie słyszalny.

- Tak, to ja.

- Wiedziała... że tu będziesz. - Te urywane słowa wypowiedziała z ogromnym wysiłkiem. Tego dnia Rachel wielokrotnie traciła przytomność i odyskiwała ją. Lane zaczął mieć nadzieję. Lekarz uważał, że następne dwie doby mogą być krytyczne.

- Ben, ona musi przetrzymać. - Abbie powtarzała to stale w ciągu ostatnich trzech dni. Prawdziwą nadzieję zaczęła jednak mieć dopiero po porannym telefonie Lane'a. - Gdybym tylko zgodziła się na to, by Mac-Crea sam zawiózł Aleksa do River Bend!

- Daruj sobie te rozważania, co by było, gdyby było. - Ben nie ukrywał dezaprobaty. - Nie ma temu końca. Ciągle to samo. Nikt nie może wszystkiego przewidzieć.

- Wiem, ale mimo to czuję się jakoś winna.

- Abbie, to przecież bzdura. Ty przecież także mogłaś spaść z konia, kiedy pogalopowałaś na łeb, na szyję, dowiedziawszy się o konieczności sprzedania River Bend.

Razem weszli do szpitala. Jego sterylna atmosfera z charakterystycznymi zapachami i przytłumionymi dźwiękami dzwonek natychmiast podziałała na Abbie otępienie.

- Zostawiłam dla MacCrea wiadomość, że spotkamy się u siostry oddziałowej. Mam nadzieję, że mu to przekazano.

MacCrea czekał już na nich. Siostra poprowadziła całą trójkę do prywatnej izolatki. Przyjął ich Lane. Abbie była zaskoczona zmianami, jakie w nim zaszły w ciągu ostatnich trzech dni.

Wyglądał, jakby przybyło mu dziesięć lat. Nawet jego włosy wydawały się jeszcze bielsze.

Zniknęła gdzieś pewność siebie i siła, które zawsze go cechowały. Sprawiał wrażenie okaleczonego, przestraszonego i jak Alex trochę zagubionego.

- Abbie, dzięki Bogu, że jesteście. - Wziął ją za rękę. - Rachel pytała o was.

- Jak ona się czuje?

287

Lane potrząsnął głową. Abbie nie wiedziała, jak należało to zrozumieć, czy chciał przez to powiedzieć, że nie wie, czy też dać do zrozumienia, że jej stan się zmienił? Poprowadził ją do izolatki i dał pielęgniarkę znak, by wpuściła tam także MacCrea i Bena.

Stanął obok łóżka i wziął Rachel za rękę.

- Kochanie, przyszła Abbie. Rozumiesz mnie?

Rachel z ogromnym wysiłkiem próbowała otworzyć oczy, a Lane odsunął się na bok, by do łóżka mogła zbliżyć się Abbie.

- Abbie... moja prawie bliźniaczko. - Głos Rachel był tak słaby, że Abbie musiała się głęboko pochylić, by coś zrozumieć.

- Tak, jesteśmy prawie bliźniaczkami. - Mimo łez zmusiła się do uśmiechu. - Rachel, poradzisz sobie, wyjdiesz z tego, wiem to.

- Abbie... - Rachel mówiła z najwyższym trudem. - Ty miałaś rację.

- Nie mów już nic więcej. - Jej widok i wspomnienie wszystkich waśni z przeszłości sprawiały Abbie ból.

Rachel uśmiechnęła się lekko.

- Lane i Aleks... oni będą cię potrzebowali. Niech nasze dzieci dora-stająrazem, tak jak my
powinnyśmy byli razem dorastać.

- Tak. -Nie mogła już dłużej powstrzymywać łez. - Rachel, nie powinnaś tak myśleć.
Wyzdrowiejesz.

Rachel zamknęła na krótko oczy. Wyglądało to prawie tak, jak gdyby sprzeciw Abbie wywołał
u niej zniecierpliwienie.

- Kocham mojego syna. Zadbaj... by wiedział.

- Tak, zrobię to. Rachel rozejrzała się.

- Lane? Gdzie on jest? Abbie odwróciła się do niego.

- Lane, ona chce ciebie. - Cofnęła się i zrobiła mu miejsce. Wdzięczna oparła się o
MacCreę... wdzięczna za pocieszaj ące obj ecie, wdzięczna, że się nawzajem kochali.

- Kochanie... -Lane drżącą ręką głaskał policzek Rachel. -Jestem przy tobie. Wypoczywaj.

- Kocham cię... naprawdę - wyszeptła.

- Ja również cię kocham. - Lane zaczął cicho płakać.

- Będziemy mieli dużo czasu dla siebie. Obiecuję ci to.

Jej usta drgnęły w uśmiechu - uśmiechu żalu i, co jeszcze bardziej niezwykle, pojednania.